



V. Fred Vargas

NIEPEWNE MIEJSCE

„Nie wydaje się, żeby królowa **francuskiej**
powieści kryminalnej była gotowa abdykować”.



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

V Fred Vargas

NIEPEWNE MIEJSCE

Z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO
SONIA DRUKA

Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

Przypisy

Młodszy inspektor Adamsberg potrafił prasować koszule, matka go nauczyła wygładzać materiał na karczku i płótno guzików. Wyłączył żelazko, poukładał ubrania w walizce. Ogolony, uczesany wyjeżdżał do Londynu, nie było jak wyłgać się od tego.

Przesunął krzesło tak, aby znalazło się w prostokącie słońca w kuchni. Pomieszczenie miało okna z trzech stron, przez cały dzień zatem przestawiał krzesło wokół okrągłego stołu, idąc za światłem niczym jaszczurka okrążająca głaz. Kubek z kawą umieścił od wschodniej strony i usiadł plecami do ciepła.

Zgadzał się odwiedzić Londyn, powąchać, czy Tamiza zalatuje stęchlizną tak samo jak Sekwana, posłuchać wrzasków mew. Niewykluczone, że mewy inaczej wrzeszczą po angielsku niż po francusku. Tyle że na to nie dadzą mu czasu. Trzy dni konferencji, dziesięć wykładów na dzień, sześć dyskusji, jedno przyjęcie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Będzie ponad stu wysokich szarżą gliniarzy przybyłych z dwudziestu trzech krajów w celu zoptymalizowania wielkiej policyjnej Europy, a dokładniej „koordynacji zarządzania falą uchodźców”. Taki był temat konferencji.

Jako szef paryskiej brygady kryminalnej Adamsberg miał obowiązek stawić się na niej, lecz tym się nie przejmował. Jego udział będzie lekki, niemal eteryczny – z jednej strony z powodu jego zdecydowanej niechęci do „zarządzania falą”, z drugiej zaś dlatego, że nigdy nie zdołał zapamiętać ani jednego angielskiego słowa. Spokojnie dopił kawę, czytając wiadomość, którą przysłał mu komendant Danglard. „O 1.20 przy odprawie. Cholerny tunel. Biorę dla ciebie marynarkę i kraw”.

Adamsberg przesunął kciukiem po wyświetlaczu telefonu, wymazując tym sposobem niepokój swojego partnera, tak jak wyciera się kurz z blatu. Danglard nie był zaprawiony w chodzeniu, bieganiu, a tym bardziej w podróżach. Przebycie kanału La Manche tunelem napawało go obawami nie mniejszymi niż przelot nad nim samolotem. Mimo to nikomu by nie odstąpił swojego miejsca. Od trzydziestu lat był wielbicielem elegancji brytyjskiego ubioru, na który stawiał, aby skompensować wrodzony brak prezencji. Bazując na tym nader istotnym elemencie, rozciągnął swe

uwielbienie na całą resztę Zjednoczonego Królestwa, przez co stał się Francuzem anglofilem, przejął brytyjskie maniere, wytworny sposób bycia, dyskretne poczucie humoru. No chyba że nerwy mu puszczały, co odróżniało Francuza anglofila od prawdziwego Anglika. Dlatego właśnie perspektywa spędzenia kilku dni w Londynie nader go radowała niezależnie od powodu – czy była nim fala emigracji, czy nie.

Adamsberg opłukał kubek i podniósł walizkę, zastanawiając się, jaką też marynarkę i „kraw” wybrał dla niego komendant Danglard. Stary Lucio, sąsiad Adamsberga, zabębnił ciężko w przeszklone drzwi, waląc pokąźną pięścią. Hiszpańska wojna domowa pozbawiła go lewej ręki, kiedy miał dziewięć lat, i wyglądało na to, że w związku z tym druga kończyła urosła mu nadmiernie, by skupić w sobie rozmiary i siłę obu. Z twarzą przyklepioną do szybki przyzywał Adamsberga nagłym wzrokiem.

– No chodźże – wymamrotał rozkazującym tonem. – Sam nie dam rady, musisz mi pomóc.

Adamsberg postawił walizkę na zewnątrz, w malutkim zabałaganionym ogródku, który dzielił ze starym Hiszpanem.

– Lucio, jadę do Londynu na trzy dni. Pomogę ci po powrocie.

– Rety, za późno – burknął stary.

A kiedy Lucio tak burczał, kiedy twardo wymawiał „r”, wydawał z siebie dźwięki tak głucho, jakby wychodziły wprost spod ziemi. Adamsberg podniósł walizkę, myślami już zdążając ku dworcowi.

– Z czym nie dasz sobie rady? – spytał z roztargnieniem, zamykając drzwi na klucz.

– Z kotką, która mieszka pod zadaszeniem. Wiedziałaś, że jest kotna, nie?

– Nie wiedziałem, że pod dachem mieszka kotka. I mam to gdzieś.

– To teraz już wiesz. I nie będziesz miał tego gdzieś, *hombre*. Urodziła trzy, jedno martwe. A jeszcze dwa się zaklinowały, wymacałem łebki. Ja będę masował i przepychał, ty masz wyciągać. Tylko uważaj, nie ściskaj za mocno po wyjęciu. Taki kociak łamie ci się w palcach jak herbatnik.

Chmurny Lucio z ponagleniem widocznym na obliczu drapał się w brakującą rękę, przebierając palcami w powietrzu. Tłumaczył to tym, że kiedy ją stracił w wieku dziewięciu lat, miał na niej ślad po ugryzieniu przez pajaka, swędzącą krostę, której nie skończył drapać. I że ugryzienie dokucza mu jeszcze sześćdziesiąt dziewięć lat po tym wydarzeniu, ponieważ nie dokończył drapania, nie zajął się nim jak należy, nie dopiął tego na ostatni guzik. To neurologiczne wyjaśnienie dostarczone przez matkę z czasem

przerodziło się dla Lucia w odnoszącą się do wszystkiego filozofię, którą adaptował do wszelkich okoliczności i uczuć. Trzeba kończyć albo w ogóle nie zaczynać. Wychylać kielich do dna, również w miłości. Jeśli coś w życiu mocno go zajmowało, Lucio drapał niedokończoną krostę.

– Lucio – odezwał się Adamsberg ostrzej, idąc przez ogródek – za godzinę i kwadrans odjeżdża mi pociąg, mojego partnera zżera niepokój na Gare du Nord, więc nie będę pomagał w porodzie twojemu zwierzakowi, kiedy stu policyjnych dowódców czeka na mnie w Londynie. Poradź sobie jakoś, opowiesz mi wszystko w niedzielę.

– No jakże mam sobie poradzić z tym? – krzyknął stary, podnosząc kikut ręki.

Lucio przytrzymał Adamsberga potężną dłonią, wysuwając do przodu wystający podbródek godny Velázquezem zdaniem komendanta Danglarda. Stary niedowidział, toteż nie mógł się dokładnie ogolić, ostrzu umykały pojedyncze włoski zarostu. Siwe, twarde, sterczały tu i ówdzie, tworząc jakby dekorację ze srebrzystych szpilek, lekko lśniły w świetle słońca. Czasami Lucio chwycił jeden włoszek palcami, ścisnął go mocno między paznokciami i pociągał, jak gdyby wyrywał kleszcza. I nie puszczał, dopóki włoszek nie wylazł zgodnie z filozofią pajęczego ugryzienia.

– Idziesz ze mną.

– Dajże mi spokój, Lucio.

– Nie masz wyboru, *hombre* – powiedział Lucio chmurnie. – Weszło ci w drogę, musisz się tym zająć. Inaczej będzie cię swędziało przez całe życie. Zajmie ci dziesięć minut.

– Pociąg też mi wchodzi w drogę.

– Ale później.

Adamsberg postawił walizkę, mruknął bezsilnie i podążył za Luciem ku zadaszaniu. Lepka zakrwawiona malutka główka sterczała pomiędzy łapkami zwierzęcia. Kierując się wskazówkami Hiszpana, chwycił ją delikatnie, Lucio tymczasem profesjonalnie przepychał kocię, masując brzuch matki. Kotka przeraźliwie miauczała.

– Ciągnij mocniej, człowieku, złap go pod łapkami i ciągnij! No, zdecydowanie i ostrożnie, nie ścisnąj głowy. Drugą ręką drap matkę po czole, bo panikuje.

– Lucio, jak kogoś drapię po czole, każdy zaraz zasypia.

– *Joder!* No ciągnij!

Sześć minut później Adamsberg położył na starym kocu dwa czerwone

piszczące szczurki obok dwóch innych. Lucio odciął pępowiny, po czym kolejno przeniósł kocięta do sutków. Niespokojnie patrzył na jęczącą matkę.

– Co to za historia z ręką? Czym usypiasz ludzi?

Adamsberg pokręcił głową.

– Nie wiem. Jak komuś położę dłoń na głowie, ta osoba usypia. I już.

– Ze swoim dzieciakiem tak robisz?

– Tak. Bywa też, że ludzie usypiają, kiedy do nich mówię. Uśpiłem nawet parę razy podejrzanym w czasie przesłuchania.

– Zrób tak z kotką. *Apúrate!* Uśpij ją!

– Do diabła, Lucio, wbijże sobie do głowy, że muszę zdążyć na pociąg!

– Trzeba uspokoić matkę.

Adamsberg mało się przejął kocią matką, przejął się za to mrocznym spojrzeniem starego. Pogłaskał kotkę po niewiarygodnie miękkim łebku, bo faktycznie nie miał wyboru. Kiedy przesuwiał palcem od pyszczka w kierunku uszu, jakby toczył kulki, dyszenie zwierzątka stopniowo przycichało. Lucio z aprobatą pokiwał głową.

– Śpi, *hombre*.

Adamsberg wolno cofnął rękę, wytarł ją o wilgotną trawę i się wycofał.

Idąc dworcowym peronem, czuł, jak na palcach i pod paznokciami twardnieją mu wyschnięte kocie wydzieliny. Był dwadzieścia minut spóźniony, Danglard zmierzał w jego kierunku w przyspieszonym tempie. Kiedy próbował biec, zawsze miało się wrażenie, że źle zbudowane nogi połamią się od kolan w dół. Adamsberg podniósł rękę, aby zatrzymać ten chwiejny bieg i pretensje.

– Wiem – powiedział. – Ale coś weszło mi w drogę i musiałem się tym zająć, inaczej drapałbym się przez całe życie.

Danglard tak już przywykł do niezrozumiałych wypowiedzi Adamsberga, że rzadko zadawał sobie trud i stawiał pytania. Jak wiele osób w brygadzie pomijał je milczeniem, potrafiąc oddzielić informacje użyteczne od zbędnych. Zadyszany wskazał biuro odpraw i pomaszerował z powrotem. Adamsberg szedł za nim, nie przyspieszając kroku, i próbował sobie przypomnieć umaszczenie kotki. Biała w szare łatki? W rude?

II

– U was też są dziwactwa – rzekł po angielsku nadinspektor Radstock do kolegów z Paryża.

– Co powiedział? – zapytał Adamsberg.

– Że u nas też są dziwactwa – przetłumaczył Danglard.

– Fakt – zgodził się Adamsberg, tracąc zainteresowanie rozmową.

W tej chwili zależało mu wyłącznie na tym, żeby pochodzić. W czerwcową londyńską noc pragnął pochodzić. Te dwa dni konferencji mocno mu już zszarpały nerwy. Siedzenie w miejscu godzinami należało do nielicznych doświadczeń zdolnych przełamać jego flegmę, wprowadzić go w osobliwy stan, przez innych nazywany „zniecierpliwieniem” bądź „rozgorączkowaniem” i normalnie dla niego nieosiągalny. Poprzedniego dnia udało mu się wyrwać trzy razy, mniej więcej obszedł dzielnicę, zapamiętał szeregi ceglanych fasad budynków, widok na białe kolumny, czarno-złote latarnie uliczne, zrobił nawet parę kroków uliczką noszącą nazwę St Johns Mews – Bóg wie, jak można wymówić takie słowo: Mews. Tam właśnie do lotu zerwało się stadko mew, wrzeszcząc po angielsku. Tyle że nieobecność Adamsberga zauważono. Dziś musiał wytrzymać w fotelu, choć był całkowicie odporny na wystąpienia kolegów, nie nadążał za szybkim tempem tłumaczenia. Salę ciasno wypełniali policjanci, gliniarze, którzy wykazywali się ogromną pomysłowością w zaciskaniu sieci mającej „koordynować zarządzanie falą uchodźców”, otoczyć Europę nieprzebytym murem. Ponieważ on zawsze wolał stan płynny od stałego, miękkość od twardości, w sposób naturalny przybierał ruchy tej „fali” i wraz z nią szukał sposobów na pokonanie fortyfikacji, które na jego oczach stawały się coraz doskonalsze.

Ten Radstock, kolega z New Scotland Yardu, wyglądał na porządnie obkutego w sieciach, zdaje się jednak, że niespecjalnie go obchodziła ich wydajność. Za niecały rok miał przejść na emeryturę, pieszcząc w sobie bardzo brytyjskie marzenie o łowieniu różności w położonym wysoko jeziorze, jak twierdził Danglard, który rozumiał wszystko i wszystko tłumaczył, łącznie z tym, czego Adamsberg wcale nie chciał wiedzieć. Wolałby, aby kolega oszczędził sobie niepotrzebnego tłumaczenia, lecz

Danglard tak rzadko doświadczał tej przyjemności i wydawał się taki ucieszony możliwością tarzania się w języku angielskim niczym dzik w błocie wysokiej jakości, że Adamsberg nie chciał go pozbawić ani krzty zadowolenia. Tutaj komendant Danglard wyglądał na uszczęśliwionego, niemal lekkiego, kiedy prostował swe obwisłe ciało i opadające barki, poruszając się z żywością, która prawie go wyróżniała. Może już się przymierzał do przejścia kiedyś tam na emeryturę i wyjazdu wraz z nowym przyjacielem, by łowić różności w położonym wysoko jeziorze.

Radstock korzystał z przychylności Danglarda i opowiadał różne szczegóły z życia w Yardzie, ale także wiele „frywolnych” anegdot, które jego zdaniem mogły przypaść do gustu francuskim gościom. Przez cały lunch Danglard słuchał wszystkiego, nie okazując znużenia i czuwając nad jakością win. Radstock mówił na komendanta „Denglard” i obaj nawzajem się zachęcali, serwując jeden drugiemu opowieści i trunki, Adamsberga zaś zostawiając w ogonie. Pośród stu gliniarzy jeden Adamsberg nie znał angielskiego nawet w stopniu podstawowym. Pozostawał zatem na uboczu, zgodnie ze swymi nadziejami, i mało kto zrozumiał, kim właściwie jest. Obok niego wystąpięń słuchał młody sierżant Estalère o zielonych oczach szeroko rozwartych w wiecznym zadziwieniu. Adamsberg zażyczył sobie, aby włączono go do grona uczestników konferencji. Powiedział, że przypadek Estalère’a jest do ogarnięcia, i od czasu do czasu wydatkował własną energię, aby do tego doprowadzić.

Z rękami w kieszeniach elegancko odziany Adamsberg z lubością korzystał z długiej wędrówki, kiedy Radstock prowadził ich od ulicy do ulicy, by zademonstrować im osobliwości londyńskiego nocnego życia. Tutaj pod dachem ze zszytych parasoli śpi kobieta, w jej objęciach drzemie metrowy *teddy bear*.

– Pluszowy miś – przetłumaczył Danglard.

– Zrozumiałem – powiedział Adamsberg.

– A tu – rzekł Radstock, wskazując poprzeczną aleję – mamy lorda Clyde’a-Foxa. Przykład tego, co u siebie nazywacie ekscentryczną arystokracją. Prawdę mówiąc, niewielu nam takich zostało, niespecjalnie się mnożą. Ten jest jeszcze młody.

Radstock z satysfakcją tego, kto prezentuje gościom jakiś rzadki okaz, przystanął, by mogli się przypatrzeć owej postaci. Adamsberg i Danglard posłusznie się przyglądali. Wysoki chudy lord Clyde-Fox tańczył niezgrabnie w miejscu, omal się nie przewracając, gdy stał to na jednej, to na drugiej nodze. W odległości dziesięciu kroków od niego jakiś człowiek palił cygaro, obserwując poczynania lorda.

– Interesujące – zauważył uprzejmie Danglard.

– Często płacze się w tej okolicy, ale nie każdej nocy – wyjaśnił Radstock takim tonem, jakby jego kolegom naprawdę się poszczęściło. – Ceni się. Serdeczny, zawsze ma miłe słowo. W nocy to punkt orientacyjny, znajome światło. O tej porze wraca z obchodu, usiłuje dotrzeć do domu.

– Pijany? – spytał Danglard.

– Nigdy w sztok. Za punkt honoru stawia sobie badać granice, wszelkie granice, i kurczowo się ich trzymać. Twierdzi, że poruszając się wzdłuż linii szczytów, w równowadze między jednym a drugim zboczem, ma pewność, że nie ucierpi, ale też nigdy nie będzie się nudził. Wszystko gra, Clyde-Fox?

– Wszystko gra, Radstock? – odparł ów człowiek, machając ręką.

– Zabawny – skomentował nadinspektor. – Znaczą czasami. Jak dwa lata temu umarła mu matka, chciał zjeść całe pudełko jej zdjęć. Jego siostra wtrąciła się dość ostro i źle to się skończyło. Ona spędziła noc w szpitalu, a on na posterunku. Lord szalał ze złości, że nie pozwalają mu zjeść tych fotografii.

– Naprawdę chciał zjeść?

– Naprawdę. Ale co tam tych kilka zdjęć! Podobno u was facet postanowił zjeść drewnianą szafę.

– Co on mówi? – spytał Adamsberg, widząc, że Radstock marszczy brwi.

– Że u nas facet postanowił zjeść drewnianą szafę. Zrobił to zresztą w ciągu paru miesięcy przy doraźnej pomocy dwóch czy trzech kumpli.

– Prawdziwe dziwactwo, co, Denglard?

– W stu procentach prawdziwe. To było na początku dwudziestego wieku.

– Normalne – odezwał się Estalère, który często dobierał niewłaściwe słowa albo myśli. – Wiem, że jeden człowiek zjadł samolot i zajęło mu to tylko rok. Mały samolot.

Radstock pokiwał głową z niejaką powagą. Adamsberg zauważył jego upodobanie do napuszonych wypowiedzi. Układał czasem długie zdania, które – sądząc po tonie – traktowały o ludzkości oraz o relacjach dobra ze złem, anioła z diabłem.

– Są rzeczy – oznajmił Radstock, a Danglard tłumaczył symultanicznie – których człowiek nie jest w stanie ogarnąć, dopóki inny człowiek nie wpadnie na zaskakujący pomysł, aby je wcielić w życie. Ale kiedy coś takiego, dobrego czy złego, zostanie zrealizowane, staje się częścią dziedzictwa ludzkości. Użyteczną, powtarzalną, a nawet do pobicia. Ten, kto zjadł szafę, daje innemu możliwość zjedzenia samolotu. Tym sposobem ogromny nieznaną kontynent szaleństwa odsłania się powoli jak mapa, która się zapełnia w miarę dokonywanych odkryć. Posuwamy się po nim naprzód,

nie mając widzialności, kierujemy się tylko doświadczeniem. Zawsze to mówiłem swoim chłopcom. Na przykład lord Clyde-Fox zdejmuje i zakłada skarpetki nie wiadomo ile razy. A my nie wiemy, dlaczego to robi. Kiedy się tego dowiemy, ktoś inny będzie mógł zrobić to samo.

– Hej, Clyde-Fox! – zawołał stary policjant, podchodząc do niego. – Masz jakiś problem?

– Hej, Radstock – odpowiedział lord głosem dość cichym.

Pozdrowili się przyjacielskim gestem, dwaj znawcy nocy, dwaj eksperci, którzy nie mają przed sobą nic do ukrycia. Clyde-Fox stał na chodniku jedną nogą w skarpetce, w rękę trzymał but, którego wewnątrz uważnie oglądał.

– Masz jakiś problem? – powtórzył Radstock.

– Jak cholera. Sam zobacz, jeśli masz odwagę.

– Gdzie?

– Przy wejściu na stary cmentarz Highgate.

– Nie lubię, jak ktoś tam myszkuje – mruknął Radstock. – Coś tam robił?

– Badałem granicę w towarzystwie wybranych przyjaciół – odparł lord, kciukiem wskazując druha z cygarem. – Między strachem a rozumem. Ja znam to miejsce jak własną kieszeń, ale on chciał je zobaczyć. Uwaga – dodał Clyde-Fox, zniżając głos. – Kolega jest nawalony jak stodoła i szybki jak elf. Już spuścił wciry dwóm chłopcom w pubie. Nauczyciel tańca kubańskiego. Nerwowy. Nietutejszy.

Lord Clyde-Fox znowu potrząsnął butem, włożył go na nogę, zdjął drugi.

– OK, Clyde-Fox. A co z twoimi butami? Coś z nich wysypujesz?

– Nie, Radstock, sprawdzam.

Człowiek z Kuby rzucił po hiszpańsku coś, co miało chyba znaczyć, że on ma już dość, więc się zbiera. Lord obojętnie skinął mu ręką.

– Co waszym zdaniem można włożyć do butów? – podjął Clyde-Fox.

– Nogi – wtrącił Estalère.

– Właśnie – przyznał Clyde-Fox, z aprobatą w oczach obrzucając wzrokiem młodego sierżanta. – I lepiej sprawdzić, że na pewno macie własne nogi w swoich butach. Radstock, gdybyś poświecił latarką, może wreszcie bym z tym skończył.

– I co mam powiedzieć?

– Czy widzisz coś w środku.

Clyde-Fox trzymał buty wysoko, a Radstock metodycznie badał ich wewnątrz. Adamsberg tymczasem, zapomniany, wolnym krokiem krążył wokół nich. Wyobrażał sobie tamtego człowieka miesiącami przeżuwanego po kawałku szafę. Zastanawiał się, czy on wolałby zjeść szafę czy samolot, czy może zdjęcia matki. A może jeszcze coś innego? Coś

takiego, co dorysowałyby kolejny kawałek „ogromnego nieznanego kontynentu szaleństwa” opisanego przez nadinspektora.

– Nic – orzekł w końcu Radstock.

– Na pewno?

– Tak.

– Dobra – powiedział Clyde-Fox, wzuwając buty. – Coś okropnego. No, Radstock, rób, co do ciebie należy, idź to zobaczyć. Przed wejściem. Mnóstwo starych butów na chodniku. Przygotuj się duchowo. Jest tego chyba ze dwadzieścia sztuk, na pewno nie przeoczysz.

– To nie moja działka.

– Ależ tak. Są starannie ustawione, czubkami zwrócone w stronę cmentarza, jakby chciały tam wejść. Mówię oczywiście o głównej bramie.

– Starego cmentarza pilnują nocą. Jest zamknięty dla ludzi i dla ludzkich butów.

– Cóż, one mimo wszystko chcą wejść i wyglądają bardzo nieprzyjemnie. Obejrzyj je, rób, co do ciebie należy.

– Clyde-Fox, mam gdzieś twoje stare buty, które chcą tam wejść.

– To błąd, Radstock. Bo w butach są nogi.

Zapadła cisza, wszystkich owionęła nieprzyjemna fala szoku. Z gardła Estalère’a dobył się cichutki jęk, Danglard skulił ramiona. Adamsberg przystanął i podniósł głowę.

– Cholera – wyszeptał Danglard.

– Co on powiedział?

– Że stare buty chcą wejść na cmentarz. Że Radstock popełnia błąd, nie idąc ich obejrzeć, bo w środku są nogi.

– Dosyć, Danglard – uciął Radstock. – On jest nawalony. Dosyć, Clyde-Fox, jesteś nawalony. Wracaj do domu.

– W butach są nogi – powtórzył lord wyraźnie pewnym głosem na dowód, że trzyma się równo na linii szczytu. – Odcięte na wysokości kostki. I te nogi próbują tam wejść.

– OK, próbują wejść.

Teraz Clyde-Fox starannie czesał włosy – znak, że niebawem odejdzie. Wydawało się, że wyjawienie problemu przywróciło lorda do normalności.

– Nastaw się na dość stare buty – dodał. – Dwudziesto-, może piętnastoletnie. Męskie, damskie.

– A nogi? – dopytywał dyskretnie Danglard. – Gołe kości?

– *Let down*. On jest nawalony, Danglard.

– Nie – odparł Clyde-Fox, chowając grzebień i ignorując nadinspektora. – Prawie nietknięte.

- I próbują wejść na cmentarz – dokończył Radstock.
- Właśnie, stary.

III

Radstock zły jak diabli mamrotał coś pod nosem z rękami zaciśniętymi na kierownicy, szybko wioząc ich na stary cmentarz na północnym przedmieściu Londynu. Że też musieli się natknąć na tego Clyde'a-Foxa. Że też ten czubek postanowił sprawdzić, czy jakaś obca stopa nie wprowadziła się do jego butów. I teraz jadą do Highgate, bo wielmożny pan lord spadł z wysokości i doznał wizji. Przed cmentarzem będzie tyle butów, ile obcych stóp znalazło się w butach Clyde'a-Foxa.

Jednakże Radstock nie chciał jechać sam. O nie, na pewno nie kilka miesięcy przed emeryturą. Z trudem przekonał miłego Denglarda, żeby mu towarzyszył, bo komendantowi jakby się nie uśmiechała ta wyprawa. Tylko skąd Francuz mógłby coś wiedzieć na temat Highgate? Za to żadnego problemu nie było z Adamsbergiem, któremu wypad zupełnie nie przeszkadzał. Ten inspektor zdawał się funkcjonować w spokojnym ugodowym półśnie, aż nasuwało się pytanie, czy w ogóle darzy jakąś uwagą swoje obowiązki zawodowe. Natomiast ich młody kolega z twarzą przyklejoną do szyby otwierał coraz szerzej oczy, oglądając Londyn. Zdaniem Radstocka ten Estalère był prawie kretyńcem – aż dziw, że pozwolono mu przyjechać na konferencję.

– Czemu nie pošlesz tam dwóch swoich ludzi? – zapytał Danglard z wciąż niezadowoloną miną.

– Zrozum, Denglard, nie mogę uruchamiać ekipy z powodu przywidzenia Clyde'a-Foxa. Przecież to człowiek, który chciał zjeść zdjęcia matki. A sprawdzić jednak mamy obowiązek, nie?

Nie, Danglard nie poczuwał się do żadnego obowiązku. Był szczęśliwy, że tu jest, szczęśliwy, że może się zachowywać jak Anglik, szczęśliwy, że już pierwszego dnia konferencji zwróciła na niego uwagę kobieta. Od lat nie liczył na ten cud, toteż trwając w swym odrętwieniu, odkąd fatalistycznie pożegnał się z płcią piękną, nie przedsiębrał żadnych kroków. To ona go zagadnęła, uśmiechnęła się do niego, szukała pretekstów, aby podejść. O ile się nie pomylił. Danglard się zastanawiał, jak to w ogóle jest możliwe, głowił się nad tym aż do udręki. Bez ustanku roztrząsał nikłe znaki mogące obalić bądź potwierdzić jego nadzieje. Sortował je, oceniał, szacował ich

wiarygodność, jak obmacuje się tafłę lodu, nim się na niej stanie. Wypróbowywał ich konsystencję, ewentualną zawartość, usiłował dociec, czy słuszne są jego przypuszczenia, czy też nie. Aż w końcu znaki te, trawione w myślach wciąż od nowa, straciły wszelką treść. Odtąd potrzebował czegoś nowego, dodatkowych sygnałów. A o tej porze rzeczona pani niewątpliwie siedziała w hotelowym barze z innymi uczestnikami konferencji. Przez ten wypad z Radstockiem na pewno jej nie zobaczy.

– Po co to sprawdzać? Lord był naprany jak stodoła.

– Bo tu chodzi o Highgate – wycodził nadinspektor przez zęby.

Danglardowi głupio się zrobiło. Intensywne rozważania o kobiecie i znakach nie pozwoliły mu właściwie zareagować na nazwę Highgate. Podniósł głowę, by odpowiedzieć, lecz Radstock powstrzymał go gestem.

– Nie, Denglard, ty tego nie zrozumiesz – rzekł z goryczą, smutnym zrezygnowanym głosem żołnierza, który nie dopuszcza do uczestnictwa w swojej wojnie. – Nie byłeś na cmentarzu Highgate. Ja byłem.

– Ale rozumiem, że nie chcesz tam wracać, a mimo wszystko jedziesz.

– Bez obrazy, Denglard, raczej nie rozumiesz.

– Wiem, co się stało w Highgate.

Radstock obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

– Danglard wie wszystko – wyjaśnił spokojnie Estalère.

Siedzący obok niego w tyle Adamsberg słuchał rozmowy, wylapywał pojedyncze słowa. Ewidentnie Danglard wiedział o tym Highgate mnóstwo różnych rzeczy, o których on, Adamsberg, nie miał pojęcia. Normalne, jeśli za normalne można uznać jego niewiarygodnie rozległą wiedzę. Komendant był kimś znacznie więcej niż „człowiekiem wykształconym”. Dysponował fenomenalną erudycją, w głowie miał całą sieć obejmującą nieskończoną wiedzę, która zdaniem Adamsberga poszerzając się, ogarnęła go całego, kolejno zastąpiła mu wszystkie organy, aż należało sobie zadać pytanie, jakim cudem Danglard może się jeszcze poruszać jak zwykły człowiek. Dlatego właśnie tak źle chodził i prawie nigdy nie spacerował. Za to z pewnością znał nazwisko gościa, który zjadł szafę. Adamsberg obserwował obwisły profil Danglarða, w tej chwili rozedrgany lekko, co świadczyło u niego o wytężonym uruchamianiu wiedzy. Niewątpliwie komendant w szybkim tempie przypominał sobie mądrą książkę, w której napisano wszystko o Highgate. Równocześnie pewna obsesja lekko rozpraszała jego skupienie. Oczywiście myśl o tej kobiecie z konferencji, myśl, która porywała Danglardowy umysł w wir pytań. Adamsberg przeniósł

wzrok na brytyjskiego kolegę o nazwisku nie do zapamiętania. Stock. On nie myślał o kobiecie ani nie sięgał do zgromadzonej wiedzy. Stock zwyczajnie się bał.

– Danglard – odezwał się Adamsberg, lekko klepiąc w ramię partnera. – Stock nie ma ochoty na oglądanie tych butów.

– Już ci mówiłem, że on sporo rozumie w potocznym francuskim. Szyfruj, inspektorze.

Adamsberg kiwnął głową. Aby Radstock ich nie zrozumiał, Danglard poradził, by mówić bardzo szybko, jednostajnie i połykać sylaby, lecz w wypadku Adamsberga było to niemożliwe: słowa wypowiadał tak samo wolno, jak wolno stawiał kroki.

– Za grosz nie ma ochoty – przyznał Danglard w przyspieszonym tempie. – Ma wspomnienia związane z tym miejscem i nie chce do nich wracać.

– To „miejsce” to co?

– Miejsce? Jeden z najbardziej barokowych romantycznych cmentarzy na Zachodzie, szczyt nieumiarkowania, szaleństwo artystyczne i trumienne. Gotyckie grobowce, mauzolea, egipskie rzeźby, ekskomunikowani i mordercy. I wszystko ukryte w uporządkowanym gąszczu angielskich ogrodów. Miejsce jedyne w swoim rodzaju, zbyt wyjątkowe, tygiel szaleństwa.

– Jasne, Danglard. Ale co się stało w tym gąszczu?

– Straszne rzeczy tam się działy, choć w sumie nic takiego. Ale to „nic takiego” może bardzo ciążyć temu, kto je widział. Dlatego cmentarz jest strzeżony w nocy. Dlatego nasz kolega nie jedzie tam sam. Dlatego siedzimy w tym aucie, zamiast spokojnie iść na jednego w hotelu.

– Ale z kim iść na jednego, Danglard?

Danglard wyduł wargi. Najdrobniejsze strzępki życia nie umykały oku Adamsberga, nawet jeśli owymi strzępkami były szelesty, drobne emocje, powiewy powietrza. Inspektor oczywiście zauważył tamtą kobietę na konferencji. I podczas gdy on mełł na okrągło fakty aż do wyjaławiającej obsesji, Adamsberg z pewnością miał już sformułowaną opinię.

– Z nią – podsunął Adamsberg, przerywając ciszę. – Z kobietą, która przygryza zauszki swoich czerwonych okularów, z kobietą, która na ciebie patrzy. Na identyfikatorze ma napisane „Abstract”. Abstract to jej imię?

Danglard się uśmiechnął. To, że pierwsza od dziesięciu lat kobieta, która szukała jego spojrzenia, może się nazywać „Abstrakcyjna”, bardzo, acz boleśnie mu odpowiadało.

– Nie. To jej specjalność. Ma za zadanie zbierać i rozdawać streszczenia

wystąpien. Takie streszczenie nazywa się *abstract*.

– A, rozumiem. To jak ona się nazywa?

– Nie pytałem.

– O imię trzeba pytać od razu.

– Chciałem najpierw sprawdzić, co ma w głowie.

– To nie wiesz tego? – zdumiał się Adamsberg.

– Niby skąd? Musiałbym ją zapytać. A najpierw wiedzieć, czy mogę zapytać. I zastanowić się, czego można się dowiedzieć.

Adamsberg westchnął, odpuszczając w obliczu intelektualnych meandrów Danglarda.

– Ona ma w głowie coś ważnego – podjął. – I niczego tu nie zmieni jeden kieliszek więcej czy mniej dziś wieczór.

– Jaka kobieta? – zapytał Radstock po francusku, stwierdziwszy zdesperowany, że francuscy koledzy wykluczają go z rozmowy. A zwłaszcza zrozumiałwszy, że niewysoki inspektor o ciemnych rozczochranych włosach zauważył jego strach.

Jechali teraz wzdłuż cmentarza i Radstock zapragnął naraz, żeby scena opisana przez lorda Clyde'a-Foxa nie była przywidzeniem. I żeby tym samym niewysoki beztroski Francuz, ten Adamsberg, zakosztował koszmaru Highgate. Niech go zakosztuje, niech go także pozna, *God*. A wtedy zobaczymy, czy mały gliniarz nadal będzie taki spokojny.

Radstock zatrzymał wóz przy krawężniku, lecz nie wysiadał. Opuścił szybę na dwadzieścia centymetrów, przez szparę wysunął latarkę.

– OK – rzekł, zerkając na Adamsberga w lusterku wstecznym. – Zapraszam do poznania.

– Co powiedział?

– Zaprasza cię, żebyś poznał Highgate.

– O nic się nie prosiłem.

– *You've no choice* – oznajmił twardo Radstock, otwierając drzwi.

– Zrozumiałem. – Adamsberg gestem powstrzymał Danglarda.

Cuchnęło okrutnie, widok był wstrząsający, nawet Adamsberg zeszytniał, trzymając się kawałek za angielskim kolegą. Z popękanych rozsznurowanych butów wystawały rozkładające się kikuty, odsłaniając ciemne mięśnie i białe zabarwione odcięte piszczele. Scena tylko tym się różniła od opisu lorda Clyde'a-Foxa, że stopy nie chciały przekroczyć bramy. Stały na chodniku, straszne i prowokujące, włóczę w buty naprzeciwko historycznego wejścia na cmentarz Highgate. Tworzyły

nieduży stos równiutko ułożony i nieznośny dla oczu. Radstock trzymał latarkę z twarzą ściągniętą odrazą i sprzeciwem, oświetlając sponiewierane kostki, które sterczały z butów, i daremnie usiłując ręką odegnąć odór śmierci.

– Proszę bardzo – odezwał się fatalistycznym, napastliwym głosem, odwracając się do Adamsberga. – Oto Highgate, miejsce przeklęte. Od ponad stu lat.

– Od stu siedemdziesięciu – uściślił Danglard cicho.

– OK – powiedział Radstock, próbując wziąć się w garść. – Możecie wracać do hotelu, wzywam chłopaków. – Wyjął telefon, z trudem uśmiechnął się do francuskich kolegów. – Buty marnej jakości – ciągnął, wybierając numer. – Przy odrobinie szczęścia okaże się, że francuskie.

– Jeśli buty będą francuskie, to stopy też – uzupełnił Danglard.

– Zgadza się, Denglard. Który Anglik zniżyłby się do kupienia francuskich butów?

– Czyli gdyby to od ciebie zależało, cały ten szajs przerzuciłbyś nam przez La Manche.

– Zasadniczo tak... Dennison? Mówi Radstock. Przyślij pełną ekipę z zabójstw pod starą bramę w Highgate... Nie, nie ciało, tylko paskudny stos marnych butów, ze dwadzieścia sztuk. Ze stopami... Tak, całą ekipę, Dennison... OK, daj mi go – zakończył nadinspektor ze znużeniem.

Nadinspektor Clems był w Yardzie, piątkowy wieczór zawsze należał do ciężkich. Wyglądało na to, że w biurach toczą się dyskusje, gdy Radstock czeka na drugim końcu linii. Danglard wykorzystał to, aby wyjaśnić Adamsbergowi, że tylko francuskie stopy zaakceptowałyby francuskie buty i że nadinspektor gorąco pragnie przerzucić je przez La Manche w samo serce Paryża. Adamsberg kiwał głową z rękami założonymi z tyłu i powoli okrążał stos, podnosząc co rusz oczy na cmentarny mur zarówno po to, by odświeżyć sobie umysł, jak i po to, aby wyrobić sobie wyobrażenie, dokąd chcą iść te martwe stopy. Stopy wiedzące o rzeczach, o których on nie miał pojęcia.

– Około dwudziestu, szefie – powtórzył Radstock. – Jestem na miejscu, patrzę na nie.

– Radstock, co to znowu za burdel? – pytał nieufnie jego szef Clems. – Co ma znaczyć: ze stopami?

– *God*, jestem w Highgate, szefie, nie w Queen's Lane. Przyśle mi pan chłopaków czy zostawi samego z tym paskudztwem?

– W Highgate? Od razu tak trzeba było mówić!

– Od godziny to powtarzam.

– W porządku – rzekł Clems, nagle ugodowy, jakby nazwa „Highgate” włączyła mu jakiś alarm. – Ekipa zaraz tam będzie. Mężczyźni? Kobiety?

– I to, i to, szefie. Stopy dorosłych. W butach.

– Kto was tam skierował?

– Lord Clyde-Fox. On znalazł to świństwo. Musiał potem wlać w siebie niejedno piwo, żeby się pozbierać.

– Dobra – powiedział szybko Clems. – Buty? Jakiego rodzaju? Współczesne?

– Powiedziałbym, że mają ze dwadzieścia lat. I są raczej marne – dodał ze szczyptą ironii w głosie. – Przy odrobinie szczęścia uda nam się je podrzucić Francuzikom i umyć ręce.

– Nie ma mowy, Radstock – uciął ostro Clems. – Mamy akurat konferencję międzynarodową i oczekujemy wyników.

– Wiem, szefie, akurat są ze mną dwaj oficerowie z Paryża.

Radstock znowu się zaśmiał, popatrzył na Adamsberga i zastosował tę samą sztuczkę językową co jego koledzy, mianowicie zaczął mówić znacząco szybciej. Dla Danglarda było jasne, że nadinspektor upokorzony, iż musiał ich prosić, by z nim pojechali, dawał upust emocjom, wygłaszając krytyczne uwagi na temat Adamsberga.

– Chcecie powiedzieć, że sam Adamsberg jest z wami? – wpadł mu w słowo Clems.

– Ano jest. Ten mikrus śpi na stojąco czy co?

– Trzymajcie język na wodzy, Radstock – rozkazał Clems. – Ten mikrus, jak mówicie, to chodząca mina.

Chociaż Danglard wydawał się rozlazły, wcale nie był człowiekiem spokojnym i niewiele niuansów angielszczyzny mu umykało. Zawsze ofiarnie bronił Adamsberga, tylko jemu wolno było go krytykować. Teraz wyrwał Radstockowi telefon z ręki i przedstawił się, odchodząc trochę dalej od smrodu uciętych stóp. Adamsbergowi się wydawało, że z chwili na chwilę człowiek na drugim końcu linii staje się lepszym towarzyszem do wędkowania niż Radstock.

– Załóżmy – oznajmił sucho Danglard.

– To nic osobistego, komendancie, może mu pan wierzyć – wyjaśnił Clems. – Nie szukam usprawiedliwienia dla Radstocka, ale on tam był przeszło trzydzieści lat temu. Ma facet pecha, że znów padło na niego pół roku przed emeryturą.

– To stara sprawa, nadinspektorze.

– Nie ma nic gorszego od starych spraw, wie pan o tym dobrze. Stare szczepy zawsze zarastają trawnik, może to trwać wieki. Proszę o odrobinę

wyrozumiałości dla Radstocka, pan tego nie może zrozumieć.

– Mogę. Znam dramat z Highgate.

– Nie mówię o morderstwie turysty.

– Ja też nie. Mówimy o historycznym Highgate, o stu sześćdziesięciu sześciu tysiącach ośmiuset ciałach, o pięćdziesięciu jeden tysiącach ośmiuset grobach. Mówimy o nocnych pościgach w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, a nawet o Elizabeth Siddal.

– Znakomicie – rzekł nadinspektor Clems po chwili milczenia. – Cóż, skoro wie pan o tym wszystkim, musi pan również wiedzieć, że Radstock uczestniczył w ostatnim pościgu, a w tamtym czasie nie miał doświadczenia. Proszę to zapisać na jego plus.

Technicy już rozkładali sprzęt, Radstock dowodził. Danglard bez słowa zamknął telefon, wsunął go brytyjskiemu koledze do kieszeni i dołączył do Adamsberga, który oparty o czarny samochód zdawał się podpierać przybitego Estalère'a.

– I co teraz zrobią? – spytał Estalère drżącym głosem. – Będą szukali dwudziestu osób bez stóp, żeby im je przykleić? A potem?

– Dziesięciu osób – przerwał mu Danglard. – Dwadzieścia stóp od dziesięciu osób.

– A tak – zgodził się Estalère.

– Zdaje się jednak, że jest ich tylko osiemnaście. Czyli to by było dziewięć osób.

– Zgoda. Ale gdyby Anglicy mieli problem z dziewięcioma osobami bez stóp, już by o tym wiedzieli, nie?

– Gdyby chodziło o osoby – wtrącił Adamsberg. – Ale jeśli chodzi o ciała, niekoniecznie.

Estalère potrząsnął głową.

– Jeżeli stopy odcięto zwłokom – uściślił Adamsberg. – To nam daje dziewięć trupów. Anglicy mają gdzieś dziewięć trupów bez stóp i nie wiedzą o tym. Zastanawiam się – ciągnął wolniej – jak się mówi jednym słowem „odciąć stopy”. Na pozbawienie kogoś głowy mówimy: zdekapitować. Na pozbawienie oczu: oślepić. Na pozbawienie jąder: wytrzebić. A na pozbawienie stóp? Jak się mówi na pozbawienie stóp? Zdepedestrować?

– W ogóle się nie mówi – powiedział Danglard. – Takie słowo nie istnieje, bo nie istnieje czyn. Znaczy, dotąd nie istniał. Ale ktoś go właśnie dokonał na nieznanym kontynencie.

– To jak ze zjadaczem szafy. Nie ma takiego słowa.

– Thekofag – zaproponował Danglard.

IV

Kiedy pociąg wjechał do tunelu pod kanałem La Manche, Danglard westchnął głośno, po czym zacisnął zęby. Podróż w tamtą stronę nie osłabiła jego obaw – przejazd pod wodą nadal uważał za niedopuszczalny, a podróżnych za ludzi niekonsekwentnych. Widział siebie wyraźnie, jak pomyka z wielką prędkością tą rurą nakryty tonami zwałów morskiej wody.

– Czuć ciężar – powiedział ze wzrokiem wbitym w sufit wagonu.

– Nie ma żadnego ciężaru – odparł Adamsberg. – Nie jesteśmy pod wodą, tylko pod skałą.

Estalère zapytał, jak to możliwe, że ciężar morza nie napiera na skałę i że tunel się nie zawali. Adamsberg cierpliwie, z determinacją narysował mu cały system na papierowej serwetce: wodę, skałę, brzegi lądu, tunel, pociąg. Następnie wykonał taki sam rysunek bez tunelu i pociągu, aby mu pokazać, że ich istnienie nijak nie zmienia stanu rzeczy.

– Mimo wszystko – upierał się Estalère – ciężar morza musi na czymś się opierać.

– Opiera się na skale.

– W takim razie skała mocniej napiera na tunel.

– Nie. – Adamsberg znowu narysował cały system.

Danglard poruszył się nerwowo.

– Zwyczajnie wyobrażamy sobie ten ciężar. Monstrualną masę nad nami. Zalanie. Tylko wariat mógł wymyślić puszczenie pociągu pod morzem.

– Tak samo jak tylko wariat mógł wpaść na pomysł, żeby zjeść szafę – rzekł Adamsberg, dopracowując swój rysunek.

– Do licha, co ci zrobił ten szafojad? Od wczoraj tylko o nim mówimy.

– Próbuję odkryć jego sposób rozumowania, Danglard. Szukam myśli szafojada albo obcinacza stóp, albo gościa, którego wujek dał się pożreć niedźwiedziowi. Ludzkich myśli przebijających jak wiertarka ciemne tunele pod morzem, którego istnienia nikt nawet nie podejrzewał.

– Kto dał się pożreć? – zapytał nagle czujny Estalère.

– Wujek jednego gościa na ławicy lodowej – wyjaśnił Adamsberg. – To było sto lat temu. Zostały po nim tylko okulary i jedna sznurówka. A bratanek bardzo kochał wuja. Odtąd wszystko mu się powywracało. Zabił

niedźwiedzia.

– Słusznie – przyznał Estalère.

– Tyle że przywiózł truchło do Genewy, żeby podarować je ciotce. A ona ulokowała je w salonie. Danglard, kolega Stock dał ci kopertę na dworcu. Raport wstępny, jak przypuszczam.

– Radstock – sprostował Danglard grobowym tonem, ze wzrokiem wciąż wlepionym w sufit pociągu, pilnując ciężaru morza.

– Ciekawy?

– A co nas to obchodzi? Jego stopy, niech je sobie zatrzyma.

Estalère z głową schyloną nad kolanami w skupieniu związał w palcach serwetkę.

– Czyli niejako bratanek – wtrącił – chciał przywieźć wdowie pamiątkę po mężu?

Adamsberg potwierdził i zwrócił się znowu do Danglarda:

– Mimo wszystko napisz o tym raporcie.

– Kiedy wyjeżdżamy z tunelu?

– Za szesnaście minut. Danglard, co znalazł Stock?

– Ale na logikę – zaczął z wahaniem Estalère – skoro wujek był w niedźwiedziu, a bratanek... – Urwał i na powrót zwiesił głowę zmartwiony, drapiąc się po jasnych włosach.

Danglard westchnął – czy to z powodu owych szesnastu minut, czy to w związku z tymi ohydnyimi stopami, które chciał zostawić za sobą, przy zapomnianej bramie cmentarza Highgate. A może dlatego, że Estalère, równie ograniczony, jak ciekawy, jako jedyny członek brygady nie był w stanie odróżnić u Adamsberga tego, co użyteczne, od nieużytecznego. Nie był w stanie pominąć choćby jednej jego uwagi. Dla tego młodego człowieka każde słowo inspektora miało jakiś sens i zawsze się go doszukiwał. Toteż dla Danglarda, którego elastyczny umysł szybko ogarniał idee, Estalère był irytującym stałym powodem marnotrawienia czasu.

– Gdybyśmy przedwczoraj nie poszli z Radstockiem – podjął komendant – gdybyśmy się nie natknęli na tego czubka Clyde'a-Foxa, gdyby Radstock nie zaciągnął nas aż na cmentarz, nie mielibyśmy pojęcia o tych stopach i zostawilibyśmy je samym sobie. Ich los był i jest brytyjski.

– Nie ma zakazu zainteresowania się – zauważył Adamsberg. – Kiedy coś przecina twoją drogę.

Ani chybi, pomyślał, Danglardowi nie udało się rozstać z tą kobietą z Londynu w taki sposób, w jaki by sobie życzył. Jego obawy zatem znów się odzywają, na powrót wkradają się w zakamarki duszy. Adamsberg wyobrażał sobie umysł Danglarda pod postacią bloku miękkiej skały

wapiennej, w której deszcz pytań wydrążył niezliczone zagłębienia zawierające niezalutwione troski. Codziennie jakieś trzy, cztery z tych zagłębień były równocześnie aktywne. W tej chwili przejazd tunelem, kobieta z Londynu, stopy z Highgate. Jak już dawno wytłumaczył mu to Adamsberg, Danglard na darmo trwonął energią potrzebną do rozwiązywania problemów i oczyszczania zagłębień. Ledwie bowiem jedno zostało opróżnione, zwalniało przestrzeń do powstania kolejnych, napełnionych świeżymi dręczącymi pytaniami. Zajmując się nimi ustawicznie, nie dopuszczał do spokojnego tworzenia się osadów i naturalnego wypełniania się jam za pomocą zapomnienia.

– Nie ma co się truć, odezwie się – stwierdził Adamsberg.

– Kto?

– Abstract.

– Na logikę – odezwał się znowu Estalère, który twardo szedł tropem swoich myśli – bratanek powinien zostawić niedźwiedzia przy życiu, a ciotce przywieźć jego odchody. Bo wujek trafił do brzucha niedźwiedzia, a nie do jego skóry.

– Słusznie – przytaknęła Adamsberg usatysfakcjonowany. – Wszystko jest funkcją wyobrażenia, jakie bratanek ma o wujku i niedźwiedziu.

– I o ciotce – dodał Danglard uspokojony pewnością Adamsberga co do Abstract i tego, że się odezwie. – O ciotce, o której nie wiadomo, czy życzyła sobie dostać skórę, czy odchody niedźwiedzia w zastępstwie nieboszczyka.

– Wszystko zależy od wyobrażenia – powtórzył Adamsberg. – Jakie było wyobrażenie bratanka? Że wujkowa dusza rozeszła się po niedźwiedziu, przeniknęła aż po czubki włosków sierści? Jakie wyobrażenie thekofag ulokował w szafie? A obcinacz nóg? Czyja dusza mieszkała w drewnianych deskach, w zakończeniu nóg? Danglard, co napisał Stock?

– Dajże spokój tym stopom.

– Coś mi przypominają – powiedział Adamsberg niepewnym głosem. – Jakiś rysunek albo opowieść.

Danglard zatrzymał stewardesę przechodzącą z szampanem, wziął dwa kieliszki, jeden dla siebie, drugi dla Adamsberga, i obydwaj postawił na swoim stoliku. Adamsberg pił rzadko, a Estalère w ogóle, ponieważ jemu po alkoholu kręciło się w głowie. Tłumaczyli mu, że z alkoholem właśnie o to chodzi, co niebotycznie go zdumiało. Kiedy Danglard pił, Estalère rzucał mu nadzwyczaj zaciekawione spojrzenia.

– Może to była jakaś historia z człowiekiem, który szukał butów po ciemku? – podjął Adamsberg. – Albo który nie żył i ciągle wracał po buty?

Zastanawiam się, czy Stock to zna.

Danglard szybko opróżnił pierwszy kieliszek, oderwał wzrok od sufitu i spojrzał na Adamsberga na poły z zazdrością, na poły z politowaniem. Bywało, że Adamsberg się koncentrował i przeobrażał w groźnego napastnika wagi ciężkiej. Zdarzało się to rzadko, lecz wówczas można było go skontrolować. Mniejsze pole do popisu pozostawiał, kiedy materia jego umysłu dzieliła się na ruchome części, co było na porządku dziennym. A już zupełnie nie dało się nim powodować, gdy – jak w tej chwili – ów stan się wzmagał aż do rozproszenia, czemu sprzyjało kołysanie pociągu, które obalało spójność myśli. Wydawało się wówczas, że Adamsberg porusza się niczym pływak, ciało i myśli z wdziękiem mu falowały, nie zmierzając do żadnego konkretnego celu. Jego oczy śledziły ów ruch, przybierając wygląd brunatnych wodorostów, rozmówcy przekazywały uczucie miękkości, ślizgania się lub nieistnienia. Towarzyszenie Adamsbergowi w tych chwilach skrajności oznaczało dołączenie do niego w głębinach wód pośród leniwych ryb, oleistych mułów, rozkołysanych meduz, równało się z oglądaniem niewyraźnych konturów i zamglonych odcieni barw. A trzymanie się go dłużej niosło zagrożenie w postaci zaśnięcia w tej letniej wodzie i pójścia na dno. W takich szczególnie wodnistych chwilach nie dawało się z nim dyskutować, tak jak nie można dyskutować z pianą, mchem, chmurą. Danglard był wściekły na niego, że po raz kolejny wywiódł go w te wodne przestrzenie, gdy on akurat musiał się zmagać z dubeltowym trudnym doświadczeniem: z przejazdem tunelem pod La Manche i z niepewnością w odniesieniu do Abstract. Równocześnie był zły na siebie, że tak często się zanurza w Adamsbergowe mgły.

Wychylił drugi kieliszek szampana, szybko odtworzył w pamięci treść raportu Radstocka, by wydobyć z niego fakty potwierdzone, jednoznaczne i uspokajające. Adamsberg to widział, niezbyt się kwapił z wyjaśnieniem Danglardowi, w jakie przerażenie wprawiły go obute stopy. Historie z szafojadem czy z niedźwiedziem były tylko drobną odskocznią, aby choć trochę odsunąć przed oczu obraz chodnika pod bramą cementarza, oddalić go od siebie i od wrażliwej jeszcze głowy Estalère'a.

– Jest siedemnaście stóp – powiedział Danglard – w tym osiem par i jedna bez pary. Czyli od dziewięciu osób.

– Żywych czy nieboszczyków?

– Nieboszczyków. Prawie na pewno zostały odcięte piłą *post mortem*. Pięciu mężczyzn, cztery kobiety, sami dorośli. – Danglard przerwał na chwilę, lecz wodorostowe spojrzenie Adamsberga w napięciu wyczekiwało ciągu dalszego. – Odcięcie na pewno nastąpiło przed pochowaniem zwłok.

Radstock napisał: „W kostnicach? W chłodniach zakładów pogrzebowych?”. A sądząc po fasonie butów... to jeszcze trzeba dokładniej ustalić... wszystko miało miejsce jakieś dziesięć, dwadzieścia lat temu i odbyło się na przestrzeni dość długiego czasu. Krótko mówiąc, co jakiś czas ktoś odcinał parę stóp tu, parę tam.

– Dopóki nie znudziła mu się ta kolekcja.

– Kto mówi, że mu się znudziła?

– To wydarzenie o tym świadczy. Pomyśl tylko, Danglard. Facet przez dziesięć, dwadzieścia lat gromadzi trofea, a to diabelnie trudna robota. Zapamiętałe przechowuje je w zamrażarce. Stock ma coś na ten temat?

– Tak. Są ślady kilkakrotnego zamrażania i rozmrażania.

– Czyli Obcinacz od czasu do czasu wyjmował stopy, żeby na nie popatrzeć czy Bóg wie po co. Albo żeby je przenieść w inne miejsce.

Adamsberg oparł się wygodnie, a Danglard zerknął na sufit. Za kilka minut wydostaną się spod tej wody.

– I pewnego wieczoru – podjął inspektor – mimo że zebranie ich kosztowało go tyle trudu, Obcinacz porzuca swoją cenną kolekcję. Ot tak, zwyczajnie na prostej publicznej drodze. Zostawia wszystko, jakby go przestało interesować. Albo... i to by było jeszcze bardziej niepokojące... albo jakby już mu nie wystarczało. Zupełnie jak kolekcjonerzy, którzy pozbywają się swoich trofeów, żeby zacząć zbierać coś nowego, coś, co wymaga większych starań i wyższego stopnia wtajemniczenia. Obcinacz przerzuca się na coś innego. Lepszego.

– Czyli gorszego.

– Tak. Wchodzi głębiej w swój tunel. Stock ma powody do zmartwienia. Jeśli uda mu się prześledzić tropy, przejdzie przez arcyciekawe etapy.

– Dokąd zajdzie? – spytał Estalère, bacznie obserwując na Danglardzie efekty działania szampana.

– Do wydarzenia odrażającego, okrutnego, niszczycielskiego, od którego wszystko się zaczęło, a skończyło na aberracji ulokowanej w butach albo szafach. Potem otworzył się ciemny tunel ze stopniami i rurami. I Stock do niego wejdzie.

Adamsberg zamknął oczy, bez ostrzeżenia przechodząc w stan pozornego snu bądź ucieczki.

– Nie można stwierdzić, że Obcinacz Stóp przekracza jakąś granicę – zaoponował czym prędzej Danglard, zanim Adamsberg całkowicie mu się wymknął. – Ani że pozbywa się kolekcji. Wiadomo tylko, że złożył ją w Highgate. I do diabła, to nie byle co. Można by powiedzieć, że złożył dar.

Pociąg z szumem wypadł na wolne powietrze i Danglard się rozpozgodził.

Jego uśmiech zachęcił Estalère'a.

– Panie komendancie – wyszeptał – co się stało w Highgate?

Jak zwykle – i całkowicie mimowolnie – Estalère trafił w samo sedno.

V

– Nie wiem, czy powinno się opowiadać o Highgate – rzekł Danglard, który poprosił o trzecią lampkę szampana, dla sierżanta, i pił ją zamiast niego. – Może lepiej więcej o tym nie mówić. To jeden z wielkich tuneli, które drążą ludzie, prawda, inspektorze? Ten jest bardzo stary, zapomniany. Może lepiej go zostawić, żeby sam się zawalił? Bo problem w tym, że kiedy jakiś wariat otworzy tunel, inni ludzie mogą później wejść do niego, jak na swój sposób wyraził to Radstock. Tak właśnie było z Highgate.

Estalère czekał na ciąg dalszy z rozluźnioną miną człowieka, który usłyszy miłą opowieść. Danglard spoglądał na jego pogodną twarz niepewny, co powinien zrobić. Zabranie Estalère’a do tunelu w Highgate groziło naruszeniem jego dziecięcej naiwności. W brygadzie się przyjęło, że mówi się raczej o „dziecięcej naiwności” Estalère’a niż o głupocie. Cztery razy na pięć Estalère kompletnie się mylił. Ale jego naiwność generowała niekiedy nieoczekiwane dobrodziejstwa będące wynikiem szczęścia żółtodzioba. Bywało, że jego błędne postrzeganie otwierało nowe drogi, i to tak banalne, że nikt by o nich nie pomyślał. Niemniej na ogół pytania Estalère’a działały jak hamulec. Każdy cierpliwie starał się mu odpowiadać – po części dlatego, że wszyscy go lubili, po części zaś dlatego, że Adamsberg twierdził, iż kiedyś chłopak się wyrobi. Starano się w to wierzyć i wszyscy przywykli do tych kolektywnych wysiłków. Prawdę powiedziawszy, Danglard nawet lubił mówić do Estalère’a, jeśli tylko miał czas. Mógł bowiem snuć w nieskończoność uczone wywody, a chłopak nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. Zerknął teraz na Adamsberga siedzącego z zamkniętymi oczami. Wiedział, że kolega nie śpi i doskonale go słyszy.

– Czemu chcesz to wiedzieć? – podjął. – To stopy Radstocka. Teraz po drugiej stronie morza.

– Powiedział pan, że to mógł być dar. Dla kogo? Highgate ma właściciela?

– W pewnym sensie. Ma pana.

– Jak on się nazywa?

– Istota – odparł Danglard z półuśmiechem.

– Od kiedy?

– Starszą część cmentarza, zachodnią, tę, przed którą byłeś przedwczoraj, otwarto w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku. Ale rozumiesz, jej pan mógł tam mieszkać dużo wcześniej.

– Aha.

– Wiele osób twierdzi, że skoro Istota już wcześniej tam żyła, w dawnej kaplicy na wzgórzu Hampstead, w tym miejscu nieuchronnie musiał powstać cmentarz.

– Czy to kobieta?

– Mężczyzna. Mniej więcej. I podobno jego siła przyciągała do niego zmarłych, dlatego założono tam cmentarz. Rozumiesz?

– Tak.

– W części zachodniej od dawna nie ma pochówków, to teraz słynny zabytek. Są tam niezwykle pomniki, najrozmaitsze osobliwości, groby znanych ludzi. Na przykład Charlesa Dickensa albo Marxa.

Przez twarz sierżanta przemknął niepokój. Estalère nigdy nie starał się ukrywać swojej ignorancji ani tego, jak bardzo go ona martwi.

– Karla Marxa – sprecyzował Danglard. – Napisał ważną książkę. O walce klas społecznych, ekonomii i takich tam. Z niej wziął się komunizm.

– Aha. – Estalère kiwnął głową. – Ma to coś wspólnego z właścicielem Hampstead?

– Mów o nim raczej „Pan”, tak się przyjęło. Nie, Marx nie ma z nim nic wspólnego. Chciałem tylko podkreślić, że zachodnia część Highgate jest słynna na cały świat. I budzi wielki strach.

– Właśnie. Radstock się bał. Dlaczego?

Danglard się zawahał. Od czego by tu zacząć? I czy w ogóle powinien o tym mówić?

– Pewnego wieczoru – zaczął – prawie czterdzieści lat temu, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, dwie licealistki wracające ze szkoły poszły na skróty przez cmentarz. Do domu wpadły śmiertelnie przerażone. Twierdziły, że ścigała je „czarna postać”, widziały zmarłych wychodzących z grobów. Jedna z dziewczyn zachorowała, stała się somnambuliczką. W czasie ataków szła na cmentarz i zawsze podchodziła do tego samego grobu. Do grobu Pana, jak mówili ludzie, Pana, który ją przyzywał. Zaczęto ją śledzić i w tym miejscu znaleziono dziesiątki wykrwawionych zwierzęcych trucheł. Na okolicę padł blady strach, rozeszły się pogłoski, zainteresowały się tym gazety i sprawa się upowszechniła szeroko. Pewien ksiądz egzorcysta wraz z grupą nawiedzonych udał się na miejsce, żeby

przegonić „Pana Highgate”. Weszli do grobowca i znaleźli tam bezimienną trumnę, umieszczoną inaczej niż pozostałe. Otworzyli ją. Reszty się domyślasz.

– Nie.

– W trumnie spoczywało ciało, ale ani nieboszczyka, ani żywego człowieka. Leżało doskonale zakonserwowane. Ciało mężczyzny, nieznanego, bezimienne. Główny nawiedzony się zawahał, czy przebić mu serce kołkiem, bo Kościół tego zakazuje.

– Czemu chciał je przebić?

– Estalère, nie wiesz, jak się unieszkodliwia wampiry?

– Aaa... – rzekł spokojnie sierżant. – Więc to był wampir.

Danglard westchnął, przetarł ręką zamgloną szybę wagonu.

– Tak przynajmniej sądzili nawiedzeni i dlatego zjawili się tam z krzyżami, czosnkiem, kołkami. Nad otwartą trumną główny nawiedzony wygłosił słowa egzorcyzmu: „Zbliź się, wiarołomna istoto, nosicielu wszelkiego zła i kłamstw wszelakich. Odejdź, występna kreaturo”.

Adamsberg otworzył całkowicie przytomne oczy.

– Znasz tę historię? – spytał Danglard lekko zaczepnie.

– Tej nie, ale znam inne. W tym punkcie akcji rozlega się straszny huk, nieludzki hałas.

– Tak właśnie się stało. W grobowcu rozbrzmiał potworny jęk. Główny nawiedzony z rozmachem cisnął czosnek i zamurował ceglami wejście do grobowca.

Adamsberg wzruszył ramionami.

– Wampira nie zatrzyma się ceglami.

– Faktycznie to nie podziałało. Cztery lata później ludzie zaczęli szeptać, że w domu po sąsiedzku straszy, w starym budynku w stylu wiktoriańskim. Główny nawiedzony przeszukał dom i w piwnicy znalazł trumnę. Poznał, że to ta sama, którą cztery lata wcześniej zamurował w grobowcu.

– Było w niej ciało? – zapytał Estalère.

– Nie wiem.

– Wiąże się z tym jakaś starsza historia, tak? – odezwał się Adamsberg. – Inaczej Stock nie bałby się tak bardzo.

– Nie mam ochoty jej opowiadać – burknął Danglard.

– Ale Stock ją zna, komendancie. Dlatego my też powinniśmy ją znać.

– To już jego problem.

– Nie tylko. My też to widzieliśmy. Kiedy zaczęła się ta starsza historia?

– W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim – odparł Danglard niechętnie. – Dwadzieścia trzy lata po otwarciu cmentarza.

– Mów dalej, komendancie.

– Tego roku pochowano na nim niejaką Elizabeth Siddal. Umarła, bo zażyła za dużo laudanum. To takie przedawkowanie z innej epoki – wyjaśnił, zwracając się do Estalère’a.

– Rozumiem.

– Jej mężem był słynny Dante Gabriel Rossetti, malarz prerafaelita i poeta. Elizabeth została pochowana z tomem wierszy męża.

– Za godzinę dojedziemy – przerwał mu Estalère nagle zaniepokojony. – Wystarczy czasu?

– Nie martw się, wystarczy. Siedem lat później mąż kazał otworzyć jej trumnę. I tu mamy dwie wersje. Według pierwszej Dante Rossetti pożałował, że pochował żonę ze swoimi wierszami, chciał je odzyskać i opublikować. Według drugiej nie mógł się pogodzić ze śmiercią żony, a był zaprzyjaźniony z groźnym człowiekiem, niejakim Bramem Stokerem. Estalère, słyszałeś o nim?

– Nigdy.

– To twórca literackiego Drakuli, wielkiego wampira.

Estalère z niepokojem zmarszczył brwi.

– Opowieść o Drakuli to fikcja – wyjaśnił Danglard – ale wiadomo, że ta kwestia chorobliwie fascynowała Brama Stokera. Znał rytuały, które pozwalają wiązać ludzi z tymi, którzy nigdy nie umierają. I był przyjacielem Dantego Rossettiego.

W wielkim skupieniu Estalère skręcał kolejną papierową serwetkę, wyęzając uwagę, by niczego nie uronić.

– Chcesz szampana? – spytał Danglard. – Gwarantuję, że mamy dość czasu. Przyjemne to nie jest, ale krótkie.

Estalère zerknął na Adamsberga, pozornie obojętnego, i przyjął propozycję. Skoro chciał posłuchać Danglarda, wypadało napić się szampana.

– Bram Stoker namiętnie interesował się cmentarzem Highgate – ciągnął Danglard, przywołując przechodzącą stewardesę. – Tam właśnie błąkała się Lucy, jedna z jego bohaterek, i w ten sposób stworzył renomę tego miejsca. A raczej, jak twierdzą niektórzy, Stokera zmusiła do tego Istota we własnej osobie. Według drugiej wersji Stoker namówił przyjaciela, by zajrzał do nieżyjącej żony. W każdym razie siedem lat po jej śmierci Dante wyłamał wieko trumny. Właśnie wtedy, choć może trochę wcześniej, otworzył się ciemny tunel w Highgate.

Danglard zamilkł, jakby na oczach wpatrzonego weń uważnie Adamsberga i w obliczu niepokoju na twarzy Estalère’a oładnął nim mrok

Dantego.

– No dobra – powiedział cicho Estalère. – Wyłamuje wieko. Coś widzi.

– Tak. Z przerażeniem odkrywa, że zwłoki są nietknięte, Elizabeth ma długie rude włosy, miękką zaróżowioną skórę, paznokcie zakrzywione. Wygląda, jakby dopiero co umarła, a nawet lepiej, jakby wciąż żyła. Naprawdę, Estalère. Jakby te siedem lat podziało na nią korzystnie. Nie było żadnych śladów rozkładu.

– To możliwe? – spytał Estalère, ściskając w palcach plastikowy kieliszek.

– Trudno powiedzieć, tak w każdym razie było. Miała rumianą cerę nieumarłych, wręcz czerwoną. Szeroko opisali to świadkowie, zapewniam.

– Ale trumna była normalna? Drewniana?

– Tak. A o cudownie zachowanym ciele Elizabeth Siddal zrobiło się głośno w Anglii i nie tylko. Natychmiast dostrzeżono w tym znak Istoty i ogłoszono, że objęła w posiadanie cmentarz. Odprawiano tam różne ceremonie, ludzie widzieli zjawy, recytowano zaklęcia dla Pana. Od tej pory tunel stał otworem.

– I ludzie do niego wchodzili.

– Dużo ludzi, tysiące. Aż do tych dwóch dziewcząt, które coś ścigało.

Pociąg zaczął hamować przed wjazdem na dworzec w Paryżu. Adamsberg wstał, strząsnął kurtkę zwiniętą w kłęb, przeczesał włosy palcami.

– Jaki w tym udział miał kolega Stock? – zapytał.

– Radstock był w oddziale, który posłano na cmentarz, jak tylko do policji dotarła wieść o egzorcyzmach. Widział nietknięte ciało, słyszał, jak nawiedzony przemawia do wampira. Był wtedy młody i, jak przypuszczam, wrażliwy. I bardzo mu się nie podoba znalezienie teraz stóp umarłaków. Bo mówi się, że Istota ciągle włada ciemnościami Highgate.

– I to ma być ten dar? – zapytał Estalère. – Obcinacz Stóp zrobił prezent Istocie?

– Tak sądzi Radstock. Boi się, że jakiś wariat obudzi koszmar Highgate. I uśpioną siłę pana tego cmentarza. Ale na pewno do tego nie dojdzie. Obcinacz Stóp chce skończyć ze swoją kolekcją, zgoda. Nie może wyrzucić tak cennych przedmiotów na śmietnik, tak jak nikt w ten sposób nie pozbywa się swoich zabawek z dzieciństwa. Chce znaleźć dla nich godne miejsce.

– I wybiera takie na miarę swoich marzeń – zauważył Adamsberg. – Czyli Highgate, gdzie stopy będą mogły jeszcze żyć.

– Highgate – poprawił Danglerd. – Co wcale nie znaczy, że Obcinacz Stóp wierzy w Istotę. Liczy się charakter miejsca. Tak czy owak, to

wszystko jest po drugiej stronie kanału La Manche, daleko od nas.

Pociąg hamował na peronie. Danglard gwałtownie dźwignął walizkę, jakby tym bardzo rzeczywistym ruchem chciał przerwać ociążałość wywołaną swoją opowieścią.

– Tyle że kiedy zobaczy się coś takiego – rzekł cicho Adamsberg – jakiś okrucuch tego zostaje w człowieku na zawsze. Każda bardzo piękna albo bardzo brzydka rzecz zostawia kawałeczek siebie w oczach tych, którzy ją oglądają. Wszyscy to wiedzą. Zresztą w ten sposób się ją rozpoznaje.

– Co? – zapytał Estalère.

– To, co powiedziałem. Coś bardzo pięknego albo coś bardzo brzydkiego. Rozpoznajemy to po wstrząsie, po tej częścce, która zostaje w nas.

Kiedy Danglard ich pożegnał w pośpiechu, jakby z żalem, że za dużo powiedział, Estalère, idąc peronem, dotknął ramienia inspektora.

– A te okrucuchy rzeczy, które się widziało... co się z nimi potem robi?

– Układa się je, rozmieszcza gwiazdźście w wielkim kartonie, który nazywa się pamięć.

– I nie można ich wyrzucić?

– Nie, to niemożliwe. Pamięć nie ma śmietnika.

– A co trzeba zrobić, jeżeli się ich nie chce?

– Albo czyhasz na nie, żeby je ukatrupić, jak Danglard, albo nie przywiązujesz do nich wagi.

W metrze Adamsberg się zastanawiał, w jakim miejscu jego pamięci ulokują się wstrętne stopy z Londynu, na którym ramieniu gwiazdy, i ile czasu upłynie, zanim będzie mógł udawać, że zapomniał o nich. I gdzie znajdują sobie przytulisko zjedzona szafa i niedźwiedź, i wujek, i te dziewczęta, które zobaczyły Istotę i zapragnęły się do niej przyłączyć. I co się stało z tą, która sama wciąż wyruszała do grobowca? A z nawiedzonym?

Potał oczy, marząc o długiej przespanej nocy. Tak z dziesięć godzin, bo i czemu nie?

Zdążył przespać sześć.

VI

O siódmej trzydzieści rano kompletnie zdechły Adamsberg siedział na krześle, kontemplując miejsce zbrodni na oczach kolegów, którzy patrzyli nań z troską, za niebywałe uważali bowiem, że Adamsberg jest zdechły, a tym bardziej że siedzi na krześle. On zaś tkwił na tym krześle z nieruchomą twarzą i błędnym wzrokiem człowieka, który nie ma ochoty czegoś widzieć i ucieka od tego, aby żaden okrucieństwo nie przedostał się do jego pamięci. Usiłował myśleć o tym, co było wcześniej, o godzinie szóstej rano, kiedy nie zobaczył jeszcze tego pomieszczenia zalanego krwią. Kiedy błyskawicznie ubierał się po telefonie komisarza Justina, wciągając tę samą białą koszulę co poprzedniego dnia i elegancką czarną marynarkę pożyczoną przez Danglarda, strój zupełnie niepasujący do okoliczności. Rwący się głos Justina, głos człowieka zdumionego niebotycznie, nie wróżył nic dobrego.

„Ustawiamy wszędzie kładki”, uściślił. Czyli plastikowe płyty na nóżkach umieszczane na ziemi, aby nie pozacierać śladów. „Wszędzie kładki”. Co oznaczało, że po całej podłodze nie można chodzić. Adamsberg wyszedł z domu w pośpiechu, unikając Lucia, zadaszenia, kotki. Wtedy wszystko jeszcze szło dobrze, wtedy jeszcze nie wszedł do tego dużego pokoju, nie zasiadł na krześle na wprost dywanów nasiąkniętych krwią, usianych wnętrznościami i odłamkami kości, między czterema ścianami pochłapanymi materią organiczną. Jakby ciało starca wybuchło od środka. Z pewnością najwstrętniejsze były kawałeczki ciała leżące na czarnym lakierowanym fortepianie, rzucone jak odpadki mięsa na stół rzeźniczy. Na klawisze spłynęła krew. Brakowało słów na określenie człowieka, który ciało bliźniego przemienia w mielonkę. Termin „zabójca” był tu niewystarczający, wręcz śmieszny.

Zaraz po wyjściu z domu wybrał numer swojego najlepszego komisarza, Violette Retancourt, odpornej w jego mniemaniu na wszelki chaos stworzenia. A nawet zdolnej go odwrócić bądź pokierować nim wedle swego widzimisię.

– Retancourt, dołączcie do Justina, rozstawiają wszędzie kładki... Nie

wiem, jakaś willa przy prywatnej alejce, bogate przedmieście w Garches, w środku starzec, scena nie do opisanania. Sądząc po głosie Justina, jakaś potworność. Leć tam.

Do Retancourt zwracał się bezmyślnie raz przez „ty”, raz oficjalnie, jak do innych. Nosiła imię Violette, które niezbyt pasowało do kobiety mierzącej przeszło metr osiemdziesiąt i ważącej ponad sto dziesięć kilo. Adamsberg mówił do niej po nazwisku lub po imieniu, lub po stopniu w zależności od tego, co w nim górowało: szacunek dla jej tajemniczych zdolności czy też tkliwość wobec niezdołanego schronienia, które ofiarowywała, kiedy chciała i jeśli chciała. Tego ranka czekał na nią beczynnie, zawiesiwszy czas, podczas gdy jego ludzie szeptali po kątach, a krew brązowała na ścianach. Może coś przecięło jej drogę i spowodowało opóźnienie. Usłyszał jej ciężkie kroki, zanim ją zobaczył.

– Jakaś cholerna msza zablokowała całą ulicę – wyjaśniła zrzędlawie Retancourt, która nie lubiła, kiedy coś zagradzało jej drogę.

Mimo okazałych gabarytów zręcznie przeszła po kładkach i z hukiem obok niego klapnęła. Adamsberg uśmiechnął się do niej. Czy Retancourt wiedziała, że stanowi dla niego pomocne drzewo o łykowatych, acz cudownych owocach, ten rodzaj drzewa, które się obejmuje, chociaż niecałkowicie, na które w pośpiechu się wspina, kiedy nastaje piekło? Na którego koronie, hen, wysoko, buduje się szalas? Ona miała siłę takiego drzewa, jego chropowatość, magię skrywającą monumentalną tajemnicę.

– Jatka – powiedziała. – Gdzie ciało?

– Wszędzie, komisarzu – odparł Adamsberg, rozłożonymi rękami wskazując całe pomieszczenie. – Poszatkowane, przemielone, rozrzucone. Gdzie spojrzysz, tam jest ciało. A kiedy patrzy się na wszystko, przestaje się je widzieć. Tu jest tylko on, ale go nie ma.

Retancourt bardziej metodycznie obrzuciła wzrokiem pomieszczenie. Spojrzała tu, tam, z jednego końca w drugi, organiczne szczątki pokrywały dywany, oblepiały ściany, tworzyły kupki, zebrały się przy nogach mebli. Kości, tkanki miękkie, krew, w kominku sarta popiołu. Rozerwane ciało, które nie budziło wstrętu, tak trudno było te szczątki połączyć z jakąś konkretną częścią istoty ludzkiej. Agenci poruszali się bardzo ostrożnie, każdym gestem bowiem mogli zabrać jakiś kawałek niewidzialnych zwłok. Justin rozmawiał po cichu z fotografem – tym piegowatym, którego nazwiska Adamsberg za nic nie mógł zapamiętać – jasne krótkie włosy przykleiły mu się do głowy.

– Justin jest w strasznym stanie – zauważyła Retancourt.

– Tak – przyznał Adamsberg. – Wszedł tu pierwszy, nie miał pojęcia, co

zobaczy. Zgłoszenie było od ogrodnika. Dyżurny w Garches zadzwonił do swojego szefa, który powiadomił nas, kiedy tylko się zorientował, jaki tu ma pasztet. Będziecie koordynować zbieranie tego z Mordentem, Lamarre'em i Voisenetem. Musimy zidentyfikować wszystkie szczątki. Podzielić pokój na kwadraty, pobrać próbki.

– Jak gość to zrobił? Przecież to ciężka harówka.

– Na pierwszy rzut oka piłą elektryczną i młotem. Między jedenastą wieczorem a czwartą rano. Miał spokój, każdą willę oddziela od innych duży ogród i żywopłot. Sąsiadów nie było, większość wyjechała na weekend.

– Starszy człowiek? Co o nim wiemy?

– Mieszkał tu sam. Bogaty.

– Na pewno bogaty – stwierdziła Retancourt, wskazując tapiserie na ścianach i fortepian, który zajmował jedną trzecią dużego pokoju. – Czy był samotny, to osobna sprawa. Jeśli ktoś jest naprawdę samotny, nie zostaje tak zmasakrowany.

– O ile faktycznie patrzymy na jego szczątki, Violette. Ale to prawie pewne, włosy pasują do znalezionych w łazience i w sypialni. A skoro to on, to nazywał się Pierre Vaudel, miał siedemdziesiąt osiem lat, kiedyś był dziennikarzem, specjalizował się w sprawach sądowych.

– Aha.

– No. Ale zdaniem jego syna nie miał prawdziwych wrogów. Z paroma osobami się pogniewał, kogoś tam nie lubił.

– Gdzie ten syn?

– W pociągu. Mieszka w Awinionie.

– Nic więcej nie powiedział?

– Mordent mówi, że nie płakał.

Przed Adamsbergiem stanął doktor Romain, lekarz sądowy, który wrócił do służby po dość długiej przerwie.

– Nie ma sensu ściągać rodziny na identyfikację. Poradzimy sobie z DNA.

– Jasne.

– Pierwszy raz widzę cię siedzącego w czasie dochodzenia. Czemu nie stoisz?

– Bo siedzę, Romain. Zwyczajnie nie mam ochoty na inną pozycję. Co wypatrzyłeś w tej jatce?

– Są partie ciała nie całkiem zmiążdżone. Da się rozpoznać kawałki ud, rąk zgniecionych tylko paroma uderzeniami młota. Za to nasz łamacz szczególnie dokładnie zajął się głową, dłońmi, stopami. Kompletna miazga.

Zęby też w okruszkach, wszędzie są odłamki. Bardzo rzetelna robota.

– Widziałeś już coś takiego?

– Zmiażdżone twarze i dłonie tak. Żeby utrudnić identyfikację. Ale to coraz radsze, odkąd mamy DNA. Zwłoki wybebeszone albo spalone też, tak jak ty. Ale takiej miazgi nie widziałem. To przechodzi ludzkie pojęcie.

– A o czym świadczy? O obsesji?

– O pewnym jej rodzaju. Powiedziałbym, że harował, aż opadł z sił, jakby się bał, że mu się nie uda doprowadzić sprawy do końca. Wiesz, coś w stylu, że dziesięć razy się sprawdza, czy drzwi na pewno są zamknięte. Nie tylko zmiażdżył kawałek po kawałku, nie tylko znęcał się nad szczątkami do upadłego, ale jeszcze wszystko porozwalał. Rozwłóczył wszędzie. Ani jeden kawałek nie trzyma się drugiego, nawet palce od stóp są osobno. Jakby facet siał z rozmachem na polu. Nie sądził chyba, że stary odrośnie, he? Nie liczy, że poskładam ciało do kupy, to niemożliwe.

– Wiem – przyznał Adamsberg. – Niepohamowany strach, nieprzerwany strumień wściekłości.

– Nie ma czegoś takiego jak nieprzerwany strumień wściekłości – wtrącił ostro komendant Mordent.

Adamsberg wstał, kręcąc głową, stanął na kładce, ostrożnie przeniósł się na następną. On jeden się poruszał, agenci zastygli, aby wysłuchać, co powie, trwali w bezruchu na swoich płytach niczym pionki podczas przenoszenia figury na szachownicy.

– Normalnie nie ma, Mordent, ale tu jest. Jego gniew, strach, rozgorączkowanie ciągną się daleko poza zasięg naszego wzroku, na tereny, których nie znamy.

– Nie – obstawał przy swoim komendant. – Wściekłość, gniew to polano, które szybko się spala. A tu były godziny pracy. Co najmniej cztery. Tyle czasu nie trwa żaden gniew.

– Więc co to było?

– Mozół, upór, wyrachowanie. Może nawet reżyserowanie.

– Niemożliwe, Mordent. Nikt nie zdoła tego powtórzyć. – Adamsberg przykucnął, by przyjrzeć się podłodze. – Był w gumiakach, tak? Z cholewami?

– Tak sądzimy – potwierdził Lamarre. – Przy takiej robocie zabezpieczenie tego rodzaju aż się prosiło. Na dywanach zostały piękne odciski podeszew. Może nawet coś wypadło spomiędzy bieżnika. Błoto albo sam nie wiem co.

Mordent mruknął: „Mozół” i przeszedł po płytach na ukos, jak laufer, potem Adamsberg przebył trzy płyty, dwie do przodu i jedną w bok ruchem

skoczka szachowego.

– Co podłożył, kiedy miażdżył? – zapytał. – Nawet młotem niewiele by zdziałał na dywanie.

– Tutaj jest kawałek ledwie poplamiony – podsunął Justin. – Mniej więcej prostokątny. Możliwe, że postawił tu drewniany pniak albo żelazną płytę w roli kowadła.

– Za dużo ciężkiego sprzętu do przetransportowania. Młot, piła tarczowa, pniak... Na pewno też ubranie i buty na zmianę.

– Wszystko zmieści się w dużej torbie. Myślę, że przebrał się na zewnątrz, w ogrodzie za willą. Na trawie są ślady krwi, pewnie położył tam brudne ciuchy.

– I od czasu do czasu przysiadł, żeby odetchnąć – stwierdził Adamsberg. – Wybrał sobie ten fotel. – Patrzył na mebel o spiralnych podłokietnikach, na pokryte czerwonym pluszem siedzisko pobrudzone krwią. – Cholernie piękny fotel.

– To najzwyczajniej w świecie fotel w stylu Ludwika Trzynastego – zauważył Mordent. – Nie jakiś tam „cholernie piękny fotel”, tylko ludwik trzynasty.

– Zgoda, komendancie, ludwik trzynasty – rzekł Adamsberg, nie zmieniając tonu. – A jeśli zamierzacie wkurzać nas przez cały dzień, lepiej wracajcie do domu. Nikomu się nie podoba praca w niedzielę, nikogo nie bawi brodzenie w tej jatce. I nikt nie spał dłużej niż wy.

Mordent znowu przeszedł po płytach ukośnie, oddalając się od Adamsberga. Inspektor stał teraz z rękami założonymi za plecy, wciąż wpatrzony w fotel.

– Niejako azyl mordercy. Tu znajduje wytchnienie. Przygląda się etapom dzieła zniszczenia, szuka chwil ukojenia, satysfakcji. Albo po prostu próbuje uspokoić oddech.

– Dlaczego mówimy „morderca”? – dociekał Justin. – Kobieta da radę przenieść ten sprzęt, jeśli nie ma zbyt daleko.

Adamsberg zdecydowanie pokręcił głową.

– To męska robota, męski sposób myślenia, kobiecego ducha nie ma w tym za grosz. Nie wspominając o rozmiarze gumiaków.

– Ciuchy – wtrąciła się Retancourt, wskazując stertę szmat na krześle. – Nie zdarł ich ani nie porozrywał. Po prostu zdjął, jakby zamierzał go położyć do łóżka. To też rzadkie.

– Bo nie był wściekły – powiedział Mordent z kąta, w którym zajął pozycję strategiczną.

– Całkiem go rozebrał?

– Do spodenek – rzekł Lamarre.

– Znaczy, że nie chciał go oglądać gołego – skwitowała Retancourt. – Rozebrał go, żeby piła się nie zablokowała, ale nie mógł go całkiem rozebrać. To mu nie odpowiadało.

– No to wiemy przynajmniej, że morderca nie jest ani pielęgniarzem, ani lekarzem – zauważył Romain. – Ja tam bez mrugnięcia rozbierałem setki facetów.

Adamsberg naciągnął rękawiczki i zgniatał w palcach grudkę ziemi, która odpadła z gumiaków.

– Trzeba poszukać konia – oświadczył wreszcie. – To końskie łajno, było przyklejone do kaloszy.

– Po czym to poznać? – zainteresował się Justin.

– Po zapachu.

– Szukamy hodowców, stadnin? – zapytał Lamarre. – Ujeżdżalni, torów wyścigowych?

– I co potem? – odezwał się Mordent. – Koło koni kręcą się tysiące ludzi. A morderca mógł wdepnąć w łajno gdzie bądź, nawet idąc polną drogą.

– No właśnie, już coś mamy, komendancie – rzekł Adamsberg. – Wiemy, że morderca bywa na wsi. O której przyjeżdża syn?

– Za niecałą godzinę powinien być w brygadzie. Na imię ma Pierre, tak jak ojciec.

Adamsberg wyciągnął rękę, aby spojrzeć na swoje dwa zegarki.

– W południe przyśle wam zmienników. Retancourt, Mordent, Lamarre i Justin zbierają ślady. Justin i Estalère, pogrzebiecie w rzeczach osobistych. Rachunki, kalendarz, notatniki, portfel, telefon, zdjęcia, leki i tak dalej. Z kim się spotykał, do kogo dzwonił, co kupował, ubrania, upodobania, jedzenie. Zbierajcie wszystko, trzeba jak najwięcej się o nim dowiedzieć. Stary został nie tylko zabity, on został unicestwiony. Ktoś najpierw odebrał mu życie, a potem obrócił go w proch, stał na miazgę.

Przez głowę przemknął mu naraz wizerunek białego niedźwiedzia. Zwierzę pewnie zostawiło ciało wujka w podobnym stanie, tyle że mniej nabrudziło dokoła. Nie ma czego przywozić, nie ma czego pochować. A syn Pierre nie będzie mógł wypchać słomą mordercy, żeby go dostarczyć wdowie.

– Nie sądzę, żeby miało znaczenie, co jadł – powiedział Mordent. – Pilnie należałoby się zająć sprawami sądowymi, o których pisał. I jego sytuacją rodzinną i finansową. Nawet nie wiemy, czy był żonaty. A tak w ogóle nie mamy pewności, czy to faktycznie on.

Adamsberg powiódł wzrokiem po zmęczonych twarzach ludzi stojących

na płytach.

– Przerwa dla wszystkich – oznajmił. – Na końcu ulicy jest kawiarnia. Retancourt i Romain pilnują tego burdelu.

Retancourt odprowadziła Adamsberga do samochodu.

– Jak tylko trochę tu ogarniecie, wezwijcie Danglarda. Niech się zajmie zbadaniem życia ofiary. W żadnym razie nie wolno go dopuścić do zbierania śladów.

– Oczywiście.

Odraza Danglarda do krwi i śmierci była faktem akceptowanym bezkrytycznie. Kiedy tylko się dało, wzywano go dopiero wtedy, gdy na miejscu zbrodni uprzątnięto najgorsze.

– Co jest z Mordentem? – zapytał Adamsberg.

– Nie mam pojęcia.

– Zachowuje się jak nie on. Jest jakiś nieszczerzy, zły jak osa.

– Zauważyłam.

– Kojarzy wam się z czymś ta maniera mordercy rozrzucania wszystkiego po pokoju?

– Z moją prababką. Ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Mimo wszystko powiedzcie.

– Kiedy straciła rozum, zaczęła wszystko rozrzucać. Nie mogła znieść, żeby rzeczy stykały się ze sobą. Rozdzielała gazety, ubrania, buty.

– Buty?

– Wszystko, co było z tkaniny, papieru i skóry. Rozsuwała buty na dziesięć centymetrów jeden od drugiego, ustawiała je rzędkiem na ziemi.

– Powiedziała, dlaczego tak robi? Był jakiś powód?

– Był, i to doskonały. Uważała, że jeśli te rzeczy będą się ze sobą stykały, mogą zająć się ogniem pod wpływem tarcia. Mówiłam, że to nie ma nic wspólnego z rozrzuceniem szczątków Vaudela.

Adamsberg podniósł rękę na znak, że odbiera wiadomość z poczty głosowej, wysłuchał uważnie, schował aparat.

– W czwartek rano – wyjaśnił – wyjąłem dwa kocięta, które się zaklinowały w brzuchu matki. Otrzymałem informację, że kotka ma się dobrze.

– Super – powiedziała Retancourt po chwili. – Przypuszczam, że to dobra wieść.

– Morderca mógł postępować jak wasza babka, mógł dążyć do zerwania kontaktu, rozdzielenia poszczególnych części. Co w zasadzie byłoby

odwrotnością kolekcjonowania – dodał, mając na myśli stopy z Londynu. – Zniszczył całość, pozrywał związki między elementami. I chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Mordent próbuje mnie wkurzyć.

Retancourt nie lubiła, kiedy Adamsberg mieszał wątki. Takie skoki myślowe, nieład w wywodzie mogły go na krótko pozbawić świadomości celu. Odeszła od niego pożegnana gestem.

VII

Adamsberg zawsze czytał gazetę na stojąco, krążąc w swoim biurze wokół stołu. Gazeta jednak nie była jego. Pożyczał ją co rano od Danglarda i zwracał mu później poskładaną byle jak.

Na stronie dwunastej krótka wzmianka informowała o postępach śledztwa w Nantes. Adamsberg dobrze znał prowadzącego je inspektora, w pracy oschłego samotnika, ekstrawertyka natomiast, gdy przychodziła pora na biesiadowanie. Tytułem ćwiczenia próbował sobie przypomnieć jego nazwisko. Od pobytu w Londynie, może od czasu, gdy Danglard popisał się erudycją na temat cmentarza w Highgate, zamierzał zwracać większą uwagę na słowa, nazwiska, zdania. Pod tym względem pamięć mu szwankowała, po latach natomiast potrafił sobie przypomnieć dźwięk, snop światła, czyjąś minę. Jakże nazywa się ten gliniarz? Bolet? Rollet? Błazen zdolny rozbawić dwadzieścia osób przy stole, co budziło podziw Adamsberga. Dziś także zazdrościł temu Noletowi – przeczytał właśnie jego nazwisko w artykule – że ma do czynienia ze zwyczajnym morderstwem, podczas gdy jego myśli nie opuszczał obraz ubrudzonego krwią pluszowego fotela. W porównaniu do chaosu w Garches dochodzenie Noleta działało ożywczo. Proste morderstwo, dwie kulki w głowie, ofiara otworzyła drzwi zabójcy. Bez komplikacji, bez gwałtu, pięćdziesięcioletnia kobieta pozbawiona życia zgodnie z regułami gry, zgodnie z zasadą skutecznych zabójców: ty mnie wkurzasz, ja cię zabijam. Noletowi pozostawało jedynie odnaleźć ślad męża czy kochanka i zamknąć sprawę, nie mając do czynienia z wieloma metrami kwadratowymi dywanu pokrytego zmielonym ciałem. Nie musząc wkraczać na terytorium szaleństwa, na ów nieznany kontynent Stocka. Stock – Adamsberg wiedział, że to niedokładnie nazwisko brytyjskiego kolegi, który kiedyś będzie wędkował w górskim jeziorze. Może z Danglardem. Chyba że historia z tą Abstract zatrzyma komendanta gdzie indziej.

Adamsberg podniósł głowę na szczęknięcie zegara ściennego. Pierre Vaudel, syn Pierre'a Vaudela, przyjdzie lada chwila. Inspektor wszedł po drewnianych schodach, omijając nierówny stopień, na którym każdy się potykał, i wkroczył do salki z dystrybutorem napojów, aby zaczerpnąć z niego mocnej kawy. Małym pomieszczeniem zawładnął poniekąd

komisarz Mercadet, który miał talent do cyfr i wszelkich ćwiczeń logicznych, był jednak strasznym śpiochem. Rozłożone w jednym kącie poduszki pozwalały mu regularnie krzepić siły. Sierżant właśnie poskładał koc i wstawał, przecierając twarz.

– Wygląda na to, żeśmy wdepnęli w piekło – powiedział.

– Zasadniczo nie wdepnęliśmy. Chodzimy po kładkach sześć centymetrów nad ziemią.

– Ale mimo wszystko w nim wylądujemy, he? W istnej zawierusze?

– Tak. Dlatego jak tylko będziecie w stanie, skoczcie tam, obejrzyjcie sobie, zanim wszystko uprzątą. Jatka zupełnie bez ładu i powodu. Ale jest w tym jakaś obłąkana myśl. Jak by to powiedział komisarz Veyrenc? „Stalowa nic drży w głębinach chaosu”. Znaczy, nie wiem, motyw jest niedostrzegalny, tylko poezja mogłaby go wyciągnąć na jaw.

– Veyrenc wymyśliłby coś lepszego. Brakuje go tutaj, nie?

Zaskoczony Adamsberg wypił resztkę kawy. Nie myślał o Veyrencu od jego odejścia z brygady, nie miał nastroju do roztrząsania burzliwych wydarzeń, które postawiły ich naprzeciw siebie^[1].

– W gruncie rzeczy możliwe, że to panu obojętne – rzekł komisarz.

– Bardzo możliwe. Zwłaszcza kiedy na takie kwestie brakuje czasu, komisarzu.

– No to jadę – powiedział Mercadet, kręcąc głową. – Danglard zostawił dla pana wiadomość. Nie ma nic wspólnego z willą w Garches.

Adamsberg doczytał stronę dwunastą, idąc na dół po schodach. Rozrywkowy Nolet w sumie nie najlepiej sobie radził. Były mąż miał alibi, śledztwo utknęło w martwym punkcie. Adamsberg z zadowoleniem złożył gazetę. W recepcji czekał na niego syn Pierre'a Vaudela – siedział wyprostowany obok żony, miał najwyżej trzydzieści pięć lat. Adamsberg odczekał chwilę. Jak powiedzieć człowiekowi, że jego ojciec został posiekany na drobne kawałki?

Inspektor przez dłuższą chwilę odwlekał tę przykrość – przez czas potrzebny na ustalenie tożsamości i pokrewieństwa. Pierre był jedynakiem, późnym dzieckiem. Jego matka zaszła w ciążę po szesnastu latach małżeństwa, kiedy ojciec miał czterdzieści cztery lata. I okazało się, że Pierre Vaudel senior jest nieprzejednanym wręcz przeciwnikiem tej ciąży, choć z jakiego powodu, nie wyznał żonie. Za nic nie chciał mieć potomka, nie wyobrażał sobie, że dziecko przyjdzie na świat, w ogóle nie było na ten temat dyskusji. Małżonka uległa, wyjechała, aby dokonać aborcji. Przez pół roku jej nie

było, w tym czasie donosiła ciążę i wydała na świat Pierre'a syna Pierre'a. Po pięciu latach seniorowi trochę przeszło, nadal jednak się nie zgadzał, by żona i syn z nim zamieszkali.

W dzieciństwie Pierre junior widywał zatem ojca sporadycznie, zawsze paraliżowała go obecność człowieka, który odrzucał go z takim uporem. Lęk wynikał tylko z tego, że ojciec nie chciał jego narodzin, poza tym bowiem Pierre senior był zgodny, wspaniałomyślny wedle przyjaciół, serdeczny zdaniem matki. A przynajmniej był taki kiedyś, ponieważ stopniowo tracił towarzyskość, co nie sprzyjało tego rodzaju uczuciom. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat rzadko już przyjmował gości, zerwał kolejno stosunki z szerokim kręgiem przyjaciół. Później Pierre junior, jako nastolatek, wywalczył sobie skromne miejsce u jego boku: co sobotę przychodził mianowicie pograć na fortepianie kawałki specjalnie wybrane, by zauroczyć ojca. A jako młody mężczyzna w końcu zdobył jego realną uwagę. Od dziesięciu lat, szczególnie zaś po śmierci matki, widywali się w miarę regularnie. Pierre junior został adwokatem i swoją wiedzą wspierał Pierre'a seniora w badaniu spraw sądowych. Wspólna praca pomagała unikać rozmów na tematy osobiste.

– Czego szukał w tych sprawach?

– Przede wszystkim zarobku. Żył z tego. Prowadził kroniki sądowe dla kilku gazet i paru pism specjalistycznych. Poza tym szukał pomyłek. Miał umysł naukowca i ciągle narzekał na szacunkowe oceny wymiaru sprawiedliwości. Mówił, że prawna papka jest miękka i rozlewa się raz w jedną, raz w drugą stronę, że prawda ginie w ohydnych kruczkach. Twierdził, że da się wysłyszeć, czy wyrok trzeszczy, czy nie, czy dźwięk zapadki był prawidłowy, czy nie, tak jak ślusarz na słuch ocenia sprawność zamka. I jeżeli mu trzeszczało, szukał prawdy.

– Znajdował ją?

– Zdarzyło się parę razy. Pośmiertna rehabilitacja mordercy z Sologne to jego zasługa. A także uwolnienie K. Jimmy'ego Jonesa w Stanach, bankiera Trevananta, uniewinnienie żony Pasniera, umorzenie sprawy profesora Galeranta. Jego artykuły miały dużą wagę. Z czasem wielu adwokatów zaczęło się bać publikacji jego opinii. Proponowano mu łapówki, ale zawsze odmawiał.

Pierre syn niezadowolony oparł brodę na rękę. Nie był urodziwy, miał bardzo wysokie czoło, a dół twarzy szpiczasty. I zwracające uwagę oczy: nieruchome, pozbawione blasku, takie niedostępne okiennice, może odporne na współczucie. Pochylony, przygarbiony, wzrokiem konsultujący się z żoną, sprawiał wrażenie człowieka miłego i posłusznego. Adamsberg

jednak oceniał, że jest w nim nieprzejeźdnie ukryte za nieruchomym spojrzeniem.

– Czy były jakieś mniej chwalebne sprawy? – zapytał inspektor.

– Mawiał, że prawda to droga dwukierunkowa. Doprowadził też do skazania trzech ludzi. Jeden przysięgał, że jest niewinny, potem powiesił się w więzieniu.

– Kiedy to było?

– Tuż przed przejściem na emeryturę, trzynaście lat temu.

– Kto to był?

– Jean-Christophe Real.

Adamsberg kiwnął głową, dając do zrozumienia, że zna to nazwisko.

– Real powiesił się w swoje dwudzieste dziewiąte urodziny.

– Ojciec dostawał jakieś listy zapowiadające zemstę? Z pogrózkami?

– O czym właściwie mówimy? – wtrąciła się żona, której twarz, w przeciwieństwie do mężowskiej, była foremna i kształna. – Ojciec nie zmarł śmiercią naturalną, czy tak? Ma pan wątpliwości? Jeśli tak, proszę powiedzieć. Nie dostaliśmy od policji ani jednej jasnej informacji. Ojciec jakoby nie żyje, ale nie wiemy nawet, czy na pewno chodzi o niego. A pański kolega dotąd nie pozwolił nam obejrzeć zwłok. Dlaczego?

– Ponieważ to trudne.

– Dlatego, że ojciec... o ile to ojciec... – ciągnęła – umarł w ramionach dziwki? Bardzo bym się zdziwiła, gdyby tak się stało. Albo jakiejś pani z wyższych sfer? Czy pan próbuje coś zatuszować w imię spokoju paru nietykalnych? Bo owszem, mój teść znał paru nietykalnych, poczynając od byłego ministra sprawiedliwości, który jest zepsuty do szpiku kości.

– Helene, proszę cię... – odezwał się Pierre, który z rozmysłem pozwalał jej mówić.

– Przypominam panu, że to ojciec mojego męża – kontynuowała Helene. – I że mój mąż ma prawo wszystko zobaczyć i wszystkiego się dowiedzieć przed wami. I przed nietykalnymi. Albo pokażecie nam ciało, albo nic więcej nie powiemy.

– To wydaje mi się rozsądne – orzekł Pierre tonem adwokata, który przypieczętowanie kompromisu.

– Nie ma ciała – oznajmił Adamsberg, patrząc kobiecie w oczy.

– Nie ma ciała – powtórzył Pierre mechanicznie.

– Nie.

– I co? Skąd wiecie, że chodzi o niego?

– Bo jest w willi.

– Kto?

– Ciało.

Adamsberg podszedł do okna, aby je otworzyć, zawiesił wzrok na szczytach lip. Kwitły od czterech dni, wraz z powiewem powietrza napłynął do pomieszczenia zapach herbatki lipowej.

– Ciało jest w kawałkach – powiedział. – Zostało... – Jakiego słowa użyć? Pokrojone? Pokawałkowane? – Zostało pocięte na setki kawałeczków, które rozrzucano po całym pokoju. Tym dużym, z fortepianem. Żadnej części nie da się zidentyfikować. Nie radzę tego oglądać.

– Coś mi tu nie gra – zaproponowała kobieta. – Pan kręci. Co z nim robicie?

– Właśnie trwa zbieranie jego szczątków metr po metrze i składanie ich w ponumerowanych pojemnikach. Czterdzieści dwa metry kwadratowe, czterdzieści dwa pojemniki.

Adamsberg oderwał wzrok od kwiatów lipy i odwrócił się do Helene Vaudel. Pierre wciąż siedział zgarbiony, pozostawiając żonie prowadzenie rozmowy.

– Mówi się, że nie można odbyć żałoby, jeśli na własne oczy nie widziało się zmarłego – podjął Adamsberg. – Znam ludzi, którzy tego żalowali i po przemyśleniu przyznawali, że woleliby wiedzieć, ale nie widzieć. Proszę jednak, to zdjęcia zrobione zaraz po przyjsciu na miejsce. – Podał Helene swój telefon komórkowy. – Samochód w każdej chwili może państwa zawieźć do Garches, jeśli państwu zależy. Proszę najpierw wyrobić sobie pogląd. Jakość nie jest naj lepsza, ale widać wszystko.

Helene zdecydowanym gestem wzięła od niego komórkę i zaczęła przeglądać zdjęcia. Przerwała przy piątym, na którym widniał wierzch fortepianu.

– No dobrze – rzekła, odkładając telefon z nieco zmienionym wyrazem oczu.

– Nie jedziemy? – zapytał ją Pierre.

– Nie jedziemy.

Było to jakby umówione hasło, Pierre tylko kiwnął głową. Nie okazał ani krzty buntu, mimo że chodziło przecież o jego ojca. Nie obdarzył choćby cieniem zainteresowania zdjęć. Zachowywał na pozór czystą obojętność. Tymczasową umówioną uległość, czekając na chwilę, gdy na powrót twardą ręką przejmie wodze.

– Jeździ pan konno? – zapytał go Adamsberg.

– Nie, ale interesuję się trochę wyścigami. Mój ojciec swego czasu dużo obstawiał. Ale od lat nie częściej niż raz w miesiącu. Zmienił się, wprowadził ograniczenia, prawie już nie wychodził.

– Nie bywał w stadninach, na torach wyścigowych? Nie jeździł na wieś,

skąd mógł nanieść do domu grudki końskiego łajna?

– Tato? I łajno w domu? – Pierre syn wyprostował się, jakby ta sugestia mimowolnie go obudziła. – Chce pan powiedzieć, że u taty jest końskie łajno?

– Tak, na dywanie. Grudki przyniesione może na podszwach gumiaków, takich z cholewami.

– W życiu nie nosił gumiaków z cholewami. Nie cierpiał zwierząt, przyrody, ziemi, kwiatków, stokrotek, które się zrywa, a które potem więdną we flakonie, w ogóle nie znosił wszystkiego, co rośnie. Morderca wszedł w gumiakach ubrudzonych końskim łajnem?

Adamsberg wykonał przepraszający gest i odebrał dzwoniący telefon.

– Jeżeli ma pan jeszcze u siebie syna – odezwała się Retancourt bez wstępów – proszę zapytać, czy stary miał jakieś zwierzę, psa albo kota, albo inne zwierzątko futerkowe. Z Ludwika trzynastego ze braliśmy sierść. Ale nigdzie tu nie ma legowiska ani miski, nic nie wskazuje, żeby w tym domu żyło zwierzę. A skoro nie, znaczy, że morderca przyniósł sierść na spodniach.

Adamsberg oddalił się od Vaudelów, by nie narażać ich na szorstkość Retancourt.

– Czy pański ojciec miał jakieś zwierzę? Psa, kota albo inne?

– No przecież dopiero co mówiłem, że nie lubił zwierząt. Nie tracił czasu dla innych ludzi, więc tym bardziej dla zwierząt.

– Nic miał – rzekł Adamsberg do telefonu. – Sprawdźcie, czy włosy mogą pochodzić z narzuty albo futra. Zbadajcie inne krzesła i fotele.

– A chusteczki higieniczne? Używał ich? Znaleźliśmy jedną zgniecioną w trawie, ale ani jednej w łazience.

– Chusteczki higieniczne? – zapytał Adamsberg Vaudela.

– W życiu – odparł Pierre, podnosząc ręce, jakby odpychał ten nowy wymysł. – Tylko płócienne, złożone najpierw na trzy, potem na cztery. W żadnym razie inaczej.

– Wyłącznie płócienne chusteczki – zameldował do telefonu Adamsberg.

– Danglard koniecznie chce z panem mówić. Krąży po trawniku dookoła czegoś, co go gnębi.

To akurat, pomyślał Adamsberg, bardzo trafnie opisuje temperament Danglarda krążącego wokół dołków, w których osadzają się jego troski. Z telefonem w ręce inspektor przejechał palcami po włosach, szukając zerwanego wątku rozmowy. A tak, gumiak z cholewami, końskie łajno.

– Gumiaki nie były oblepione łajnem – wyjaśnił synowi ofiary. – To tylko drobne grudki, które odpadły w pokoju.

– Widział pan jego ogrodnika? Człowieka do wszystkiego? On na pewno ma gumiaki.

– Jeszcze nie. To podobno prosty chłop.

– Prostý chłop, były więzień i półgłupek – uzupełniła Helene. – Ojciec był nim zachwycony.

– Głupi raczej nie jest – złagodził Pierre jej ocenę. – Czemu jego ciało ktoś tak porozrzucił? – zagadnął ostrożnie. – Morderstwo można jakoś zrozumieć. Rodzina tego, co odebrał sobie życie, chciała zemsty, to też da się wytłumaczyć. Ale po co tak niszczyć zwłoki? Spotkał się pan już z czymś takim? Z takim *modus operandi*?

– Ten *modus* nie istniał, dopóki zabójca go nie zastosował. On nie powtórzył po kimś sposobu działania, tylko wczoraj wymyślił coś nowego.

– To brzmi, jakbyśmy rozmawiali o sztuce – zauważyła Helene, krzywiąc się z dezaprobatą.

– A czemu nie? – obruszył się Pierre. – Taki obrót rzeczy jest prawdopodobny. On był artystą.

– Pański ojciec?

– Nie, Real. Ten samobójca.

Adamsberg znowu przeprosił gestem Vaudelów i połączył się z Danglardem.

– Czułem, że ten burdel na nas spadnie – powiedział komendant, bardzo wyraźnie wymawiając słowa, co Adamsbergowi wskazało, że łyknął już parę kieliszków i teraz bardzo dba o dykcję. Należało go jednak wpuścić do pokoju z fortepianem.

– Widziałeś miejsce zbrodni, komendancie?

– Zdjęcia, i to mi wystarczy. Właśnie przyszło potwierdzenie: buty są francuskie.

– Gumiaki?

– Buty. A to nie wszystko. Kiedy to zobaczyłem, jakby ktoś za świecił zapalną w tunelu, jakby ktoś odciął stopy mojemu wujkowi. Ale nie mamy wyboru, zbieram się.

Więcej niż trzy kieliszki, ocenił Adamsberg, wypite w krótkim czasie. Popatrzył na zegarki na ręce, dochodziła szesnasta. Dzisiaj Danglard już nikomu na nic się nie przyda.

– Nie warto, Danglard. Wynoś się stamtąd, zobaczymy się później.

– To właśnie mówię.

Adamsberg złożył telefon, po głowie tłukło mu się absurdalne pytanie, co słyhać u kotki i kociąt. Powiedział przedtem Retancourt, że matka ma się dobrze, ale jeden z kociaków – jeden z tych, które on wyciągnął,

dziewczynka – jest w złym stanie, chudnie. Czy za mocno ją wtedy ścisnął? Czy coś jej uszkodził?

– Jean-Christophe Real – przypomniał Pierre z naciskiem, jakby wyczuł, że inspektor sam nie odnajdzie drogi.

– Artysta – potwierdził Adamsberg.

– On miał do czynienia z końmi, wynajmował je. Za pierwszym razem pomalował konia na kolor brązu, by stworzyć wrażenie poruszającego się posągu. Właściciel zwierzęcia wniósł skargę, ale dzięki temu Real stał się znany. Później dużo koni tak pomalował. W ogóle malował wszystko, potrzebował ogromnej ilości farb. Malował trawę, drogi, pnie drzew, liście jeden po drugim, kamyki, co popadło, jakby chciał spetryfikować całe otoczenie.

– To nie interesuje pana inspektora – upomniała go Helene.

– Znał pan Reala?

– Często odwiedzałem go w więzieniu, postanowiłem wyciągnąć go stamtąd.

– O co oskarżył go pański ojciec?

– O pomalowanie staruszki, jego protektorki, po której dziedziczył.

– Nie załapałem.

– Pomalował kobietę na kolor brązu, żeby posadzić ją na jednym z tych osławionych koni, żywych posągów. Ale farba nie przepuszczała powietrza, pory się pozatykały i zanim protektorkę zdążono umyć, udusiła się na wierzchołku. Real dostał spadek.

– Niezwykłe – mruknął Adamsberg. – A koń? On też nie przeżył?

– A nie, z nim to całkiem inna sprawa. Real znał się na swojej robocie, malował farbami przepuszczającymi powietrze. Nie był głupi.

– Nie – zgodził się sceptycznie Adamsberg.

– Chemicy stwierdzili, że katastrofę spowodowało spotkanie cząsteczek farby z kosmetykami protektorki. Mój ojciec dowiódł, że Real użył farby z innej puszkii, kiedy przystąpił do malowania kobiety, i że przez to z rozmysłem doprowadził do uduszenia.

– Pan się z tym nie zgadzał.

– Nie – potwierdził Pierre, wysuwając podbródek do przodu.

– Ojciec pana miał mocne argumenty?

– Może. I co z tego? Ojciec nienormalnie wziął się na tego człowieka. Bez powodu go nie znosił. Zrobił wszystko, żeby go wpakować za kratki.

– Nieprawda – wtrąciła Helene, nagle zrywając z małżeńską solidarnością.

– Real był megalomanem zadłużonym po uszy. Zabił tę kobietę...

– Do cholery! – przerwał jej Pierre. – Mój ojciec wziął się na Reala,

jakby za jego pośrednictwem chciał dosięgnąć mnie. Kiedy miałem osiemnaście lat, chciałem zostać malarzem. Real był sześć lat starszy ode mnie, znałem jego prace, podziwiałem je, dwa razy byłem u niego. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, wpadł w szał. Dla niego Real był chciwym nieukiem... cytuję jego słowa... którego groteskowe pomysły niszczą kulturę. Mój ojciec był człowiekiem średniowiecza, wierzył w odwieczność starych podstaw świata, a Real ten świat wywracał do góry nogami. Wykorzystując swoją popularność, ten drań doprowadził do skazania Reala i do jego śmierci.

– Ten drań... – powtórzył Adamsberg.

– A pewnie – potwierdził Pierre bez mrugnięcia. – Mój ojciec był zwykłym starym łajdakiem.

VIII

Sporządzono listę wszystkich mieszkańców okolicznych willi, zaczynało się przesłuchiwanie sąsiadów, konieczne, choć męczące. Dochodzenie na razie nie stało w sprzeczności z osądem Pierre'a juniora. O ile nikt nie śmiał nazwać Pierre'a Vaudela starym łajdakiem, o tyle z zeznań wyłaniał się obraz odludka, maniaka, człowieka nietolerancyjnego i zadowolonego z siebie. Inteligentnego i nie użyczającego inteligencji nikomu. Unikającego ludzi i – co było na jego plus – nie narzucającego się nikomu. Policjanci chodzili od domu do domu, mówili o zbrodni z niskich pobudek, lecz nie wspominali, że stary został dosłownie zmielony. Czy Pierre Vaudel mógł otworzyć drzwi zabójcy? Tak, jeżeli powód przyścia był techniczny, jeżeli nie chodziło o zwykłą pogawędkę. Nawet po zapadnięciu nocy? Tak, Vaudel nie był strachliwy, był raczej... jak by to powiedzieć... mało wrażliwy. Znaczy, tak w każdym razie się wydawało.

Jeden tylko człowiek, jego ogrodnik Èmile, inaczej opisywał Pierre'a Vaudela. Nie, Vaudel nie był mrukiem i odludkiem. Miał się na baczności tylko przed sobą, dlatego z nikim się nie widywał. Skąd ogrodnik o tym wie? Ależ stąd, że Vaudel sam tak mówił, czasem z lekkim uśmieszkiem, takim w kąciku ust. Jak go poznał? W sądzie, gdy po raz dziewiąty został oskarżony o pobicie z uszkodzeniem ciała piętnaście lat temu. Vaudela zaciekawiała jego agresywność i tak stopniowo zadzierzgnęły się między nimi więzy. A w końcu Vaudel zatrudnił go do prac w ogrodzie, zaopatrzenia domu w drewno do kominka, później także do zakupów i sprzątnia. Èmile mu odpowiadał, bo nie próbował nawiązywać rozmowy. Kiedy sąsiedzi dowiedzieli się o przeszłości ogrodnika, bardzo im się to nie spodobało.

– Normalne, trza się postawić na miejscu tych ludzi. Èmile Zadymiarz mówią na mnie. Jasne, że ludzie nie czuli się pewnie, unikali mnie.

– Aż tak? – spytał Adamsberg.

Mężczyzna siedział na najwyższym stopniu schodów przed domem, tam gdzie słońce w początkach czerwca nagrzewa trochę kamień. Chudy, krótkonogi, w za dużym kombinezonie, nie miał w sobie nic, co budziłoby strach. Jego mocno niesymetryczna twarz była zniszczona, mało wyrazista,

raczej brzydka. Nie wyrażała ani stanowczości, ani pewności siebie. Èmile był w defensywie, co rusz ręką wycierał krzywy nos, osłaniał oczy. Jedno ucho miał większe, pocierał je jak niespokojny pies i tylko ten gest świadczył, że jest zmartwiony albo że czuje się zagubiony. Adamsberg usiadł obok niego.

– Pan jesteś od tych gliniarzy? – zapytał ogrodnik, obrzuciwszy zaintrygowanym wzrokiem ubranie Adamsberga.

– Tak. Kolega mi powiedział, że pan się nie zgadza z opinią sąsiadów o Vaudelu. Nie wiem, jak pan się nazywa.

– Już ze dwadzieścia razy im mówiłem. Jestem Èmile Feuillant.

– Èmile – powtórzył Adamsberg, aby utrwalić sobie imię.

– Nie zapisujesz pan? Tamci zapisywali. Normalne, nie? Inaczej po sto razy pytaliby się o to samo. I bez tego gliny się powtarzają. Nigdy mi to nie dawało spokoju: czemu gliny powtarzają wszystko? Mówisz takiemu: „W piątek wieczór byłem Pod Papugą”. A glina na to: „Gdzieś był w piątek wieczór?”. I po co to komu? Chyba tylko ma szarpać nerwy.

– Ma szarpać nerwy. Póki facet nie da sobie spokoju z Papugą i nie powie glinom, czego chcą.

– No, w sumie normalne. Można zrozumieć.

Normalne, nienormalne. Wydawało się, że Èmile ustawia wszystko po jednej albo drugiej stronie tej linii demarkacyjnej. Sądząc po spojrzeniu, jakim go obrzucał, Adamsberg wcale nie był pewien, czy Èmile jego umieścił po stronie „normalne”.

– Wszyscy się tu pana boją?

– Oprócz pani Bourlant, sąsiadki tu obok. Wiesz pan, mam za sobą sto trzydzieści osiem walk ulicznych, nie licząc szczenięcych czasów. To nie byle co mimo wszystko.

– I dlatego mówi pan coś przeciwnego niż sąsiedzi? Bo oni pana nie lubią?

Pytanie zaskoczyło Èmile'a.

– Mam gdzieś, czy mnie lubią. Po prostu wiem o Vaudelu więcej niż oni. Ja tam pretensji do nich nie mam, normalne, że się mnie boją. Zadymiarz ze mnie najgorszego rodzaju. Tak mówił zawsze Vaudel – dodał ze śmiechem, odsłaniając dwie luki w uzębieniu. – Przesadzał, bo nigdy nikogo nie zabiłem. Za to co do reszty miał rację.

Èmile wyjął paczkę tytoniu i zręcznie skręcił papierosa.

– A za tę resztę ile pan przesiedział?

– Jedenaście i pół roku w siedmiu ratach. Może dopiec. Ale odkąd przekroczyłem pięćdziesiątkę, idzie mi lepiej. Tu jakaś przepychanka, tam

druga i na tym się kończy. Można powiedzieć, że drogo za to zapłaciłem: zostałem bez żony, bez dzieci... Lubię dzieciaki, ale nie chciałem własnych. Nie ma co, jak ktoś bez powodu wali we wszystko, co się rusza, nie można ryzykować. Normalne. Tuśmy mieli jeszcze jeden punkt wspólny z Vaudelem. On też nie chciał mieć dzieciaków. Znaczący, nie tak to mówił. On mówił: „Żadnego potomstwa, Èmile”. A i tak doczekał się dzieciaka za plecami.

– Wie pan czemu?

Èmile zaciągnął się papierosem, obrzucił Adamsberga zdziwionym wzrokiem.

– Hm, niby się zabezpieczał...

– Czemu nie chciał potomstwa?

– Nie chciał i już. Zastanawiam się, co ze sobą pocznę. Nie mam ani roboty, ani dachu nad głową. Mieszkałem w domku gospodarczym.

– Vaudel się pana nie bał?

– On się nie bał nawet śmierci. Mówił, że jedyna wada śmierci, to że za długo się umiera.

– Jemu nigdy nie miał pan ochoty przywalić?

– Czasami, na początku. Ale wolałem pograć w kółko i krzyżyk. Ja go nauczyłem. Nie myślałem, że jest na świecie facet, który nie potrafi grać w kółko i krzyżyk. Przychodziłem wieczór, rozpałałem ogień, nalewałem nam po wiśnióweczce. Wiśniówka była specjalnie na te okazje, on mnie tego nauczył. Ustawialiśmy stół i zaczynaliśmy grać.

– Kto wygrywał?

– Dwa na trzy razy on. Bo spryciarz był z niego. Zwłaszcza jak wymyślił, że będziemy grali na kartce długiej na metr. Wyobrazasz sobie pan, na czym polegała trudność.

– Tak.

– No. Chciał jeszcze powiększyć arkusz, ale ja byłem przeciw.

– Dużo piliście razem?

– Nie więcej jak po dwie wiśniówki. Ale brakuje mi ślimaków, którymi zagryzaliśmy. Zamawiał je w każdy piątek, mieliśmy każdy swój szpikulec. Ja z niebieską gałką, on z pomarańczową, nie zmienialiśmy tego. Mówił, że będę...

Èmile potarł krzywy nos, zastanawiając się nad właściwym słowem. Adamsberg znał ten sposób poszukiwań lingwistycznych.

– Że ogarnie mnie nostalgia, kiedy on umrze. Śmiałem się, nigdy mi nikogo nie brakowało. Ale miał rację, bystrzak. Ogarnęła mnie nostalgia.

Adamsberg odniósł wrażenie, że Èmile z niejaką dumą obnosi ów złożony

stan i używa nowego słowa, aby uhonorować Vaudela.

– Do bitki bierze się pan po pijaku?

– Właśnie nie i w tym problem. Czasem walnę sobie jednego po fakcie, na uspokojenie po zadymie. Nie myśl pan, że nie chodził po doktorach. Jasne, że chodziłem, z własnej woli albo zmuszony, z dziesięciu mnie badało. Żaden nie znalazł, czemu tak jest. Szukali w moim ojcu i w matce, nic. Byłem szczęśliwym dzieciakiem. Dlatego Vaudel mówi: „Nic nie zrobisz, Èmile, to kwestia plemienia”. Wiesz pan, co to jest plemię?

– Mniej wiece].

– A dokładnie?

– Nie.

– A ja sprawdziłem. To złe nasienie, które się mnoży. No więc sam pan widzisz. Dlatego nie było sensu, żebyśmy i on, i ja próbowali żyć jak inni. Z powodu plemienia.

– Vaudel też był z plemienia?

– No pewnie. – Èmile był niezadowolony, jakby Adamsberg nie czynił żadnych wysiłków, by to zrozumieć. – Tak się zastanawiam teraz, co ze mną będzie.

– Z jakiego plemienia?

Èmile w skupieniu czyścił sobie paznokcie kawałkiem zapałki.

– A, nie, nie – rzekł, kręcąc głową. – Nie chciał o tym mówić.

– Co pan robił w nocy z soboty na niedzielę?

– Już mówiłem. Byłem Pod Papugą. – Èmile uśmiechnął się szeroko, prowokująco, i odrzucił daleko zapałkę. Nie miał w sobie nic z półgłupka.

– Czy aby na pewno?

– Zabrałem matkę do restauracji. Do tej samej co zwykle, w okolicy Chartres, podałem nazwę i całą resztę pańskim kolegom. Od nich się pan dowiesz wszystkiego. Zabieram ją tam co sobotę. Zwracam uwagę, że matki nigdy nie uderzyłem. Boże, jeszcze tego by brakowało! I dodam, że matka mnie uwielbia. W pewnym sensie to normalne.

– Ale pańska matka nie kładzie się spać o czwartej nad ranem? Wrócił pan o piątej.

– No. I nie widziałem światła. A on zawsze zostawiał wszystko włączone.

– O której odwiózł pan matkę do domu?

– Punkt dziesiąta. Potem, jak co sobotę, odwiedziłem swojego psa. – Wyjął portfel, a z niego brudne zdjęcie. – Jego. Gdyby się skulił, zmieściłby mi się w przedniej kieszeni jak mały kangur. Kiedy trzeci raz mnie zapuszkowali, moja siostra oświadczyła, że nie chce dłużej trzymać psa, i wydała go. Ale ja wiedziałem gdzie, do gospodarstwa kuzynostwa

Geraultów koło Châteaudun. Po restauracji biorę furgonetkę i jadę do niego z prezentami, mięsem i takimi tam. On wie, czeka na mnie w ciemnościach, przeskakuje ogrodzenie i razem spędzamy noc w furgonetce. Czy leje, czy wieje. On wie, że zawsze przyjeżdżam. Chociaż jest o, taki, nie większy... – Ręce Èmile'a utworzyły kulę wielkości piłki.

– W tym gospodarstwie są konie?

– Gerault trzyma głównie bydło, trzy czwarte mleczne, jedna czwarta mięsne. Ale ma parę koni.

– Kto o tym wie?

– Że odwiedzam psa?

– Właśnie. Nie mówimy o żywym inwentarzu. Vaudel wiedział?

– Tak. Nie zniósłby, gdybym tu sprowadził zwierzę, ale rozumiał.

W sobotnie wieczory dawał mi wolne na spotkanie z matką i z psem.

– Ale Vaudel już nie może tego potwierdzić.

– Ano nie.

– Podobnie jak pies.

– Pies może. Jedź pan ze mną w sobotę, a sam zobaczysz, że nie zmyślam. Zobaczysz pan, jak przeskakuje ogrodzenie i pędzi do furgonetki. To dowód.

– Ale nie dowód, że to było w sobotę.

– Fakt. Ale normalne, że pies nie powie, jaki mamy dzień. Nawet pies taki jak Kupidon.

– Kupidon, tak się wabi – wyszeptał Adamsberg.

Przymknął oczy oparty plecami o kamienne obramowanie drzwi, z twarzą zwróconą ku słońcu jak Èmile. Za grubą ścianą dobiegało końca zbieranie szczątków, usuwano kładki. Poszczególne części dywanu zdjęto, ponumerowano, zamknięto w pojemnikach. Będą szukali w tym sensu. Pierre junior mógłby zabić starego drania. Albo synowa, kobieta zdeterminowana, gotowa zaryzykować wszystko dla męża. Albo Èmile. Albo rodzina artysty, który pokrywał konie brązem i niefortunnie to samo zrobił z kobietą. Pomalowanie własnej protektorki na brąz – jeszcze jedna rzecz, która nie istniała wcześniej na mapie kontynentu Stocka. Za to zabicie bogatego człowieka istniało od dawna. Ale zrobienie z niego miazgi, rozrzucenie szczątków? Dlaczego? Nie potrafili na to pytanie odpowiedzieć. A dopóki nie ma odpowiedzi, nie ma winnego.

Zmierzał ku nim Mordent tym swoim nieskoordynowanym krokiem,

z wyciągniętą do przodu długą szyją, z głową pokrytą szpakowatym owłosieniem, z rozbieganym wzrokiem – całym sobą przywodził na myśl utyraną czaplę czy podobnego ptaka szukającego tu i tam ryby. Podszedł do Èmile'a, bez wyrozumiałości popatrzył na Adamsberga.

– Śpi – szepnął Èmile. – Normalne, trza zrozumieć.

– Rozmawiał z panem?

– I co z tego? To jego robota, nie?

– Jasne. Ale obudzimy go mimo wszystko.

– Co za świat! – rzekł z niesmakiem Èmile. – Facet nie może się pięć minut zdrzemnąć, żeby go zaraz nie sponiewierali.

– Raczej go nie sponiewieram, to mój inspektor.

Adamsberg otworzył oczy, kiedy Mordent go dotknął, Èmile podniósł się, by zostawić ich samych. Dość mocno nim wstrząsnęła informacja, że ten człowiek jest inspektorem, jakby w porządku rzeczy dokonano się jakieś odchylenie, jakby włóczędzy bez uprzedzenia zostawali władcami. Czym innym jest rozmowa o swoim plemienu i Kupidonie z szeregowym gliną, a czym innym z inspektorem. Czyli z gościem biegłym w najpaskudniejszych technikach przesłuchań. A ten tutaj to as, jak wcześniej usłyszał. I właśnie jemu sporo naopowiadał. Na pewno za dużo.

– Niech pan zostanie – rzekł Mordent, przytrzymując Èmile'a za rękaw. –

Pana też to zainteresuje. Inspektorze, mamy odpowiedź notariusza. Vaudel sporządził testament trzy miesiące temu.

– Dużo kasy?

– Kasa to nie wszystko. Trzy wille w Garches, jedna w Vaucresson, duża kamienica czynszowa w Paryżu. Poza tym lokaty i polisy.

– Nic w tym dziwnego – powiedział Adamsberg, podnosząc się i otrzepując spodnie.

– Z wyjątkiem zachowku dla syna całą resztę Vaudel zapisał obcemu człowiekowi. Èmile'owi Feuillantowi.

IX

Èmile usiadł na stopniu ogłuszony. Adamsberg stał oparty o obramowanie drzwi, z głową pochyloną i rękami założonymi na brzuch – zdaniem jego kolegów był to jedyny widoczny dowód, że trwa u niego proces myślowy. Mordent chodził tam i z powrotem, wymachując rękami, ze wzrokiem rozbieganym bez żadnego powodu. W rzeczywistości Adamsberg wcale nie rozmyślał, tylko akurat sobie mówił, że Mordent wygląda całkiem jak czapla, która złapała rybę i ściska ją w dziobie cała szczęśliwa z szybkiego połowu. W tym wypadku Èmile'a. Który niezgrabnie skręcając papierosa, przerwał milczenie:

– To nienormalne, żeby wydziedziczyć dzieciaka. – Na końcu papierosa było za dużo bibułki, która buchnęła płomieniem, aż Èmile owi zaskwierczały szpakowate włosy. – Czy tego chciał, czy nie, to jednak jego dzieciak – ciągnął, pocierając kosmyk, z którego rozchodził się smród przypalonego prosięcia. – A mnie znowu tak bardzo nie lubił. Nawet jeśli wiedział, że ogarnie mnie nostalgia, i nawet jeśli faktycznie mnie ogarnęła. Wszystko powinien dostać Pierre.

– Życzliwy gość z pana, co? – odezwał się Mordent.

– Nie, mówię tylko, że to nienormalne. Ale przyjmę swoją część, należy uszanować wolę starego.

– Bardzo wygodne jest takie uszanowanie.

– Chodzi nie tylko o uszanowanie. Jest jeszcze prawo.

– Prawo też jest wygodne.

– Czasem. Dostanę willę?

– Tę albo tamte – wtrącił się Adamsberg. – Drogo pan zapłaci za połowę przypadającego panu spadku. Ale zostaną panu co najmniej dwa domy i porządna paczka forsy.

– Wezmę do siebie matkę i odkupię psa.

– Szybko się pan organizuje – zauważył Mordent. – Można by sądzić, że wszystko już zostało przemyślane.

– I co z tego? Czy to nienormalne, że chce się wziąć do siebie matkę?

– Mówię tylko, że nie wygląda pan na bardzo zaskoczonego. Mówię, że już pan robi plany. Mógłby pan przynajmniej jakiś czas przetrwać wieść.

Tak się robi.

– Mam gdzieś, jak się robi. Już przetrawiłem. Nie rozumiem, dlaczego miałbym zmarnować na to ileś tam godzin.

– Mówię, że pan wiedział, że Vaudel zapisze panu majątek. Mówię, że znał pan testament.

– Wcale nie. Ale swego czasu mi obiecał, że kiedyś będę bogaty.

– Na jedno wychodzi – stwierdził Mordent z ustami szeroko rozwartymi jak ten, kto z boku przypuszcza atak na swoją rybę. – Uprzedził pana, że dostanie pan spadek.

– Wcale nie. Wyczytał to z mojej ręki. Znał się na liniach i nauczył mnie tego. Tutaj. – Wskazał na swojej dłoni miejsce u podstawy palca serdecznego. – W tym miejscu zobaczył, że będę bogaty. To przecież nie znaczyło, że chodzi o jego kasę, nie? Gram w lotto, myślałem, że tu się dochrapię.

Èmile zamilkł naraz, spoglądając na swoją dłoń. Adamsberg, który obserwował okrutną zabawę czapli z rybą, ujrzał na jego twarzy cień pradawnego strachu nie mającego nic wspólnego z napastliwością Mordenta. Wydawało się, że dziobanie komendanta ani go nie martwi, ani nie denerwuje. Nie, tu chodziło o tę historię z liniami dłoni.

– Wyczytał coś jeszcze z pana rąk? – zapytał inspektor.

– Och, niewiele, właściwie tylko o tym bogactwie. Uważał, że mam pospolite ręce, i mówił, że to całe szczęście. Nic mi to nie robiło. Ale jak chciałem zobaczyć jego dłonie, o, nie pozwolił. Zacisnął pięści. Powiedział, że tu nie ma nic do oglądania, że on nie ma linii. Nie ma linii! Tak się rozzłościł, że wołałem nie nalegać, i tego wieczoru nie pograliśmy w kółko i krzyżyk. Nie ma linii! To nie jest normalne. Gdybym mógł obejrzeć zwłoki, zobaczyłbym, czy mówił prawdę.

– Nie można obejrzeć zwłok. I tak zresztą dłonie są uszkodzone.

Èmile z żalem wzruszył ramionami, patrząc na komisarz Retancourt, która szła ku nim mało eleganckimi długimi krokami.

– Milutko wygląda – zauważył.

– Pozory mylą – rzekł Adamsberg. – To najgroźniejszy zwierz w całym stadzie. Przebywa na miejscu zbrodni od wczorajszego rana. Bez przerwy.

– Jak to wytrzymuje?

– Umie spać na stojąco. I się nie przewraca.

– To nienormalne.

– Nienormalne – zgodził się Adamsberg.

Retancourt stanęła przed nimi i kiwnęła głową kolegom.

– Jest zgoda – powiedziała.

– Super – ucieszył się Mordent. – To co, działamy, inspektorze? Czy dalej bawimy się w chiromancję?

– Nie wiem, co to jest ta chiromancja – uciął Adamsberg ostro.

Co tego Mordenta ugryzło? Co ugryzło stare wyskubane ptaszysko, miłe i kompetentne? Bez zarzutu w pracy, obkute w bajkach i legendach, wygadane i zgodne? Adamsberg wiedział, że kiedy spośród swoich dwóch komendantów wybrał Danglarda na wyjazd do Londynu, Mordent lekko się zezłościł. Ale miał należeć do następnej grupy, która pojedzie do Amsterdamu. Tak było sprawiedliwie, a Mordent nie był facetem, który by się długo gniewał i chciał pozbawić Danglarda zanurzenia się w brytyjskość.

– To nauka o liniach dłoni. Innymi słowy, strata czasu. A za dużo czasu tu marnotrawimy. Èmile'u Feuillant, zastanawiał się pan, gdzie spędzi dzisiejszą noc. Chyba mamy to załatwione.

– W willi – rzekł Adamsberg.

– W domku gospodarczym – poprawiła Retancourt. – Miejsce zbrodni jest jeszcze opieczętowane.

– Pod nadzorem – dodał Mordent.

Adamsberg oderwał się od ściany i zrobił kilka kroków z rękami wbitymi w kieszenie. Szedł tak, by skrzypiał mu żwir pod butami, lubił ten dźwięk.

– To nie jest w waszych kompetencjach, komendancie – powiedział, wyraźnie wymawiając słowa. – Jeszcze nie dzwoniłem do szefostwa, które nie porozumiało się na razie z sędzią. Za wcześniej, Mordent.

– Za późno, inspektorze. Szefostwo zadzwoniło do mnie i sędzia podpisał nakaz nadzoru Èmile'a Feuillanta.

– Tak? – Adamsberg odwrócił się ze skrzyżowanymi rękami. – Szefostwo dzwoni, a wy mnie nie wołacie?

– Szef nie chciał z panem rozmawiać. Musiałem posłuchać.

– Nie taki jest regulamin.

– Pan olewa regulaminy.

– Nie teraz. A regulamin mówi, że nadzór ustanowiono przedwcześnie i bez uzasadnienia. Równie dobrze można by objąć nadzorem syna Vaudela albo kogoś z rodziny malarza. Retancourt, co to za rodzina?

– Zwarty mur, zniszczony, prześladowany myślą o zemście. Matka się zabiła siedem miesięcy po synu. Ojciec jest mechanikiem, pozostali dwaj synowie w świecie. Jeden jeździ ciężarówką, drugi jest w Legii Cudzoziemskiej.

– I co wy na to, Mordent? Chyba warto sprawdzić, nie? A wydziedziczony syn? Nie sądzicie, że on też wiedział o testamencie? Nic prostszego, jak winą obarczyć Èmile'a i wziąć cały spadek. Upredziliście

o tym szefostwo?

– Nic o tym nie wiedziałem. A sędzia ma jednoznaczne zdanie. Akta Èmile'a Feuillanta są ciężkie jak zdechły osioł.

– Odkąd to wystawia się nakaz nadzoru na zwykłe żądanie? Nie czekając na wyniki badań laboratoryjnych? Bez żadnych dowodów?

– Mamy dwa dowody.

– Świetnie, chętnie o nich posłucham. Retancourt, wiecie o nich?

Retancourt szurnęła nogą po ziemi, rozrzucając żwir jak niezadowolone zwierzę. Dzielną komisarz, pominiawszy jej nadzwyczajne talenty, cierpiała na deficyt pewnych cech – mianowicie nie miała za grosz umiejętności społecznych. W sytuacji dwuznacznej, delikatnej, wymagającej subtelnych reakcji albo wykrętów, czuła się niekompetentna i bezbronna.

– Co to za bajzel, Mordent? – zapytała ochryple. – Od kiedy wymiar sprawiedliwości jest taki rychliwy? Komu tak się spieszy?

– Ja nic nie wiem. Wykonuję rozkazy.

– Za szybko je wykonujecie – rzekł Adamsberg. – Słucham, co to za dowody?

Mordent podniósł głowę. Èmile próbował nie zwracać na siebie uwagi, podpalając cienką gałązkę.

– Skontaktowaliśmy się z domem opieki, w którym mieszka matka Èmile'a Feuillanta.

– To nie dom opieki, tylko umieralnia – mruknął Èmile.

Dmuchał teraz na żarzący się koniuszek gałązki. Za zieloną, odnotował Adamsberg, nie zajmie się.

– Dyrektorka potwierdza: co najmniej cztery miesiące temu Èmile powiedział matce, że niedługo razem zamieszkają gdzie indziej i będą się mieli jak pączki w maśle. Wszyscy o tym wiedzą.

– Jasne – przyznał Èmile. – Mówiłem wam przecież, że Vaudel mi przepowiedział bogactwo. Pochwaliłem się tym matce, normalne, nie? Mam powtórzyć czy co? Po co to tak denerwować człowieka?

– To ma sens – rzekł spokojnie Adamsberg. – Drugi dowód, Mordent?

Tym razem Mordent się uśmiechnął. Jest pewny swego, pomyślał Adamsberg, atakuje brzuch ryby. Z bliska Mordent nie wyglądał dobrze: zapadnięte policzki, szerokie sine cienie pod oczami.

– W jego furgonetce są grudki końskiego łajna.

– I co z tego? – spytał Èmile, przestając dmuchać na żarzącą się gałązkę.

– Z miejsca zbrodni zebraliśmy cztery grudki końskiego łajna. Morderca przyniósł je na gumiakach.

– Nie mam gumiaków. Nie widzę związku.

– Sędzia widzi.

Èmile wstał, odrzucił gałązkę, schował do kieszeni tytoń i zapalki. Przygryzł wargę z miną nagle zmęczoną. Zniechęcony, godny politowania, nieruchomy jak stary krokodyl. Zbyt nieruchomy. Czy w tej właśnie chwili Adamsberg zrozumiał? Na to pytanie nigdy nie uzyskał jednoznacznej odpowiedzi. Wiedział tylko, że cofnął się, odsunął od Èmile'a, jakby mu robił wolną drogę. I Èmile wyprysnął z niesamowitą prędkością krokodyla, taką, że nikt nawet nie zdąży odnotować momentu ataku. Zanim ktokolwiek się zorientował, krokodyl chwycił antylopę za nogę. Zanim ktokolwiek się zorientował, Mordent i Retancourt leżeli na ziemi i nikt nie wiedział, gdzie Èmile uderzył. Adamsberg zobaczył go, jak gna alejką, przeskakuje ogrodzenie, widział jeszcze, jak pędzi dalej po trawie z niesłychaną prędkością, której tylko Retancourt mogłaby sprostać. Tyle że ona miała opóźnienie, dopiero się podnosiła, trzymając się za brzuch, po czym rzuciła się w pościg, uruchamiając całą swoją masę, by zwiększyć tempo, jej sto dziesięć kilo bez trudu przesadziło murek.

– Potrzebne natychmiastowe wsparcie – ogłosił Adamsberg przez radio. – Podejrzany ucieka w kierunku zachód południowy-zachód. Zamknąć okolicę.

Później – ale na to pytanie nigdy nie uzyskał jednoznacznej odpowiedzi – zastanawiał się, czy włożył dość determinacji w swój głos.

U jego stóp Mordent trzymał się za krocze, jęcząc głośno i dysząc, wylewając łzy. Automatycznym gestem Adamsberg nachylił się nad nim, z roztargnieniem poklepał go po ręce na znak zrozumienia.

– Pechowa operacja, Mordent. Nie bardzo wiem, do czego zmierzacie, ale następnym razem zróbcie to lepiej.

X

Wspierając się na inspektorze, Mordent kuśtykał w kierunku reszty ekipy. Komisarz Froissy zmieniła właśnie Lamarre'a i natychmiast zajęła się aprowizacją i rozłożeniem lunchu na stole w ogrodzie. Na Froissy można było liczyć, zaopatrywała brygadę jak w czas wojny. Chuda, wiecznie głodna, opanowana obsesją jedzenia, w siedzibie brygady zorganizowała sobie skrytki z żywnością. Podejrzewano, że jest ich więcej niż skrytek komendanta Danglarda z białym winem. Niektórzy twierdzili, że za dwieście lat będzie można się jeszcze pożywić tym, co zawierają liczne kryjówki rozrzucone po najodleglejszych kątach budynku, gdy tymczasem butelki Danglarda dawno będą opróżnione.

Komisarz Noël miał własne zdanie na temat Froissy. Noël był najbrutalniejszym członkiem zespołu, wulgarnym wobec kobiet, prymitywnym wobec mężczyzn, pogardliwym wobec podejrzanych. Przysparzał więcej kłopotów, niż dawała korzyści jego obecność, lecz Danglard uważał, że jest w ekipie potrzebny, katalizuje bowiem wszystko to, co każdy gliniarz ma w sobie najgorszego, i dzięki temu inni stają się lepsi. Noël z upodobaniem odgrywał swoją rolę. O dziwo jednak był najlepiej poinformowany o intymnych sekretach kolegów. Może jego prymitywne podejście do innych łamało tamy, a może ludzie bez wstydu pozwalali mu zerkać na mętne wody swego wnętrza, w każdym razie Noël był od tego specem. Twierdził zatem, że żywnościowy brak poczucia bezpieczeństwa u komisarz Froissy wynika stąd, iż kiedy była niemowlęciem, jej matka straciła przytomność i przez cztery dni nie karmiła córki. Dlatego Froissy, śmiał się urągliwie, wiecznie szuka cycka i równocześnie daje go innym, a sama nie przybiera ani kilograma.

Była trzecia po południu, należało odczekać, aż najedzeni agenci ożywią się i dowiedzą dokładnie, co właściwie się stało koło willi Vaudela. Wiedzano, że Retancourt ściga jednego gościa – co źle wróżyło gościowi – eskortowana przez brygadę z Garches, trzy samochody i cztery motocykle. Ale nie przysyłała żadnych wieści, Adamsberg zaś wyjaśnił, że wystartowała z trzyminutowym opóźnieniem po ciosie w splot słoneczny. I że gość, niejaki Émile Zadymiarz, jedenaście lat odsiadki i sto trzydzieści osiem

oficjalnie potwierdzonych bijatyk, jest w stanie zgubić Retancourt. Nie wnikając w szczegóły, streścił swój spór z Mordentem, powód ucieczki podejrzanego. Nikomu nie przyszło do głowy zapytać, dlaczego Èmile nie powalił także inspektora ani dlaczego Adamsberg nie rzucił się w pościg. Skoro Retancourt biega dwa razy szybciej niż wszyscy faceci w brygadzie, każdy uważał za normalne, że puszczono ją samą. Mordent wymiała z talerza z ponurą miną, którą składano na karb niepokoju o stan jąder. W przejrzanych na szybko aktach Èmile'a nie dało się przeoczyć, że zabijaka jednym ciosem łokcia pozbawił męskości pewnego pilota samochodowego. Tę walkę przypłacił rokiem odsiadki oraz dotąd niespłaconym odszkodowaniem wraz z odsetkami.

Adamsberg obserwował, jak jego agenci powątpiewają, błędzą po omacku, wahają się między instynktownym wsparciem kolegi poszkodowanego na czułych partiach ciała i przemyślaną ostrożnością. Każdy bowiem, łącznie z Estalère'em, miał świadomość, że Mordent złamał zasady w sposób zgoła niezrozumiały, zażądał nadzoru bez porozumienia z Adamsbergiem i tym swoim iście amatorskim pośpiechem przeraził podejrzanego.

– Kto dziś rano wstawił ostatnie pojemniki na ciężarówkę?

– zapytał Adamsberg.

Mechanicznie nalewał sobie czegoś do szklanki, która wypełniła się mętną żółtawą cieczą.

– To cydr z moich stron – wyjaśniła Froissy. – Po otwarciu wytrzymuje raptem godzinę, ale jest świetny. Pomyślałam, że poprawi nam humor.

– Dzięki – rzekł Adamsberg, popijając cierpki napój.

Froissy bowiem nie tylko troszczyła się o strawę dla ciała, ale także o utrzymanie nastroju wszystkich na poziomie co najmniej kordialnym, co było nie lada wyzwaniem w brygadzie kryminalnej, której członkowie wiecznie niedosypiali.

– Ja i Froissy – odpowiedział Voisenet na jego pytanie.

– Trzeba by wyciągnąć końskie łajno. Chciałbym je obejrzeć.

– Łajno pojechało wczoraj do laboratorium.

– Nie tamto, Voisenet. Chodzi mi o to, które zebrano dzisiaj w furgonetce Èmile'a.

– A, tamto, łajno Èmile'a – odezwał się Estalère.

– Żaden problem – zapewnił Voisenet, wstając. – Jest z priorytetowymi próbkami.

– Bierzemy pod obserwację dom opieki jego matki? – spytał Kernorkian.

– Pro forma. Każdy głupi się domyśli, że dom jest pod obserwacją.

- On jest głupi – zauważył Mordent, który nadal wymiatał z talerza.
- Nie – sprzeciwił się Adamsberg. – To człowiek ogarnięty nostalgią. A nostalgia sprzyja nowym pomysłom.

Adamsberg się wahał. Znał niemal pewny sposób, aby dopaść Èmile'a – mianowicie w gospodarstwie, w którym mieszkał Kupidon. Wystarczyłoby postawić tam dwóch ludzi i w tym tygodniu albo w następnym ptaszek wpadłby w sidła. Jedynie Adamsberg wiedział o Kupidonie i gospodarstwie, miał pojęcie, gdzie ono mniej więcej leży, znał nazwisko właścicieli, które jakimś cudem utkwilo mu w pamięci. Kuzynostwo Geraultowie, trzy czwarte mleczne, jedna czwarta mięsne. Już otworzył usta, lecz nic z nich nie wyszło, bo ogarnęła go niepewność. Sam nie wiedział, czy uważa Èmile'a za niewinnego, sam nie wiedział, czy chce się zemścić na Mordencie, sam nie wiedział, czy od dwóch godzin albo od Londynu trzyma się drugiej strony bariery razem z mrowiem imigrantów, którzy chcą przebyć mur, czy wspiera bandziorów, odpierając siły porządkowe. Pytania te przemknęły mu przez głowę niczym stado szpaków, lecz na żadne nie próbował sobie odpowiedzieć. Kiedy wszyscy wstawali od stołu, syci i poinformowani, Adamsberg odszedł na bok i skinął na komisarza Noëla. Tylko on mógł coś wiedzieć.

- Co jest z Mordentem?
- Ma zgryz.
- Domyślam się. Jakiego rodzaju?
- Nie pańska sprawa.
- To ważne dla dochodzenia, Noël. Widzieliście sami. No już, słucham.
- Jego córka... jedyna córka, światło jego oczu, brzydula, jeśli chce pan znać moje zdanie... wpadła dwa miesiące temu razem z sześcioma zgniłkami naćpanymi jak stodoła na squacie w La Vrille na południowym przedmieściu, najbardziej cuchnącym osiedlu dla bogatych dzieciaków, które się stoczyły.
- No i?
- Sześciu zgniłków, w tym jej chłopak, niedomyty worek kości, ohydny jak czarny chleb. Bones, taką ma ksywkę. Starszy od niej o dwanaście lat, zaprawiony w napadach na staruszków, zasraniec nawet przystojny, wysoko notowany wśród handlarzy kolumbijską koką. Młoda pitnęła z chaty, zostawiła liścik, a nasz pocziwy Mordent od tej pory chodzi jak struty. Jaja jak berety.
- A właśnie, jak z nimi?

– Dzwonił do lekarza, mówi, że pojutrze będzie wiadomo. Może nic mu się nie stało, co przy tym zadymiarzu wcale nie jest pewne. A nawet gdyby, szkoda niewielka, bo Mordent za bardzo ich nie używa, jego żona różnie się z nauczycielem muzyki, a swojego starego traktuje jak ostatnią burą sukę.

– Czemu nic mi nie powiedział, kiedy dziewczyna uciekła?

– Stary gawędziarz taki już jest. Czaruje nas różnymi opowiastkami, a prawdę trzyma, cholera, dla siebie. Pamięta pan, wtedy akurat pełną parą szło śledztwo w sprawie tych otwartych grobów. A poza tym... i może pan myśleć, co chce... poza tym ludzie nie bardzo mają ochotę wywnętrzać się przed panem.

– Niby dlaczego?

– Bo nie wiadomo, czy pan słucha. A jak pan słucha, przypuszczalnie zaraz pan zapomni. Więc po co? Mordent nie buja w obłokach. A pan tak.

– Wiem, co się o mnie mówi. Ale ja uważam, że chodzę twardo po ziemi.

– To chyba nie po tej samej co my.

– A to możliwe, Noël. I co? Co z dziewczyną?

– Na imię jej Elaine. Gliniarze z Bicetre wezwali Mordenta. Zjawił się na squacie, a tam piekło, wie pan, jak to wygląda. Były nawet małolaty, które jadły karmę dla psów. Właśnie ktoś z nich spanikował i zadzwonił na policję, bo taki jeden przedawkował. Swoją drogą psia karma wcale nie jest taka zła, w końcu to zwyczajna potrawka mięsna. Mordentówna była naćpana w trzy dupy, znaleziono dość proszku, żeby wystarczyło na oskarżenie o dilerkę. Najgorsze, że była też broń, dwie spluwy i sprężynowce. Z jednej ze spluw dziewięć miesięcy temu załatwiono Stubby'ego Downa, bossa dzielnicy północnej. A świadkowie zeznali, że napastników było dwoje: facet i dziewczyna, brunetka z włosami do pasa.

– Cholera.

– Ostatecznie troje młodych trafiło do aresztu, w tym Elaine Mordent.

– Gdzie ona jest?

– We Fresne, na kuracji metadonowej. Grozi jej dwa do czterech lat, o wiele więcej, jeśli brała udział w napadzie na Stubby'ego Downa. Mordent mówi, że jak stamtąd wyjdzie, będzie skończona. Danglard próbuje podnieść go na duchu, podlewając białym winem jak roślinkę, ale Mordentowi zupełnie to nie służy. Jak tylko może się wyrwać, przesiaduje tam, we Fresne, w środku albo na zewnątrz, gapiąc się na mury. To i nie dziwota. –

Noël odwrócił się i z rękami zaciśniętymi na pasie brodą wskazał wilę. – A tu jeszcze doszła ta ubojnia... można się pogubić. Może Danglard by go zmienił teraz, kiedy wszystko już uprzątnięte? Voisenet pana szuka, znalazł łajno Èmile'a, jak mówi ten kretyn Estalère.

Voisenet położył próbkę na białym stole ogrodowym, podał Adamsbergowi rękawiczki. Inspektor otworzył woreczek i powąchał zawartość.

– Opisane jako „końskie łajno”, ale może to co innego.

– Nie, to łajno – powiedział Adamsberg, wysypując na dłoń brunatny, płaski kawałek materii. – Ale nie takie jak w willi. Nie jest w grudce.

– Grudki były, bo łajno się wykruszyło spomiędzy bieżnika gumiaków. Było tyle krwi na dywanie, że odmokło i odpadło.

– Ale i tak to nie ten sam koń, Voisenet. Znaczy, nie to samo łajno, więc i nie ten sam koń.

– Może ma dwa konie – zaryzykował Justin.

– Znaczy, to nie ta sama stadnina. A więc i buty nie te same. Tak sędzę.

Adamsberg odgarnął kosmyk włosów, który opadł mu na czoło. Irytujące, że ciągle w pobliżu płaczą się jakieś buty. Zadzwoiła jego komórka. Retancourt. Szybko odłożył próbkę na stół.

– Inspektorze, po herbacie. Zgubiłam Èmile'a na parkingu szpitala w Garches, wjechały między nas dwie karetki. Są tu nasi zmotoryzowani, nie mogą go zlokalizować.

– Nie przejmujcie się, komisarzu, od początku miał fory.

– Kurde, i to podwójne – ciągnęła Retancourt. – Zna okolicę jak własną kieszeń, gnał tymi ogródkami i zaułkami, jakby sam wszystko zbudował. Pewnie schował się gdzieś w żywopłocie. Trudno będzie go dopaść, chyba że zgłodnieje. Przerywam pościg, bo facet na dzień dobry chyba złamał mi żebro.

– Gdzie jesteś, Violette? Na terenie szpitalnym?

– Tak, chłopcy obeszli tu różne zakamarki.

– To znajdź jakiegoś lekarza, niech ci obejrzy to żebro.

– Tak zrobię – odparła Retancourt i zaraz się rozłączyła.

Adamsberg zamknął komórkę. Retancourt nie miała zamiaru szukać lekarza, żeby ją zbadał.

– Èmile załatwił jej żebro – powiedział. – To na pewno diablo boli.

– I tak się wywinęła, mogła oberwać po jajach.

– Już dosyć, Noël.

– Nie ta sama stadnina? – przerwał im Justin.

Adamsberg wziął znowu okruch końskiego łajna, powstrzymując się od odpowiedzi. Noël nie przepuścił żadnej okazji, by dowalić Retancourt, by obwieszczać wszem wobec, że to nie kobieta, tylko wół roboczy albo coś w tym guście. Adamsberg tymczasem owszem, nie uważał Retancourt za kobietę w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, ponieważ w jego

mniemaniu była boginią. Wszechstronną boginią brygady o wielu mocach, tak wielu, jak wiele ramion ma Śiwa.

– Ile ramion ma ta hinduska bogini? – zapytał kolegów, obmacując kawałek łajna.

Czworo komisarzy pokręciło głową.

– Zawsze to samo – rzekł Adamsberg. – Kiedy nie ma Danglarda, w tej ekipie nikt nic nie wie. – Wsunął łajno do woreczka, który podał Voisenetowi. – Trzeba po prostu do niego zadzwonić, żeby się dowiedzieć. Uważam, że ten koń, znaczy ten, który wydalil łajno znane jako „łajno Èmile'a”, żyje sobie na łące i je tylko trawę. Sądzę że drugi koń, ten, który wydalil grudki znalezione w willi, znane jako „łajno zabójcy”, jest żywiony w stajni granulatami.

– Tak? A po czym to poznać?

– Przez całe dzieciństwo zbierałem końskie łajno, żeby nawozić pole. I suchy gnój bydłęcy do palenia w piecu. Dalej to zbieram. Wierzcie mi, Voisenet, że od dwóch zwierząt żywionych czym innym mamy dwa rodzaje łajna.

– No dobra – zgodził się Voisenet.

– Kiedy będą wyniki z laboratorium? – zapytał Adamsberg, wybierając numer Danglarda. – Pogońcie ich. Pilne: łajno, chusteczka, odciski, rozrzucenie szczątków. – Odszedł kilka kroków, miał już Danglarda na linii.

– Dochodzi piąta, Danglard. Potrzebujemy cię w tej ubojni w Garches. Tu już posprzątane, wracamy do brygady, robimy pierwszą syntezę. A, momencik. Ile ramion ma ta hinduska bogini? Ta, która stoi w kole? No wiesz, Śiwa.

– Śiwa nie jest boginią, inspektorze. To bóg.

– Bóg?!... To facet – poinformował inspektor kolegów. – Śiwa to bóg. A ile ma ramion? – spytał Danglard.

– To zależy od przedstawienia, bo Śiwa ma wiele różnych mocy, czasem przeciwnych, właściwie całe ich spektrum, od zagłady po dobrodziejstwa. Może mieć dwoje ramion, czworo, a nawet dziesięcioro. Zależy, czego jest uosobieniem.

– A tak z grubsza mówiąc, czego jest uosobieniem?

– Cóż, powiem w skrócie: „W pustce, w samym centrum Nirwany-Sakti, znajduje się najwyższy Śiwa, którego naturą jest duchowa pustka”.

Adamsberg przełączył telefon na głośnik. Popatrzył po kolegach – wyglądało na to, że rozumieją tyle samo co on. Na migi radzili, by dał sobie spokój. Dowiedział się, że Śiwa to facet, na ten dzień wystarczy.

– Jaki ma to związek z Garches? – zapytał Danglard. – Za mało rąk?

– Èmile Feuillant dziedziczy majątek Vaudela z wyjątkiem zachowku dla Pierre'a syna Pierre'a. Mordent przesadził i powiadomił go o nadzorze. Zadymiarz go rozłożył i zwiął.

– Retancourt go nie dopadła?

– Zawaliła. Widać nie założyła wszystkich rąk, bo na odchodnym złamał jej żebro. Czekamy na ciebie, komendancie, Mordent raczej wypadł z gry.

– Domyślam się. Ale mój pociąg odjeżdża dopiero o dwudziestej pierwszej dwanaście. Biletu raczej nie uda mi się wymienić.

– Jaki pociąg, Danglard?

– No ten, który jedzie tym cholernym tunelem. Nie sądz, że mnie to bawi. Ale zobaczyłem, co chciałem zobaczyć. I jeśli nie odciął stóp mojemu wujowi, jesteśmy już niedaleko.

– Danglard, gdzie ty jesteś? – spytał wolno Adamsberg, siadając na stole ogrodowym z telefonem przełączonym ponownie na słuchawkę.

– O Boże, no mówię przecież. W Londynie. Mają już pewność, prawie wszystkie buty są francuskie, dobrej albo złej jakości. Różne klasy społeczne. Wierz mi, odzyskamy cały pakiet w komplecie. Radstock już zaciera ręce.

– Ale do licha, co cię napadło, że wróciłeś do Londynu? – krzyknął niemal Adamsberg. – Co cię napadło, żeś się wtrącił w te cholerne buty? Zostawże je w Hiżgat, zostaw je temu Stockowi!

– Radstockowi. Inspektorze, uprzedzałem cię o wyjeździe i się zgodziłeś. Musiałem.

– Co ty mi tu kminisz, Danglard? Chodziło ci o tę kobietę, o tę Abstract, do której popłynąłeś wpław.

– Skądże!

– Nie mów, żeś się z nią nie spotkał.

– Nic takiego nie mówię. Ale to nie ma związku z butami.

– Mam nadzieję, Danglard.

– Gdybyś myślał, że obcięto stopy twojemu wujowi, też byś pojechał przyrzec się temu z bliska.

Adamsberg spojrział w zaciągające się niebo, powiódł wzrokiem za lecącą kaczka, po czym spokojniej wrócił do rozmowy z Danglardem.

– Jaki wuj? Nie wiedziałem, że jest jakiś wuj.

– Nie mówię o żywym wuju, o człowieku, który chodzi bez stóp. Mój wujek umarł dwadzieścia lat temu. Był drugim mężem mojej ciotki i przepadałem za nim.

– Nie obraż się, komendancie, ale nikt nie rozpozna odciętych stóp wuja.

– Nie stopy rozpoznałem, tylko buty. Właśnie o tym słusznie mówił nasz

przyjaciel Clyde-Fox.

– Clyde-Fox?

– Ten ekscentryczny lord, pamiętasz?

– Tak – przyznał z westchnieniem Adamsberg.

– Widziałem się z nim zresztą wczoraj wieczorem. Dość markotny, bo gdzieś mu się zapodział nowy kubański przyjaciel. Wypiliśmy razem po parę kieliszków, świetnie się zna na historii Indii. I jak słusznie zauważył, co można włożyć do butów? Stopy. Na ogół własne. Jeśli więc to są buty mojego wuja, wszystko wskazuje na to, że stopy również należały do niego.

– To trochę jak z łajnem i koniem – zauważył Adamsberg, który czuł zmęczenie w kościach.

– Jak z naczyniem i zawartością. Nie wiem tylko, czy na pewno chodzi o mojego wuja. To może być kuzyn albo ktoś z tej samej miejscowości. W sumie wszyscy tam są jakoś spokrewnieni.

– W porządku – powiedział Adamsberg, zsuwając się ze stołu na ziemię. – Ale nawet jeżeli gość zgromadził kolekcję francuskich stóp i nawet jeżeli pechowo jego ścieżka przecięła ścieżkę twojego wuja czy kuzyna, co nas to obchodzi?

– Sam powiedziałeś, że nie ma zakazu interesowania się – rzekł z urazą Danglard. – To ty nie chciałeś zostawić stóp z Highgate.

– Może tam. Tutaj i w Garches nie. I błędem był twój wyjazd, Danglard. Bo jeśli to francuskie stopy, Scotland Yard będzie chciał współpracować. Mogłoby trafić na inną ekipę, ale teraz dzięki tobie nasza brygada będzie na widelcu. A potrzebuję cię przy tej jatce w Garches, bardziej alarmującej od nekrofila, który dwadzieścia lat temu na prawo i lewo obcinał stopy nieboszczykom.

– Nie na prawo i lewo. Myślę, że je wybierał.

– Stock tak twierdzi?

– Ja. Bo kiedy mój wujek umarł, był w Serbii. Jego stopy też. – I zastanawiasz się, po co szukać stóp w Serbii, skoro jest ich sześćdziesiąt milionów we Francji?

– Sto dwadzieścia milionów. Sześćdziesiąt milionów osób, czyli sto dwadzieścia milionów stóp. Popełniasz ten sam błąd co Estalère, tylko na opak.

– A czemu twój wujek był w Serbii?

– Bo był Serbem. Nazywał się Slavko Moldovan.

W stronę Adamsberga biegł Justin.

– Jest tu jakiś facet, domaga się wyjaśnień. Pozdejmovaliśmy już taśmy, ale o niczym nie chce słyszeć, zamierza wejść do środka.

XI

Komisarze Noël i Voisenet stali na wprost siebie, każdy jedną ręką blokował drzwi – tworzyli w ten sposób podwójną barierę dla niezbyt groźnego intruza.

– Nie mam żadnego dowodu, że jesteście policjantami – powtarzał ów człowiek. – Nie mam dowodu, że nie jesteście włamywaczami, rabusiami. Zwłaszcza pan. – Tu wskazał Noëla z głową ogoloną prawie na łyso. – Chcę się widzieć z osobą, z którą umówiłem się na siedemnastą trzydzieści, zależy mi na punktualności.

– Ta osoba jest nieosiągalna – rzekł Noël z wyraźnym szyderstwem w głosie.

– Proszę pokazać legitymacje. Bez tego nie mam żadnego dowodu.

– Już wyjaśnialiśmy panu – powiedział Voisenet. – Legitymacje mamy w kurtkach, kurtki w willi i jeżeli zostawimy drzwi, pan wejdzie do środka. A tam jest zakaz wstępu.

– Oczywiście, że wejść.

– No to nie ma rozwiązania.

Ten człowiek, uznał Adamsberg, idąc od sieni do grupy przy drzwiach, jest albo tępy, albo odważny jak na swoje przeciętne gabaryty i tuszę. Jeśli bowiem sądził, że ma do czynienia z włamywaczami, to dla niego lepiej by było zakończyć dyskusję i wziąć nogi za pas. Miał w sobie jednak jakiś profesjonalizm, godność i pewność siebie, nosił się wyniośle i dość sztywno jak człowiek obowiązkowy, a w każdym razie zdeterminowany wykonać swoją robotę, cokolwiek będzie się działo, pod warunkiem że nie ucierpi jego ubiór. Agent ubezpieczeniowy? Marszand? Prawnik? Bankowiec? W jego batalii z policjantami przy drzwiach były również oznaki klasy. Nie należał do tych, których można przegonić, a już na pewno nie odprawią go tacy dwaj jak Noël i Voisenet. Pertraktowanie z nimi było poniżej jego godności i może właśnie to elitarne przekonanie, ta głęboka kastowa pogarda zastępowała mu odwagę graniczącą z zaślepieniem. Niczego się nie bał ze strony osób stojących nizej. Pominąwszy tę konkretną sytuację, jego przebiegła staroświecka twarz musiała być w chwilach relaksu raczej sympatyczna.

Adamsberg oparł dłonie na barierce z plebejskich przedramion i się przywitał.

– Jeśli policja tu jest, nie odejdę, póki nie zobaczę się z waszym przełożonym – oznajmił mężczyzna.

– Ja jestem przełożonym. Młodszy inspektor Adamsberg.

To zdziwienie, rozczarowanie Adamsberg nieraz widział na ludzkich twarzach. A także następującą zaraz potem uległość wobec stopnia, jakkolwiek dziwnie wyglądała nosząca go osoba.

– Miło mi, inspektorze – odparł ów człowiek, wyciągając doń rękę ponad ramionami komisarzy. – Paul de Josselin. Jestem lekarzem pana Vaudela.

Za późno przyszedłeś, stary, pomyślał Adamsberg, ściskając mu dłoń.

– Przykro mi, doktorze, pan Vaudel jest nieosiągalny.

– To już wiem. Ale jako jego lekarz mam prawo i obowiązek dowiedzieć się dokładniej, prawda? Zachorował? Zmarł? Jest w szpitalu?

– Zmarł.

– Rozumiem, że w domu, inaczej nie byłoby tu policji.

– Zgadza się, doktorze.

– Kiedy? Byłem tu z wizytą dwa tygodnie temu, wszystkie badania miał w normie.

– Policja nie może udzielać takich informacji. To procedura, która obowiązuje nas w wypadku morderstwa.

Lekarz zmarszczył brwi, zdawał się mamrotać słowo „morderstwo”. Adamsberg uświadomił sobie, że wciąż rozmawiają, stojąc po dwóch stronach policyjnych ramion niczym sąsiedzi oparci o płot. A nieruchomi jak posągi komisarze bez mrugnięcia zagradzali przejście i nikt nie myślał o zmianie tego ustawienia. Adamsberg czubkami palców klepnął Voiseneta w bark, co poskutkowało przerwaniem bariery.

– Chodźmy stąd – poprosił Adamsberg. – Tu nie wolno deptać.

– Rozumiem, rozumiem. I nie może mi pan nic powiedzieć, prawda?

– Mogę panu powiedzieć to, co wiedzą sąsiedzi. Zdarzenie miało miejsce w nocy z soboty na niedzielę, ciało odkryto wczoraj rano. Alarm podniósł ogrodnik, który wrócił około piątej.

– Dlaczego podniósł alarm? Słyszał krzyki?

– Zdaniem ogrodnika Vaudel zostawiał na noc pozapalane wszystkie światła. Tymczasem kiedy ogrodnik wrócił, nigdzie się nie świeciło, chociaż jego szef miał fobię ciemności.

– Wiem. Od dzieciństwa.

– Był pan jego lekarzem czy psychiatrą?

– Lekarzem domowym, a zarazem osteopatą i somatopatą.

– OK – przytaknął Adamsberg, choć nic z tego nie zrozumiał. – Opowiadał panu o sobie?

– W żadnym razie, miał wstręt do psychiatrii. Ale to, co wyczuwałem z jego kości, dużo mi o nim mówiło. Medycznie byłem do niego ogromnie przywiązany. Vaudel był wyjątkowym przypadkiem. – Lekarz ostentacyjnie zamilkł.

– Rozumiem – rzekł Adamsberg. – Nie powie mi pan nic więcej, jeżeli ja nie powiem więcej. Tajemnica zawodowa blokuje obydwie strony.

– Zgadza się.

– Bez urazy, ale rozumie pan, że muszę wiedzieć, co pan robił w nocy z soboty na niedzielę między jedenastą a piątą rano.

– O urazie nie ma mowy, oczywiście rozumiem. Zważywszy, że o tej porze się śpi i że nie mam żony ani dzieci, cóż mam powiedzieć? W nocy jestem w łóżku, chyba że dostanę nagłe wezwanie. Zna pan to. – Zawahał się, z wewnętrznej kieszeni wyjął kalendarz, obciągnął marynarkę. – Francisco – powiedział – strażnik w moim bloku... jest sparaliżowany, leczę go gratis... Francisco zadzwonił do mnie około pierwszej nad ranem. Spadł między wózek inwalidzki a łóżko z nogą zgiętą w kolanie pod kątem prostym. Wyprostowałem poczciwcowi nogę i położyłem go do łóżka. Dwie godziny później znowu zadzwonił, spuchło mu kolano. Kazałem mu iść na badania, ale z rana zaszedłem do niego.

– Dziękuję, doktorze. Znał pan tego Èmile'a, pomocnika Vaudela?

– Miłośnika gry w kółko i krzyżyk? Nader ciekawy. Przyjąłem go na swojego pacjenta. Naturalnie oporny bardzo, ale Vaudel interesował się tym człowiekiem, kazał mu się leczyć. W ciągu trzech lat mocno ograniczyłem jego porywczość.

– Mówił o tym. Tę zmianę przypisywał wiekowi.

– Ależ skąd – rzekł lekarz z rozbawieniem i Adamsberg ujrzał twarz przebiegłą, wesołą, swobodną, którą dostrzegł już wcześniej pod wzgardliwą pozą. – Z wiekiem nerwice na ogół się nasilają. Leczę jednak Èmile'a i powoli docieram do zastanych stref, temperuję je, chociaż sprytna bestia zamyka za mną drzwi. Ale dopadnę jej. Matka go biła, kiedy był mały, nigdy jednak do tego się nie przyzna. Uwielbia ją.

– Więc skąd pan o tym wie?

– Stąd – odparł lekarz, przykładając palec do podstawy czaszki Adamsberga, ciut na prawo powyżej karku.

Inspektor poczuł lekkie ukłucie, jakby palec Josselina miał na końcu kolec.

– Również ciekawy przypadek – zauważył półgłosem lekarz. – Jeśli pan

pozwole.

– Èmile?

– Pan.

– Nie byłem bity w dzieciństwie.

– Tego nie powiedziałem.

Adamsberg zrobił krok w bok, usuwając głowę poza zasięg ciekawości lekarza.

– Czy Vaudel... i nie pytam o sprawy objęte tajemnicą lekarską... czy on miał wrogów?

– Wielu. I w tym był cały problem. Miał wrogów groźnych, nawet śmiertelnie groźnych.

Adamsberg przystanął w alejce.

– Nie mogę podać nazwisk – zastrzegł lekarz. – I tak zresztą nic by panu nie dały. To wykracza poza pańskie śledztwo.

Zawibrowała komórka Adamsberga, inspektor więc przeprosił, by odebrać połączenie.

– Lucio – burknął – wiesz, że jestem w robocie.

– Nigdy do ciebie nie dzwoniłem, *hombre*, dziś pierwszy raz. Jedna z małych nie może ssać, słabnie. Pomyślałem, że może byś ją podrapał po czółku.

– Odwal się, Lucio, nic na to nie poradzę. Jak nie umie ssać, trudno, takie są prawa natury.

– A jakbyś ją uspił, uspokoił?

– To nie sprawi, że zacznie jeść.

– Skurwysyński gnojek z ciebie, *hombre*.

– Lucio, kurde, nie jestem magikiem – rzekł Adamsberg, podnosząc lekko głos. – I miałem parszywy dzień.

– Ja też. Wyobraź sobie, że mam problem z zapaleniem papierosa. Przez ten wzrok nie trafiam w koniec. Córka nie chce mi pomóc, więc co mam zrobić, no?

Adamsberg zagryzł wargę. Podszedł do niego lekarz.

– Niemowlę nie może ssać? – dopytał grzecznie.

– Pięciodniowy kociak – odparł gwałtownie Adamsberg.

– Jeśli pański rozmówca nie będzie miał nic przeciwko, mogę spróbować temu zaradzić. To na pewno MPO żuchwy zablokowanej przy wdechu. Niekoniecznie działa tu prawo natury, może to być zwichnięcie wskutek traumy związanej z narodzinami. Trudny poród?

– Lucio – odezwał się szorstko Adamsberg do słuchawki – czy to jeden z tych, któreśmy siłą wyciągali?

- Tak, biała kotka z szarym na końcu ogonka. Jedyna dziewczynka.
- Zgadza się, doktorze – potwierdził Adamsberg. – Lucio pchał, a ja ciągnąłem pod szczęką. Za mocno to robiłem? To dziewczynka.
- Gdzie mieszka pański przyjaciel? Oczywiście jeśli sobie życzy – dodał Josselin, wymachując rękami, jakby w sytuacji, gdy w grę wchodziło życie, nagle spokojnie.
- W Paryżu, w Trzynastej dzielnicy.
- A ja w Siódmej. Jeśli się pan zgodzi, jedźmy razem, to pomogę małej. Naturalnie jeżeli dam radę. A na razie niech pański przyjaciel zwilży jej całe ciało, tylko niech go przypadkiem nie zmoczy!
- Zaraz jedziemypowiedział Adamsberg z przemożnym wrażeniem, że włącza policyjną syrenę w związku z trudną operacją. – Zwilż ją całą, ale nie zmocz.
- Lekko oszołomiony, z poczuciem, że wypuścił ster, że miotają nim zarówno zadymiarze, jak i fala imigrantów, lekarze oraz jednoręcy Hiszpanie, polecił ekipie zakończyć działania na miejscu, po czym zaprosił lekarza do swego samochodu.
- Istna groteska – rzekł, kiedy wyjechali na obwodnicę. – Wiozę pana do chorego kota, a przecież na Vaudela spadło piekło i sponiewierało go okrutnie.
- Czyli paskudna zbrodnia? Wie pan, on miał dużo pieniędzy.
- Tak, wiem. Wszystko dostanie jego syn, jak sądzę – dodał Adamsberg nieszczerym głosem. – Zna go pan?
- Tylko za pośrednictwem umysłu jego ojca. Pragnienie, odrzucenie, pragnienie, odrzucenie i tak na zmianę u jednego i drugiego.
- Vaudel nigdy nie chciał syna.
- Przede wszystkim nie chciał pozostawić słabych potomków wystawionych na działania jego wrogów.
- Jakich wrogów?
- Nie pomogłoby panu, gdybym powiedział. Psychozy mężczyzny wryte przez czas, nagromadzone w załomkach jego jestestwa. Robota medyczna, nie policyjna. A raczej speleologiczna na tym etapie, na jakim był Vaudel.
- Znaczący wydumani wrogowie?
- Niech pan nie bierze mnie na spytki, inspektorze.

Lucio czekał na nich, siedząc pod zadaszeniem, wielką dłonią poklepywał śpiące mu na kolanach kocię owinięte w wilgotny ręcznik.

- Zdechnie – powiedział chrapliwym głosem, bełkotliwym od łez, których

Adamsberg nie rozumiał, nie dopuszczał bowiem do siebie myśli, że można się wzruszać z powodu kota. – Nie może ssać. Kto to? – dodał niegrzecznie pod adresem lekarza. – Nie trzeba nam tu publiki, *hombre*.

– Specjalista od szczęk kotów, które nie potrafią ssać. Zrób miejsce, Lucio, odsuń się. Daj kota.

Lucio podrapał się w nieobecną rękę, po czym posłuchał, acz z nieufnością. Lekarz usiadł na ławce, ujął koci łebek w grube palce – dłonie miał wielkie jak na swój wzrost, prawie takie jak jedyna dłoń Lucia – i powoli go obmacał tu i tam, i jeszcze tutaj. Szarlatan, pomyślał Adamsberg bardziej speszony, niżby wypadało, wiotkim ciałkiem zwierzątką. Następnie Josselin przeszedł do miednicy, położył opuszki palców w dwóch punktach, jakby wykonywał tryl na pianinie, i rozległo się cichutkie miauknięcie.

– Wabi się Cudna – mruknął Lucio.

– Naprawimy żuchwę – powiedział lekarz. – Cudna, będzie dobrze.

Jego grube palce – w oczach Adamsberga coraz większe, jak dziesięcioro ramion Siwy – spoczęły na żuchwie, ujmując ją w uchwyt szczypcowy.

– I co, Cudna? – szepnął Josselin, kładąc kciuk tu, a palec wskazujący tam. – Zablokowałaś sobie system, wychodząc na świat? Inspektor cię ścisnął? A może się przestraszyłaś? Bądź cierpliwa jeszcze chwilkę, zaraz się naprawi... No i już. Teraz się zajmę twoim ATM.

– Co to jest? – podejrzliwie spytał Lucio.

– *Articulatio temporomandibularis*, czyli staw skroniowożuchwowy.

Kociak poddał się, jakby był z ciasta, następnie został przystawiony do matczynego sutka.

– Gotowe – rzekł Josselin kojącym głosem. – Staw skroniowo-żuchwowy był odogonowy po prawej i głowowy po lewej. Dlatego nic dziwnego, że Cudna sobie nie radziła, przesunięcie blokowało ssanie. Teraz jest już dobrze. Zaczekamy parę minut, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy. Przy okazji ustawiłem jej właściwie kość krzyżową i kości biodrowe. Wszystko przez te dość wyczynowe narodziny, proszę się nie przejmować. Będzie raczej śmiała, trzeba ją trzymać krótko. Ale to nic złego, miły charakterek.

– W porządku, doktorze – powiedział Lucio, teraz już z szacunkiem, nie odrywając oczu od kociaka, który ssał matkę, omal się nie zachłystując.

– I zawsze będzie lubiła jeść. Z powodu tych pięciu dni.

– Jak Froissy – szepnął Adamsberg.

– To też kotka?

– Jedna z moich koleżanek. Je bez przerwy, ukrywa jedzenie gdzie się da

i jest chuda jak nie wiem.

– Strach – rzekł lekarz znużonym głosem. – To trzeba by zobaczyć. Trzeba by zobaczyć wszystkich i mnie z nimi... Poproszę kieliszek wina czy czegoś innego – zmienił nagle temat. – Jeśli łaska. Jest pora aperitif. Może tego nie widać, ale taka akcja wymaga energii.

W tej chwili nie było w nim żadnych oznak burżujskiej proweniencji, które Adamsberg zauważył, widząc go pierwszy raz za blokadą stworzoną przez komisarzy. Josselin poluzował krawat i przeczesywał palcami szpakowate włosy ze zwyczajną miną umordowanego faceta zadowolonego, że wykonał kawał solidnej roboty, choć godzinę wcześniej nie był pewny, czy mu się uda. I tenże człowiek życzył sobie kieliszka wina, Lucio zatem natychmiast zareagował.

– Dokąd on idzie? – zapytał lekarz, patrząc za Luciem, który pruł prosto ku żywopłotowi w głębi ogrodu.

– Córka zabrania mu pić i palić, więc sprzęt chowa sobie po krzakach. Papierosy trzyma w podwójnym plastikowym pudelku, żeby nie zamokły.

– Córka oczywiście o tym wie?

– Oczywiście.

– A on wie, że ona wie?

– Oczywiście.

– Tak właśnie kręci się ten świat. W spirali ukrytych myśli. Co się stało z jego ręką?

– Urwało mu w czasie wojny domowej w Hiszpanii, kiedy miał dziewięć lat.

– Ale wcześniej coś z nią było nie tak, prawda? Niezagojona rana, ukąszenie...? Sam nie wiem, w każdym razie coś nie zakończonego, tak?

– Drobnostka – wytchnął Adamsberg. – Swędzące ukąszenie pająka.

– Zawsze będzie się drapał – skwitował lekarz fatalistycznie. – To jest tutaj – dodał, stukając się w czoło – wyryte w neuronach, które dotąd nie zrozumiały, że ręki nie ma. Lata płyną i rozum nic na to nie poradzi.

– To po co jest?

– Żeby uspokajać ludzi, a to już dużo.

Wrócił Lucio z trzema kieliszkami zawieszonymi na palcach i butelką pod kikutem. Postawił wszystko na ziemi pod zadaszeniem, przeciągłym spojrzeniem obrzucił kociaka przyklejonego do sutka matki.

– Nie pęknie? Nie przeje się?

– Nie – uspokoił go lekarz.

Lucio pokręcił głową, nalał do kieliszków i poprosił, żeby wypić za zdrowie małej.

- Pan doktor wiedział o tym z twoją ręką – powiedział Adamsberg.
- A pewnie – przytaknął Lucio. – Ukąszenie pająka, drapanie na wieki wieków.

XII

– Z tego gościa może i jest as – powiedział Lucio – ale nie chciałbym, żeby dotykał mojej głowy. Jeszcze bym się wziął znowu za ssanie.

Właśnie to robi w tej chwili, zauważył w duchu Adamsberg, Lucio bowiem ssał brzeg kieliszka, smoktając głośno. Zasadniczo wolał pić z butelki. Kieliszki wyjął jedynie z tej okazji, że częstował gościa. Lekarz pożegnał się już dobrą godzinę wcześniej, a oni we dwóch kończyli butelkę pod zadaszeniem, czuwając nad śpiącą kocią rodziną. Lucio był zdania, że wino muszą dopić, inaczej skwaśnieje. Albo wypić wszystko, albo w ogóle nie zaczynać.

– Ja też nie życzę sobie, żeby się do mnie zbliżał – wyznał Adamsberg. –

Tylko dotknął mnie palcem tu – wskazał miejsce na karku – i jakby się wszystko zmaciło. „Ciekawy przypadek”, powiedział.

– W języku doktora znaczy, że coś nie gra.

– Ano.

– Póki to zmaczenie ci nie wadzi, nie ma co się martwić.

– Lucio, załóż na chwilę, że jesteś Èmile'em.

– Załatwione – zgodził się Lucio, który w życiu nie słyszał o Èmile'u.

– Zadymiarz, nie panuje nad sobą, pięćdziesiąt trzy lata, rozsądny i awanturnik, uratowany przez starego maniaka, który zatrudnia go jako człowieka do wszystkiego, łącznie z długimi partyjkami w kółko i krzyżyk wieczorem przy kominku i dwóch kieliszkach wiśniówki.

– O, nie! – zaoponował Lucio. – Po wiśniówce mnie mdli.

– Ale załóżmy, że jesteś Èmile'em i że stary częstuje cię wiśniówką.

– No dobra, załóżmy – zgodził się niechętnie Lucio.

– Zapomnij o wiśniówce. Weź coś innego, to nie ma większego znaczenia.

– W porządku.

– Załóżmy, że twoja stara matka mieszka w domu opieki, a pies został oddany do gospodarstwa na wsi, że masz za sobą w sumie jedenaście lat odsiadki... i że co sobotę wsiadasz do furgonetki, żeby zabrać matkę na kolację, a później odwiedzasz psa, przywożąc mu mięso w prezencie.

– Moment. Nie mogę sobie zwizualizować furgonetki.

Lucio nalał dwa ostatnie kieliszki.

– Niebieska, obła karoseria, lakier bez połysku, tylna szyba przyciemniona, na dachu zamocowana zardzewiała drabina.

– Już mam.

– Założmy, że czekasz na zewnątrz na psa, który przeskakuje przez ogrodzenie gospodarstwa, potem je z tobą. Kawał nocy spędzasz z kundlem w tyle furgonetki, około czwartej nad ranem odjeżdżasz.

– Moment. Nie wizualizuję psa.

– A matkę? Ją wizualizujesz?

– Bardzo wyraźnie.

– Pies długowłosa, wielkości piłki, brudnobiały z paroma łatami, uszy obwisłe, kundel o dużych ślepiach.

– Widzę.

– Założmy, że stary maniak został zamordowany i tobie zapisał majątek na niekorzyść własnego syna. Założmy, że gliny cię podejrzewają i chcą przymknąć.

– Tu nie ma co zakładać. Chcą mnie przymknąć.

– Tak. Założmy, że dowalasz w jaja gliniarzowi, drugiemu łamiesz żebro i zwiewasz.

– Załatwione.

– Co robisz dla matki?

Lucio posłał brzeg kieliszka.

– Nie mogę do niej jechać, bo gliny pilnują domu opieki. No to wysłałam list, żeby się nie martwiła.

– Co robisz dla psa?

– Wiedzą, gdzie on jest?

– Nie.

– No to jadę do niego pogadać, uspokoić go, na wypadek gdybym musiał wyjechać, powiedzieć mu, żeby się nie przejmował, bo wrócę.

– Kiedy?

– Kiedy wrócę?

– Nie. Kiedy jedziesz do psa.

– No od razu. Bo jakby mnie dopadli, muszę wcześniej uprzedzić psa. A co do matki... ta matka ma wszystkie klepki w głowie?

– Tak.

– Super. Czyli jak trafię do pudła, gliniarze powiadomią matkę. Psa za to nie powiadomią. No jakże!... Nie ma siły. Czyli z psem muszę sam załatwić. I to jak najszybciej.

Adamsberg przejechał palcami po puszystym brzuszku Cudnej, przelał

zawartość swojego kieliszka do kieliszka Lucia i wstał, drapiąc się po tyłku.

– Słuchaj, *hombre* – odezwał się Lucio, podnosząc swą wielką dłoń. – Jak chcesz zobaczyć gościa, zanim on zobaczy psa i zanim pies zobaczy gliniarzy, musisz jechać już.

– Nie powiedziałem, że to zrobię.

– Ano nie powiedziałeś.

Adamsberg jechał powoli świadom, że zmęczenie i wypite wino ograniczają jego możliwości. Wyłączył telefon komórkowy i GPS w samochodzie, na wypadek gdyby znalazł się policjant równie sprytny jak Lucio, co nie było szczególnie powszechne, nawet w opowieściach Mordenta. Nie miał żadnego konkretnego planu w związku z tym psubratem Èmile'em. Chciał tylko zrobić to, co powiedział Lucio: dotrzeć do Châteaudun, zanim gliniarze dotrą do psa. Dlaczego? Czy dlatego, że końskie łajno było inne? Nie. Nie wiedział o tym, kiedy pozwolił Èmile'owi uciec – o ile to uczynił. No więc? Czy dlatego, że Mordent przeciął jego drogę niczym bawół? Nie, Mordent gonił w piętę, i tyle. Czy zatem dlatego, że Èmile to dobry człowiek? Nie, Èmile nie jest dobrym człowiekiem. Czy dlatego, że Èmile'owi groziło, że zdechnie z głodu jak szczur z powodu głupoty przygnębianego gliniarza? Być może. I odstawienie go do pudła było lepsze niż zostawienie w krzakach?

Adamsberg nie był mocny w dociekaniach na temat różnych „być może” w odróżnieniu od Danglarda, który za nimi przepadał do szaleństwa, tak bardzo wabiła go czarna otchłań antycypacji. Jechał do gospodarstwa, licząc, że żaden policjant nie słyszał jego porannej rozmowy z Èmile'em psubratem, Èmile'em dziedzicem, właścicielem posiadłości w Garches i w Vaucresson. A tymczasem Danglard przeżywał w tej chwili katusze gdzieś w tunelu pod La Manche, opijając się szampanem, wszystko zaś tylko dlatego, że zadał sobie pytanie, czy być może jakiś czubek nie odciął stóp jego wujowi, ewentualnie kuzynowi wuja gdzieś tam, w odległych górach. Mordent natomiast gapił się w ściany więzienia we Fresnes i na Boga, co można zrobić dla Mordenta?

Zaparkował samochód na poboczu w cieniu drzew i ostatnie pięćset metrów przeszedł na piechotę, posuwając się wolno i próbując się zorientować w terenie. Ogrodzenie, przez które przesakiwał pies, ale jakie ogrodzenie? Przez pół godziny krążył wokół gospodarstwa – trzy czwarte mleczne, jedna

czwarta mięsne – nogi go rozboleły, zanim zlokalizował najbardziej prawdopodobne ogrodzenie. W oddali inne psy ujadły, czując jego obecność, toteż w końcu przywarł do drzewa i znieruchomiał, sprawdzwszy broń. Powietrze pachniało końskim łajnem, co go podniosło na duchu jak każdą ludzką istotę. Nie zasnąć, czekać, liczyć, że Lucio miał słuszość.

Słabe skomlenie, cichutka nieregularna skarga docierała do niego w nierównych odstępach czasu niesiona ciepłym wiatrem zza ogrodzenia, z odległości może pięćdziesięciu metrów. Jakieś uwięzione stworzonko? Szczur w zaroślach? Kuna? W każdym razie nic większego. Adamsberg wygodniej oparł się o drzewo, podciągnął nogi i zaczął się lekko kołysać, aby nie zasnąć. Wyobraził sobie trasę Èmile'a z Garches tutaj, pieszo i autostopem z zawodowymi kierowcami, którzy nie bardzo zwracają uwagę na wygląd faceta, jeżeli płaci. Rano Èmile na kombinezonie miał cienką bluzę, dość poplamioną, z wystrzępionymi mankietami. Adamsbergowi stanęły przed oczami dłonie Èmile'a, zaraz też wspomniał jego słowa. Dwie dłonie naprzeciwko siebie pokazujące wielkość pieska. „Jest o, taki, nie większy”. Adamsberg przyklęknął na jednym kolanie i wsłuchał się w uporczywy lament. Jest o, taki, nie większy. Jego pies.

Posuwając się wolniutko, przybliżał się ku lamentującemu stworzeniu. W końcu trzy metry przed sobą dostrzegł białe futro psa, który krążył jak oszalały wokół leżącego człowieka.

– O cholera, Èmile!...

Adamsberg uniósł go lekko za ramię i przyłożył palce w zagłębieniu szyi. Serce biło. W miejscach rozdarcia ubrania pies nerwowo lizał mężczyznę po brzuchu, podbiegał do uda, znowu lizał, skomlał cichutko. Przerwał na chwilę, by przyjrzeć się Adamsbergowi, szczerzył się, jakby mówił: fajnie, że mam pomocnika, stary. Następnie wrócił do swojego zajęcia, szarpał za spodnie, lizał udo, jakby chciał zostawić na nim jak najwięcej śliny. Adamsberg zapalił latarkę, oświetlił twarz Èmile'a, spoconą i brudną. Èmile Zadymiarz leżał pokonany, pieniądze szczęścia nie dają.

– Nic nie mów – polecił Adamsberg.

Podtrzymując mu głowę lewą ręką, ostrożnie wsunął palce pod kark, obmacał całą czaszkę z góry na dół, od przodu do tyłu. Ran nie było.

– Na „tak” przymknij powieki. Czujesz nogę? Dotykam jej.

Mrugnięcie.

– A drugą? Dotykam jej. Mrugnięcie.

– Widzisz moją rękę? Wiesz, kim jestem?

– Inspektor.

– Zgadza się. Jesteś ranny w brzuch i w nogę. Pamiętasz, co się stało?

Biłeś się?

– Nie. Ktoś strzelał. Cztery razy, dwa razy trafił. Tam, przy wieży ciśnień.

Èmile wskazał ręką na lewo. Adamsberg wpatrzył się w ciemność, zgasił latarkę. Wieża ciśnień wznosiła się w odległości około stu metrów przed zagajnikiem, który Èmile musiał przebyć, gdy czołgał się ku ogrodzeniu i niemal do niego dotarł. Strzelec mógł wrócić.

– Nie ma czasu czekać na karetkę. Spadamy stąd raz-dwa. – Adamsberg szybko obmacał mu plecy. – Masz fart, kula wyszła z boku, ominęła kręgosłup. Za dwie minuty podjadę tu wozem. Powiedz psu, żeby przestał skomleć.

– Zamknij się, Kupidon.

Adamsberg podjechał samochodem z wyłączonymi światłami jak najbliżej Èmile'a, opuścił przednie siedzenie pasażera. Z tyłu ktoś zostawił beżowy prochowiec, na pewno należał do komisarz Froissy, zawsze nienagannie ubranej. Rozciął go paroma ruchami noża, oderwał rękawy, podzielił resztę na dwa długie pasy, natknął się na kieszenie zewnętrzne i wewnętrzne wypchane do cna. Wytrząsnął z nich wszystko w ciemności, zobaczył wypadające puszki pasztetu, suszone owoce, herbatniki, małą butelkę wody mineralnej, cukierki, ćwiartkę wina w kartonie i trzy buteleczki koniaku jak dla lalki podawanego w barach w pociągu. Odruchowo poczuł litość do swojej komisarz, zaraz potem wdzięczność. Przydadzą się zapasy zgromadzone przez Froissy w neurotycznej potrzebie.

Cichy teraz pies odsunął się od ran, pozwalając, by inspektor go zmienił. Adamsberg szybko oświetlił ranę brzucha, porządnie oczyszczoną – Kupidon dokładnie wylizał brzegi – odsunął skraj koszuli, strząsnął ziemię.

– Twój pies się napracował.

– Psia ślina działa antyseptycznie.

– Tego nie wiedziałem – rzekł Adamsberg, owijając rany pasami płótna.

– Zdaje mi się, że w ogóle niewiele wiesz.

– A ty? Wiesz, ile rąk ma Siwa? Wiedziałem przynajmniej, że będziesz tu dzisiaj. Przenieś cię, staraj się nie wrzeszczeć.

– Strasznie chce mi się pić.

– Później.

Adamsberg ułożył Èmile'a w samochodzie, ostrożnie wyprostował mu nogi.

– Wiesz co? – powiedział. – Zabieramy psa.

– No – przytaknął Èmile.

Adamsberg jakieś pięć kilometrów przejechał ze zgaszonymi światłami, później nie wyłączając silnika, zahamował przy wjeździe na szosę. Otworzył butelkę z wodą, lecz zatrzymał się w pół ruchu.

– Nie mogę dać ci pić – oznajmił. – Wyobraź sobie, że masz przedziurawiony żołądek. – Wrzucił bieg i wjechał na drogę departamentalną. – Do szpitala w Châteaudun jest dwadzieścia kilometrów. Wytrzymasz?

– Rozmawiaj ze mną. W głowie mi się kręci.

– Patrz prosto przed siebie. Ten, kto do ciebie strzelał... widziałeś go?

– Nie. Strzelał zza wieży ciśnień. Czekał na mnie, to na pewno. Cztery kulki, jak mówiłem, i tylko dwie trafiły. To nie zawodowiec. Upadłem, słyszałem, jak biegnie w moją stronę. Udawałem, że nie żyję, próbowałem zbadać mi puls, sprawdzić, czy mnie wykończył. Spanikowałem, bo mogłem jeszcze ze dwa razy walnąć z bliska, żeby mieć pewność.

– Spokojnie, chłopie.

– No. Na skrzyżowaniu zatrzymał się samochód i wtedy facet się wystraszył, zmykał jak zajac. Odczekałem trochę bez ruchu, później zacząłem się człogać w stronę gospodarstwa. Nie chciałem, żeby Kupidon czekał na mnie dziesięć lat, w razie gdybym kojfnął. Czekanie to nie życie... Nie wiem, jak się nazywasz.

– Adamsberg.

– Czekanie, Adamsberg, to nie życie. Zdarzyło ci się, że musiałeś czekać? Długo czekać?

– Tak myślę.

– Na kobietę?

– Tak myślę.

– No, to nie życie.

– Ano nie – potwierdził Adamsberg.

Èmile'em wstrząsnęło, oparł się o drzwi.

– Jeszcze tylko jedenaście kilometrów – rzekł Adamsberg.

– Mów, ale ja już nie bardzo mogę.

– Zostań ze mną. Będę zadawał pytania, a ty odpowiadaj „nie” albo „tak”.

Jak w tej grze.

– Odwrotnie – wycharczał Èmile. – W grze nie wolno mówić „nie” i „tak”.

– Słusznie... Facet czekał na ciebie, to pewne. Powiedziałeś komuś, że jedziesz do gospodarstwa?

– Nie.

– O tym miejscu wiedział tylko Vaudel, a teraz ja?

– Tak.

– Ale Vaudel mógł komuś opowiedzieć o psie? Na przykład synowi?

– Tak.

– Jemu nic nie daje twoja śmierć, przypadająca na ciebie część spadku nie przechodzi na niego, jeżeli umrzesz. Tak stoi w testamencie.

– Gniew.

– Na ciebie? To na pewno. A ty spisałeś testament?

– Nie.

– Nikt po tobie nie dziedziczy? Na pewno nie masz dzieci?

– Tak.

– Stary nie dał ci czegoś na przechowanie? Jakichś dokumentów? Może coś ci wyznał, powiedział o wyrzutach sumienia?

– Nie... Ciebie też ktoś mógł śledzić – wydusił z siebie Èmile.

– Wiedział tylko jeden człowiek. – Adamsberg pokręcił głową. – Stary jednoręki Hiszpan bez samochodu. A do ciebie strzelano wcześniej.

– Tak.

– Jeszcze tylko trzy kilometry. Ciebie też mógł śledzić od szpitala w Garches. Trzy radiowozy, jasna wskazówka, że tam jesteś. Ukrywałeś się w szpitalu?

– Przez dwie godziny.

– Gdzie?

– Na SOR-ze. W poczekalni z innymi.

– Nieźle. Nie widziałeś za sobą nikogo, kiedy wyszedłeś?

– Nie. Chyba tylko motor.

Adamsberg zatrzymał wóz jak najbliżej wejścia na oddział ratunkowy, pchnął dwuskrzydłowe drzwi z żółtego plastiku, zaalarmował zmęczonego lekarza, machnął legitymacją, żeby go ponaglić. Kwadrans później Èmile leżał na noszach z kroplówką wklutą w rękę.

– Pies nie może zostać – powiedziała pielęgniarka, podając Adamsbergowi ubranie Èmile'a wrzucone do worka.

– Wiem – odparł Adamsberg, odrywając Kupidona od nóg Èmile'a. –

Posłuchaj, Èmile: nie zgadzaj się na żadne wizyty, niczyje. Wydam polecenia recepcji. Gdzie chirurg?

– Na bloku.

– Proszę mu powiedzieć, żeby koniecznie zachował pocisk, który utkwiał w nodze.

– Moment – odezwał się Èmile, gdy nosze już ruszały. – Jakbym tak kojfnął... Vaudel poprosił mnie o coś, gdyby umarł.

– A widzisz.

– Ale to tylko taka sercowa sprawa. Powiedział, że kobitka jest leciwa, ale i tak apetyczna. Szyfrem coś napisał, nie ufał mi. Po jego śmierci miałem to wysłać. Kazał przysiąc.

– Gdzie ten list? I adres?

– W moich ciuchach.

XIII

Puszki pasztetu, herbatniki, kartonik wina nienadającego się do picia – tylko o tym myślał Adamsberg, idąc na parking. W innym czasie i miejscu cel ów byłby dla niego powodem do smutku, chwilowo jednak tworzył urokliwą strefę czystej przyjemności i ukierunkowywał jego energię. Zasiadłszy na tylnej kanapie samochodu, porozkładał smakołyki Froissy. Konserwy nie potrzebowały otwieracza, aby się do nich dostać, do kartonika z winem przyczepiono słomkę – można było pokładać ufność w praktyczny zmysł komisarz Froissy, która sięgała szczytów w swojej specjalności inżyniera dźwięku. Rozsmarował pasztet na herbatniku, zjadł, ciekawy w smaku melanz słodkosłony. Drugą „kanapkę” przygotował dla psa, znów dla siebie i tak na przemian, póki nie opróżnili dwóch puszek. Dogadywał się z psem bez problemu. Wydawało się jasne, że skoro walczyli razem na wojnie, ich przyjaźń nie potrzebuje uzasadnienia ani przeszłości. Adamsberg wybaczał więc Kupidonowi, że cuchnie gnojem i że zasmrodził wewnątrz samochodu. Nalał mu wody do popielniczki, dla siebie otworzył kartonik z winem. Sikacz – bo inaczej nie można tego nazwać – popłynął przez jego organizm, kwasem zaznaczając pełne kontury układu pokarmowego. Wysączył go do dna, dość nawet zadowolony z tego pieczenia, prawdą jest bowiem, że lekki ból pozwala czuć, że człowiek żyje. Prawdą także było, że przepełniało go szczęście, iż znalazł Èmile'a, zanim facet wykrwawił się w trawie do wtóru skomlenia psa. Szczęśliwy zatem, niemal w euforii, przez chwilę z podziwem oglądał doskonałość buteleczek koniaku dla lalek, po czym wsunął je do kieszeni.

Póллеżąc na siedzeniu wygodnie jak w hotelowym salonie, wybrał numer Mordenta. Danglard w głowie miał teraz jedynie stopy wujka, a Retancourt spała i chciał, aby wypoczęła, bo od dwóch dni była na nogach. Mordent natomiast palił się do działania, aby oderwać się od trosk, co tłumaczyło jego poranną absurdalną wyrywność. Adamsberg spojrział na zegarki na przegubie, tylko jeden świecił w ciemnościach. Było mniej więcej kwadrans po pierwszej w nocy. Czyli minęło półtorej godziny, odkąd znalazł Èmile'a, dwie i pół godziny, odkąd do niego strzelano.

– Poczekam, aż się przebudzicie, Mordent. Nie spieszcie się.

– Niech pan mówi, nie spałem.

Adamsberg położył dłoń na Kupidonie, aby uciszyć jego popiskiwanie, i wsłuchał się w lekki szum tła w telefonie. Szum świata zewnętrznego, a nie mieszkania. Jadących samochodów, warkotu ciężarówki. Mordent nie był w domu. Tkwił na pustej ulicy we Fresnes wgapiony w mury.

– Dopadłem Èmile'a Feuillanta, komendancie. Z dwoma pociskami w ciele, jest w szpitalu. Atak nastąpił przed dwudziestą trzecią w szczerym polu dwadzieścia kilometrów od Châteaudun. Zlokalizujcie mi Pierre'a Vaudela, sprawdźcie, czy wrócił do domu.

– Normalnie wrócił, szefie. Powinien dojechać do Awinionu o dziewiętnastej.

– Ale pewności nie mamy, inaczej nie prosiłbym, żebyście to sprawdzili. Zróbcie to zaraz, zanim zdąży dojechać. Nie telefonicznie, bo mógł zlecić przekierowywanie rozmów. Poślijcie na miejsce awiniońską policję.

– Pod jakim zarzutem?

– Vaudel jest ciągle pod kontrolą, ma zakaz opuszczania kraju.

– Nic nie zyskuje na śmierci Èmile'a. Według testamentu po śmierci Èmile'a jego część przechodzi na matkę.

– Mordent, proszę o sprawdzenie Vaudela i przekazanie mi informacji. Zadzwońcie, jak tylko będziecie wiedzieli.

Adamsberg wziął worek z ubraniami Èmile'a, wyjął poplamione krwią spodnie, w prawej tylnej kieszeni znalazł kartkę – nietkniętą. Złożoną w ósmioro, wciśniętą głęboko. Pismo było podłużne i kształtne, należało do Vaudela ojca. Adres w Kolonii, Kirchstrasse 34, frau Abster. I jeszcze: *Bewahre unser Reich, widerstehe, auf dass es unantastbar bleibe*. Na końcu niezrozumiałe słowo zapisane dużymi literami: КИСЛОБА. Vaudel kochał się w pani z Niemiec. Mieli swoje hasło jak nastolatki.

Zawiedziony Adamsberg wsunął kartkę do własnej kieszeni, ułożył się na tylnym siedzeniu i w jednej chwili usnął, zaledwie zdążywszy poczuć, że Kupidon przytula mu się do brzucha z łebkiem opartym o jego dłoń.

XIV

Ktoś pukał w szybę. Facet w białej bluzie krzychał na zewnątrz, gestykulując. Zaspany Adamsberg podniósł się na łokciu, łupało go w kolanach.

– Coś się stało? – dopytywał mężczyzna w napięciu. – To pana fura?

W świetle dziennym – co Adamsberg stwierdził jednym rzutem oka – samochód pod każdym względem istotnie zaświadczał o tym, że coś się stało. A najpierw sam Adamsberg z rękami pokrytymi zaschniętą krwią, w pogniecionym ubraniu powalany ziemią. Następnie pies z mordką umorusaną po wylizywaniu ran, posklejaną sierścią. Prawe przednie siedzenie poplamione, ciuchy Èmile'a zwinięte w krwawy kłęb, porzucane puszki po konserwach, kawałki sucharów, pusta popielniczka, nóż. Na podłodze zgnieciony karton po winie i rewolwer Adamsberga. Istny chlew uciekającego przestępcy. Do gościa w białej bluzie dołączył drugi, bardzo wysoki, o bardzo ciemnych włosach i w ofensywie.

– Przykro mi – powiedział – ale musimy interweniować. Kolega wzywa policję.

Adamsberg wyciągnął rękę do drzwi, aby opuścić szybę, w przelocie zerknął na zegarki. Dochodziła dziewiąta rano, szlag by to, i nic go nie obudziło, nawet telefon od Mordenta.

– Proszę nie wysiadać – ostrzegł ten wyższy, opierając się o drzwi.

Adamsberg wyjął swoją legitymację i przyłożył ją do szyby, aby pielęgniarzy ogarnęły wątpliwości. Następnie opuścił szybę i podał im dokument.

– Policja – powiedział. – Młodszy inspektor Adamsberg, brygada kryminalna. Po pierwszej w nocy przywiozłem tu postrzelonego człowieka. Èmile Feuillant, mogą panowie sprawdzić.

Niższy wybrał na telefonie trzycyfrowy numer i odszedł parę kroków, aby porozmawiać.

– W porządku – oświadczył – potwierdzają. Może pan wysiąść.

Na parkingu Adamsberg rozruszał nogi i ramiona, otrzepał z grubsza kurtkę.

– To wygląda jak po mordobiciu – rzekł ten wyższy nagle zaciekawiony.

- Pan też się nieciekawie prezentuje. Skąd mieliśmy wiedzieć?
 - Sorry. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem.
 - Mamy prysznic, zjeść też można, jeśli pan chce. Ale co do reszty – ciągnął, oceniając wzrokiem jego postać, a może i samego Adamsberga – nic się nie da zrobić.
 - Dziękuję, przyjmuję propozycję.
 - Pies nie może wejść.
 - Nie mogę go wziąć ze sobą i wykąpać?
 - Niestety, nie.
 - Trudno. Przystawię auto w cień i zaraz wracam.
- Po pobycie na świeżym powietrzu smród w samochodzie był nie do zniesienia. Adamsberg nalał wody do popielniczki, wyjął parę sucharków, wytłumaczył Kupidonowi, że niedługo wróci, zabrał broń i kaburę. To był jeden z ulubionych samochodów Justina pedantycznego, toteż zależało mu na wypucowaniu kabiny na błysk, zanim go zwróci.
- Nie twoja wina, że śmierdzisz – powiedział do psa. – Ale tutaj śmierdzi wszystko, ja też. Więc się nie przejmuj.

Pod prysznicem Adamsberg uświadomił sobie, że wykąpanie Kupidona nie leży w jego interesie. Śmierdział psem, ale również błotem z gospodarstwa i lekko zalatywał końskim łajnem. Może jakieś drobinki uczepliły się jego sierści. Włożył ubranie, brudne, lecz otrzepane jak najlepiej, i poszedł do pokoju pielęgniarek. Kawa czekała w termosie, były konfitury i pieczywo.

- Wywiedzieliśmy się, co i jak – powiedział pielęgniarz, ten wysoki brunet, który na imię miał André, jak informował identyfikator przypięty do bluzy. – Silny facet, stracił dużo krwi. Perforacja żołądka, uszkodzony mięsień biodrowo-łędźwiowy, ale pocisk tylko otarł się o kość. Wszystko poszło dobrze, raczej nie będzie problemów. Ktoś chciał go zabić?

- Tak.
- Aha – rzekł pielęgniarz z niejaką satysfakcją.
- Kiedy będzie można go przewieźć? Muszę go przenieść gdzie indziej.
- Z naszym szpitalem coś nie tak?
- Przeciwnie – odparł Adamsberg, dopijając kawę. – Ale ten, kto chciał go zabić, tutaj będzie go szukał.
- A, kumam – powiedział André.
- Nie wolno do niego nikogo wpuszczać. Żadnych kwiatów, żadnych prezentów. Niczego nie wnosić do jego pokoju.
- Kumam, może pan na mnie liczyć. Chirurgia gastroenterologiczna to

mój korytarz. Przypuszczam, że lekarz zezwoli na transport za dwa dni. Proszę pytać doktora Lavoisiera.

– Lavoisier jak ten słynny Lavoisier?

– Zna go pan?

– Jeżeli trzy miesiące temu pracował w Dourdan, to tak. Wyprowadził ze śpiączki jednego z moich komisarzy.

– Niedawno został tu ordynatorem chirurgii. Dziś pan go tu nie znajdzie, miał cztery operacje w nocy, teraz odpoczywa.

– Proszę mu o mnie powiedzieć... a zwłaszcza o Violette Retancourt, będzie pan pamiętał? I żeby mi pilnował tego Èmile'a, i żeby w pełnej dyskrecji znalazł mu jakąś metę.

– Kumam – powtórzył pielęgniarz. – Już my tu dopilnujemy panu tego Èmile'a. Ale wygląda mi na cholernego upierdliwca.

– Bo jest upierdliwy – przyznał Adamsberg, ściskając mu dłoń.

Na parkingu chciał włączyć telefon komórkowy. Bateria padła. Wrócił do szpitala, zadzwonił do brygady z telefonu publicznego. W dyżurce siedział sierżant Gardon, niezbyt rozgarnięty, zawsze gorliwy, z sercem na dłoni, nienadający się do tego fachu.

– Mordent jest w biurze? Dajcie mi go, Gardon.

– Jeśli wolno, panie inspektorze, proszę łagodnie. Dziś w nocy jego córka waliła głową w ścianę, aż krew się połała. Nic wielkiego się nie stało, ale komendant chodzi jak zombie.

– O której to się stało?

– Chyba koło czwartej. Noël mi powiedział. Już łączę z komendantem.

– Mordent? Mówi Adamsberg. Dzwoniliście do mnie?

– Nie, przepraszam – rzekł Mordent głucho. – Chłopacy z Awinionu nie bardzo się palili, prawdę mówiąc, pyskowali, że mają co innego do roboty z dwoma wypadkami drogowymi i gościem, który wlaźł ze strzelbą na mury obronne. Są przeciążeni.

– Do diabła, Mordent, trzeba było nalegać. Że morderstwo i tak dalej.

– Tak zrobiłem, ale odezwali się dopiero o siódmej rano, kiedy zaszli do Vaudela. Był w domu.

– Żona też?

– Tak.

– No trudno... Trudno.

Adamsberg wrócił do auta niezadowolony, poopuszczał wszystkie szyby i ciężko usiadł za kierownicą.

– O siódmej – powiedział do psa. – Sam widzisz, że Vaudel miał czasu aż nadto, by wrócić do domu. Tak że nigdy się nie dowiemy. Źle się stało, Mordent nie nalegał, możesz być pewny. Głowę ma czym innym zaprzątniętą, nadętą jak balon, niesioną wiatrem rozpaczy. Przekazał polecenie do Awinionu i umył ręce. Powinienem był to przewidzieć, zrozumieć, że Mordentowi aż tak robota leci z rąk. Nawet Estalère lepiej by sobie poradził.

Kiedy dwie godziny później z psem pod pachą wszedł do siedziby brygady, nikt tak naprawdę się z nim nie przywitał. W biurze panowało szczególne poruszenie, pod jego wpływem agenci ganiłi z pomieszczenia do pomieszczenia jak rozregulowane mechanizmy, wszechobecny był zapach porannego potu. Mijali się, nie bardzo zauważając się nawzajem, wymieniali lakoniczne słowa, zdawali się unikać inspektora.

– Coś się stało? – spytał Adamsberg Gardona, który nie wyglądał na przejętego.

Generalnie wszelkie perturbacje docierały do sierżanta z kilkugodzinnym opóźnieniem i mocno osłabione niczym wiatr od Bretanii docierający do Paryża.

– Chodzi o to w gazecie – wyjaśnił – i o to, co przyszło z laboratorium. Tak myślę.

– Świetnie, Gardon. Beżowy wóz, dziewiątka... trzeba z nim jechać do mycia. Niech się postarają, krew, błoto, w ogóle bałagan.

– Będzie z tym problem jak cholera. Tak myślę.

– Dadzą radę, pokrowce są podfoliowane.

– Mówię o psie. Przygarnął pan psa?

– Tak. Ma na sobie końskie łajno.

– Przy kocie będą straty. Nie wiem, jak sobie z tym poradzimy.

Adamsberg niemal poczuł zazdrość. Gardon i Estalère mieli jedną wspólną cechę: nie stosowali skali ważności, nie byli w stanie szeregować spraw według znaczenia. A przecież sierżant tak jak inni widział straszną jatkę w Garches. No chyba że była to jego metoda samoobrony, a w takim razie niewątpliwie miał słuszność. Słuszność miał również, martwiąc się o to, jak dogada się pies z kotem. Zwłaszcza że dorodny apatyczny kocur, który mieszkał w siedzibie brygady, nie był skory do ruchu, głównie bowiem leżał plackiem na ciepłej pokrywie jednej z fotokopiarek. Trzy razy dziennie agenci – w szczególności Retancourt, Danglard i Mercadet, bardzo wyczulony na punkcie kociej ospałości – musieli prznosić

jedenastokilogramowego zwierzaka do miski i czekać przy nim, aż zje. Dlatego w końcu przy misce ustawiono krzesło, aby agenci mogli pracować, nie niecierpliwiąc się ani nie ponaglając kota. Całość ulokowano obok sali z dystrybutorem napojów, bywało zatem, że mężczyźni, kobiety i kocur razem zaspokajali pragnienie przy dozowniku wody. Kiedy o tej fanaberii dowiedział się inspektor Brézillon, oficjalnym pismem zażądał natychmiastowego usunięcia kota. Przed jego odbywaną co kwartał inspekcją – której celem było głównie wpienianie wszystkich, zważywszy na bezdyskusyjne sukcesy brygady – starannie uprzątno materace służące jako leże Mercadetowi, pisma ichtiologiczne Voiseneta, butelki i słowniki Danglarda, czasopisma pornograficzne Noëla, zapasy żywnościowe Froissy, koszyk i miskę kota, olejki eteryczne Kernorkiana, przenośny odtwarzacz Maurela, papierosy Retancourt, słowem wszystko, aż wnętrza prezentowały się w pełni operacyjnie i nie nadawały się do życia.

Podczas fazy uprzątnania tylko kot sprawiał problemy, miauczał bowiem przeraźliwie, kiedy próbowano zamknąć go w szafie. Wobec tego ktoś z brygady zabierał go na podwórko na tyłach budynku i czekał z nim w samochodzie, póki Brézillon nie poszedł. Adamsberg z góry zapowiedział, że nie usunie dwóch okazałych jelenich poroży, które spoczywały na podłodze w jego biurze, argumentując, że to koronny dowód w sprawie prowadzonej niedawno. W miarę upływu czasu – mijały trzy lata, jak dwudziestu ośmiu agentów wprowadziło się do tego budynku – operacja oczyszczania stawała się coraz dłuższa i trudniejsza. Obecność Kupidona niczego by w tym nie zmieniła, ale i tak zasadniczo miał zostać tylko na trochę.

XV

Dopiero gdy Adamsberg znalazł się na środku dużego pomieszczenia, faktycznie zauważono jego brudne ubranie, zarośnięte policzki i ubłoconego psa pod pachą. Zaraz też skwapliwie przysunięto krzesła, tworząc wokół niego krąg. Inspektor opowiedział, co się stało w nocy, o Èmile'u, gospodarstwie, szpitalu, psie.

– Wiedział pan, gdzie pójdzie, i kazał mi pan za nim ganiać? – powiedziała z wyrzutem Retancourt.

– Dużo później przypomniałem sobie o psie – skłamał Adamsberg. – Dopiero po rozmowie z lekarzem Vaudela.

Retancourt pokręciła głową z widocznym niedowierzaniem.

– I co ten lekarz? – spytał Justin swym wątlwym głosem.

– Na razie mówi nam o Vaudelu tyle, ile my jemu o zbrodni. Walka na tajemnice zawodowe, każdy się okopał na swoich pozycjach.

– Nie będzie tajemnicy, skończy się walka – zauważył Kernorkian ledwie słyszalnie.

– Mimo wszystko lekarz twierdzi, że Vaudel miał wrogów, chociaż raczej wyimaginowanych. On wie coś więcej na ten temat. Facet jest dobry, potrafił nastawić szczękę, żeby dało się ssać.

– Vaudelowi?

Adamsberg nie miał ochoty popatrzeć na Estalère'a – czasami można by sądzić, że sierżant robi to umyślnie. Ale zerknął na Maurela, który szybko pisał w notesie. Dowiedział się kiedyś, że Maurel zapisuje głupie odzywki Estalère'a, kolekcjonuje je – ot, taki bzik, zdaniem Adamsberga wcale nie niewinny. Maurel zauważył jego spojrzenie i zamknął notes.

– Sprawdziliśmy, czy Pierre junior był w Awinionie, kiedy po strzelono Èmile'a? – zapytał Voisenet.

– Mordent się tego podjął. Ale awiniońscy gliniarze dali ciała, przegapili porę, kiedy miało to sens.

– Cholera, było ich pocisnąć.

– Pocisnął – uciął Adamsberg, by chronić Mordenta i jego głowę-balon zagubioną w przestworzach. – Gardon mówi, że przyszły wyniki z laboratorium.

Danglard podniósł się automatycznie. Pamięć, wiedza i syntetyczny umysł predysponowały go do streszczania raportów naukowych. Tego dnia Danglard stał niemal prosto, z cerą niemal świeżą, miną niemal ożywioną, zregenerowany po drugim zanurzeniu się w brytyjskie klimaty.

– Jeśli chodzi o ciało, szacuje się, że zostało podzielone na jakieś czterysta sześćdziesiąt części, z tego prawie trzysta kawałków następnie poszatковано albo prawie poszatковано. Niektóre pocięto siekierą, inne piłą tarczową na drewnianym pniaku. W próbkach pozostały drzazgi, kiedy używano siekiery, i pył drzewny, kiedy posługiwano się piłą. Na tym samym pniaku dokonywano miażdżenia. Drobin y miki i kwarcu wbite w szczątki wskazują, że morderca kładł dany kawałek na pniaku i przyciskał granitowym kamieniem, w który walił młotem. Szczególnie pastwiono się nad wszelkimi stawami: skokowym, nadgarstkowym, kolanowym, łokciowym, nad głową kości ramiennej i udowej, a także nad zębami zmiażdżonymi na proszek i nogami na wysokości stępu i śródstopia. Kości palucha też są zmiażdżone, ale pozostałe palce, od drugiego do piątego, już nie. Najmniej uszkodzone są dłonie z wyjątkiem nadgarstków, poza tym części kości długich, kość biodrowa, miedniczna, żebra, mostek.

Adamsberg nie nadązał, toteż aby zatrzymać ten potok słów, podniósł rękę, na darmo jednak. Skupiony Danglard ciągnął:

– Kręgosłup potraktowano inaczej, kręgi krzyżowe i szyjne wyraźnie bardziej pokiereszowano niż lędźwiowe i piersiowe. Prawie nic nie zostało z kręgu szczytowego i drugiego. Kość gnykowa się zachowała, obojczyki prawie nie ucierpiały.

– Stop, Danglard – przerwał mu Adamsberg, widząc pogubione miny kolegów. Niektórzy wręcz przestali śledzić ten wywód. – Narysujemy to sobie, będzie jaśniej dla wszystkich.

Adamsberg był znakomitym rysownikiem, kilkoma kreskami wykonanymi od niechcienia potrafił wyczarować wszystko. Bywało, że na stojąco, w notesie albo na kartce położonej na udzie, długo szkicował ołówkiem, długopisem albo węglem. Wszędzie w biurach można się było natknąć na jego rysunki, zostawiał je bowiem tam, gdzie akurat był. Niektórzy, podziwiając go, zbierali je dyskretnie – Froissy, Danglard, Mercadet, ale także Noël, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Teraz Adamsberg szybko na białej tablicy wyrysował kontury ciała i szkieletu, jeden z przodu, drugi z tyłu, po czym wręczył dwa mazaki Danglardowi.

– Zaznacz na czerwono części najbardziej zmasakrowane, na zielono najmniej.

Danglard zilustrował to, co przed chwilą wyłożył, po czym czerwieni

wyróżnił jeszcze głowę i genitalia, zielenią obojczyki, uszy, pośladki. Pokolorowany rysunek wyrażał ewidentnie jakąś szaloną logikę, ukazując, że morderca nieprzypadkowo postanowił jedne części oszczędzić, inne zaś zniszczyć do cna. Tyle że sensu tej ekstrawagancji nie dało się dociec.

– Jeśli chodzi o narządy wewnętrzne, również dokonano selekcji – podjął Danglard. – Jelita, żołądek, śledziona nie interesowały zabójcy, podobnie jak płuca i nerki. Skupił się na wątrobie, sercu i mózgu, którego część spalił w kominku.

Danglard narysował trzy strzałki idące od mózgu, serca i wątroby, wyprowadzając te części z ciała.

– Chodzi o zniszczenie jego umysłu – zaryzykował Mercadet, przerywając milczenie lekko ogłupiałych agentów, którzy nie odrywali wzroku od rysunków.

– A wątroba? – odezwał się Voisenet. – Dla ciebie wątroba to umysł?

– Mercadet dobrze mówi – powiedział Danglard. – W czasach przedchrześcijańskich, ale później też, przyjmowano istnienie kilku dusz w ciele: *spiritus*, *animus* i *anima*. Duch, dusza subtelna i dusza biologiczna mogły mieszkać w różnych częściach ciała, jak na przykład wątroba i serce, które uważano za siedzibę strachu i emocji.

– Aha – uległ Voisenet bez zastrzeżeń, wiedzy Danglarda bowiem nikt nie próbował kwestionować.

– A co do zniszczenia stawów – wtrącił Lamarre sztywno jak to on – chodziłoby o to, żeby ciało przestało funkcjonować? Jakby połamać zębatki mechanizmu?

– A stopy? Czemu stopy, a nie dłonie?

– Podobnie – powiedział Lamarre. – Żeby nie mógł chodzić?

– Nie – sprzeciwiła się Froissy. – To nie wyjaśnia zmiążdżenia palucha. Dlaczego zniszczył właśnie paluch?

– O co tu biega? – spytał Noël, wstając. – Czemu się głowimy, jakie powody miał ten gnojek? Tu nie ma co doszukiwać się powodów. Morderca jakiś tam miał, ale nie mamy o nim pojęcia i niczego nie wymyślimy.

Noël usiadł, Adamsberg zaś kiwnął głową.

– To jak z tym facetem, który zjadł szafę.

– Owszem – zgodził się Danglard.

– Po co? – zainteresował się Gardon.

– No właśnie nie wiadomo.

Danglard podszedł znów do tablicy i odsłonił czysty arkusz papieru.

– Mamy tu coś gorszego – podjął. – Otóż zabójca nieprzypadkowo rozrzucił poszczególne części. Doktor Romain miał słuszość, on je

rozmieścił w przemyślany sposób. Bez sensu wszystko tu rysować, z raportu się dowiedzie, jak wyglądało ich rozmieszczenie w przestrzeni. Ale tytułem przykładu powiem, że po rozdzieleniu i zmiżdżeniu pięciu kości śródstopia zabójca rzucił je do czterech kątów pokoju. Tak samo zrobił z każdą częścią ciała: dwa fragmenty tu, jeden tam, kolejny gdzie indziej, jeszcze dwa pod fortepian.

– To może jakaś mania – wtrącił Justin. – Albo lipa. Facet po prostu wszystko rozrzuca dokoła.

– Nie ma co doszukiwać się powodów – powtórzył Noël gderliwie. – Marnujemy czas, nic nie da taka interpretacja. Zabójca się wścieka, niszczy wszystko, nie wiadomo czemu pastwi się nad tym czy tamtym i tego się trzymajmy. Niewiedzy.

– Wściekły gość, który w tej wściekłości godzinami rzuca w ogień różne rzeczy – uściślił Adamsberg.

– No właśnie – zauważył Justin. – Skoro jego gniew nie wygasa, może to jest powód tej jatki. Morderca nie umie się powstrzymać, chce to robić w nieskończoność, dlatego zostawia miazgę. Jest jak facet, który chla, póki nie wpadnie pod stół.

Który drapie ukąszenie pająka, pomyślał Adamsberg.

– Idziemy dalej – powiedział Danglard.

Przerwał mu sygnał telefonu. Komendant wyszedł niemal szybko, przyciskając aparat do ucha. Abstract, ocenił Adamsberg.

– Czekamy na niego? – zapytał Voisenet.

Froissy poruszyła się nerwowo. Zaczynała się niepokoić z powodu pory lunchu – była już czternasta trzydzieści pięć – dlatego wierciła się na krześle. Każdy wiedział, że na myśl o pominięciu posiłku ogarniają panika, toteż Adamsberg poprosił agentów o czujność na tym tle, ponieważ trzykrotnie podczas wykonywania zadań Froissy zemdląła ze strachu.

XVI

Zgromadzili się w niedużym zapluty barze na końcu ulicy, w Kubku do Kości, bo o tej porze, czyli poza konwencjonalnymi godzinami lunchu, położona naprzeciwko baru elegancka Piwiarnia Filozofów była już nieczynna. Zależnie od nastroju i zasobności kieszeni każdy mógł, przechodząc tylko przez jezdnię, wybrać standard klasy średniej lub robotniczej, uważać się za zamożnego bądź ubogiego, zamówić herbatę albo lampkę czerwonego wina.

Szef podał czternaście kanapek – tylko z gruyere'em, nie było wyboru – i tyleż kaw. Z urzędu postawił na stole trzy karafki czerwonego wina, nie lubił klientów, którzy odmawiali picia jego wina, pochodzącego zresztą nie wiadomo skąd. Danglard twierdził, że to podłe côtes-du-rhône i wszyscy mu wierzyli.

– Ten malarz, co się zabił w pudle... Wiadomo coś więcej?

– zapytał Adamsberg.

– Nie było czasu – odparł Mordent, odsuwając kanapkę. – Mercadet zajmie się tym po południu.

– Końskie łajno, sierść, chusteczka, odciski... co technicy na to?

– Łajno faktycznie z dwóch różnych miejsc – rzekł Justin.

– Łajno Èmile'a nie jest takie jak grudki z pokoju.

– Pobierzemy próbki z psa dla porównania – powiedział Adamsberg. – Dziewięćdziesiąt procent szansy, że Èmile przyniósł łajno z gospodarstwa.

Kupidon przycupnął pod jego nogami, Adamsberg bowiem na razie nie zaryzykował jego spotkania z kotem.

– Ten pies cuchnie – powiedział Voisenet z końca stołu. – Czuć nawet tutaj.

– Najpierw próbki, potem pranie psa.

– Chodzi mi o to – nieustępował Voisenet – że on naprawdę śmierdzi.

– Zamknij się – rzekł Noël.

– Jeśli chodzi o odciski palców, nie ma niespodzianek – podjął Justin. –

W całym domu są Vaudela i Èmile'a, Èmile'owych dużo na stole do gry, okapie kominka, na kłamkach, w kuchni. Èmile sumiennie sprzątał, poza tym niewiele zostało śladów, meble są czyste. Mimo to na biurku trafił się

niewyraźny ślad palców Pierre'a juniora, drugi, dość ładny, na oparciu krzesła. Pewnie przysunął je do biurka, kiedy pracował z ojcem. W sypialni cztery palce nieznanego człowieka na klapie sekretarzyka.

– Lekarza – powiedział Adamsberg. – Pewnie badał Vaudela w tym pokoju.

– Jeszcze w kuchni odcisk innej męskiej dłoni i kobiecej na szafce w łazience.

– No proszę – skomentował Noël. – Kobieta u Vaudela.

– Nie, nie, w sypialni nie ma żadnych kobiecych odcisków. Sąsiedzi zapewnijają, że Vaudel rzadko kiedy wychodził. Zakupy robił z dostawą, przychodzili do niego fryzjerka, człowiek z banku i krawiec, który ma pracownię przy tej ulicy. Z telefonami to samo, żadnych osobistych. Tylko od syna raz, dwa razy w miesiącu. A i to młody zadawał sobie trud i dzwonił. Ich najdłuższa rozmowa trwała cztery minuty szesnaście sekund.

– Z Kolonią nie było żadnych rozmów? – zapytał Adamsberg.

– Z Niemcami? Nie, dlaczego?

– Zdaje się, że Vaudel od dawna kochał pewną starszą Niemkę. Niejaką panią Abster z Kolonii.

– Nic nie stało na przeszkodzie, żeby sypiał z fryzjerką.

– Nie twierdzę, że tak nie było.

– Nie, żadnych kobiecych wizyt, sąsiedzi są pewni. A przy tej cholernej ulicy każdy wie wszystko o wszystkich.

– Jak się pan dowiedział o tej pani Abster?

– Èmile dał mi liścik miłosny, który miał jej wysłać, gdyby Vaudel umarł.

– Co napisał?

– Jest po niemiecku. – Adamsberg wyjął go z kieszeni i położył na stole. – Froissy, dacie radę?

Froissy przeczytała liścik, zmarszczyła brwi.

– To znaczy mniej więcej: „Strzeż naszego królestwa, zawsze opór stawiaj, poza wszelkim zasięgiem pozostaje”.

– Miłość z przeszkodami – ocenił Voisenet. – Miała męża.

– Ale to słowo na końcu dużymi literami – powiedziała Froissy, wskazując miejsce na kartce – nie jest po niemiecku.

– To taki ich szyfr – rzekł Adamsberg. – Nawiązanie do chwili, o której tylko oni wiedzą.

– No – potwierdził Noël – tajne słowo. To śmieszne, ale podoba się kobitkom i wkurza facetów.

Froissy ciut za szybko zapytała, kto jeszcze chce drugą kawę, podniosły się ręce, Adamsberg zaś pomyślał, że ona również wymyśla takie szyfry

i Noël ją uraził. Zwłaszcza że miała niemało kochanków, którzy zmieniali się w rekordowym tempie.

– Vaudel nie uważał tego za śmieszne – zauważył Adamsberg.

– Może to szyfr – podjęła Froissy, pochylając się nad kartką. – W każdym razie to słowo jest po rosyjsku. КИСЛОБА. To napisane cyrylicą. Przykro mi, nie znam rosyjskiego. Mało kto zna rosyjski.

– Ja trochę znam – odezwał się Estalère.

Zaległa pełna zdumienia cisza, z której młody sierżant nie zdawał sobie sprawy, w skupieniu mieszając kawę.

– Skąd znasz rosyjski? – zapytał Maurel, jakby Estalère popełnił jakiś zdrożny czyn.

– Próbowałem się nauczyć. Znam tylko litery.

– Ale czemu chciałeś się nauczyć rosyjskiego? A nie hiszpańskiego?

– A bo tak.

Adamsberg podał mu liścik i Estalère się skupił. Nawet kiedy się skupiał, nie mrużył jasnych oczu. Trzymał je szeroko otwarte, w zadziwieniu spoglądające na świat.

– Jeśli prawidłowo to czytać – powiedział – mamy coś w rodzaju „kislowa”. Czyli jeśli to miłosny szyfr, wychodzi nam *kisslove*. Miłosne pocałunki. Nie?

– Pasuje – zgodziła się Froissy.

– Dobrześ to wymyślił – przyznał Noël, biorąc od niego kartkę. – Świetnie się nadaje na zakończenie listu, żeby zaintrygować kobitkę.

– Myślałem, że wkurzają cię takie szyfry – zauważył Justin tym swoim falsetem.

Noël z grymasem na twarzy zwrócił kartkę Adamsbergowi. Do baru wkroczył Danglard z zarumienionymi policzkami, sapiąc, robił sobie miejsce przy stole. Rozmowa przebiegła dobrze, ocenił Adamsberg. Ona przyjedzie do Paryża, a on jest w szoku, prawie przerażony.

– To wszystko, końskie łajno czy liścik miłosny, to tylko elementy poboczne – powiedział Noël. – Ciągłe nie przeszliśmy do sedna. To tak jak z psią sierścią na fotelu: długie białe włosy jak pirenejczyka, psa z tych, co to jednym pociągnięciem jęzora obliże cię całego. Co nam to daje? Nic.

– Do uzupełnienia informacji na temat chusteczki – rzekł Danglard.

Znowu zapadła cisza, ludzie założyli ręce na piersi, zerkali z ukosa. Aha, zrozumiał Adamsberg, to była przyczyna porannego poruszenia.

– No dalej – ponaglił.

– Chusteczka higieniczna była świeża – wyjaśnił Justin. – I coś na niej było.

– Kropelka krwi starego – dodał Voisenet.

– I coś w niej.

– Odrobina śliny.

– Słowem, DNA do woli.

– Chcieliśmy pana zawiadomić wczoraj wieczór, jak tylko dowiedzieliśmy się o tym, a potem dzisiaj z samego rana. Ale telefon miał pan wyłączony.

– Padła bateria.

Adamsberg popatrzył po twarzach kolegów i nalał sobie pół szklaneczki wina, odstępując od swoich zwyczajów.

– Uwaga – ostrzegł go dyskretnie Danglard. – To nieznany szczep.

– Niech się zastanowię – powiedział Adamsberg. – Ślina nie należy do Vaudela ojca ani do Vaudela syna, ani do Èmile'a. Tak?

– Tak jest – wytchnął Lamarre, który jako były żandarm nie mógł się wyzbyć terminologii militarnej. A jako Normandczyk miał problem ze spojrzeniem Adamsbergowi prosto w oczy.

Adamsberg upił łyk wina, zerknął na Danglarda, aby bez słów przyznać, że istotnie wino jest dosyć podłe. I tak jednak o niebo lepsze od tego, które ostatniej nocy wypił przez słomkę z kartonika. Zastanowił się krótko, czy aby tamten sikacz nie przyczynił się do jego kamiennego snu w samochodzie, gdy zwykle wystarczało mu pięć, sześć godzin wypoczynku. Wziął kawałek kanapki pozostawiony na stole – kanapki Mordenta – i wsunął ją pod swoje krzesło.

– Dla psa – wyjaśnił.

Schylił się, by zerknąć na podłogę, upewnił się, że chleb przypadł do gustu Kupidonowi, i na powrót poświęcił uwagę kolegom. Spoczywało na nim spojrzenie trzynastu par oczu.

– Czyli to DNA nieznanej osoby – powiedział. – DNA zabójcy. I wysłaliście to DNA, choć bez przekonania, do bazy danych. I znaleźliście. Macie nazwisko zabójcy, macie jego imię, macie jego twarz.

– Tak – potwierdził Danglard półgłosem. – I miejsce zamieszkania?

– Tak – powtórzył Danglard.

Adamsberg rozumiał, że tak szybkie znalezienie sprawcy niepokoi ich mocno, wręcz wprawia w poruszenie, jakby lądowali bez uprzedzenia, lecz rozpraszało go wrażenie powszechnego zakłopotania, a nawet poczucia winy. Pociąg gdzieś się wykoleił.

– Mamy więc jego adres – ciągnął Adamsberg – może wykonywany zawód, miejsce pracy. Znajomych, rodzinę. Wiadomo o tym dopiero od jakichś piętnastu godzin. Lokalizujemy jego mety, po suwamy się po

cichutku, nie może nam się wymknąć. – W miarę jak mówił, uzmysławiał sobie, że to nieprawda. Wymknie im się, już się wymknął. – Nie może nam się wymknąć – powtórzył. – No chyba że wie, żeśmy go zlokalizowali.

Danglard postawił sobie na kolanach wypchaną torbę, zdeformowaną przez butelki, które często w niej ukrywał. Wyjął plik gazet, wybrał jedną i rozłożył przed Adamsbergiem.

– Wie – powiedział ze znużeniem w głosie.

XVII

Doktor Lavoisier badał pacjenta z surową miną, jakby był na niego zły za tę nieprawidłowość. Albowiem gwałtownego skoku gorączki nie było w planach. Zapalenia otrzewnej, które poważnie zmniejszało jego szanse na wyzdrowienie. Podawano mu antybiotyki w dużych dawkach, co dwie godziny zmieniano pościel. Lekarz kilkakrotnie klepnął Èmile'a w policzki.

– Otwórz oczy, stary, musisz się trzymać.

Èmile z trudem rozwarł powieki i popatrzył na niedużego człowieczka w kitlu, na jego lekko rozmazaną okrągłą postać.

– Doktor Lavoisier, jak ten słynny Lavoisier po prostu – przedstawił się lekarz. – Niech pan trzyma kurs jak należydodał, znowu poklepując go po policzku. – Połknął pan coś po kryjomu? Zwitek papieru, jakiś dowód rzeczowy?

Èmile pokręcił głową z prawa na lewo. Nie.

– Tu nie ma żartów, stary. W nosie mam, co pan kombinuje. Proszę sobie wyobrazić, że interesuje mnie pański żołądek, a nie pan. Rozumiemy się? Choćby pan poderznął gardło własnym ośmiu babkom, nie miałyby to wpływu na problem, jaki mam z pańskim żołądkiem. Łapie pan mój punkt widzenia? To niejako dwie różne sprawy. No więc? Połknął pan coś?

– Wino – wyszeptał Èmile.

– Ile?

Èmile rozstawił palec wskazujący i kciuk mniej więcej na pięć centymetrów.

– Raczej dwa albo i trzy razy tyle, hę? – powiedział Lavoisier. – Coś przynajmniej wiemy, to mi pomoże. Bo widzi pan, mnie jest obojętne, czy pan lubi pociągać, czy nie. Ale nie teraz. Skąd pan wytrzasnął to wino? Było pod łóżkiem któregoś pacjenta?

Znowu Èmile pokręcił głową, teraz urażony.

– Nie piję dużo. Chciałem sobie dobrze zrobić, pobudzić krew.

– Ach, tak pan sądzi? Człowieku, z choinki pan się urwał?

– Ktoś mi tak doradził.

– Kto? Współwięzień? Ten z wrzodem?

– Jemu bym nie uwierzył. Za głupi.

– Fakt, że jest głupi – przyznał Lavoisier. – Więc kto?

– Facet w kitlu.

– Niemożliwe.

– W kitlu. Z maską.

– Na tym piętrze żaden lekarz nie nosi maski. Ani pielęgniarz, ani noszowy.

– Człowiek w kitlu. Dał mi się napić.

Lavoisier zacisnął pięści i wspomniał jednoznaczne polecenia Adamsberga.

– Dobra, stary – powiedział, podnosząc się. – Dzwonię do pańskiego kumpla gliniarza.

– Gliniarz... – rzekł Èmile, wyciągając rękę. – Jak strzelę w kalendarz... nie wszystko powiedziałem.

– Chce pan, żebym mu coś przekazał? Adamsbergowi?

– Tak.

– Proszę mówić. Bez pośpiechu.

– Ten kod... jest też na pocztówce... Taki sam.

– W porządku – rzekł Lavoisier, notując jego słowa na wykresie temperatury. – To wszystko?

– Pies... uważać...

– Na co?

– Ma alergię na paprykę.

– To wszystko?

– Tak.

– Proszę się nie martwić. Przekażę mu.

Znalazłszy się na korytarzu, Lavoisier zadzwonił po wysokiego bruneta – Andrégo – i po niskiego pielęgniarza, Guillaume'a.

– Macie na zmianę siedzieć przy jego pokoju. Bez przerwy. Jakiś drań podał mu coś z winem. W białym kitlu, w masce na twarzy, proste. Natychmiast robimy płukanie żołądka, uprzedźcie anestezjologa i doktora Venieux. Wóz albo przewóz.

XVIII

Danglard poprosił, żeby go zostawić w barze samego z Adamsbergiem, zbierał teraz gazety ze stołu. Najbardziej nastawiona na newsy opublikowała na pierwszej stronie zdjęcie zabójcy: brunet o nieforemnej twarzy, krzaczastych zrosniętych brwiach, które krechą dzieliły ją na dwie części, nos prosty, podbródek cofnięty, oczy duże, matowe. „Potwór tnie na kawałki ofiarę”.

– Czemuście mi nie powiedzieli, zaraz jak przyszedłem? – zapytał Adamsberg. – O DNA, o przecieku do prasy?

– Czekaliśmy do ostatniej chwili – odparł Danglard, krzywiąc się. – Jeszcze mieliśmy nadzieję, że go dopadniemy i nie dowiesz się o tej wpadce.

– Czemu poprosiłeś, żeby wszyscy wyszli z baru?

– Przeciek wyszedł z brygady, nie z laboratorium ani z kartoteki. Przeczytaj artykuł, zobaczysz, że są w nim szczegóły, o których wiedzieliśmy tylko my. Jedyne, czego nie opublikowali, to adres zabójcy, ale niewiele brakowało.

– Gdzie mieszka?

– W Paryżu, przy rue Ordener sto osiemdziesiąt dwa. W Osiemnastej dzielnicy. Zlokalizowaliśmy go dopiero około jedenastej, ekipa natychmiast wyruszyła. Oczywiście w mieszkaniu nie było nikogo.

Adamsberg podniósł brwi.

– Przecież tam mieszka Weill. Pod sto osiemdziesiątym drugim.

– Nasz Weill? Inspektor?

– We własnej osobie.

– Co masz na myśli? Że zabójca zrobił to umyślnie? Że bawiło go mieszkanie o dwa kroki od gliniarza?

– Więcej, igrał z ogniem, bywał u Weilla. To nietrudne, Weill we środy prowadzi otwarty dom, kolacja jest doskonałej jakości, ludzie chętnie przychodzą.

Weill był jeśli nie przyjacielem, to przynajmniej jednym z nielicznych wysoko postawionych protektorów Adamsberga w gmachu przy quai des Orfèvres. Odszedł z pracy w terenie pod pretekstem bólów kręgosłupa

powiększonych przez nadwagę, a w rzeczywistości dlatego, że chciał mieć czas na uprawianie swojej pasji, czyli sztuki dwudziestowiecznego plakatu, której stał się ekspertem światowej klasy. Adamsberg dwa, trzy razy w roku wpadał do niego na kolację – bądź w celu załatwienia jakichś spraw, bądź po to, by posłuchać jego komentarzy, leżąc na wytartej kanapie, która ongiś należała do Lampego, lokaja Immanuela Kanta. Weill mu opowiedział, że kiedy lokaj Lampe zapragnął się ożenić, Kant go odprawił razem z kanapą, a na ścianie powiesił te oto słowa: „Pamiętaj, by zapomnieć o Lampem”. Adamsberga to uderzyło, on bowiem raczej by napisał: „Pamiętaj, by nie zapomnieć o Lampem”.

Położył dłoń z rozpostartymi palcami na zdjęciu młodego człowieka, jakby chciał go zatrzymać.

– W mieszkaniu nic?

– Oczywiście, że nic. Miał dość czasu, żeby się zwinąć.

– Od porannych wiadomości.

– Może nawet wcześniej. Ktoś mógł do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby się stamtąd zmył. W takim układzie publikacja prasowa jest tylko przykrywką.

– Sądzisz, że co? Facet ma u nas brata, kuzyna, kochankę?... Absurd. Wuj? Jeszcze jeden wuj?

– Niekoniecznie aż tak. Ktoś z naszych powiedział komuś, kto powiedział jeszcze komuś. Garches to ciężka sprawa, ludzie czują potrzebę, żeby się wygadać.

– Przyjmijmy, że to prawda, ale po co podawać nazwisko faceta?

– Ponieważ nazywa się Louvois. Arnel Guillaume Francois Louvois. To jednak zabawne.

– Co jest zabawne, Danglard?

– No to nazwisko, Francois Louvois, jak markiz de Louvois.

– Jaki widzisz związek? Był mordercą?

– A pewnie. Wielkim reformatorem wojsk Ludwika Czternastego. – Danglard odłożył gazetę i jego miękkie dłonie roztańczyły się w powietrzu, wzbijając się w przestworza wiedzy. – A także niszczycielskim brutalnym dyplomata. Jemu zawdzięczamy dragonady na hugenotów, a to nie byle co...

– Słowo daję, Danglard – wtrącił Adamsberg, kładąc mu dłoń na ramieniu – bardzo bym się zdziwił, gdyby choć jeden z naszych coś wiedział na temat tego Francois Louvois i gdyby go to w dodatku bawiło.

Ręce DanglarDA zastygły w tańcu, po czym jedna zawiedziona opadła na gazetę.

– Przeczytaj artykuł.

W odpowiedzi na telefon zaniepokojonego ogrodnika policjanci z brygady kryminalnej młodszego inspektora Jeana-Baptiste'a Adamsberga wkroczyli w niedzielny poranek do spokojnej willi w Garches, gdzie odkryli straszliwie okaleczone zwłoki właściciela, Pierre'a Vaudela, siedemdziesięcioośmioletniego emerytowanego dziennikarza. Wstrząśnięci sąsiedzi zgodnie oświadczają, że nie rozumieją, z jakich pobudek doszło do tej bestialskiej napaści. Jak się dowiadujemy, ciało Pierre'a Vaudela zostało poćwiartowane, a następnie – szczyt potworności – zmiażdżone i rozrzucone po całym domu, który przypominał rzeźnię. Dochodzeniowcy szybko znaleźli ślady pozwalające zidentyfikować maniakalnego mordercę, między innymi chusteczkę higieniczną. Badanie DNA wykonane w ekspresowym tempie pozwoliło ustalić nazwisko podejrzanego. To dwudziestodwuletni Armel Guillaume Francois Louvois, złotnik. Człowiek ten figuruje w kartotekach policyjnych, ponieważ dwanaście lat temu został skazany za zbiorowy gwałt popełniony z trzema współnikami na dwóch nieletnich.

Adamsberg przerwał lekturę, aby odebrać telefon.

– Tak, Lavoisier... Tak, ja też się cieszę ze spotkania... Nie, same zmartwienia... Dochodzi do siebie?... Sekundę... – Adamsberg odsunął telefon od ucha, by przekazać wieści Danglardowi: – Jakiś gnój próbował otruć Èmile'a, stan zapalny, gorączka czterdzieści stopni dwie kreski... Lavoisier, przełączam na głośnik, żeby kolega też słyszał.

– Przykro mi, stary, facet wszedł w kitlu i masce, nie mogę być wszędzie. Mamy w szpitalu siedemnaście oddziałów, a skończyły się pieniądze. Kazałem dwóm pielęgniarkom na zmianę pilnować jego pokoju. Èmile boi się, że umrze, a ja nie kryję, że to możliwe. Kazał panu przekazać dwie rzeczy, ma pan czym zapisać?

– Tak, już – powiedział Adamsberg, przysuwając do siebie rożek gazety.

– Po pierwsze, to zaszyfrowane słowo jest też na pocztówce. Nic więcej nie wiem, nie naciskałem, pacjent jest bardzo słaby.

– O której podano mu truciznę?

– Z rana wszystko było dobrze. Pielęgniarka wezwała mnie około czternastej trzydzieści, gorączka zaczęła rosnać koło południa. Druga wiadomość: uwaga na psa.

– Na psa? Że co?

– Ma alergię na paprykę. Mam nadzieję, że pan wie, o co tu chodzi, wyglądało na to, że Èmile'owi bardzo zależy. Pewnie to dalszy ciąg tego

szyfru, bo nie bardzo rozumiem, kto by dawał psu paprykę.

– Jaki szyfr? – zapytał Danglard, kiedy Adamsberg zakończył rozmowę.

– Miłosne wyznanie napisane po rosyjsku, Kiss Love. Vaudel kochał jakąś starszą Niemkę.

– Po co pisać Kiss Love po rosyjsku?

– Nie mam pojęcia, Danglard – rzekł Adamsberg, wracając do artykułu:

Ustalono, że Louvois nie uczestniczył w gwałcie, sędzia jednak podtrzymał wyrok dziewięciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu za udział w przemocy i pozostawienie bez pomocy osób zagrożonych. Od tej pory o Armelu Louvois było cicho, w każdym razie oficjalnie. Aresztowanie podejrzanego nastąpi niezwłocznie.

– Niezwłocznie – powtórzył Adamsberg, zerkając na swoje zegarki. – Ten Louvois już ładny kęs czasu jest gdzieś daleko. Mimo wszystko obserwujemy mieszkanie, nie każdy śledzi wiadomości.

Z baru rozdzielili zadania: Voisenet i Kernorkian – sprawdzają rodzinę artysty, który pomalował swoją protektorę; Retancourt, Mordent i Noël – pilnują mieszkania Louvois, mają uprzedzić inspektora Weilla, który nie cierpi, gdy policja wkracza na jego prywatny teren, byłby gotów wszystko udaremnić; Froissy i Mercadet badają połączenia telefoniczne i internetowe podejrzanego; Justin i Lamarre – jego samochód, jeśli go ma; pogonić policję awiniońską, sprawdzić, czy Pierre junior i jego żona są w domu. Obserwować dworce i lotniska, rozesłać portret Louvois.

Mówiąc, Adamsberg widział Danglarda, który wymachiwał rękami, dając mu jakieś niezrozumiałe znaki. Pewnie dlatego niezrozumiałe, że nie był w stanie robić dwóch rzeczy naraz, na przykład mówić i patrzeć, widzieć i słuchać, słuchać i pisać. Tylko rysowaniem mógł się zajmować bez uszczerbku dla innych czynności.

– Przepytyujemy sąsiadów w kamienicy Louvois? – zapytał Maurel.

– Tak, ale w tym sektorze mamy Weilla. Zasięgnijcie języka najpierw u niego i skupcie się na pilnowaniu mieszkania. Louvois może o niczym nie wiedzieć i wrócić. Dowiedzcie się, gdzie pracuje. W warsztacie złotniczym, w sklepie czy gdzie tam.

Danglard napisał pięć słów na gazecie i podsunął ją koledze: „Nie Mordent. Zamień z Mercadetem”. Adamsberg wzruszył ramionami.

– Poprawka – powiedział do telefonu. – Mordent z Froissy, a Mercadet do mieszkania. Jeśli uśnie, będzie jeszcze dwoje ludzi, w tym Retancourt, czyli jakby siedmiu. – I chowając aparat do kieszeni, zapytał Danglarda: – Czemu

każesz mi odsunąć Mordenta?

– Zgryziony, nie ufam mu.

– Facet zgryziony może się skupić na pilnowaniu chaty. I tak tego Louvois tam nie ma.

– To co innego. Mieliśmy przeciek.

– Mów jasno, komendancie, oszczędź mi podtekstów. Mordent jest w firmie dwadzieścia siedem lat, wszystko robił, wszystko widział, nawet w Nicei nie dał się skorumpować.

– Wiem.

– No to nie rozumiem, Danglard, słowo daję, nie rozumiem. Sam powiedziałaś, że przeciek to skutek gadulstwa. Nieostrożność, a nie zdrada.

– Zawsze wskazuję na najmniej szkodliwy wariant, a myślę o najgorszym. Sprowokował ucieczkę Èmile'a, wczoraj z pominięciem ciebie porozumiał się z szefostwem.

– Głowa Mordenta wędruje gdzieś daleko stąd, a tymczasem głowa jego córki wali o mury we Fresnes. Nie poradzisz, że popełnia błędy, że jest nadgorliwy albo robi za mało, on teraz się gryzie, nie panuje nad niczym. Trzeba to przetrzymać, i tyle.

– Zawalił w sprawie weryfikacji alibi w Awinionie.

– I co z tego?

– A to, że mamy dwie jego wpadki, i to niemałego kalibru: ucieczkę podejrzanego i amatorskie zaniedbanie w sprawie alibi. Kto ustawowo ponosi za to odpowiedzialność? Ty. Na tym etapie można by twierdzić, że w niecałe dwa dni spartaczyłeś początkową fazę śledztwa. Z Brezillonem na karku mógłbyś wylecieć za dużo mniejsze przewinienie. A teraz jeszcze jedna katastrofa: przeciek do prasy i ucieczka zabójcy. Gdyby ktoś chciał cię wycofać z obiegu, lepiej by się do tego nie zabrał.

– Nie, Danglard. Mordent miałby położyć śledztwo? Miałby mnie wysiudać? Nie. Po co?

– Bo mógłbyś coś znaleźć. I to byłby kłopot.

– Dla kogo? Dla Mordenta?

– Nie. Dla góry.

Adamsberg popatrzył na palec Danglarda wymierzony w sufit, ku rejonom zajęтым przez sprawujących władzę, których komendant hurtem określał słowem „góra” mogącym obejmować zarazem „doły”, podziemia.

– Ktoś z góry – ciągnął Danglard, wciąż celując palcem w sufit – ani myśli dopuścić do wyjaśnienia sprawy z Garches. I nie życzy sobie, żebyś dalej robił to, co robisz.

– I Mordent miałby mu pomagać? Nie do pomyslenia.

– Jak najbardziej do pomyślenia, odkąd jego córka znalazła się w łapach wymiaru sprawiedliwości. Na górze sprawę zabójstwa łatwo się wymazuje. Mordent daje im powód, żeby cię wylać, a w zamian odzyskuje córkę. Wolną. Nie zapominaj, że dziewczyna za dwa tygodnie staje przed sądem.

Adamsberg cmoknął językiem.

– To nie jego profil.

– Każdy profil ulegnie zmianie, kiedy w grę wchodzi zagrożenie dla dziecka. Od razu widać, że nie masz dzieci.

– Nie prowokuj mnie, Danglard.

– Mam na myśli dzieci, którymi ojciec naprawdę się zajmuje – powiedział sucho Danglard, nawiązując do wielkiego antagonizmu, który ich stawiał naprzeciwko siebie, i ożywiając go. Danglard znajdował się w nim po jednej stronie frontu, chroniąc Camille i jej dziecko przed nadzwyczaj nieskrępowanym życiem Adamsberga, Adamsberg zaś stał po drugiej, żyjąc wedle swego widzimisię i zdaniem komendanta czyniąc zbyt wiele spustoszeń w egzystencji innych.

– Zajmuję się Tomem – zauważył Adamsberg, zaciskając pięść. – Pilnuję go, zabieram na spacer, opowiadam mu różne historie.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie twoja sprawa i przestań mnie wkurzać. Jest na wakacjach z matką.

– Tak, ale gdzie?

Cisza objęła obu mężczyzn, brudny stół, puste szklanki, zmięte gazety, twarz zabójcy. Adamsberg usiłował sobie przypomnieć, dokąd też Camille mogła zabrać małego Toma. Niewątpliwie gdzieś, gdzie jest świeże powietrze. Nad morze, tego był pewien. Do Normandii czy jakoś tak. Dzwonił do nich co trzeci dzień, mieli się dobrze.

– W Normandii – powiedział.

– W Bretanii – sprostował Danglard. – W Cancale.

Gdyby w tej chwili Adamsberg był Émile'em, zmiażdżyłby Danglardowi łeb. Oczami wyobraźni doskonale widział tę scenę i bardzo mu się podobała. Poprzestał na tym, że wstał z krzesła.

– Wiesz co? To podle, że tak myślisz o Mordencie.

– Ratowanie własnej córki nie jest podle.

– Powiedziałem, że podle jest, że ty tak myślisz. Podle jest to, co masz w głowie.

– Jasne, że jest podle.

XIX

Lamarre jak burza wpadł do Kubka do Kości.

– Pilne, inspektorze. Wiedeń pana chce.

Adamsberg spojrział na Lamarre'a nierozumiejącym wzrokiem. Spętany nieśmiałością sierżant nie miał swobody wypowiedzi i bez ściagi nie śmiał wdawać się w przemowy, choćby najkrótsze.

– Kto mnie chce?

– Wiedeń. Thalberg, końcówka taka jak pan, berg, jak ten kompozytor.

– Sigismund Thalberg – potwierdził Danglard – austriacki kompozytor, tysiąc osiemset dwanaście do tysiąc osiemset siedemdziesiąt jeden.

– Nie jest kompozytorem, tak powiedział. Jest inspektorem.

– Inspektor z Wiednia? – dopytał Adamsberg. – Trzeba było od razu tak mówić, Lamarre. – Zerwał się i podążył na ulicę za sierżantem. – Czego chce ten człowiek z Wiednia?

– Nie pytałem, szefie, on chce mówić z panem. Szefie – ciągnął Lamarre, oglądając się za siebie – czemu ten bar nazywa się Kubek do Kości, skoro nikt tam nie gra w kości i nie ma nawet stołu do gry?

– A czemu Piwiarnia Filozofów nazywa się, jak się nazywa, mimo że nie bywa tam ani jeden filozof?

– Ale to nam nie daje odpowiedzi, tylko stawia kolejne pytanie.

– W życiu często tak już jest, sierżancie.

Inspektor Thalberg prosił o wideokonferencję, Adamsberg zatem zasiadł w sali technicznej, w pełni zdając się na Froissy w zakresie uruchomienia sprzętu. Justin, Estalère, Lamarre, Danglard tłoczyli się za jego krzesłem. Może pod wpływem wspomnienia austriackiego muzyka doby romantyzmu Adamsbergowi wydało się, że człowiek, który pojawił się na ekranie, ma urodę przeniesioną z XIX wieku: subtelna twarz jak z portretu, o lekko chorobliwym wyglądzie, podkreślona postawionym kołnierzykiem koszuli, kręcone blond włosy ujmujące ją w kadr.

– Mówi pan po niemiecku, inspektorze? – zapytał uroczy wiedeńczyk, zapalając długiego papierosa.

– Przykro mi, nie. Komendant Danglard będzie tłumaczył.

– To miłe z jego strony, ale mogę mówić w waszym języku. Miło pana poznać, miło też uczestniczyć. Dowiedziałem się wczoraj o pańskiej sprawie w Garches. Możliwe szybkie rozwiązanie, jeżeli zamkną się prasowi *Blödmänner*. Sprawca wam uciekł?

– Danglard, co znaczy *Blödmänner*? – zapytał szeptem Adamsberg.

– Jełopy – przetłumaczył komendant.

– Uciekł, jak najbardziej – potwierdził Adamsberg.

– To mi przykro, inspektorze, ale mam nadzieję, że robicie dalej dochodzenie, tak?

– Chwilowo tak.

– No to może pomogę, a pan mnie.

– Wie pan o Louvois?

– Wiem coś o zbrodni. Znaczący, mam prawie pewność, że u mnie jest ta sama, bo nie jest pospolita, prawda? Posyłam zdjęcia, tak będzie lepiej, żeby się zorientować.

Blond głowa zniknęła, zamiast niej pojawił się wiejski dom szalowany drewnem, o spadzistym dachu.

– To miejsce – ciągnął miłym głosem Thalberg. – W Pressbaum niedaleko Wiednia, pięć miesięcy i dwadzieścia dni temu w nocy. Też mężczyzna, Conrad Plögener, młodszy niż wasz, czterdzieści dziewięć lat, żonaty, troje dzieci. Żona wyjechała z dziećmi na weekend do Grazu, a Plögener został zabity. Handlował meblami. Zabity tak – ciągnął, a na monitorze pokazało się kolejne zdjęcie przedstawiające zalany krwią pokój, w którym nigdzie nie było widać zwłok. – Nie wiem, jak u was, ale w Pressbaum ciało było tak pocięte, że nic nie wystawało. Pocięte na drobiazgi, zmiążdżone po kawałku pod kamieniem, potem rozsypane na wszystkie strony. Macie podobny sposób?

– Na pierwszy rzut oka tak.

– Pokazuję bliższe zdjęcia, inspektorze.

Na monitorze przesunęło się około piętnastu zdjęć pokazujących identyczny jak w Garches „krwawy teatr działań”. Conrad Plögener żył skromniej niż Pierre Vaudel, nie miał fortepianu ani tapiserii.

– Jestem mniej szczęśliwy niż pan, nie było możliwe znalezienie śladu. *Zerguetscher* nic nie zostawił.

– „Miażdżyciel” – przetłumaczył Danglard, wykonując ruch miażdżenia dłońmi. – „Zgniatacz”.

– *Ja* – potwierdził Thalberg. – Ludzie tu nazwali go *Zerguetscher*, wiecie, jak zawsze chcą nazywać. Tylko znalazłem ślady butów górskich. Mówię, że

to duża możliwość, że u nas był ten sam Zerguetscher co u was, chociaż to duża rzadkość, że zabójca nie działa tylko w swoim kraju.

– Właśnie. Czy ofiara była rodowitym Austriakiem? Żadnych francuskich wątków?

– Teraz to byłem sprawdziłem. Plögener był cały Austriak, urodził się w Styrii w Mautern. Mówię o nim samym, bo nikt nie jest cały jeden, moja babka jest z Rumunii i tak wszyscy. A Vaudel był Francuzem? Nie macie z jego nazwiskiem czegoś jak „Pfaudel” albo „Waudel” czy coś?

– Nie – odparł Adamsberg, który z brodą opartą na ręce zdawał się przybity widokiem zmasakrowanego Conrada Plögenera. – Przetrzęsaliśmy w trzech czwartych jego prywatne archiwum, nie ma żadnych związków z Austrią. Ale zaraz, zaraz, jest związek z językiem niemieckim. Niejaka frau Abster z Kolonii, zdaje się, że Vaudel od dawna się w niej kochał.

– Piszę. Abster. Szukam w prywatnych papierach.

– Vaudel napisał do niej list po niemiecku, miał być wysłany po jego śmierci. Momencik, zaraz go znajdę.

– Ja pamiętam treść – odezwała się Froissy. – *Bewahre unser Reich, widerstehe, auf dass es unantastbar bleibe.*

– A potem jeszcze słowo po rosyjsku, które znaczy Kiss Love.

– Piszę. Trochę uroczyste, ale uważam, że Francuzi często są eternalistami wbrew temu, co się mówi. Czyli mamy niejaką frau Abster, która tnie na kawałki byłych kochanków. Oczywiście robię żart.

Adamsberg dał znak Estalère'owi, który natychmiast wymknął się z sali. Jako najlepszy w brygadzie specjalista od kawy Estalère miał w małym palcu upodobania wszystkich, pamiętał, czy ktoś pije z cukrem czy bez, z mlekiem czy bez, mocną czy słabą. Wiedział, że Adamsberg najchętniej bierze kubek z grubym brzegiem ozdobiony pomarańczowym ptaszkiem. Voisenet, ornitolog, mawiał z pogardą, że ten ptak jest do niczego niepodobny, i tym sposobem nawyki się umacniały. W trosce Estalère'a, by zapamiętywać upodobania każdego, nie było żadnej służalczości, lecz pasja do szczegółów technicznych, jakkolwiek drobne i liczne by były, co być może czyniło go niezdolnym do syntetycznego myślenia. Wrócił z tacą przygotowaną jak należy, kiedy wiedeński inspektor prezentował zdjęcie człowieka odartego ze skóry – austriaccy policjanci zaznaczyli na nim na czarno miejsca, które Zerguetscher zniszczył najbardziej. W zamian Adamsberg przesłał Thalbergowi francuski rysunek wykonany poprzedniego dnia, ten z zamalowanymi na czerwono i zielono strefami.

– Byłbym przekonany, że trzeba spotkać obie sprawy, inspektorze.

– Ja też byłbym przekonany – mruknął Adamsberg.

Upił łyk kawy, zapamiętując obraz człowieka odartego ze skóry i miejsca zaczernione: głowę, szyję, stawy, stopy, paluchy, serce, wątrobę. Niemal idealna kopia ich rysunku. Na monitorze znowu pojawiła się twarz inspektora Thalberga.

– Ta frau Abster, pan mi da adres, powiem, żeby ją odwiedzili w Kolonii.

– Może pan też przekazać jej list od Vaudela.

– Istotnie byłoby miło.

– Przesyłam panu kopię. Proszę ją oszczędzać, informując o jego śmierci. Chodzi mi o to, że niekoniecznie trzeba jej przedstawiać szczegóły zabójstwa.

– Zawsze oszczędzam, inspektorze.

– Zerkeczer – powtórzył kilkakrotnie w zadumie Adamsberg po zakończeniu wideokonferencji. – Armel Louvois, Zerkeczer.

– Zerketszer – poprawił go Danglard.

– Co myślicie o jego twarzy? – spytał Adamsberg, biorąc do rąk gazetę, którą Danglard położył na stole.

– Zdjęcie identyfikacyjne utrwała rysy w sztywnym układzie – zauważyła Froissy szanująca zasady etyczne, które zabraniały komentowania wyglądu fizycznego podejrzanych.

– To prawda, Froissy, jest nieruchomy, sztywny.

– Bo patrzy w obiektyw, nie ruszając się.

– Ma przez to minę głupka – powiedział Danglard.

– Co jeszcze? – drążył Adamsberg. – Widać po nim, że jest groźny? Że się boi? Lamarre, chcielibyście spotkać go w korytarzu?

– Zaprzeczam, inspektorze.

Estalère wziął gazetę i się skupił. Po chwili zrezygnował, zwrócił ją Adamsbergowi.

– Co? – zapytał inspektor.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Moim zdaniem normalny gość.

Adamsberg się uśmiechnął i odstawił kubek na tacę.

– Idę do tego lekarza – powiedział. – I do wymagowanych wrogów Vaudela.

Adamsberg spojrział na swoje zegarki, które pokazywały różne godziny, i wyciągnąwszy średnią, uznał, że ma jeszcze trochę czasu. Wziął na ręce Kupidona, który dziwnie wyglądał, odkąd Kernorkian poucinał mu kosmyki

sierści, by pobrać próbki końskiego łajna, i przeszedł przez wielką salę, kierując się ku kotu na kserokopiarce. Adamsberg przedstawił psa kotu i na odwrót, wyjaśnił, że pies zostanie tu tylko przez jakiś czas, no chyba że jego pan umrze przez jakiegoś drania, który zatrzał mu krew. Kulka częściowo przeciągnął swe okrągłe cielsko, obdarzył niejaką uwagą nerwowego zwierzaka, który lizał zegarki Adamsberga, po czym oparł duży łeb na ciepłej pokrywie urządzenia, dając do zrozumienia, że dopóki ktoś będzie go zanosił do miski i nikt nie odbierze mu kserokopiarki, jest mu to w zupełności obojętne. Oczywiście pod warunkiem, że Retancourt nie zakocha się w tym psie. Retancourt była jego, kochał ją.

XX

Pod drzwiami kamienicy Adamsberg uświadomił sobie, że nie pamięta nazwiska lekarza Vaudela, chociaż ten gość najpierw uratował kociaka, a potem razem pili pod zadaszeniem. Na murze znalazł jego tabliczkę, „Dr Paul de Josselin Cressent, osteopata somatopata”, i dokładniej sobie wyobraził jego pogardę dla komisarzy, którzy zastawili mu przejście własnymi ramionami.

Portier oglądał telewizję wpasowany w wózek inwalidzki, okryty kocami, miał długie szpakowate włosy, brudne wąsy. Nie obejrzał się nawet – nie dlatego, że chciał być nieuprzejmy, raczej dlatego, że tak jak Adamsberg nie potrafił równocześnie oglądać filmu i słuchać kogoś.

– Doktor wyszedł do rwy kulszowej – powiedział wreszcie.

– Będzie za jakieś piętnaście minut.

– Pana też leczy?

– Tak. Ma złote ręce.

– Zajmował się panem w nocy z soboty na niedzielę?

– Czy to ważne?

– Proszę odpowiedzieć.

Portier poprosił o kilka minut, póki serial się nie skończy, po czym odwrócił się od telewizora, ale go nie zgasił.

– Zleciałem, kiedy kładłem się spać – wyjaśnił, wskazując swoją nogę. – Udało mi się dowlec do telefonu.

– Ale dwie godziny później znowu pan do niego dzwonił?

– Już przepraszałem. Kolano mi spuchło jak balon. Już przepraszałem.

– Doktor mówi, że ma pan na imię Francisco.

– Francisco, zgadza się.

– Muszę znać pełne pana nazwisko.

– Nie żeby mi to przeszkadzało, ale na co to panu?

– Jeden z pacjentów doktora Josselina został zamordowany. Zapisujemy wszystko, taki mamy obowiązek.

– No tak, robota.

– Właśnie. Tylko zapiszę pańskie nazwisko – powiedział Adamsberg, wyjmując notes.

– Francisco Delfino Vinicius Villalonga Franco da Silva.

– Aha – rzekł Adamsberg, który nie zdążył tego zanotować. – Przykro mi, nie znam hiszpańskiego. Gdzie kończy się imię, a zaczyna nazwisko?

– To nie hiszpański, tylko portugalski – wyjaśnił strażnik, głośno zgrzytnąwszy zębami. – Jestem Brazylijczykiem, moich rodziców deportowali za dyktatury tych skurwysynów, niech Bóg ich pokarze, nigdy ich nie odnaleziono.

– Przykro mi.

– Nie pana wina. Jeśliś pan nie skurwysyn. Co do nazwiska, to Villalonga Franco da Silva. Co do doktora, to drugie piętro. Na piętrze jest salonik i wszystko, co trzeba, żeby poczekać. Gdybym mógł, tam bym mieszkał.

Podest na drugim piętrze był rozległy jak hol wejściowy. Josselin ustawił tam niski stolik i fotele, zabytkową lampę i dystrybutor wody, porozkładał czasopisma i książki. Wyrafinowany gość z lekką dozą ostentacji. Adamsberg usiadł wygodnie, by poczekać na człowieka o złotych rękach, i kolejno zadzwonił do szpitala w Châteaudun – z niepokojem – do ekipy Retancourt – na nic nie licząc – i do ekipy Voiseneta, skrupulatnie usuwając z głowy podłe myśli komendanta Danglarda.

Doktor Lavoisier nabrał krztyny optymizmu – „trzyma się” – gorączka spadła o stopień, żołądek zniósł płukanie, pacjent zapytał, czy inspektor znalazł pocztówkę – „wygląda na to, że obsesyjnie mu zależy, stary”.

– Proszę mu przekazać, że szukamy pocztówki – odparł Adamsberg – że z psem wszystko w porządku, że łajno pobrane, że wszystko idzie po naszej myśli.

Zaszyfrowana wiadomość, uznał doktor Lavoisier, notując każde słowo. Przekáže, jego to nie obchodzi, policja ma swoje metody. Przy tym stanie zapalnym perforowany żołądek musi wytrzymać i to jeszcze nie zostało przesądzone.

Retancourt była rozluźniona, prawie wesoła, chociaż wszystko wskazywało na to, że Armel Louvois nie postawił nogi w swoim mieszkaniu, ba! że nawiał już o szóstej rano. Portierka widziała, jak wychodził z plecakiem. Zamiast jak zwykle zamienić z nią parę miłych słów, młody człowiek przeszedł obok, witając ją ledwie skinieniem dłonią. Prawdopodobnie spieszył się na pociąg. Weill nie mógł tego potwierdzić, jako że wstał w przyzwyczajonej porze południowej. Darzył sympatią młodego sąsiada, toteż

wieść o popełnionej przezeń zbrodni mocno go rozgniewała, zamknął się w domu niemal obrażony i udzielał jedynie niepotrzebnych informacji. Retancourt nienormalnie wcale się nie przejęła tymi złymi wieściami. Niewykluczone, że Weill, enolog o wielkiej renomie, pocieszał policjantów na posterunku, donosząc im jakieś markowe wino z dobrego rocznika w kieliszkach z rżniętego kryształu. Z Weillem, który ubrania miał szyte na miarę z powodu zamożności, snobizmu i wyjątkowych kształtów ciała przypominającego bączek, wszystko było możliwe, również zatroszczenie się o ekipę gliniarzy czyhających na przestępcę, co paradoksalnie sprawiłoby mu niechybnie przyjemność. Wydawało się, że Retancourt nie jest w pełni świadoma, iż czeka na powrót szaleńca, przez Austriaków zwanego Zerguetscherem, człowieka, który przerobił na miazgę starca, można by wręcz sądzić, że pobłażliwość Weilla dla sąsiada uśpiła jej czujność.

– Uprzedźcie Weilla – powiedział Adamsberg – że w Austrii też kogoś tak samo załatwił.

Ekipa Voisenet-Kernorkian była w drodze powrotnej, padając ze zmęczenia. Raymond Real, ojciec artysty, potrzebował dziesięciu minut, aby się zgodzić na odłożenie strzelby i wpuszczenie ich do trzypokojowego mieszkania w suterenie w Survilliers. Tak, wie, co się stało, i błogosławi mściciela, który zgniótł tego starego gada Vaudela, i Bóg da, że gliny nigdy go nie dopadną. Gazety w porę znalazły się w sprzedaży, dzięki czemu zdążył im się wymknąć, co jest błogosławieństwem. Vaudel miał na sumieniu co najmniej dwie osoby, jego syna i żonę, nie wolno o tym zapominać. Czy wie, kto zabił Vaudela? Czy wie, gdzie są jego dwaj synowie? A cóż ci gliniarze sobie myślą, że udzieli im jakichkolwiek wskazówek, aby pomóc? Odbiło im, z choinki się urwali? Gdzie oni żyją? Kernorkian mruknął: „W gównie”, co odrobinę uspokoiło Reala.

– Prawdę mówiąc – powiedział Voisenet – nie dopuścił nas do słowa. Rozumie pan, strzelba leżała na stole, zabezpieczona, ale gotowa do strzału. Facet jest potężny, ma trzy psy, a jego leże... nie znajduję innego słowa na określenie mieszkania... wypełniają silniki, akumulatory i zdjęcia z polowań.

– Nie dowiedzieliście się niczego na temat pozostałych dwóch synów?

– Odpowiedział dosłownie: „Starszy jest w Legii Cudzoziemskiej, a młodszy jeździ na ciężarówce, Monachium-Amsterdam-Rungis, więc się odwalcie”. Potem kazał nam się wynosić, bo „mi cuchnie, jak tu jesteście”. Co do tego miał słuszność – dodał Voisenet – bo Kernorkian obcinał psu sierść.

Słuchając, Adamsberg sięgnął pod szklany blat stolika, by podnieść drobiazg zgubiony przez któregoś z pacjentów doktora Josselina, obciążone czerwonym jedwabiem serduszko z gąbki, które można ścisnąć w garści dla uspokojenia nerwów. Dzwoniąc do Gardona, pstryknął w nie na blacie i patrzył, jak się obraca. Za trzecim razem udało mu się wprowadzić je w ruch obrotowy na całe cztery sekundy. Postanowił, że będzie dążył do tego, aby litery wypisane na wierzchu – Love – ustawiły się właściwie w chwili zatrzymania. Udało mu się to przy szóstej próbie, gdy kazał Gardonowi wyjąć wszystkie pocztówki z rzeczy starego Vaudela. Sierżant przeczytał mu wiadomość od policji awiniońskiej: Pierre Vaudel był tamtego popołudnia w sądzie, przygotowując się do rozprawy. Informacja niezweryfikowana. Wrócił do domu o 19.12. Notabl chroniony, stwierdził Adamsberg. Rozłączył się i znów pstryknął w serduszko z gąbki, licząc jego obroty. Zerquetscher był w drodze. Do kogo się kieruje?

– Uciekł wam, prawda?

Adamsberg ze znużeniem podniósł się wolno i uściśnął dłoń lekarza.

– Nie słyszałem, jak pan przyszedł.

– Nic nie szkodzi – odparł Josselin, otwierając drzwi. – Jak tam mała Cudna?... Ten kociak, który nie ssał – wyjaśnił, widząc, że Adamsberg nie kojarzy imienia.

– Chyba dobrze. Nie byłem w domu od wczoraj.

– Zrozumiałe z tą prasą żądną sensacji. Mimo wszystko proszę o wieści, dobrze?

– Teraz?

– Ważne, żeby przez trzy kolejne dni po terapii znać stan pacjenta. Czy nie poczyta mi pan za nieuprzejmość, jeśli poproszę, by towarzyszył mi pan w kuchni? Nie spodziewałem się pana i muszę pokrzepić siły. Może pan też nie jadł kolacji? Na pewno nie, prawda? W takim razie posilimy się razem, prawda?

Odmowa odpada, pomyślał Adamsberg, który szukał stosownego tonu, by odpowiedzieć Paulowi de Josselinowi. Faceci powtarzający bez przerwy „prawda?” zawsze na początku znajomości trochę go peszyli. Kiedy lekarz zdejmował marynarkę i wkładał stary sweter, Adamsberg szybko zadzwonił do Lucia, bardzo zdziwionego, że sąsiad dopytuje o stan zdrowia Cudnej. Miała się dobrze, wracały jej siły, Adamsberg przekazał wieść i Josselin zadowolony strzelił palcami.

Nie ufać pozorom i nigdy się nie zna drugiego człowieka, tak prawią mądrości ludowe. Adamsbergowi rzadko się zdarzało, żeby obcy człowiek gościł go w tak naturalnej i swojskiej atmosferze. Lekarz gdzieś zgubił swą

dwuznaczną wzgardliwość, tak jak odwiesił do szafy marynarkę. Teraz byle jak nakrył stół, widelce ułożył po prawej, noże po lewej, przyrządził sałatkę z tartym serem i orzechami, pokroił wędzonej wieprzowiny, nałożył na talerze po dwie kulki ryżu i po kulce mielonych fig uformowanych łyżką do lodów, której wewnątrz sprawnie natłuścił palcem. Adamsberg zafascynowany obserwował jego krzątanie: Josselin jak łyżwiarz sunął od szafki do stołu, z wdziękiem posługiwał się swymi wielkimi dłońmi, prezentując zręczność, delikatność i precyzję. Inspektor długo mógłby oglądać jego ewolucje niczym tancerza, który czaruje publiczność, wiedząc, że potrafi robić to, do czego widzowie nie są zdolni. Tyle że Josselin potrzebował niecałych dziesięciu minut, aby wszystko przygotować. Następnie krytycznym wzrokiem spojrzął na otwartą butelkę wina na ladzie kuchennej.

– Nie – powiedział, odstawiając ją. – Tak rzadko jadam z kimś, że szkoda by było. – Zanurkował pod zlew, przepatrzył zapasy i poderwał się zwinnie, pokazując gościowi etykietę nowej butelki. – O wiele lepsze, prawda? Ale wypicie tego w samotności, jakby się urządziło przyjęcie dla jednego człowieka, ma w sobie coś patetycznego, prawda? Smak dobrego wina ujawnia się w kontakcie z drugim człowiekiem. Napije się pan ze mną?

Z westchnieniem zadowolenia usiadł przy stole i bardzo pospolicie założył sobie serwetkę za kołnierzyk koszuli, niczym taki zwykły Émile. Dziesięć minut później wiedli rozmowę równie subtelną jak jego ruchy praktykującego lekarza.

– Strażnik uważa pana za magika – powiedział Adamsberg. – Za uzdrowiciela, człowieka o złotych rękach.

– Gdzie tam!... – odparł Josselin z pełnymi ustami. – Francisco lubi wierzyć w to, co przerasta jego pojmowanie. To zrozumiałe w wypadku człowieka, którego rodzice zostali wywiezieni w czasach dyktatury.

– Przez tych skurwysynów, niech Bóg ich pokarze.

– Właśnie. Poświęcam dużo czasu, żeby zmniejszyć tę jego traumę, bezpiecznik mu stale wywala.

– On ma bezpiecznik?

– Każdy ma, i to kilka. U niego wywala F3. Z przyczyn bezpieczeństwa, jak w sieci elektrycznej. To wszystko nauka, inspektorze. Struktura, układy, sieci, obwody, podłączenia. Kości, narządy wewnętrzne, elementy spajające, ciało się obraca, rozumie pan.

– Nie.

– Weźmy na przykład ten piec. – Josselin wskazał urządzenie na ścianie. –

Taki piec do grzania wody nie jest zlepkiem osobnych części, korpusu, dopływu wody, przepustnicy, złączy, palnika, zaworu bezpieczeństwa. Nie,

to całość synergiczna. Jeśli przepustnica ulegnie zanieczyszczeniu, zawór bezpieczeństwa odcina dopływ gazu i palnik gaśnie. Rozumie pan? Wszystko jest całością, praca każdego elementu zależy od pracy innego. Jeżeli skręci pan sobie nogę, druga zostaje nadmiernie obciążona, plecy się wykrzywiają, reaguje szyja, pojawia się ból głowy, żołądek się ściska, znika apetyt, spada szybkość działania, rodzi się niepokój, bezpieczniki wyskakują. To tak w uproszczeniu.

– Czemu wywała bezpiecznik Francisca?

– Blokada tutaj – wyjaśnił lekarz, dotykając palcem miejsca w tyle swojej głowy. – Tam, gdzie jest jego ojciec. Komórka jest zamknięta, kość potyliczna podstawowa się nie rusza. Jeszcze sałatki?

Nałożył Adamsbergowi, nie czekając na odpowiedź, i napełnił mu kieliszek.

– A u Èmile'a?

– Matka – odparł lekarz, mlaskając i wskazując palcem miejsce z drugiej strony głowy. – Silne poczucie niesprawiedliwości. Dlatego bije. Teraz już prawie wcale.

– A Vaudel?

– Ano właśnie.

– Yhm.

– Skoro w gazetach podali szczegóły, można się nie przejmować dochowywaniem tajemnicy służbowej. Niechże pan powie. Vaudel został okrutnie poćwiartowany, tak wynika z doniesień prasowych. Ale jak, dlaczego, o co chodziło zabójcy? Była w tym jakaś logika, rytuał?

– Nie, bezbrzeżny strach, gniew, który nie wygasa. Na pewno był jakiś system, ale nieznan.

Adamsberg wyjął notes i narysował ludzką postać, zaznaczył na niej miejsca, nad którymi szczególnie pastwił się zabójca.

– Bardzo dobry – rzekł lekarz. – Ja nie umiem narysować nawet kaczki.

– Kaczka jest trudna.

– No, niech mi pan narysuje. I proszę nie myśleć, że równocześnie nie myślę o systemie.

– Jaka ta kaczka? W locie, siedząca, nurkująca?

– Niech pan poczeka – rzekł lekarz, podnosząc się – poszukam lepszego papieru. – Odsunął talerze, położył przed Adamsbergiem kilka czystych kartek. – Kaczka w locie.

– Samiec? Samica?

– Obydwie, jeśli wolno prosić.

Następnie Josselin poprosił kolejno o skaliste wybrzeże, zamyśloną

kobietę i jednego Giacomettiego z łaski swojej. Machał skończonymi rysunkami, aby atrament wysechł, przysuwał je do lampy.

– To są złote ręce, inspektorze. Naprawdę bardzo chciałbym pana zbadać. Ale pan nie chce. Każdy ma zamknięty pokój, do którego nie życzy sobie wpuszczać pierwszego lepszego, prawda? Ale proszę się nie obawiać, nie jestem jasnowidzem, jestem tylko pozytywistą bez wyobraźni. Pan to co innego. – Starannie ułożył rysunki na parapecie okiennym, po czym zabrał kieliszki i butelkę do salonu razem ze szkicem ciała Vaudela. – I co pan z tego wydedukował? – zapytał, kładąc swą wielką dłoń na rysunku, wskazując łokcie, kostki u nóg, kolana, głowę.

– Że zabójca zniszczył to, co pozwala funkcjonować organizmowi: stawy, stopy... Niedaleko mnie to prowadzi.

– Mózg, wątroba, serce... Kieruje się także ideą przenikania się dusz, prawda?

– Taką interpretację proponuje mój kolega. To więcej niż morderca, to unicastwiacz, Zerquetscher, jak mówi jeden austriacki inspektor. Niedaleko Wiednia zrobił miazgę z innego człowieka.

– Z rodziny Vaudela?

– Dlaczego?

Josselin się zawahał, spostrzegł, że nie ma już wina, wyjął z szafy dużą zieloną butelkę.

– Śliwowica, pasuje panu, prawda?

Nie, nie pasowało mu, ten dzień był za długi. Ale pozostawienie Josselina samego ze śliwowicą mogło zachwiać porozumieniem między nimi. Adamsberg patrzył, jak lekarz nalewa alkohol do dwóch małych kieliszków.

– W głowie Vaudela nie znalazłem zwykłej strefy zablokowanej, tylko coś znacznie gorszego.

Lekarz umilkł, zdawało się, że wciąż się waha, czy ma prawo mówić, podniósł kieliszek, odstawił go.

– Co było w głowie Vaudela, doktorze? – ponaglił go Adamsberg.

– Hermetyczna klatka, nawiedzony pokój, ciemnica. Vaudel żył z obsesją tego, co zawierała.

– Czyli?

– Jego. Z całą rodziną w komplecie i z ich sekretem. Wszyscy byli tam zamknięci, wszyscy niemi, wszyscy z dala od świata.

– Myślał, że ktoś go zamyka?

– Nie, pan nie rozumie. Vaudel zamknął się sam, dobrowolnie się schował, ukrył przed wzrokiem innych. Chronił przebywających w ciemnicy.

– Przed śmiercią?

– Przed unicestwieniem. Były w nim trzy widoczne rzeczy: przemożne przywiązanie do nazwiska. Dalej niezdecydowane rozdarcie w stosunku do syna, rozdarcie między dumą a odrzuceniem. Kochał Pierre'a, ale nie chciał, żeby istniał.

– Nic mu nie zostawił, wszystko zapisał ogrodnikowi.

– Logiczne. Skoro nic nie zapisuje, znaczy, że nie ma syna.

– Nie sądzę, żeby Pierre tak to zrozumiał.

– Na pewno nie. I wreszcie Vaudel był wyposażony w bezgraniczną pychę, tak totalną, że generowała poczucie niezwyciężoności. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Oto o czym może się pan dowiedzieć od lekarza, no i rozumie pan, dlaczego tak mi zależało na tym pacjencie. Tyle że Vaudel był silny, stawiał dziki opór mojej terapii. Pozwalał, żebym mu pomógł w razie kręczu szyi albo jakiegoś zwichnięcia. Nie posiadał się z wdzięczności, kiedy wyleczyłem go z zawrotów głowy i z początków głuchoty. Tutaj – poklepał się po uchu. – Kosteczki ucha środkowego zablokowane jak w kleszczach. Ale nienawidził mnie, kiedy się zbliżałem do ciemnicy i do wrogów, którzy go otaczali.

– Kim byli ci wrogowie?

– To wszyscy ci, którzy pragnęli zniszczyć jego moc.

– Bał się ich?

– Z jednej strony wystarczająco, żeby nie chcieć dzieci, bo nie zamierzał narażać ich na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony wcale nie czuł strachu przez to poczucie wyższości, o którym wspominałem. Poczucie, które już kwitło, kiedy zajmował się wymiarem sprawiedliwości, kiedy wymierzał sprawiedliwość, dekretując życie albo śmierć drugiego człowieka. Proszę uważać, inspektorze, to, co teraz opisuję, nie jest rzeczywistością, tylko jego rzeczywistością.

– Szaleniec?

– Kompletny, jeżeli uznać, że szalony jest ten, kto żyje zgodnie z logiką świata, która nie jest logiką świata. I ani trochę szalony, kiedy był rygorystyczny i spójny w łonie swojego systemu i kiedy umiał go podłączyć do elementarnych zasad powszechnego porządku społecznego.

– Zidentyfikował wrogów?

– Niechętnie o tym mówił, a to, co usłyszałem, przywodziło na myśl jakąś pierwotną walkę dwóch band, niekończącą się wendetę. A kluczem do niej była władza.

– Znał ich nazwiska?

– Na pewno. Nie chodziło o zmieniających się wrogów, ulotne demony

mogące się wyłonić byle kiedy i byle gdzie. Ich miejsce w jego głowie nigdy się nie zmieniało. Vaudel był paranoikiem chociażby ze względu na tę pewność własnej mocy i rosnącą izolację. Ale w jego walce wszystko było racjonalne i realistyczne i ci, których zwalczał, z pewnością dla niego mieli nazwiska, a nawet twarze.

– Wojna odbywa się w ukryciu, a wrogowie są wydumani. Mimo to pewnego wieczora rzeczywistość wkracza do jego teatru i Vaudel zostaje zabity.

– Tak. Czy w końcu faktycznie zagroził tym swoim „wrogom”? Przemówił do nich, zaatakował ich? Zna pan tę formułkę, prawda? W końcu kiedyś paranoik powołuje do życia nienawiść, którą sobie stworzył. Wymysł staje się realny.

Josselin zaproponował następny kieliszek alkoholu, lecz Adamsberg odmówił. Lekkim krokiem gospodarz podszedł do szafy, starannie odstawił do niej butelkę.

– Normalnie raczej nie powinniśmy się więcej zobaczyć, inspektorze, bo moja znajomość z Vaudelem już się zakończyła. Z mojej strony nadużyciem byłoby prosić, żeby wpadł pan kiedyś do mnie, prawda?

– Chce pan zajrzeć mi do głowy?

– Oczywiście. Chyba że znajdziemy jakiś mniej zenujący pretekst. Nie dokuczają panu jakieś bóle w plecach? Zesztywniałe stawy? Uciski? Zaparcia? Uderzenia gorąca, zimna? Nerwobóle? Zatoki? Nie, nic z tych rzeczy, prawda?

Adamsberg z uśmiechem pokręcił głową. Lekarz zmrużył oczy.

– Szumy w uszach – zaproponował trochę jak handlarz podsuwający towar klientowi.

– Zgadza się – przyznał Adamsberg. – Skąd pan wie?

– Poznałem po tym, jak dotyka pan ucha.

– Już zasięgałem porady. Nic się nie da zrobić, trzeba się przyzwyczaić i zapomnieć. A do tego mam talent.

– Nonszalancja, obojętność, prawda? – mówił Josselin, odprowadzając Adamsberga do wyjścia. – Ale szumy w uszach nie rozwiewają się jak wspomnienia. Ja mogę pana uwolnić od nich. Jeśli pan zechce. Bo po co dźwigać brzemień?

XXI

Wracając pieszo od doktora Josselina, Adamsberg w kieszeni zaciskał i rozluźniał dłoń na sercu z gąbki z napisem Love. Przystanął pod kościołem Świętego Franciszka Ksawerego, by zadzwonić do Danglarda.

– To nie pasuje, komendancie. Ten miłosny liścik, wiesz, za cholerę nie pasuje.

– Jaki miłosny liścik? – spytał ostrożnie Danglard.

– Od starego Vaudela, to Kiss Love do niemieckiej staruszki. Vaudel to wiekowy tradycjonalista, odciął się od świata, siedzi w ludwiku trzynastym i popija wiśniówkę, taki człowiek nie pisze w liście „Kiss Love”. Nie, nie, Danglard, a tym bardziej w liście pośmiertnym. Jak na niego to za łatwe i za tanie. On potępia taką nowoczesność. Nie będzie kopiował napisów umieszczanych na sercu z gąbki.

– Na jakim sercu z gąbki?

– Nieważne.

– Nikt nie ustrzeże się przed zachciankami. Vaudel był kapryśny.

– Zachcianka cyrylicą?

– Z upodobania do tajemnic, czemu nie?

– Danglard, czy ten alfabet jest używany tylko w Rosji?

– Nie, w słowiańskich językach krajów prawosławnych. Wywodzi się ze średniowiecznej greki... mniej więcej.

– Nie mów mi, skąd pochodzi, powiedz tylko, czy używany jest w Serbii.

– Jasne.

– Mówiłeś kiedyś, że twój wujek był Serbem, tak? Więc odcięte stopy też były serbskie?

– Nie mam pewności, czy to wujowe. Tak mi się nasunęło po tej twojej opowieści o niedźwiedziu. Może to stopy kogoś innego.

– Niby czyje?

– Może kuzyna, człowieka z tej samej miejscowości.

– Ale z serbskiej miejscowości, tak?

Adamsberg usłyszał, jak Danglard z hukiem odstawia szklanę na stół.

– Serbskie słowo, serbskie stopy... tak myślisz, tak? – zapytał komendant.

– Tak. Dwa serbskie tropy w ciągu kilku dni, to nie zdarza się często.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. A ty nie chciałeś, żebyśmy się zajmowali stopami z Highgate.

– Wiatr wieje i co na to poradzę, komendancie? A dzisiaj wieje ze wschodu. Poszukaj, co może znaczyć po serbsku to Kiss Love. Na początek poszperaj wokół stóp wujka.

– Wuj miał we Francji mało znajomych, a już na pewno nie wśród zamożnych prawników w Garches.

– Nie wrzeszcz, Danglard, mam szumy w uszach i to mi przeszkadza.

– Od kiedy?

– Od Quebecu.

– Nigdy nie mówiłeś.

– Bo mi nie przeszkadzały. A dzisiaj przeszkadzają. Przefaksuję ci list Vaudela. Szukaj czegoś, co zaczyna się na „kiss”. Obojętne czego. Ale po serbsku.

– Dzisiaj?

– Chodzi o twojego wujka, komendancie. Nie zostawimy go w niedźwiedzim brzuchu.

XXII

Z nogami na ceglanej obudowie kominka Adamsberg drzemał przed wygaszonym paleniskiem, palcem zatykając sobie ucho. Nic to nie dawało, hałas był w środku, takie skwierczenie jak linii wysokiego napięcia. Niewątpliwie zaburzało mu to słuch, który miał naturalnie nieuważny, toteż nie mógł wykluczyć, że skończy w izolacji jak nietoperz bez radaru, nie rozumiejąc już w ogóle świata. Czekał, aż Danglard weźmie się do roboty. O tej porze komendant z pewnością przebrał się w strój wieczorny, czyli w robocze ubranie ojca górnikarza będące przeciwieństwem jego elegancji za dnia. Adamsberg bez trudu go sobie wyobrażał pochylonego nad biurkiem w podkoszulku, klnącego na kolegę.

Danglard przyglądał się zapisanemu cyrylicą słowu w liście Vaudela, klnąc pod nosem na inspektora, który nie zainteresował się stopami, kiedy on się nimi zajmował. A teraz, gdy on, Danglard, postanowił zostawić je w spokoju, Adamsberg nagle daje zielone światło. Bez wyjaśnień, po swojemu mgliście i nieoczekiwanie, tak że Danglard czuł, jak zaczyna mu wariować system zabezpieczeń. I zaznawał szkód na jestestwie, jeśli się okazywało, że Adamsberg miał słuszność.

Co nie jest niemożliwe, przyznał Danglard, rozkładając na stole nieliczne dokumenty odziedziczone po wujku, który mienił się Slavko Moldovan. Owszem, nie ma mowy, żeby takiemu człowiekowi pozwolić skończyć w niedźwiedzim żołądku. Danglard pokręcił głową, zirytowany jak zawsze, gdy język Adamsberga przenikał jego język. Kochał wuja Slavka, który na okrągło wymyślał różne historie, kładł palec na ustach, by przypieczętować tajemnicę – palec pachnący tytoniem fajkowym. Danglard wierzył, że wuj przyszedł na ten świat wyłącznie dla niego, aby służyć tylko jemu. Slavko Moldovan był niestrudzony – a przynajmniej nie okazywał, że jest inaczej – ofiarowywał mu skrawki życia wesole i straszne, do przesady naszpikowane tajemnicami i wiedzą. Otworzył przed nim okna, pokazał mu horyzonty. Kiedy gościł u nich, mały Adrien Danglard chodził za nim krok w krok, chodził za nim i za jego mokasynami ozdobionymi czerwonymi pomponami,

obszytymi złotym haftem, który czasem naprawiał błyszczącą nicią. Należało dbać o mokasyny, noszono je w święta, taki był zwyczaj w wiosce. Adrien mu pomagał, prostował złotą nitkę, szykował igły. Rozumie się zatem, że znał te buty, ujrzał ich pompony haniebnie potraktowane, wmieszane w świętokradczy stos przed bramą cmentarza Highgate. Pompony, które mogły należeć do każdego z tamtej wioski, czego Danglard gorąco pragnął. Nadinspektor Radstock odnotowywał postępy w śledztwie. Ustalił, zdaje się, że kolekcjoner zakradał się do kostnic, do chłodni zakładów pogrzebowych, gdzie czekały zwłoki. Odcinał swój fetysz, czyli stopy, na powrót przykręcał wieko trumny. Stopy były umyte, paznokcie obcięte. A skoro Obcinacz Stóp był Anglikiem bądź Francuzem, jak i dlaczego, do diabła, zdobył stopy Serba? I jakim cudem nie zauważono go tam? No chyba że był z tej wioski...

Wioskę Slavko opisał mu o każdej porze roku, cudowne miejsce pełne wróżek i demonów, wuj bowiem cieszył się względami jednych i zwalczał drugie. Zwłaszcza wielkiego demona ukrytego głęboko pod ziemią, krążącego na skraju lasu, mówił, zniżywszy głos, a potem kładł palec na ustach. Matka Danglarda złościła się na te opowieści Slavka, a jego ojciec wyśmiewał je. „Czemu opowiadasz mu takie straszne rzeczy? Jak dziecko ma potem spać w nocy?” „Takie tam głupotki” – odpowiadał Slavko. „Oboje z małym dobrze się bawimy”.

A potem ciotka go zostawiła dla tego kretyna Rogera i Slavko wrócił do siebie.

Do siebie.

Do Kisilewa.

Danglard odetchnął, nalał sobie do szklanki i wybrał numer Adamsberga, który natychmiast odebrał.

– To nie znaczy Kiss Love, hę?

– Nie. To znaczy Kisilewo. Tak się nazywa wieś mojego wuja.

Adamsberg zmarszczył brwi, odsunął polano nogą.

– Kisilewo? To nie to. Estalère nie tak to wymawiał. Powiedział „Kislowa”.

– Brzmi podobnie. Na wschodzie mogą Kisilewo wymawiać jak Kislowa. Tak jak na Belgrad mówią Beograd.

Adamsberg wyjął palec z ucha.

– Kisilewo – powtórzył. – Niezwykłe, Danglard. Mamy tu połączenie Hiżgat z Garches, tunel, ciemny tunel.

– Nie – upierał się Danglard do samego końca. – Tam dużo nazw zaczyna się na K. No i jest pewna przeszkoda. Nie widzisz jej?

– Nic nie widzę, mam szumy w uchu.

– Powiem to głośniej. Przeszkodą jest ten niezwykle zbieg okoliczności, który miałyby łączyć buty mojego wuja z rzeźnią w Garches. I nas dwóch, ciebie i mnie, z obiema sprawami. A wiesz, co ja sędzę o zbiegach okoliczności.

– Właśnie. Czyli to pewne, że uprzejmie poprowadzono nas za rączkę do tego składowiska w Hiżgat.

– Kto był tak uprzejmy?

– Ależ lord Fox. A raczej jego kubański przyjaciel, który nagle znikł. Wiedział, którądy będzie szedł Stock, wiedział, że jesteśmy z nim.

– A dlaczego był tak uprzejmy?

– Ponieważ było wiadomo, że sprawa z Garches z powodu swoich rozmiarów trafi do naszej brygady. Zabójca o tym wiedział. I nawet jeżeli zamykał jakiś etap, porzucając swoją kolekcję, bo może stała się za dużym zagrożeniem, nie mógł jej zostawić ot tak, bez gwarancji i rozgłosu. Życzył sobie zaznaczyć łączność między swoim młodzieńczym dziełem i wiekiem dojrzałym. To musiało być widoczne. Żebyśmy pamiętali o Hiżgat, kiedy zacznie się Garches. Obcinacz Stóp i Zerquetscher to jedna bajka. Pamiętaj, że morderca pastwił się nad stopami Vaudela i Plögenera. Gdzie leży to Kisilaw?

– Kisilewo. Na południowym brzegu Dunaju, o rzut kamieniem od granicy rumuńskiej.

– To miasteczko czy wieś?

– Wieś, nie więcej jak osiemset dusz.

– Jeżeli Obcinacz Stóp aż tam trafił za trupem, możliwe, że go zauważyli.

– Po dwudziestu latach nikłe szanse, że ktoś będzie pamiętał.

– Czy wujek nie opowiadał przypadkiem, że jakaś rodzina we wsi jest obiektem wendety, wojny klanów czy czegoś w tym guście? Lekarz mówi, że Vaudel miał taką obsesję.

– Nie, nigdy – odparł Danglard po chwili zastanowienia. – Tam nie brakuje wrogów, są zjawy i diabllice, potwory i oczywiście „wielki demon”, który krąży na skraju lasu. Ale o rodzinie szukającej zemsty nigdy nie słyszałem. W każdym razie jeśli masz słuszność, Zerquetscher na pewno nas pilnuje.

– Od Londynu, tak.

– I nie pozwoli nam wejść do tunelu w Kisilewie, cokolwiek w nim jest. Radzę ci: bądź ostrożny, nie sędzę, żebyśmy mu dorównywali.

– A pewnie – zgodził się Adamsberg, wspominając zakrwawiony fortepian.

- Masz ze sobą broń?
- Na dole.
- To zabierz ją do sypialni.

XXIII

Stopnie starych schodów z płytek i drewna były zimne, Adamsberg jednak tym się nie przejmował. Piętnaście po szóstej spokojnie szedł na dół jak każdego dnia, zapomniawszy o szumie w uszach, Kisilawie i całym świecie, jakby sen przywrócił go do stanu pierwotnego, absurdalnego i niepiśmiennego, orientując jego budzącą się myśl ku picciu, jedzeniu, myciu. Na przedostatnim stopniu przystanął, odkrył bowiem w kuchni człowieka ustawionego doń tyłem, oświetlonego prostokątem porannego słońca, spowitego dymem papierosowym. Mężczyznę szczupłej budowy, o kręconych ciemnych włosach do ramion, niewątpliwie młodego, w nowym czarnym T-shircie ozdobionym – co Adamsberg zobaczył później – białym rysunkiem klatki piersiowej, której żebra spływały krwią.

Adamsberg nie przypominał sobie tej sylwetki, toteż w jego pustej głowie włączyły się wszelkie alarmy. Mężczyzna miał muskularne ramiona i czekał na niego w ściśle określonym celu. I był ubrany, a on nagi na schodach, bez planu i bez broni. Broń, ta broń, którą Danglard radził mu zabrać do sypialni, leżała na stole w zasięgu ręki nieznanego. Gdyby Adamsberg mógł bezszelestnie skręcić w lewo, znalazłby w łazience ubranie i swojego P38 wciśniętego między spłuczkę a ścianę.

– Idź po ciuchy, bucu – rzekł ów człowiek, nie odwracając się. – I nie szukaj gnata, zająłem się nim.

Głos dość lekki i szyderczy, oj, bardzo szyderczy, ostentacyjnie zapowiadający zagrożenie. Facet uniósł z tyłu T-shirt, odsłaniając kolbę P38 wsuniętego za pasek dżinsów, przytulonego do śniadej skóry pleców.

Z łazienki nie było wyjścia, do gabinetu nie dało się przejść. Mężczyzna blokował dostęp do drzwi na zewnątrz. Adamsberg szybko się ubrał, wymontował z golarki ostrze i schował je do kieszeni. Co jeszcze? Duże cążki do paznokci do drugiej kieszeni. Śmieszne, facet miał obie sztuki jego broni. A jeśli Adamsberg się nie mylił, znajdował się w obliczu Zerquetschera. Te gęste włosy, krótka szyja... W ów czerwcowy dzień zakończy się jego droga. Nie posłuchał rad zmartwionego Danglarda i teraz

miał przed sobą brząsk wypełniony ciałem Zerquetschera, które rozpychało ohydny koszulkę. Akurat tego ranka, kiedy na zewnątrz w świetle słońca ślicznie się odcinało każde źdźbło trawy, każda nierówność kory drzew, porywająco dokładnie i tak pospolicie. Wczoraj także światło to zrobiło. Ale dzisiaj widział lepiej.

Adamsberg nie był strachliwyczy to z niedostatku wrażliwości, czy z braku umiejętności przewidywania, czy wreszcie z winy ramion szeroko otwartych na życiowe zawirowania. Wszedł do kuchni, okrążył stół. Jak to możliwe, że w takiej chwili był w stanie myśleć o kawie, o tym, że ma ochotę ją zaparzyć i wypić?

Zerquetscher. Kurde, taki młody – to była jego pierwsza myśl. Młody, lecz z twarzą zniszczoną, zapadniętą i kanciastą, kościstą, asymetryczną. Młody, ale z rysami poruszonymi wyborem ostatecznego zakończenia. Gniew przykrywał szyderczym śmiechem, zwyczajnym śmiechem małolata, który się zgrywa. I pogrywa także ze śmiercią, toczący z nią wzdurliwą walkę, od której pobladł, a jego oblicze przybrało okrutny głupi wyraz. Śmierć ostentacyjnie obnoszona na T-shircie, klatka piersiowa wydrukowana z przodu. Poniżej mostka napis naśladowujący styl słownikowy: „Śmierć. 1. Zakończenie życia zaznaczone zanikiem oddechu i rozkładem ciała. 2. Być martwym: być skończonym, niczym”. Ten gość już był martwy i zabierał innych ze sobą.

– Robię kawę – oświadczył Adamsberg.

– Nie rznij mi tu głupa – odparł młodzian, zaciągając się papierosem i drugą ręką kładąc na broni. – Nie mów tylko, że nie wiesz, kim jestem.

– Jasne, że wiem. Zerquetscher jesteś.

– Co?

– Zgniatacz. Najbardziej zawzięty morderca naszego wieku.

Facet uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Chcę się napić kawypowiedział Adamsberg. – Jaka różnica, czy mnie kropniesz teraz czy później? Masz broń, blokujesz drzwi.

– Tiaaa... – przyznał facet, przysuwając rewolwer na skraj stołu. – Śmieszny jesteś.

Adamsberg umieścił papierowy filtr w sitku, nasypał trzy czubate łyżeczki zmielonej kawy, odmierzył dwa kubki wody, którą wlał do rondelka. Czymś należało się zająć.

– Nie masz kawiarki?

– Taka jest lepsza. Jadłeś śniadanie? Jak chcesz – dodał Adamsberg po chwili ciszy. – Ja w każdym razie będę jadł.

– Będziesz jadł, jeśli pozwolę.

– Jeśli nie zjem, nie dam rady zrozumieć, co mówisz. Przypuszczam, że przyszedłeś, bo chcesz coś powiedzieć.

– Zgrywasz chojraka, co? – rzekł facet w kuchni napęczniałej się aromatem kawy.

– Nie. Szykuję sobie ostatnie śniadanie. Nie pasuje ci?

– Nie pasuje.

– No to wal.

Adamsberg postawił na stole dwa kubki, cukier, chleb, masło, dżem i mleko. Nie zamierzał ginąć od kul tego ponurego skostniałego typka, jak by powiedział Josselin. Ani go poznawać bliżej. Ale mówienia i pociągania za język uczono Adamsberga wcześniej niż strzelania. „Słowo – mawiał instruktor – to najbardziej śmiertcionośny pocisk, jeśli tylko potrafisz je umieścić w głowie”. Dodawał, że trudno znaleźć słowami środek głowy i że jeśli się spudłuje, wróg natychmiast strzeli.

Adamsberg nalał kawy do kubków, popchnął cukier i pieczywo bliżej przeciwnika, który spoglądał nieruchomym wzrokiem spod ciemnych brwi.

– Powiedz przynajmniej, jak ci się widzi – rzekł Adamsberg. – Zdaje się, że umiesz gotować.

– Skąd wiesz?

– Od Weilla z parteru. To przyjaciel. Lubi cię, Zerquetscherze. Ja mówię: Zerkeczu. Bez urazy.

– Wiem, co kombinujesz, bucu. Próbujesz mnie ciągnąć za język, żebym gadał o swoim życiu i takich tam pierdołach, bo niby z ciebie taki dobry glina. Potem omotasz mnie i złapiesz za jaja.

– W dupie mam twoje życie.

– Tak?

– Tak – potwierdził szczerze Adamsberg i zaraz tego pożałował.

– No to chyba źle robisz – wycedził młodzian przez zęby.

– Pewnie tak. Ale taki już jestem. Wszystko mam w dupie.

– Mnie też?

– Też.

– A coś cię w ogóle obchodzi, bucu?

– Nic. Gdzieś kiedyś musiałem przegapić, jak tym obdzielali. Widzisz tę żarówkę pod sufitem?

– Nie zmusisz mnie do podniesienia głowy.

– Spaliła się parę miesięcy temu. Nie wymieniłem jej, radzę sobie po ciemku.

– Tak właśnie myślałem. Do niczego się nie nadajesz, jesteś zwykły śmieć.

– Żeby być śmieciem, trzeba czegoś chcieć, nie?
– No – przyznał młodzian po chwili.
– A ja niczego nie chcę. Co do reszty zgadzam się z tobą.
– I jesteś tchórz. Przypominasz mi takiego jednego nadętego starucha, cwaniaka, któremu się wydaje, że jest ponad wszystkim.

– Trudno.

– Był kiedyś w barze. Dopadło go sześciu gostków. Wiesz, co zrobił?

– Nie.

– Położył się na ziemi jak ostatnia ofiara. I mówi: „No dalej, chłopaki”. A chłopaki na to, żeby wstał. Ale stary nic, dalej leży z rękami splecionymi na brzuchu jak jakaś pieprzona laseczka. Wtedy chłopaki wołają: „Cholera, podnoś się, stawiamy ci kielicha”. I wiesz, co stary powiedział?

– Wiem.

– No?

– Powiedział: „Kielicha czego? Bo dla beaujolais nie wstaję”.

– No, tak było – przyznał młodzian lekko stropiony.

– I wtedy gostki, szacun – ciągnął Adamsberg, maczając kromkę w kawie.

– Podniosły starego i odtąd byli jak kumple z piaskownicy. Moim zdaniem to nie tchórzostwo. Moim zdaniem do czegoś takiego trzeba mieć jaja. Ale to Weill. Ten stary to Weill, co?

– No.

– Zdolniacha. Ja taki nie jestem.

– Lepszy jest od ciebie? Jako gliniarz?

– Co, rozczarowany? Chcesz innego przeciwnika?

– Nie. Mówią, że jesteś najlepszy z gliniarzy.

– Czyli urodziliśmy się, żeby się spotkać.

– I to bardziej, niż myślisz, bucu – przyznał młodzian z okrutnym uśmiechem, upijając pierwszy łyk kawy.

– Możesz inaczej do mnie mówić?

– No. Na przykład pies.

Adamsberg dojadł kromkę i dopił kawę, o tej porze wychodził do pracy, pół godziny piechotą. Poczul się zmęczony, zgnębiony tą rozmową, zniesmaczony sobą i tym człowiekiem.

– Siódma – powiedział, zerkając za okno. – O tej godzinie sąsiad sika pod drzewem. Sika co półtorej godziny, w dzień i w nocy. Drzewu nie robi to dobrze, ale ja wiem, która godzina.

Facet zacisnął palce na broni i popatrzył na Lucia za oknem.

– Czemu sika co półtorej godziny?

– Przez prostatę.

– W dupie to mam – zezłościł się młodzian. – Ja mam gruźlicę, grzybicę, świerzb, zapalenie jelit i jedną nerkę.

Adamsberg zebrał kubki ze stołu.

– Rozumiem, że wykańczasz wszystkich dookoła.

– No. Za rok i tak nie będę żył.

Adamsberg gestem wskazał papierosy Zerquetschera.

– Chcesz zapalić? – spytał młodzian.

– Tak.

Facet pchnął paczkę po stole.

– Tradycja. Zapal, potem cię rozwalę. Coś jeszcze byś chciał?

Dowiedzieć się? Zrozumieć? Nic się nie dowiesz. Zawsze możesz sobie kombinować.

Adamsberg wyjął papierosa, gestem poprosił o ogień.

– Nie masz pietra? – dopytywał facet.

– Ano nie.

Adamsberg się zaciągnął i zawróciło mu się w głowie.

– Po coś tu właściwie przylazł? – zapytał. – Żeby wejść w paszczę lwa? Opowiedzieć mi swoją historyjkę? Szukać odkupienia? Zmierzyć się z przeciwnikiem?

– No – odparł młodzian w odpowiedzi na nie wiadomo które pytanie. – Chciałem zobaczyć, jak wyglądasz, zanim odejdziesz... Nie, to nie to. Przyszedłem, żeby ci zatruć życie.

Zakładał szelki z kaburą, płacząc się w rzemieniach.

– Nie tak, teraz odwrotnie zakładasz. Ta sprzączka ma być na drugim ramieniu.

Młodzian zaczął od nowa, Adamsberg przyglądał się bez ruchu. Rozległo się przeraźliwe miauczenie i drapanie w drzwi.

– Co to?

– Kotka.

– Trzymasz zwierzaki? Żałosne, trzeba być idiotą, żeby mieć zwierzę. Twoja?

– Nie. Ogrodowa.

– Dzieci masz?

– Nie – odpowiedział przezornie Adamsberg.

– Łatwo zawsze mówić „nie”, co? Łatwo nie dbać o nic? Odlatywać, kiedy inni pełzają po ziemi, co?

– Gdzie odlatywać?

– Tam, wysoko. Szuflować chmury.

– Dobrze jesteś poinformowany.

– No. W sieci jest wszystko o tobie. Są zdjęcia i opowieści o twoich wyczynach. Na przykład o tym, jak goniełeś tego gostka w Lorient i jak skoczył do wody w porcie.

– Nie utonął.

Kolejne miauknięcie przeniknęło do kuchni, niespokojne i nagłące.

– Cholera, o co jej chodzi?

– Pewnie jakiś kłopot. Niedawno kociła się pierwszy raz, nie bardzo sobie radzi. Może któreś małe gdzieś wlało i nie może wyjść. Nie zwracaj uwagi.

– Ty możesz sobie nie zwracać uwagi, bo jesteś śmieć, nikt cię nie obchodzi.

– To idź i zobacz, Zerkecz.

– Akurat. A ty wtedy zwiejesz, bucu.

– Zamknij mnie w gabinecie, okno jest zakratowane. Zabierz ze sobą gnaty i idź. Sprawdź, czego chce kotka, bo jesteś lepszy niż ja. Udowodnij to.

Młodzian rozejrzał się po gabinecie, cały czas celując z broni do Adamsberga.

– Nie próbuj się stąd ruszyć.

– Jak znajdziesz kociaka, podnieś go pod brzuch albo za skórę na szyi, nie dotykaj łebka.

– No proszę – zaśmiał się szyderczo młodzian. – Adamsberg czuł jak mamusia.

Zarechotał głośniejsze i zaryglował drzwi. Adamsberg nadstawił ucha na dźwięki z ogrodu, usłyszał hałas przestawianych skrzynek, potem głos Lucia, który mówił:

– Wiatr obalił stertę skrzynek i kociak tam ugrzązł. Hej, od suń się, *hombre*, widzisz, że mam jedną rękę. Coś pan za jeden? I co znaczy ta broń?

Władczy głos Lucia badał teren stalowym szpicem.

– Krewniak. Inspektor uczy mnie strzelać.

Nieźle wymyślił, z uznaniem przyznał Adamsberg. Lucio szanował rodzinę. Rozległ się stukot przestawianych skrzynek, potem cichutkie miauczenie.

– Widzisz go pan? – zapytał Lucio. – Skaleczył się? Nie cierpię krwi.

– A ja lubię.

– Jakbyś pan widział własnego dziadka z flakami na wierzchu od kul i własną rękę sikającą krwią jak fontanna, tobyś tak nie gadał. Jak cię matka wychowała, *hombre*? Daj mi pan kociaka, nie ufam ci.

Spokojnie, Lucio, spokojnie, błagał Adamsberg, zaciskając usta. To Zerquetscher, do licha, nie widzisz, że facet może otworzyć ogień?

Rozdeptać kociaka, a ciebie rozkwasić na ziemi? Zamknij się, bierz kociaka i spadaj.

Trzasnęły drzwi wejściowe, młodzian ciężkim krokiem wmaszerował do gabinetu.

– Ugrzązł jak ten głupek pod stertą skrzynek – wyjaśnił. – Nie wylazłby sam, głąb jeden. Tak jak ty – dodał, siadając na wprost Adamsberga. – Mało ciekawy ten twój sąsiad. Wolę Weilla.

– Zaraz wychodzę, Zerkecz. Jak za długo siedzę, zaczynam się niecierpliwic. Właściwie to jedyna rzecz, która mnie denerwuje. Ale denerwuje mnie naprawdę.

– Bez jaj – zaśmiał się szyderczo młodzian, celując do niego z broni. – Gliniarz ma mnie dosyć, gliniarz chce wyjść.

– Dobrze zrozumiałeś. Widzisz tę fiolkę? – Adamsberg trzymał w palcach malutką szklaną fiolkę wypełnioną brunatną cieczą, nie większą od próbki perfum. – Na twoim miejscu nie tykałbym broni, dopóki ja nie skończę mówić. Widzisz ten korek? Jak go wyjmę, umrzesz. W niecałą sekundę. Dokładnie w siedemset czterdzieści trzy tysięczne sekundy.

– Ty mendo!... – burknął młodzian. – To dlatego robiłeś podchody, co? Dlatego nie miałeś pietra?

– Jeszcze nie skończyłem. Na odbezpieczenie broni potrzebujesz sześćdziesiąt pięć setnych sekundy, na naciśnięcie spustu pięćdziesiąt dziewięć setnych. Zanim pocisk doleci, miną jeszcze trzydzieści dwie setne sekundy. W sumie sekunda i pięćdziesiąt sześć setnych. Efekt: zanim kula mnie trafi, będziesz martwy.

– Co to za świństwo?

Młodzian wstał i cofał się, w wyciągniętej ręce trzymając pistolet wycelowany w Adamsberga.

– Kwas nitrocytraminowy. W zetknięciu z powietrzem zmienia się w śmiertelnie trujący gaz.

– No to zdechniesz ze mną, gnoju.

– Jeszcze nie skończyłem. Wszyscy gliniarze z kryminalnej zostają podskórnice uodpornieni na to, całość trwa dwa miesiące i wierz mi, to nic przyjemnego. Jeśli odkorkuję fiolkę, strzelisz kopytami. Serce ci się rozszerzy i pęknie. A ja przez trzy tygodnie będę oczyszczał organizm górą i dołem, dostanę paskudnej wysypki, wyłysięję. Później rozkwitnę od nowa.

– Nie zrobisz tego.

– Ależ dla ciebie, Zerquetscherze, bez problemu.

– Ty skurwysynu.

– Z grzeczności nie zaprzeczę.

– Nie możesz zabić człowieka ot, tak.

– Mogę.

– Czego chcesz?

– Rzuć broń, otwórz szufladę w kredensie, wyjmij dwie pary kajdanek. Jedną załóż sobie na nogi, drugą na rękę. Decyduj się szybko, bo, jak mówiłem, zdarza mi się stracić cierpliwość.

– Pieprzony gliniarz.

– Zgadza się. Mimo wszystko się pośpiesz. Może i szuflują chmury tam, w górze, ale jak schodzę na dół, jestem szybki.

Młodzian jednym ruchem zupełnie niepotrzebnie zmiotł papiery ze stołu i zrzucił szelki z kaburą. Następnie sięgnął za plecy.

– Uważaj z tą trzydziestkąósemką. Jak się wsuwa gnata za portki, nie wolno go wciskać tak głęboko. Zwłaszcza za takie opięte dżinsy. Jak się zabierzesz za to niewłaściwie, przedziurawisz sobie dupsko.

– Masz mnie za ćwoka?

– Tak. Za ćwoka, szczeniaka i dziką bestię. Ale nie za idiotę.

– Gdybym nie kazał ci się ubrać, nie miałbyś tej fiolki.

– Zgadza się.

– Ale nie miałem ochoty oglądać cię na golasa.

– Rozumiem. Vaudela też nie chciałeś oglądać na golasa.

Młodzian ostrożnie wyciągnął broń zza paska spodni i rzucił na ziemię. Wysunął szufladę, wyjął kajdanki, po czym nagle się obrócił, śmiejąc się dziwnie, co było równie irytujące jak chwilę wcześniej miauczenie kotki.

– Czyli nie rozumiałeś, Adamsberg? Dalej nic nie rozumiesz? Naprawdę myślisz, że ryzykowałbym aresztowanie? Dla samej przyjemności zobaczenia ciebie? Nie rozumiesz, że skoro tu jestem, znaczy, że nie możesz mnie aresztować? Ani dziś, ani jutro, ani nigdy? Pamiętasz, dlaczego tu przyszedłem?

– Żeby mi zatruć życie.

– Właśnie.

Adamsberg także się podniósł, trzymając fiolkę w wyciągniętej ręce, z paznokciem wsuniętym pod korek. Okrażali się teraz nawzajem jak dwa psy szukające najlepszej pozycji do ataku.

– Daj spokój – ciągnął młodzian. – Jestem synem nie byle kogo. Nie możesz mnie ani zabić, ani zapudłować, ani dalej ścigać.

– Jesteś nietykalny? Masz za tatusia ministra? Papieża? Pana Boga?

– Nie. Ciebie, bucu.

XXIV

Adamsberg zastygł jak słup soli, opuścił rękę, fiolka spadła i potoczyła się po czerwonej posadzce.

– Cholera! Fiolka! – warknął młodzian.

Adamsberg podniósł ją automatycznym gestem. Szukał słowa na określenie tego, kto „wymyśla historię i wierzy w nią”, lecz go nie znajdował. Chłopcy bez ojca, którzy twierdzili, że są synami króla, Elvisa, potomkami Cezara. Skwerkowy opryszek miał osiemnastu ojców, w tym Jeana Jauresa zmarłego w 1914 roku, co rusz wymyślał sobie nowego. Mitoman – to właściwe słowo. I mówiono, że nie wolno rozbijać bańki mitomana, że to równie ryzykowne jak potrząsanie lunatykiem.

– Jeśli chodzi o wybór ojca – powiedział – mogłeś znaleźć kogoś lepszego. Mało ciekawie być synem gliny.

– Adamsberg, ojciec Zerquetschera – szydził młodzian. – Straszne, co? Ale tak to już jest, glino. Pewnego dnia porzucony syn wraca, pewnego dnia syn niszczy ojca, pewnego dnia odbiera mu tron. Znasz tę historię? I ojciec w łachmanach idzie na tułaczkę.

– W porządku – rzekł Adamsberg.

– Robię kawę – oznajmił młodzian, małpując Adamsberga.

– Weź tę cholerną fiolkę i chodź.

Patrząc na niego, gdy z papierosem zwisającym z dolnej wargi nalewał wodę do filtra, drapiąc się po ciemnych włosach, Adamsberg poczuł, jak przez brzuch przechodzi mu wyładowanie, dokuczliwszy niż po paskudnym winie Froissy wyrzut kwasów, które oblepiają mu dziąsła i zęby. „Ojcowie jedli zielone winogrona, a zęby ścierpły synom”^[2]. Kiedy ten bydlak tak stał w wyczekującej pozie, przypominał ojca ze ściągniętymi brwiami pilnującego kapuśniaku. W gruncie rzeczy podobny był do połowy Bearneńczyków i do dwóch trzecich tych z doliny Pau: sztywne kręcone włosy, cofnięty podbródek, wyraziste usta, krzepka budowa ciała. Louvois – nazwisko nic mu nie mówiło, nie kojarzyło się z ludźmi z jego doliny. Facet równie dobrze mógłby pochodzić z doliny naprzeciwno, z tej na przykład, z której wywodził się jego kumpel Veyrenc. Albo z Lille, z Reims, Menton. Z Londynu na pewno nie.

Facet wziął dwa kubki, nalał do nich kawy. Atmosfera mocno się zmieniła, odkąd młodzian wygłosił swoje rewelacje. Beztrosko wsunął P38 do tylnej kieszeni, kaburę na szelkach położył koło swojego krzesła. Faza konfrontacji dobiegła końca niczym wiatr cichnący na morzu. Ani jeden, ani drugi nie wiedział, co począć, bez słowa mieszały posłodzoną kawę. Zerquetscher ze schyloną głową zakładał włosy za uszy. Zaraz się wysuwały, więc zakładał je na nowo.

– Bearneńczykiem może i jesteś – stwierdził w końcu Adamsberg. – Ale znajdź sobie kogoś innego na ojca. Nie mam syna i nie chcę mieć. Gdzie się urodził?

– W Pau. Matka poszła rodzić w mieście, żeby się ukryć przed ludźmi.

– Jak się nazywa?

– Gisèle Louvois.

– Nic mi to nie mówi. A znam wszystkich w trzech dolinach.

– Przeleciałeś ją jednej nocy koło mostku na Jaussene.

– Wszystkie pary chodziły na mostek na Jaussene.

– Później pisała do ciebie, żeby prosić o pomoc. Ale nie odpowiedziałeś, olałeś to, bo jesteś tchórz.

– Nie dostałem żadnego listu.

– Jeszcze by się przydało, żebyś pamiętał, jak się nazywały dziewczyny, które przeleciałeś.

– Z jednej strony pamiętam ich nazwiska, z drugiej w czasach, o których mówisz, za grosz nie miałem wzięcia. Byłem niezdarny i nie miałem skutera. Tacy jak Matt, Pierrot, Manu, Loulou... tak, ich możesz pytać, czy któryś nie jest twoim ojcem. Każda na nich leciała. Tyle, że dziewczyny tym się nie chwaliły. To je okrywało hańbą. Kto powiedział, że matka cię nie okłamała?

Młodzian sięgnął do kieszeni, ściągając brwi, wyjął plastikowy woreczek, pomachał nim przed Adamsbergiem, po czym rzucił go na stół. Adamsberg wyłuskał z niego zdjęcie, którego kolory nabrały fioletowych odcieni. Widniał na nim chłopak oparty o wielki platan.

– Kto to? – zapytał młodzian.

– Ja albo mój brat. I co z tego?

– Ty. Zobacz na odwrocie.

Ujrzał swoje nazwisko, J.-B. Adamsberg, wypisane ołówkiem drobnymi okrągłymi literkami.

– Powiedziałbym raczej, że to mój brat Raphael. Nie pamiętam tej koszuli. To dowodzi, że twoja matka słabo nas znała, że naopowiadała ci głodnych kawałków.

– Stul pysk, nie znasz mojej matki, ona nie opowiada głodnych kawałków. Jeśli mi powiedziała, że jesteś moim ojcem, znaczy, że to prawda. Czemu miałaby zmyślać? Nie ma czym się chwalić.

– Fakt. Ale we wsi lepszy byłem ja niż Matt czy Loulou, na których mówiło się „hultaje”, „łobuzy” albo „szczochy”. W ciepłe noce szczali z otwartych okien. Tym sposobem sklepowej, której nie lubiliśmy, nawiasem mówiąc, nasikali do oczu. A już nie wspomnę o bandzie Luciena. Słowem, nie było czym się chwalić, ale już bardziej się opłacało podać moje nazwisko niż Matta szczocha. Nie jestem twoim ojcem, nie znałem żadnej Gisèle ani w mojej wsi, ani w sąsiednich, nigdy do mnie nie napisała. Pierwszy raz dziewczyna napisała do mnie, jak miałem dwadzieścia trzy lata.

– Kłamiesz.

Facet zaciskał zęby, chwiał się na swoim piedestale pewności, który zaczął naraz pod nim pękać. Jego wymyślony ojciec, odwieczny wróg, cel, zdawał mu się wymykać z rąk.

– Czy ja kłamię, Zerkecz, czy ona kłamię, co nam to robi? Będziemy pili tu kawę do końca naszych dni?

– Zawsze wiedziałem, jak to się zakończy. Wypuścisz mnie wolnego jak ptak. A ty zostaniesz tutaj z tymi pieprzonymi kotami i nic nie będziesz mógł zrobić. Będziesz czytał o mnie w gazetach, gwarantuję. Oj, będzie się działo. A ty będziesz siedział w swoim pieprzonym gabinecie. Skończony. I odejdiesz z policji, bo nawet glina nie pakuje własnego syna do pierdła na dożywocie. Kiedy w grę wchodzi dziecko, prawo przestaje działać, nie ma już zasad. A nie będziesz miał ochoty opowiadać, że jesteś ojcem Zerkecza, prawda? I że przez ciebie Zerkecz stracił głowę? Boś go zostawił?

– Nie zostawiłem cię. Nawet cię nie zmajstrowałem.

– Ale pewności nie masz, co? Widziałeś się w lusterku? A przyjrzałeś się mnie?

– Mamy gęby Bearneńczyków, i tyle. Jest sposób, żeby się przekonać na sto procent. Sposób, żeby zakończyć twoje rojenia. Bierzymy twoje DNA i moje. Porównujemy.

Zerquetscher wstał, położył P38 na stole i uśmiechnął się spokojnie.

– Odważysz się? – powiedział.

Adamsberg patrzył za nim, gdy bez pośpiechu szedł do drzwi, otwierał je i odchodził. Wolny jak ptak. „Przyszedłem, żeby ci zatruć życie”.

Sięgnął przez stół, wziął do ręki fiolkę i długo się w nią wpatrywał. Kwas nitrocytraminowy. Złożył dłonie, oparł na nich czoło. Jasne, że nie był uodporniony. Jednym ruchem palca odkorkował fiolkę.

XXV

Wchodząc do gabinetu lekarskiego, Adamsberg zdał sobie sprawę, że mocno pachnie perfumami i że doktor Josselin ze zdziwieniem to zauważył.

– Wylała się na mnie próbka – wyjaśnił. – Kwasu nitrocytraminowego.

– Nie znam.

– Wymyśliłem tę nazwę, dobrze brzmi.

Przeżył chwilę satysfakcji, kiedy Zerkecz łyknął tę bajeczkę. Kiedy uwierzył w „kwas nitrocytraminowy” w fiolce i w podsumowywanie setnych części sekundy. Wtedy Adamsberg myślał, że ma go w garści, facet jednak dysponował tajną bronią dużo skuteczniejszą niż kwas nitrocytraminowy. Kolejne oszustwo, iluzja, tyle że zadziałało. On, Adamsberg, policjant, pozwolił Zerkeczowi odejść, nie kiwnąwszy nawet palcem. Mimo że rewolwer leżał na stole, wystarczyłoby podejść trzy kroki. Albo w ciągu pięciu minut zamknąć strefę. Tymczasem nie, inspektor ani drgnął. „Inspektor Adamsberg puszcza wolno potwora”. Wyraźnie wizualizował sobie pierwsze strony gazet. W Austrii także. Coś w stylu: „Kommissar Adamsberg..”. Wielkimi literami spływającymi krwią jak żebra na T-shircie Zerquetschera. Później proces, wycie tłumów, sznur zawieszany na drzewie. Zerquetscher się zjawia z zakrwawionymi zębami, wyciąga rękę, wrzeszczy razem z innymi: „Syn niszczy ojca!”. Litery w gazecie przemieniają się w tuman czarnych i zielonych plam.

Śliwowica sączyła mu się przez zęby, głowa kiwała się na boki. Otworzył oczy, zamrugął, by wyostrzyć widok twarzy Josselina pochylonej nad nim.

– Zemdlął pan. Często się to panu zdarza?

– Pierwszy raz w życiu.

– Czemu chciał się pan ze mną zobaczyć? Chodzi o Vaudela?

– Nie, nie czułem się dobrze. Pomyślałem, że zajdę do pana po drodze z domu.

– Nie czuł się pan dobrze? Znaczą jak?

– Mdlilo mnie. Byłem jakiś otepiały, zmęczony.

– Często się to panu zdarza? – powtórzył lekarz, pomagając mu wstać.

– Nigdy. Znaczący tak, raz się zdarzyło, w Quebecu. Ale wtedy inaczej się czułem. No i wcześniej wlałem w siebie niemało gorzałki.

– Proszę się położyć – polecił Josselin, klepiąc kozetkę. – Na wznak, zdjąć tylko buty. To mogą być początki grypy, ale lepiej pana zbadam.

Idąc tu, Adamsberg nie zamierzał kłaść się na miękkiej kozetce ani pozwalać, by lekarz przykładął swoje wielkie paluchy do jego głowy. Nogi same oddaliły go od siedziby brygady i poniosły do Josselina. Myślał jedynie o tym, żeby mówić. To omdlenie było poważnym ostrzeżeniem. Nigdy by nikomu nie powiedział, że Zerkecz twierdzi, iż jest jego synem. Nigdy by nie powiedział, że nie kiwnąwszy palcem, pozwolił, by odszedł. Wolny jak ptak. Podążając ku kolejnej masakrze z pyszałkowatym uśmiechem na ustach, w odzieniu śmierci na grzbiecie. Zerk, to jeszcze łatwiejsze do wymówienia niż Zerkecz, a przy tym brzmi jak onomatopeja kojarząca się z odrzuceniem, niesmakiem. Zerk, syn Marta albo Loulou, syn szczocha. Niemniej sklepowej nikt nie żałował.

Lekarz położył mu dłoń na twarzy, dwa palce lekko przytknął do skroni. Wielka ręka bez problemu obejmowała odległość między uszami. W drugą ujął jego szyję na wysokości podstawy czaszki. W cieniu lekko pachnącej dłoni Adamsberg przymknął oczy.

– Proszę się nie przejmować, tylko słucham MPO w UCK.

– Tak – odparł Adamsberg z krztą zapytania w głosie.

– Mechanizmu pierwotnego oddechu w układzie czaszkowo-krzyżowym. Zwykle rozpoznanie.

Palce lekarza przesuwają się nadal, przysiadając niczym czujne motyle na skrzydełkach nosa, na szczękach, muskając czoło, wsuwając się do uszu.

– No tak – rzekł po pięciu minutach. – Mamy tu migotania incydentalne, które mi maskują fundamenty. Jakieś niedawne zdarzenie wzbudziło lęk przed śmiercią, który wygenerował ogólne przegrzanie systemu. Nie wiem, co się stało, ale nie spodobało się to panu. Ogromny wstrząs psychoemocjonalny. Co natychmiast mi unieruchamia kość ciemieniową tylną, blokuje przednią i tylną część kości klinowej na wdechu i wyłącza trzy bezpieczniki. Wielki stres, normalne, że nie czuł się pan dobrze. To przyczyna utraty przytomności. Najpierw z tym się uporamy, a potem zobaczymy.

Lekarz nabazgrał coś na kartce, następnie poprosił Adamsberga, by przewrócił się na brzuch. Podniósł mu koszulę, położył palec na kości krzyżowej.

– Mówił pan, że to jest w głowie.

– Do głowy docieramy przez kość krzyżową.

Adamsberg zamilkł, pozwalając, by palce lekarza sunęły wzdłuż jego kręgosłupa jak dobroczynne chochliki drepzące po jego kadłubie. Oczy trzymał szeroko otwarte, aby nie zasnąć.

– Proszę nie spać, inspektorze, niech pan się przewróci na plecy. Będę musiał rozciągnąć powięź śródpiersiową, która jest kompletnie zablokowana. Bóle międzybrowe w prawym boku? Tutaj?

– Tak.

– Doskonale – rzekł Josselin, który rozczapierzone palce umieścił Adamsbergowi pod karkiem i drugą dłoń ułożoną na płask zaczął przesuwając mu po żebrach jak żelazkiem po zmiętym prześcieradle.

Adamsberg przebudził się ospale z niemiłym wrażeniem, że upłynęło dużo czasu. Zegar ścienny wskazywał po jedenastej, Josselin pozwolił mu pospać. Zeskoczył z leżanki, włożył buty. Lekarza znalazł w kuchni przy stole.

– Niech pan siada, jem lunch wcześniej, bo mam pacjenta za pół godziny.

Wyjął talerz i sztucce, podsunął mu półmisek z jedzeniem.

– Uśpił mnie pan?

– Nie, sam pan zasnął. Zważywszy pański stan, to było najlepsze wyjście po zabiegu. Wszystko ustawione jak należy – rzekł niczym hydraulik, który komentuje wystawiony rachunek. – Był pan w studni, z całkowitym bezwładem w działaniu, nie mógł się pan posunąć ani o krok. Ale będzie dobrze. Jeżeli dziś po południu będzie pan czuł się ociężały, a jutro dopadną pana melancholia i bóle mięśniowe, proszę się nie przejmować, to normalne. Za trzy dni będzie pan taki jak zwykle, a na pewno w lepszym stanie. Przy okazji zająłem się szumami w uszach, niewykluczone, że jeden zabieg wystarczy. Trzeba się pokrzepić – dodał, wskazując półmisek z kaszą z warzywami.

Adamsberg posłusznie nałożył sobie na talerz, był lekko zamroczony, ale czuł się dobrze, lekko. I był głodny. Nie było porównania z mdłościami i ołowianym brzemieniem, które pętało mu nogi z rana. Podniósł głowę i wtedy lekarz przyjacielsko mrugnął do niego.

– Poza tym – powiedział – zobaczyłem to, co chciałem. Naturalna struktura.

– To znaczy?

– Niemal całkowity brak strachu. To rzadka postawa. Oczywiście w zamian niska wrażliwość, pomniejszone pożądanie rzeczy, fatalizm, próby ucieczki, problemy z nawiązaniem relacji z otoczeniem, przestrzenie nieme. Nie można mieć wszystkiego. A jeszcze ciekawsza jest nieszczęśliwość

między strefami świadomości i nieświadomości. Można by powiedzieć, że rozdzielająca je śluzą została źle dopasowana, że zapomina pan czasem dobrze zamknąć bramę. Na to jednak niech pan uważa, inspektorze. Coś takiego może przynieść genialne pomysły, które zdają się przybywać skądinąd... dla uproszczenia mówi się, że to intuicja... z tego się bierze wielkie nagromadzenie wspomnień i obrazów, ale też przez to na powierzchnię mogą wypłynąć elementy toksyczne, które za wszelką cenę należałoby trzymać głęboko ukryte. Rozumie pan?

– Nie najgorzej. A jeżeli wypływają te elementy toksyczne, co się wtedy dzieje?

Doktor Josselin zakręcił palcem młynka przy swojej głowie.

– Nie odróżnia pan prawdy od fałszu, snu od rzeczywistości, możliwego od niemożliwego, krótko mówiąc, miesza pan saletrę, siarkę i węgiel.

– Wybuch – podsumował Adamsberg.

– Otóż to – przyznał lekarz, wycierając ręce z zadowoleniem. – Nie ma czego się obawiać, jeżeli pan nie pęknie. Niech pan nadal pracuje, rozmawia z ludźmi, nie izoluje się jakoś przesadnie. Ma pan dzieci?

– Jedno. Ale malutkie.

– No, niech mu pan objaśnia świat, zabiera je na spacer, zwiążcie się ze sobą. Wytworzy się panu parę kotwic, trzeba się trzymać portowych świateł. O kobiety nawet nie pytam, wszystko zobaczyłem. Brak zaufania.

– Do kobiet?

– Do siebie. Jeden niewielki lęk, o ile tak to można nazwać. Zostawiam pana, inspektorze, proszę dobrze zatrzasnąć drzwi za sobą.

Które drzwi? Śluzy czy mieszkania?

XXVI

Inspektor nie czuł teraz żadnych obaw na myśl, że uda się do siedziby brygady, przeciwnie. Ten złotopalcy człowiek wyprowadził go na prostą drogę, rozwiął dymy wypadku, „wstrząsu psychoemocjonalnego”, które z rana blokowały mu całą widoczność. Adamsberg nie zapomniał oczywiście, że pozwolił uciec Zerkowi. Ale dopadnie go, na swój sposób i w swoim czasie, tak jak dopadł Èmile'a.

Èmile'a, który dochodził do siebie – „wykaraska się, stary”, przeczytał wśród wiadomości zostawionych na jego biurku. Lavoisier przewiózł go gdzie indziej, nie wymieniając miejsca, tak jak się umówili. Adamsberg przeczytał psu wiadomość o Èmile'u. Ktoś go wykąpał – ktoś usłużny albo u kresu cierpliwości – sierść miał miękką i pachnącą mydłem. Zwinął się w kłębek na jego kolanach, Adamsberg mógł głaskać go po grzbiecie. Wszedł Danglard i opadł na krzesło jak worek szmat.

– Wygląda na to, że robimy postępy – oznajmił.

– Wracam od Josselina. Naprawił mnie jak kocioł centralnego. Ten gość to mistrz nad mistrze.

– Nie pamiętam, żebyś chodził po lekarzach.

– Chciałem z nim tylko pogadać, ale odpłynąłem w jego gabinecie. Rano przeżyłem dwie ciężkie godziny. Włamał się do mnie facet i miał moje obydwie gnaty.

– Cholera, mówiłem, żebyś je trzymał przy sobie.

– Ale nie trzymałem. A włamywacz je znalazł.

– I co?

– Jak się upewnił, że nie mam kasy, ulotnił się. Byłem strasznie zmęczony.

Danglard spojrział na niego nieufnie.

– Kto wykąpał psa? – zmienił temat Adamsberg. – Estalère?

– Voisenet. Nie mógł wytrzymać.

– Czytałem notatkę z laboratorium. Łajno Kupidona jest identyczne jak Èmile'a. Czyli obydwaj pochodzą z tego samego miejsca.

– To pozwala inaczej spojrzeć na Èmile'a, ale go nie wybiela. Ani Pierre'a juniora, który często gra i bywa na torach i w stadninach, a więc w łajnie.

Chce sobie nawet kupić konia.

– Mnie tyle nie powiedział. Od kiedy o tym wiesz?

Mówiąc, Adamsberg przerzucał stosik pocztówek, które Gardon wyszukał dla niego w rzeczach starego Vaudela. W większości były to konwencjonalne widokówki wysyłane przez jego syna z wakacji.

– Gliniarze w Awinionie dowiedzieli się wczoraj, a ja dziś rano. Tyle że masa ludzi chodzi na tory wyścigowe. We Francji jest trzydzieści sześć dużych hipodromów, setki klubów jeździeckich i dziesiątki tysięcy miłośników koni. Tak że mamy gigantyczne ilości łąjna rozrzuconego po całym kraju. Materii występującej o wiele częściej niż inne. – Danglard wskazał palcem podłogę pod biurkiem Adamsberga. – Częściej niż na przykład strużyny z ołówka i proszek grafitowy. Gdybyśmy coś takiego znaleźli na miejscu zbrodni, byłoby to o wiele cenniejsze niż końskie łąjno. Zwłaszcza że rysownicy nie wybierają byle jakich ołówków. Ty też nie. Jakich używasz?

– Cargo 401-B, a twarde Serii H.

– Te strużyny tutaj to z Cargo 401-B i z Séril H? Ze sproszkowanym grafitem?

– Tak, na pewno.

– Bardzo dogodnie by były na miejscu zbrodni. Dużo dokładniejsze niż to cholerne łąjno, nie?

– Danglard – powiedział Adamsberg, wachlując się pocztówką – przejdź do rzeczy.

– Wcale mi się to nie uśmiecha. Ale skoro rzecz ma nas dopaść, lepiej wyjść jej naprzeciw. Jak w krykiecie: trzeba dobiec do piłki, zanim dotknie ziemi.

– No to ruszaj, Danglard. Słucham.

– Ekipa przeszukała to miejsce, gdzie Èmile został postrzelony.

– Tak, to była priorytetowa sprawa.

– Znaleziono trzy łuski.

– Na cztery oddane strzały to dobry wynik.

– Czwarta też się znalazła – oznajmił Danglard, podnosząc się z krzesła i wsuwając palce w tylne kieszenie spodni.

– Gdzie? – zapytał Adamsberg, przestając się wachlować.

– U Pierre'a syna Pierre'a. Wpadła pod lodówkę. Chłopaki ją wypatrzyły. Ale rewolweru nie było.

– Jakie chłopaki? Kto zażądał przeszukania?

– Brezillon. Z powodu związków Pierre'a z końmi.

– Kto go powiadomił?

Danglard rozłożył ręce.

– Kto szukał łusek w terenie?

– Maurel i Mordent.

– Myślałem, że Mordent pilnuje mieszkania Louvois.

– Nie było go tam. Życzył sobie towarzyszyć Maurelowi.

Zapadło milczenie. Adamsberg ostentacyjnie zaczął ostrzyć ołówek nad koszem, do którego wpadały strużyny Sérila H, potem dmuchnął na grafit i na kolanach umieścił kartkę papieru.

– O co w tym biega? – zapytał cicho, zaczynając rysować.

– Pierre oddaje cztery strzały, ale zabiera tylko jedną łuskę?

– Uważają, że mogła się zablokować w bębunku.

– Kto uważa?

– Ci z Awinionu.

– I nic im to nie daje do myślenia? Pierre pozbywa się rewolweru, przedtem jednak wyjmuje zablokowaną łuskę? I tę śliczną łusieczkę sobie zostawia? A później głupio ją gubi we własnej kuchni, tak że łusieczka wpada pod jego lodówkę? Czemu w ogóle chłopaki tak dokładnie przeszukiwały dom? Że aż przesuwają lodówkę? Wiedziały, że coś pod nią będzie?

– Podobno żona coś im powiedziała.

– Mocno bym się zdziwił, Danglard. Kiedy ta kobieta zdradzi męża, Kupidon przestanie kochać Èmile'a.

– To właśnie dało im do myślenia. Ich szef nie jest zbyt lotny, ale przyszło mu do głowy, że ktoś mógł podrzucić łuskę. Zwłaszcza że Pierre broni się rękami i nogami. Dlatego chłopcy poszli na całość: odkurzacz, przesiewanie, mikroślady. I znaleźli. To – rzekł Danglard, wskazując podłogę.

– Czyli?

– Opilki grantu i strużyny z ołówka, prawdopodobnie przyniesione na butach. A Pierre nie używa ołówka. Tę wiadomość otrzymaliśmy dopiero co.

Danglard szarpnął za kołnierzyk koszuli, poszedł do swojego biura i przyniósł stamtąd szklaneczkę wina. Miał bardzo nieszczęśliwą minę, toteż Adamsberg nic na to nie powiedział.

– Poślą to do laboratorium, liczą, że za dwa, trzy dni będą wyniki. Skład grantu, marka ołówka. Co nie jest proste. Oczywiście poszłoby im szybciej, gdyby mieli próbkę porównawczą. Zdaje mi się, że niedługo będą wiedzieli, gdzie jej szukać.

– Cholera, Danglard, co ci chodzi po głowie?

– Najgorsze, już to mówiłem. Chodzi mi po głowie to, co oni pomyślą. Że podrzuciłeś łuskę pod lodówkę Pierre'a Vaudela. Pewnie, że trzeba to

jeszcze udowodnić. Potrzebny jest czas na zbadanie strużyn, zidentyfikowanie ołówka, porównanie z próbką... To daje nam jakieś cztery dni do przedstawienia zarzutów. Cztery dni na złapanie piłki, zanim dotknie ziemi.

– Pozgadujmy, Danglard – rzekł Adamsberg z nieruchomym uśmiechem na ustach. – Dlaczego miałbym rzucić podejrzenie na Pierre'a syna?

– Żeby uratować Èmile'a.

– A dlaczego chcę uratować Èmile'a?

– Bo dziedziczy ogromny majątek, a naturalny spadkobierca nie może tego zakwestionować.

– Czemu miałyby kwestionować?

– Ponieważ testament może być fałszywy.

– Èmile miałyby sfalszować testament?

– Sfalszował wspólnik. Uzdolniony graficznie. Wspólnik, który dostanie połowę. – Danglard duszkiem wychylił szklaneczkę białego wina. – Cholera – dodał, podnosząc naraz głos. – To nie takie trudne, prawda? Mam ci to wypisać czarno na białym? Èmile i jego wspólnik... nazwijmy go Adamsberg... sporządzają fałszywy testament. Èmile robi przeciek do syna w stylu: „Stary szykuje się wydziedziczyć pana”, czym alarmuje młodego Vaudela. Èmile zabija starego, podrzuca łajno, żeby obciążyć Pierre'a syna, reżyseruje morderstwo szaleńca, żeby w niepamięć poszły pieniądze. Zasłona dymna, która ma zakryć prosty numer. Potem Adamsberg, zgodnie z ustalonym scenariuszem, pakuje dwie kulki w Èmile'a. Rani go na tyle ciężko, żeby to było wiarygodne. Natychmiast zawozi go do szpitala. Zostawia trzy łuski na miejscu, a jedną podrzuca u Pierre'a Vaudela, by skierować na niego podejrzenie o usiłowanie zabójstwa Èmile'a. Badanie wariografem potwierdzi, że Pierre wiedział o testamencie. Później Èmile zezna, że widział, jak Pierre wychodzi nocą z willi. Jako ojcobójca Pierre nie będzie mógł dziedziczyć. Jego część przypadnie Èmile'owi zgodnie z testamentem. Podzielią się nią z Adamsbergiem, nie zapomną o swoich matkach. Koniec scenariusza.

Zdumiony Adamsberg wpatrywał się w Danglarda, który zdawał się bliski łez. Pomacał się po kieszeni, znalazł papierosy zostawione przez Zerka, zapalił jednego.

– Ale – ciągnął Danglard – rusza śledztwo, przybywa różnych niepokojących elementów, zacina się maszyna ÈmileAdamsberg. Najpierw stary Vaudel, który nie lubi nikogo, spisuje testament na korzyść Èmile'a. To pierwsza anomalia. Niedługo potem Vaudel umiera. Druga anomalia. Na miejscu zbrodni jest za dużo łajna. To trzecia anomalia.

W niedzielę po zapowiedzi Mordenta Adamsberg pozwala Èmile'owi uciec. Czwarta anomalia. Wreszcie Adamsberg wie, gdzie odszukać Èmile'a, i robi to jeszcze tego wieczoru, nikogo nie uprzedzając. Piąta anomalia.

– Denerwujesz mnie tymi anomaliami.

– Adamsberg przyjeżdża w samą porę, żeby go uratować, tuż po tym, jak został postrzelony. Szósta anomalia. U Pierre'a Vaudela zostaje znaleziona łuska. Siódma anomalia, potężna. Gliniarze zaczynają się domyślać, że ktoś wodzi ich za nos, i przechodzą do szczegółowej rewizji. Znajdują strużyny z ołówka. Kto korzysta na zbrodni? Èmile. Czy Èmile może sfałszować dokument? Nie. Zna kogoś uzdolnionego graficznie? Tak. Adamsberga, który bardzo się o niego troszczy w szpitalu i załatwia mu przeniesienie poza zasięg policji. To ósma anomalia. Czy Adamsberg ostrzy ołówki? Tak. Pobiera się próbki, porównuje i bingo! Kiedy Adamsberg mógł pojechać do Awinionu, by podrzucić łuskę? Ależ tej nocy na przykład. Inspektor zniknął wczoraj wieczór, w brygadzie zjawił się dopiero dziś o wpół do pierwszej. Jego alibi? Wczorajsze: był z lekarzem. Dzisiejsze: był z lekarzem. Czyli lekarz także jest współnikiem. Ci trzej: Èmile, Adamsberg i Josselin, świetnie się dogadują. Za dobrze jak na ludzi, którzy znają się raptem od trzech dni. Dziewiąta anomalia. Efekt: Èmile dostaje trzydzieści lat albo dożywocie za zabójstwo Vaudela ojca i oszustwo spadkowe. Adamsberg spada ze swojego piedestału i dostaje wyrok za fałszerstwo, współudział w morderstwie i manipulowanie dowodami. Dwadzieścia lat. Koniec. Adamsberg ma cztery dni, żeby uratować swoją skórę.

Adamsberg odpalił nowego papierosa od poprzedniego. Jedyne nadzieja, że z rana Josselin wyregulował jego kocioł, w przeciwnym razie jest na prostej drodze do definitywnego wstrząsu psychoemocjonalnego. Zerk, a teraz Danglard wspięli się na wyżyny pomysłowości.

– Kto w to wierzy? – zapytał, rozgniatając niedopałek.

– Na razie nikt. Ale za cztery dni, może za trzy, uwierzy Brezillon, gliny z Awinionu także. A później wszyscy. Już rodzą się wątpliwości. Bo Pierre Vaudel, mimo znalezionej u niego łuski, nie jest nawet pod nadzorem.

– Dlaczego w to uwierzą?

– Ależ dlatego, że wszystko zrobiono właśnie w tym celu. To wali po oczach, do ciała. – Danglard popatrzył naraz na Adamsberga ze wzburzeniem na twarzy. – Nie myślisz chyba, że ja tak myślę? – zapytał, płacząc się w czasownikach, co mu się rzadko zdarzało.

– Nie mam pojęcia, komendancie. Byłeś bardzo przekonujący, kiedy przedstawiałeś możliwy scenariusz. Sam w niego uwierzyłem.

Danglard po raz drugi wyszedł i po chwili wrócił z napełnioną

szklaneczką.

– Jestem przekonujący – oświadczył, wyraźnie wymawiając słowa – żeby cię przekonać, w co uwierzą ci, którzy mają w to uwierzyć.

– Mów po francusku, Danglard.

– Powiedziałem ci wczoraj. Ktoś chce, żebyś wypadł z gry. Definitywnie. Ktoś za wszelką cenę chce nie dopuścić, żebyś złapał zabójcę z Garches. Ktoś, komu to by zrujnowało życie. Ktoś, kto ma długie ręce, ktoś z góry. I na pewno ktoś z bliskiego otoczenia zabójcy. Ty masz wylecieć i ktoś inny ma zapłacić w miejsce Zerquetschera. Proste chyba, nie? Pierwsze zorganizowane potknięcia nie wystarczyły, żeby cię wykluczyć z gry. No to przyspieszono tempo, ktoś podał prasie nazwisko Zerquetschera, ktoś załatwił mu ucieczkę, ktoś podrzucił łuskę u Pierre'a syna razem z twoimi strużynami z ołówka. To jeden mechanizm. Ale żeby chodził gładko, człowiek z góry potrzebuje współnika, przede wszystkim tutaj. Kto ma dostęp do strużyn ołówka? Ktoś z brygady. Kto miał dostęp do łusek? Mordent i Maurel. Kto od dzisiejszego rana wypadł z obiegu z powodu załamania nerwowego, zwolnienia lekarskiego z zakazem wychodzenia z domu? Mordent. Uprzedzałem cię w barze, a ty odpowiedziałeś, że mam podłe myśli. Powiedziałem ci, że za dwa tygodnie dziewczyna stanie przed sądem. Zobaczysz, że ją wypuszczą. I dobrze dla niej, jak i dla niego. Ale ty wtedy będziesz siedział w pudle.

Adamsberg wydmuchnął dym papierosowy głośniejsz, niż trzeba.

– Wierzysz mi? – zapytał Danglard. – Łapiesz metodę?

– Tak.

– Krykiet – powtórzył Danglard, który nie miał w sobie nic ze sportowca.

– Złapać piłkę wcześniej. Trzy, cztery dni, nie więcej.

XXVII

– Czyli wcześniej znaleźć Zerka – powiedział Adamsberg.

– Zerka?

– Zerquetschera. Thalberg przysłał nam akta?

– Tu są – rzekł Danglard, podnosząc szklanekę z winem i wskazując różową teczkę z mokrą plamą. – Sorry za plamę.

– Gdyby tylko plamy były problemem, Danglard, życie byłoby piękne. Palilibyśmy i popijali, łowiąc różności w jeziorze twojego przyjaciela Stocka, chodzilibyśmy sobie po pomoście ze szklaneczkami, pływalibyśmy łodzią z twoimi dziećmi i moim Tomem i wydawalibyśmy forszę starego Vaudela razem z Èmile'em i jego psem. – Adamsberg uśmiechnął się szeroko i szczerze tym uśmiechem, który zawsze uspokajał Danglarda, cokolwiek się działo, po czym zmarszczył brwi. – A co powiedzą o tym morderstwie w Austrii? Co powie ten o długich rękach? Że to też popełnił Èmile? To nie przejdzie.

– Powiedzą, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Powiedzą, że Èmile z braku wyobraźni zwyczajnie wzorował się na austriackim przypadku.

Adamsberg sięgnął po szklaneczkę Danglarda i łyknął wina. Bez Danglarda i jego logiki wyrazistej jak rżnięty kryształ nie zauważyłby nadchodzącego ciosu.

– Jadę do Londynu – oznajmił Danglard. – Możemy go dopaść przez buty.

– Nigdzie nie jedziesz, komendancie. Ja jadę. I potrzebuję odpowiedzialnego człowieka tutaj, w brygadzie. Pozałatwiał swoje sprawy ze Stockiem przez telefon i wideo.

– Nie. Wydeleguj Retancourt.

– Za niska stopniem, nie wolno mi. Już i tak mamy dość problemów.

– Dokąd się wybierasz?

– Sam powiedziałeś: możemy go dopaść przez buty. – Adamsberg pokazał mu pocztówkę. Przedstawiała ładną kolorową wioskę na tle wzgórz i błękitnego nieba. Odwrócił ją: na górze po lewej drukowanymi literami widniało słowo: КИСЕЛЪЕВО. – Jadę do Kisilova, wioski demona. Który krążył na skraju lasu. To właśnie znaczy КИСЕЛЪЕВО?

– Tak. Znaczy Kisiljevo w oryginalnym zapisie. Ale już mówiliśmy

o tym. Po dwudziestu latach nikt nie będzie pamiętał, że zjawił się tam Obcinacz Stóp.

– Na to nie liczę. Jadę poszukać ciemnego tunelu wydrążonego między Vaudelem a tą wioską. Trzeba go znaleźć, Danglard, wejść do niego, wydostać historię, wyrwać ją z korzeniami.

– Kiedy jedziesz?

– Za cztery godziny. Nie było biletów na samolot, więc lecę do Wenecji, a stamtąd nocnym pociągiem do Belgradu. Zarezerwowałem dwa miejsca, ambasada szuka mi tłumacza.

Danglard z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Za bardzo się narażasz. Jadę z tobą.

– Nie ma mowy. I nie chodzi tylko o sprawy służbowe. Jeżeli ktoś chce, żebym popłynął, a ty będziesz ze mną, znajdziesz się na tej samej tratwie. A jeżeli mnie zapuszczają, tylko ty będziesz mógł mnie wyciągnąć. Zajmie ci to z dziesięć lat, więc głowa do góry. A na razie trzymaj się ode mnie z daleka, na zewnątrz. Nie zarażę ani ciebie, ani nikogo z brygady.

– Na tłumacza mógłby się nadać wnuk Slavka. Vladislav Moldovan. Jest tłumaczem naukowym. Naturę ma pogodną jak dziadek. Jak mu powiem, że to dla Slavka, załatwi sobie wolne. O której masz ten pociąg z Wenecji?

– O dwudziestej pierwszej trzydzieści dwie. Wpadnę do domu po ekwipunek i zegarki. Głupio się czuję, kiedy nie wiem, która godzina.

– A jakie to ma znaczenie? Twoje zegarki i tak chodzą niedokładnie.

– Bo ustawiam je według Lucia. Sika pod drzewem mniej więcej co półtorej godziny. Na pewno z jakimś marginesem w tę czy we w tę.

– Wiesz co? Powinieneś zrobić odwrotnie: ustawić zegarki według porządnego zegara, dzięki czemu będziesz wiedział dokładnie, o której sika Lucio.

Adamsberg spojrzał na niego lekko zdziwiony.

– Nie chcę wiedzieć, o której sika Lucio. Co by mi to dało?

Danglard machnął ręką na znak, że lepiej to zostawić, i podał inspektorowi drugą teczkę, jabłkowitzeloną.

– To ostatni raport Radstocka. Będziesz miał czas przeczytać w pociągu. Rozszerzony o przesłuchanie lorda Clyde'a-Foxa i o niepewne informacje na temat jego kubańskiego kumpla, czyli tak zwanego ktosia. Badania zostały dopracowane. Z wyjątkiem butów mojego wuja wszystkie buty są francuskie.

– Albo kuzyna twojego wuja, tego kisskwera... kisilowianina...

– Kisiljevianina.

– Jak buty przebyły La Manche?

– Nielegalnie na jakimś statku. Nie ma innej możliwości.

– To duża fatyga.

– Ale warta zachodu. Highgate to nie byle co. Część butów, co najmniej cztery pary, ma nie więcej jak dwanaście lat, ale z datowaniem innych Radstock ma problemy. Dwanaście lat, to by się zgadzało z czasem działania Zerquetschera przy założeniu, że zaczął zbierać w wieku siedemnastu lat. Młodo, jeśli wziąć pod uwagę, że musiał się dostawać do chłodni zakładów pogrzebowych i obcinać stopy. Chronologicznie pasuje dobrze, pokrywa się z ekspansją subkultury gotyckiej, heavy metalu, koronek i grozy, antychrystów i cekinów, nieumarłych w smokingach. Klimat jak najbardziej sprzyjający...

– Poczekaj, Danglard...

– Subkultury gotyckiej – powtórzył Danglard. – Nie słyszałeś o tym?

– Gotyckiej średniowiecznej?

– Gotyckiej od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do dzisiaj. Nie widzisz tego? Młodzież nosi koszulki ozdobione trupimi czaszkami albo zakrwawionymi szkieletami.

– A tak, wiem – przyznał Adamsberg, któremu strój Zerka mocno się wrył na firmamencie pamięci. – Stock ma problem z innymi parami butów?

– Właśnie – przytaknął Danglard, drapiąc się w brodę, gładko wygoloną z jednej strony, zarośniętą z drugiej.

– Czemu się golisz tylko z jednej strony? – zaciekawiał się Adamsberg, na chwilę odchodząc od tematu.

– W łazience spaliła się żarówka, nic nie widzę w lewym rogu. Koniecznie muszę ją wymienić.

Abstract, pomyślał Adamsberg. Danglard na nią czeka.

– Mamy tu może? Sześćdziesiątki na wcisk?

– Zajrzyj później do magazynku, komendancie. Czas płynie – zwrócił uwagę Adamsberg, klepiąc się po nadgarstku.

– Sam mi przerwałeś. Część stóp za diabła nie pasuje do czasów sprzed zaledwie dwunastu lat. Dwie są kobiece, z pomalowanymi paznokciami, moda wcześniejsza niż w latach dziewięćdziesiątych. Skład lakieru wskazuje raczej na lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa do siedemdziesiąt sześć.

– Stock jest tego pewny?

– Prawie, robi dodatkowe badania. Jedna męska para jest ze strusiej skóry, rzadkiej i drogiej, takie produkowano, kiedy Zerquetscher nie miał dziesięciu lat. Czyli dzieciak musiałby być cholernie nad wiek dojrzały. Co gorsza niektóre pary mogą pochodzić sprzed dwudziestu pięciu albo i trzydziestu lat. Wiem, co chcesz powiedzieć. – Danglard powstrzymał

inspektora, unosząc szklaneczkę w charakterze zasieku. – W tej twojej przeklętej wsi, w Caldhez, dzieciaki nadmuchiwały ropuchy od kołyski. Ale jednak są jakieś granice.

– Nie zamierzałem mówić o ropuchach.

Myśl o ropuchach, którym chłopacy wtykali do pyska zapalonego papierosa i które po trzech, czterech wdechach eksplodowały, aż wnętrzości tryskały wokoło, skierowała dłoń Adamsberga ku paczce fajek Zerka.

– Naprawdę znów wróciłeś do palenia – skomentował Danglard, widząc, jak inspektor zapala trzeciego papierosa.

– Wszystko przez te twoje ropuchy.

– Zawsze znajdzie się jakiś powód. Ja rzucam białe wino. Koniec. To ostatnia szklaneczka.

Adamsberg zaniemówił ze zdziwienia. Że Danglard był zakochany – to pewne; że uczucie było odwzajemniane – należało mieć na to nadzieję; ale żeby z tego powodu wyrzekł się picia białego wina... nie, w to Adamsberg nie mógł uwierzyć.

– Przechodzę na czerwone – ciągnął komendant. – Bardziej pospolite, ale mniej kwaśne. Białe rujnuje mi żołądek.

– Dobry pomysł – pochwalił Adamsberg osobliwie uspokojony świadomością, że pod tym względem nic się nie zmienia. Przynajmniej w Danglardzie. I bez tego czas był dość nerwowy.

– Ty kupiłeś tę paczkę? – zapytał Danglard, wskazując papierosy. – Angielskie? Wyrafinowany wybór.

– Ten poranny włamywacz zostawił je u mnie. Czyli albo Zerk był dzieckiem tak nad wiek rozwiniętym, że jako dwulatek umiał odcinać stopy, albo ktoś robił mu za przewodnika w tych ponurych wyprawach, które później Zerk kontynuował już sam. Mógł od dziecka działać pod czyjś wpływem.

– Być manipulowany.

– Czemu nie? Można sobie za tym wszystkim wyobrazić przewodnika, postać rodzicielską zastępującą ojca, którego nie miał.

– Możliwe. Jego ojciec jest nieznan.

– Trzeba przyspieszyć rozeznawanie się w jego otoczeniu, dowiedzieć się, z kim się kontaktuje i widuje. Mieszkanie wypucował na wysoki połysk, drań jeden, nie zostawił najmniejszego śladu.

– To chyba normalne. Nie liczyłeś raczej, że złoży nam wizytę?

– A matka? Znaleźliśmy ją?

– Jeszcze nie. Mamy adres w Pau, ale cztery lata temu zniknęła.

– Rodzina matki?

– Na razie nie trafiliśmy na żadnego Louvois w tamtej okolicy. Inspektorze, dopiero dwa dni nad tym pracujemy, a nie mamy tysiąca ludzi.

– Jak tam Froissy z telefonami?

– Nijak. Louvois nie miał stacjonarnego. Weill się zaklina, że miał komórkę, dotąd jednak nie znaleźliśmy karty na jego nazwisko. Może ktoś mu podarował albo używał kradzionej. Froissy będzie musiała przeczesać sieci w okolicy mieszkania, a jak wiesz, to trwa.

Adamsberg zerwał się naraz na nogi, może stracił cierpliwość.

– Danglard, pamiętasz może skład ekipy z Awinionu?

Danglard znał na pamięć – po co właściwie? – skład niemal wszystkich ekip policyjnych w kraju, uaktualniając kartotekę przy każdym odejściu i przyjęciu nowych.

– Sprawę Pierre'a Vaudela syna prowadzi inspektor Spoquouy. Nie wiem, czy to wpływ nazwiska, ale facet jest dość wyciszony i nie szuka kłopotów. Jak wspomniałem, nie jest za szybki. Dlatego stawiam raczej na cztery dni niż trzy. Maurel mówił mi też o komisarzu i sierżancie, nazywają się Noiselot i Drumont. Reszty ekipy nie znam.

– Znajdź mi pełną listę.

– Kogo szukasz?

– Wietnamczyka, z którym pracowałem w Messilly. Miasteczko było senne, ale w życiu nie miałem takiej wesołej służby, jeśli już udawało się ją odbębnić. Palił nosem, lewitował na kilka centymetrów... a przynajmniej tak mi się wydawało... grał melodyjki na kieliszkach, potrafił naśladować każde stworzenie pod słońcem.

Dwadzieścia minut później Adamsberg przebiegał wzrokiem listę członków ekipy inspektora Spoquouya.

– Dodzwoniłem się do wnuka Slavka – rzekł Danglard. – Zaraz wyjeżdża z Marsylii, o dwudziestej pierwszej będzie na dworcu Santa Lucia w Wenecji przed wagonem siedemnastym pociągu do Belgradu. Cieszy się, że wyskoczy do wioski. Vladislav jest zawsze zadowolony.

– Jak go poznam?

– Bardzo łatwo. Jest chudy i bardzo owłosiony, długie włosy na głowie sięgają mu włosów na plecach, wszystkie atramentowoczarne.

– Komisarz Mai Thien Dinh – powiedział Adamsberg, wskazując palcem na liście. – Napisał do mnie w grudniu zeszłego roku. Wiedziałem, że w powietrzu wisi jakaś historia z Awinionem. Często przysyła mi liścik

z urlopu z azjatyckimi mądrościami. „Nie jedz własnej ręki, kiedy nie masz chleba”.

– Głupie.

– Nic dziwnego, sam je wymyśla.

– Odpowiadasz mu?

– Nie umiem wymyślać takich mądrości – wyjaśnił Adamsberg, wybierając numer komisarza Mai. – Dinh? Mówi JeanBaptiste. Dzięki za grudniową kartkę.

– Mamy czerwiec. Ale ty zawsze byłeś powolny. A człowiek powolny idzie wolniej niż człowiek szybki. Dotarło do ciebie, że siedzimy nad tą samą sprawą? Vaudela?

– Śliczna łuszcza pod lodówką?

– Właśnie. A kretyn, który ją podrzucił, łąził po wykładzinie ze strużynami ołówka przyczepionymi do podeszew. Nie martw się, Vaudel chodzi wolny, a my ci szybciotko przywieziemy rysownika.

– Dinh, wolałbym, żebyście nie przywozili go szybciotko. Tylko na przykład średnio szybko. Albo w ogóle bez pośpiechu.

– Dlaczego?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– A. Mędrzec w niczym nie ustępuje głupcowi. Nie da rady, Jean-Baptiste. Poczekaj chwilkę, wyjdę z sali. Czego chcesz ode mnie? – podjął Dinh po paru minutach.

– Opóźnienia.

– To niezgodne z zasadami.

– Z żadnymi. Dinh, wyobraź sobie, że jakiś drań wrzucił mnie w ubraniu do gnojówki wielkości stawu.

– Bywa.

– I że właśnie w niej tonę. Widzisz tę scenę?

– Jakbym tam był.

– Super. No i wyobraź sobie, że tu jesteś. Chodzisz sobie nad tym stawem, lewitujesz. Wyobraź sobie, że wyciągasz do mnie rękę.

– Znaczy, że własną rękę wkładam w gnój, żeby ciebie wyciągnąć, ale nie wiem dlaczego.

– Zgadza się.

– A dokładniej?

– Strużyny z ołówka. Kiedy idą do laboratorium?

– Za jakąś godzinę. Kończymy zbierać inne próbki.

– No, więc załatw to tak, żeby nie wyszły od was. Niech gdzieś przeleżą ze dwa dni.

- Ale jak?
- Jaka duża ta próbka?
- Fiolka wielkości szminki do ust.
- Kto eskortuje kierowcę do laboratorium?
- Sierżant Kerouan.
- Zastęp sierżanta Kerouana.
- Nie jesteśmy podobni. To Bretończyk.
- Przydziel Bretończykowi inne zadanie, a ty jedź z kierowcą.

A ponieważ bardzo ci zależy na tej szmince, wsuń ją do kieszeni munduru dla pewności.

– Co potem?

– W drodze zachorujesz. Wysoka gorączka, zawroty głowy, to cię nagle dopada. Przekazujesz całość próbek z wyjątkiem fiolki z kieszeni, potem dzwonisz na komisariat, że idziesz do domu. Dwa dni leżysz w łóżku z proszkami pod ręką, nie jesz, na nic nie masz apetytu. To w razie jakichś odwiedzin. W rzeczywistości możesz wstawać.

– Dziękuję bardzo.

– Przez gorączkę zapomniałeś o fiolce w kieszeni. Trzeciego dnia zdrowiejesz, wraca ci pamięć. Próbka, laboratorium, kieszeń, no wiesz... I jedno z dwóch: albo jakiś gorliwy komisarz odkryje, że fiolka nie dotarła do laboratorium, albo nikt nic nie zauważy. W obu wypadkach zwracasz fiolkę, tłumaczysz się, ubolewasz. Zyskamy w ten sposób jakieś półtora do dwóch i pół dnia.

– Ty zyskasz, Jean-Baptiste. A ja? Mądry jest mąż, który szuka swojego dobra na ziemi.

– Ty zyskujesz dwa dni odpoczynku. Czwartek, piątek plus weekend. I zarabiasz na rewanż z mojej strony.

– Na przykład?

– Na przykład kiedy kosmyk twoich sztywnych czarnych włosów znajdziemy na miejscu zbrodni.

– A, rozumiem.

– Dzięki, Dinh.

Podczas tej rozmowy Danglard przeniósł swoją butelkę na biurko Adamsberga.

– Tak jest bardziej szczerze – stwierdził Adamsberg, wskazuje ją.

– Muszę dokończyć, skoro przechodzę na czerwone.

– Lucio by się z tobą zgodził. Dokończyć albo nie zaczynać.

– Odbiło ci, że prosisz o to Dinha. Jak się wyda, obciążysz się na dobre.

– Już jestem obciążony. I nie wyda się, bo człowiek Wschodu nie miele

jęzorem jak cieleń ogonem. Kiedyś mi to napisał.

– OK – rzekł Danglard – to nam daje pięć, może nawet sześć dni. Gdzie będziesz mieszkał w Kisiljevie?

– Jest tam nieduża gospoda z pokojami gościnnymi.

– Nie podoba mi się to. Że jedziesz sam.

– Będę miał twojego krewniaka.

– Vladislav nie jest asem walki. Nie podoba mi się to – powtórzył Danglard. – Kisiljevo, czarny tunel.

– Skraj lasu – rzekł Adamsberg z uśmiechem – którego dotąd się boisz. Jeszcze bardziej niż Zerquetschera.

Danglard wzruszył ramionami.

– Który płata się nie wiadomo gdzie – dodał Adamsberg bardziej ponurym tonem. – Wolny jak ptak.

– Nie twoja wina. Co robimy z Mordentem? Wyciągamy go z tej jego cholernej chałupy? Wstrząśniemy nim? Zmusimy, żeby wylał z siebie żółć zdrajcy?

Adamsberg wstał, grubą gumką spiął zieloną i różową teczkę i mrużąc oczy przed dymem, zapalił papierosa, który zwisał mu przyklejony do dolnej wargi. Jak jego ojcu. I jak Zerkowi.

– Co robimy z Mordentem? – powtórzył powoli. – Najpierw pozwalamy mu odzyskać córkę.

XXVIII

Plecak był zapięty, przednią kieszeń miał wypchaną trzema teczkami z dossier francuskim, angielskim i austriackim. Przebywanie w kuchni przywodziło Adamsbergowi wspomnienie pomieszanych obrazów z tego ranka: Zerka, ich długiej konfrontacji, tego, jak pozwolił mu odejść. Idź, Zerk, idź. Idź i zabijaj, zabijaj spokojnie, inspektor palcem nie kiwnął, żeby cię powstrzymać. „Bezwład w działaniu”, powiedział Josselin. Może już tak było, kiedy w niedzielę usunął się, by dać Èmile'owi możliwość ucieczki – o ile to właśnie zrobił. Ale już koniec z bezwładem, zabrał mu go człowiek o złotych palcach. Teraz musi wejść do tunelu w Kisilovej, uciec do tej wioski stojącej na swojej tajemnicy. Miał dobre wieści o Èmile'u, gorączka opadła. Zapiął na przegubie dwa zegarki, podniósł plecak.

– Masz gościa – oznajmił Lucio, stukając w szybę.

Weill wszedł spokojnie do środka, brzuchem zastawiając Adamsbergowi drogę. Zwyczajowo należało odwiedzać Weilla, nigdy na odwrót. Ten człowiek był znerwicowanym domatorem, jazda przez Paryż była dla niego nieznośnie przykrym doświadczeniem.

– Mało brakowało, a bym cię nie zastał – powiedział, siadając.

– Nie mam czasu – rzeki Adamsberg, ściskając mu dłoń dość niezręcznie, ponieważ Weill podawał ją miękko, jak do pocałunku. – Muszę zdążyć na samolot.

– Na piwo wystarczy czasu?

– Na jedno.

– Poprzestaniemy więc na jednym. Usiądź, przyjacielu – dodał, wskazując krzesło, tonem odrobinę lekceważącym, który chętnie przyjmował, gdziekolwiek się znalazł, jakby wszędzie był u siebie. – Jedziesz za granicę? Chyba rozsądnie. Dokąd?

– Do Kisilovej. To serbska wioska nad Dunajem.

– Ciągłe sprawa Garches?

– Zgadza się.

– Palisz? – spytał Weill, przypalając mu papierosa.

– Dziś wróciłem do nałogu.

– Kłopoty – stwierdził Weill.

- Chyba tak.
- Na pewno. Dlatego musiałem z tobą pomówić.
- Czemu nie zadzwoniłeś?
- Zaraz zrozumiesz. Burza zbiera się nad twoją głową, nie kładź się pod drzewem, nie chodź po odkrytej przestrzeni z włócznią w garści. Kryj się w cieniu i biegnij.
- Potrzebuję więcej szczegółów, Weill.
- Nie mam dowodów, przyjacielu.
- To daj mi motyw.
- Zabójca z Garches ma protektora.
- Na górze?
- Właśnie. Duży kaliber wyzuty z uczuć. Ktoś nie życzy sobie, żebyś dopiął tę sprawę. Ktoś życzy sobie, żebyś odpuścił. Wniesiono przeciwko tobie oskarżenie, dość cienkie, o pomoc w ucieczce podejrzanego, tego Èmile'a Feuillanta, i o błąd w weryfikacji alibi. Zażądano czasowego odwołania cię z funkcji. Był pomysł, żeby śledztwo poprowadził Preval.
- Preval jest skorumpowany.
- Jasne. Zwinąłem twoje dossier.
- Dzięki.
- Uderzą mocniej, a ja niewiele mogę i nic na to nie poradzę. Masz jakiś plan? Oprócz wylotu?
- Posuwać się szybciej niż oni, złapać piłkę, zanim dotknie ziemi.
- Inaczej mówiąc, złapać mordercę za gardło i wyłożyć na stół dowody? Śmieszne, przyjacielu. Wierzysz jeszcze, że nie potrafia obalać dowodów?
- Nie.
- Doskonale. Toteż musisz przyjąć plan trzyczęściowy. Część A: szukasz mordercy, to zrozumiałe. To tylko dodatkowy aspekt sprawy, nie priorytet, bo prawda niekoniecznie wypływa na wierzch, szczególnie kiedy nie jest pożądana. Część B: szukaj, kto na górze chce cię załatwić, i przygotuj kontratak. Część C: nastaw się na wygnanie. Może za Adriatyk.
- Nie jesteś zabawny, Weill.
- Oni nie są zabawni. Nigdy.
- Nie mam żadnej możliwości zidentyfikowania człowieka na górze. Tylko jeśli będę ścigał mordercę, mogę się do niego zbliżyć.
- Niekoniecznie. To, co się dzieje na górze, jest ukryte przed maluczkimi. Dlatego zacznij od dołów. Bo ci z góry zawsze się posługują tymi z dołu, którzy chcą się dostać na górę. Później zacznij się wspinać po drabinie. Kto jest na dole? Na pierwszym szczeblu?
- Komendant Mordent. Wykorzystali go w zamian za obietnicę

uniewinnienia jego córki. Za niecałe dwa tygodnie ma stanąć przed sądem za dilerkę.

– Albo za zabójstwo. Dziewczyna była naćpana, kiedy Stubby Down został zamordowany. Jej chłopak, ten Bones, mógł jej wetknąć broń w rękę i nacisnąć jej palec na spuście.

– I tak się stało, Weill? Tak było?

– Tak. Technicznie ona zabiła. Mordent musi więc słono zapłacić, żeby ją odzyskać. Kto stoi na drugim szczelblu twoim zdaniem?

– Brezillon. Pilotuje Mordenta. Ale nie sądzę, żeby uczestniczył w przekręcie.

– Nieważne. Trzeci szczelbel: sędzia, który w ciemno zgodził się uniewinnić córkę Mordenta. Kto to jest i co zyskuje w zamian? Tego trzeba się dowiedzieć, Adamsberg. Kto go poprosił o uniewinnienie, dla kogo pracuje?

– Przykro mi – powiedział Adamsberg, dopijając piwo – ale nie miałem czasu zająć się tym wszystkim. Danglard to wywąchał. Odcięte stopy, jatka w Garches, postrzelenie Émile'a, morderstwo w Austrii, serbski wujek, mój wywalony bezpiecznik, rodząca kotka... przykro mi. Nie miałem ani głowy, ani czasu, żeby wypatrywać drabiny i wszystkich, którzy się na nią wspięli.

– Za to oni mieli dość czasu, żeby zająć się tobą. Masz duże opóźnienie.

– Bez wątpienia. Strużyny z mojego ołówka już ma policja w Awinionie, zebrano je w mieszkaniu Pierre'a Vaudela. Udało mi się tylko opóźnić detonator. Mam pięć, sześć dni, zanim mnie dopadną.

– A ja nie tyle palę się do roboty – rzekł leniwie Weill – ile nie lubię tych tam, na górze. Dla mojego umysłu są tym, czym marna kuchnia dla żołądka. Skoro musisz wyjechać, niewykluczone, że w twoim imieniu zbadam parę kolejnych szczelbli drabiny.

– Do sędziego?

– Wyżej, mam nadzieję. Zadzwoń do ciebie. Nie na twój zwykły telefon i nie z mojego. – Weill położył na stole dwa telefony komórkowe, jeden pchnął w stronę Adamsberga. – Ty masz swój, ja mam swój. Nie uruchamiaj go, póki nie przekroczysz granicy, a później nigdy nie może być włączony równocześnie ze starym. Nie masz GPS-u w normalnej komórce, prawda?

– Mam. Chcę, żeby Danglard mógł mnie namierzyć w razie czego. Założmy, że znajdę się sam na skraju lasu.

– I co potem?

– Nic – odparł Adamsberg z uśmiechem. – Tylko demon krąży tam, w Kisilovej. Jest też Zerk, który gdzieś tam się błąka.

– Kto to jest Zerk?

– Zerquetscher. Tak go nazwali wiedeńscy. Zgniatacz. Przed Vaudelem zmasakrował człowieka w Pressbaum.

– Nie ciebie szuka.

– Dlaczego?

– Pozbądź się tego GPS-u, Adamsberg, nie zachowuj się nieostrożnie. Nie dawaj im możliwości zatrzymania cię albo żeby cię spotkał jakiś wypadek. Nigdy nic nie wiadomo. Powtarzam: szukasz mordercy, a oni za nic nie chcą, żeby go odnaleziono. Wyłączaj zwykły telefon, kiedy tylko będziesz mógł.

– Bez obaw. Tylko Danglard ma mój sygnał GPS.

– Nie ufaj nikomu, bo ci z góry będą wysyłali swoich kusicieli i handlarzy.

– Danglarda wykluczam.

– Nikogo nie wykluczaj. Każdy czegoś pożąda i ma jakąś obsesję, każdy trzyma granat pod łóżkiem. I tak powstał łańcuch, który oplata cały świat, łańcuch facetów trzymających się nawzajem za jaja. Jeśli koniecznie chcesz, możemy wykluczyć Danglarda, ale nie to, że ktoś śledzi każdy jego krok.

– A ty, Weill? Czego ty pożądasz?

– Ja mam to szczęście, rozumiesz, że bardzo kocham siebie. A to redukuje moją pożądlivość i wymagania wobec świata. Chciałbym jednak żyć na wysokiej stopie w dużym osiemnastowiecznym pałacu z drużyną kucharzy, osobistym krawcem, dwoma mruczącymi kotami, prywatną orkiestrą, parkiem, dziedzińcem wewnętrznym, fontanną, kochankami i pokojówkami, i prawem do obsobaczania, kogo zechcę. Tyle że chyba nikt nie kwapi się do spełnienia moich życzeń. Nikt nie chce mnie kupić. Jestem zbyt skomplikowany i o wiele za drogi.

– Mam dla ciebie kota. Właściwie tygodniową dziewczynkę mięciutką jak biała bawełna. Wygłodzoną, kruchą i delikatną. Świetnie by pasowała do pałacu.

– Nie mam jeszcze ani kawałeczka tego pałacu.

– Na dobry początek. Jako pierwszy szczebel drabinki.

– No nie wykluczam... Pozbądź się GPS-u, Adamsberg.

– Musiałbym jeszcze tobie zaufać.

– Kto marzy o minionej świetności, nie bardzo nadaje się na zdrajcę.

Adamsberg podał mu swój telefon, dopijając piwo. Weill wyjął baterię i jednym ruchem usunął czip śledzący.

– Dlatego musiałem się z tobą zobaczyć – wyjaśnił, zwracając mu aparat.

XXIX

Przedział w wagonie 17 do Belgradu był luksusowy, z dwoma łózkami zasłanymi białą pościelą i nakrytymi czerwoną narzutą, ze stolikami na wysoki połysk, umywalką i ręcznikami. Adamsberg nigdy nie podróżował w takich warunkach, toteż sprawdził bilety. Miejsce 22 i 24, zgadza się. Na pewno dział delegacji i podróży popełnił jakiś błąd, księgowość podskoczy pod sam sufit. Adamsberg usiadł na swojej kuszetce zadowolony jak złodziej, któremu trafiła się gratka. Rozpakował się niczym w hotelu, teczki z aktami położył na łóżku, obejrzał ulotkę o kolacji „à la francese” podawanej o dwudziestej drugiej, zupa krem ze szparagów, sole à la Plogoff, ser bleu d’Auvergne, lody tartufo, kawa, zakrapiane winem valpolicella. Odczuł taką samą radość jak tamtego dnia po wyjściu ze szpitala w Châteaudun, kiedy wsiadł do cuchnącego samochodu i nieoczekiwanie trafił mu się posiłek w postaci zapasów Froissy. Słusznie mówią, pomyślał, że czystą rozkosz generuje nie jakość, ale niewymierny błogostan niezależny od części składowych.

Wyszedł na peron, by wypalić papierosa Zerka. Zapalniczka młodzieńca również była czarna, ozdobiona czerwonymi zawijasami, które przywodziły na myśl zwoje mózgowie. Bez trudu rozpoznał wnuka wuja Slavka po czarnych sztywnych włosach jak u Dinha związanych w koński ogon, po niemal żółtych oczach osadzonych nad wysokimi szerokimi kośćmi policzkowymi, typowo słowiańskimi.

– Vladislav Moldovan – przedstawił się ów młody, bo około trzydziestoletni człowiek, uśmiechając się od ucha do ucha. – Może mnie pan wołać Vlad.

– Jean-Baptiste Adamsberg. Dziękuję, że pan ze mną jedzie.

– To dla mnie przyjemność. Ded tylko dwa razy zabrał mnie do Kisiljeva, ostatnio jak miałem czternaście lat.

– Ded?

– Dziadek. Pójdę na jego grób, poopowiadam mu historyjki, jak on opowiadał mnie. To nasz przedział? – zapytał niepewnie.

– Dział delegacji pomylił mnie z jakąś szychą.

– Kapitalnie – stwierdził Vladislav. – Nigdy nie spałem jak szychy. Na

pewno coś takiego się przydaje, kiedy człowiek jedzie, by stawić czoło upiorom Kisiljeva. Znam sporo szych, które wolałyby siedzieć w ukryciu w jakiejś ruderze.

Gadula, pomyślał Adamsberg, co oczywiście nie było niczym dziwnym w wypadku tłumacza słowa mówionego i pisanego, który bawi się językiem. Vladislav tłumaczył z dziewięciu języków, toteż dla Adamsberga, który nie był w stanie zapamiętać całego nazwiska Stocka, umysł taki jak jego był równie dziwny, jak potężny organ Danglarda. Bał się tylko, żeby młody człowiek tak pogodnej natury nie wciągnął go w rozmowę bez końca.

Z otwarciem szampana czekali, aż pociąg ruszy. Vladislava wszystko cieszyło: błyszczące drewno, mydełka, malutkie golarki, a nawet kieliszki z prawdziwego szkła.

– Adrien Danglard... Adrianus, jak go nazywał mój ded... nie powiedział, czemu pan jedzie do Kisiljeva. Zasadniczo nikt nie jeździ do Kisiljeva.

– Dlatego, że jest małe, czy z powodu upiorów?

– A pan ma jakąś swoją wioskę?

– Caldhez wielkości łepka szpilki. W Pirenejach.

– W Caldhez są upiory?

– Dwa. Kłótniwy duch w piwnicy i śpiewające drzewo.

– Kapitalnie. Czego szuka pan w Kisiljevie?

– Korzeni pewnej historii.

– Jeśli chodzi o korzenie, to dobre miejsce.

– Słyszał pan o morderstwie w Garches?

– Mówi pan o tym posiekanym staruszką?

– Tak. Znaleźliśmy liścik napisany jego ręką z nazwą Kisilova cyrylicą.

– A jaki ma to związek z moim dedem? Adrianus powiedział, że to dla deda.

Adamsberg popatrzył przez okno, na gwałt szukając jakiegoś pomysłu, co nie było jego mocną stroną. Powinien był wcześniej pomyśleć o wiarygodnym wytłumaczeniu. Nie zamierzał mówić temu Serbowi, że jakiś zerk obciął stopy jego dedowi. Coś takiego może złamać serce wnukowi, a wręcz odmienić jego pogodną naturę.

– Danglard słyszał wiele opowieści Slavka – rzekł wreszcie. – A Danglard gromadzi wiedzę jak wiewiórka orzechy, o wiele więcej, niż potrzebuje do przetrwania dwudziestu zim. Wydaje mu się, że jakiś Vaudel... to nazwisko ofiary... że jakiś Vaudel mieszkał przez jakiś czas w Kisilovej i że Slavko mu o nim opowiadał. Jakby Vaudel, uciekając przed wrogami, schronił się w Kisilovej.

Historyjka była taka sobie, lecz uszła, ponieważ rozległ się dzwonek

zapowiadający kolację, którą postanowili zjeść w przedziale niczym jakieś VIP-y. Vladislav dopytał o owe „sole à la Plogoff”. Po bretońsku, wyjaśnił włoski kelner, podawane z sosem doprawionym ziołami sprowadzanymi specjalnie z miejscowości Plogoff na przylądku Raz. Zapisał zamówienie, jakby odnotowywał, że ten człowiek w T-shircie o cudzoziemskiej fizjonomii i z czarnym owłosieniem na rękach nie wygląda na prawdziwego VIP-a, podobnie jak jego towarzysz.

– Jak ktoś jest owłosiony – rzekł Vladislav – od razu każą ci jechać w wagonie bydłowym. Mam to po matce – dodał, ciągnąc za włosy na ręce, po czym zniecka wybuchnął śmiechem, który za brzmiał, jakby ktoś nagle stłukł wazon.

Śmiech Vladislava był organicznie zaraźliwy, ten człowiek zdawał się śmiać z niczego i bez niczyjej zachęty.

Po spożyciu soli à la Plogoff, valpolicelli i deseru Adamsberg położył się na swoim łóżku z dokumentami. Musiał przeczytać wszystko, znowu się w to zagłębić. Była to dla niego najtrudniejsza część pracy. Kartoteki, raporty, sprawozdania – tu nie dawało się wyczuć żadnych emocji.

– Jak panu się udaje dogadać z Adrianusem? – przerwał mu Vladislav, kiedy Adamsberg biedził się z niemieckimi aktami, czytając sumiennie kartotekę frau Abster zamieszkałej w Kolonii, siedemdziesiąt sześć lat. – A wie pan – ciągnął – że on pana wielbi, chociaż strasznie działa mu pan na nerwy?

– Danglerdowi wszystko działa na nerwy. Sam do tego doprowadza.

– On mówi, że nie może pana zrozumieć.

– Jak woda ognia i powietrze ziemi. Ja wiem jedno: bez Danglerda brygada już dawno zesłaby na manowce i nadziała się na rafy.

– Na przylądku Raz na przykład. W Plogoff. To by dopiero było. I wtedy obaj z Adrianusem, poturbowani, znaleźlibyście sole z pociągu Wenecja-Belgrad, co by było pocieszeniem.

Adamsberg za nic nie mógł przebrnąć dalej niż piąta linijka kartoteki frau Abster, urodzonej w Kolonii, córki Franza Abstera i Eriki Plogerstein. Danglerd go nie ostrzegł przed kompulsywną gadatliwością Vladislava, który rozpraszał jego i tak słabą koncentrację.

– Muszę czytać na stojąco – oświadczył Adamsberg, wstając.

– Znakomicie.

– Zostawię pana, pochodzę po korytarzu.

– Oczywiście, proszę chodzić, proszę czytać. Będzie panu przeszkadzało,

jeśli zapalę? Wywietrzę przedział.

– Proszę zapalić.

– Mimo owłosienia nie chrapię. Jak moja matka. A pan?

– Czasami.

– Trudno – rzekł Vladislav, wyjmując bibułki i resztę akcesoriów do skręcania papierosów.

Adamsberg wysunął się z salonki. Jeśli będzie miał szczęście, po powrocie do przedziału zastanie Vladislava w oparach konopi indyjskich – milczącego. Chodził tam i z powrotem po korytarzu z różową i zieloną teczką, póki światła nie pogasły około dwóch godzin później. Vladislav spał uśmiechnięty, z nagim torsem, na którym czarne owłosienie przypominało kocią sierść nocą.

Adamsberg miał wrażenie, że zasnął szybko, ale płytko, z jedną ręką na brzuchu – może przez tę kolację rybną, która mu siadła na żołądku. Albo przez te pięć, sześć dni, które mu pozostały. Spał przez kilka minut, budził się, złoszcząc się w pozostałościach snu na to coś à la Plogoff, co zdawało się wiercić mu dziurę w głowie i dręczyć go przez całą noc. Kartoteka frau Abster nałożyła się na jadłospis kolacji, wymieszała się z solami, treść wyłoniła się wypisana takim samym krojem pisma, „frau Abster, urodzona w Kolonii, córka Franza Abstera i Eriki Plogerstein”. Nitki kretyńsko się plątały, Adamsberg przewrócił się na bok, aby się ich pozbyć. Albo nie kretyńsko. Otworzył oczy przywykły rozpoznawać ten alarm, który się w nim rozdzwaniał, zanim jeszcze się zorientował, o co może chodzić.

A chodzi o nazwisko „frau Abster, urodzonej w Kolonii, córki Franza Abstera i Eriki Plogerstein”, pomyślał, zapalając lampkę nocną. Było coś w tym nazwisku. A raczej w nazwisku matki, Plogerstein, które zderzyło się z solami à la Plogoff. Dlaczego? W chwili gdy siedząc, bezszelestnie szperał w plecaku, aby wyjąć teczkę, do zbitki Plogerstein-Plogoff dołączyło nazwisko austriackiej ofiary morderstwa. Conrad Plögener. Adamsberg wyjął kartotekę człowieka zmasakrowanego w Pressbaum i przysunął ją do lampki. „Conrad Plögener, zamieszkały w Pressbaum, urodzony 9 marca 1961, syn Marka Plögenera i Mariki Schüssler”.

Plogerstein, Plögener. Adamsberg odłożył byle jak różową teczkę i wyjął białą, francuską. „Pierre Vaudel, syna Jules'a Vaudela i Marguerite Nemesson”.

Nic. Adamsberg potrząsnął za ramię włochatego kocura, który spał na łóżku obok w eleganckiej pozycji, wypracowanej specjalnie dla salonki.

– Vlad, potrzebuję informacji.

Młody Serb otworzył oczy zdziwiony. Szytywne włosy miał rozpuszczone,

leżały mu teraz na ramionach.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał jak dziecko, które nie poznaje swojego pokoju.

– W pociągu Wenecja-Belgrad. Jedziesz z gliniarzem do Kisilovej, wioski twojego dziadka, deda.

– A tak – rzekł Vladislav pewnym głosem, odświeżając połączenie.

– Obudziłem cię, bo potrzebuję informacji.

– Tak – powtórzył Vladislav i Adamsberg się zastanowił, czy on aby nadal nie jest na haju.

– Ten twój ded... jak się nazywali jego rodzice? Czy ich nazwisko zaczynało się na „plog”?

Vladislav w mroku wybuchnął śmiechem, przetarł oczy.

– „Plog”? – powtórzył, siadając. – Nie, żaden tam Plog.

– Jak się nazywał ojciec? Twój pradad? Jak on się nazywał?

– Milorad Moldovan.

– A matka? Twoja pradeda?

– Nie „deda”, tylko baka. – Vladislav zaśmiał się krótko. – Baka nazywała się Natalija Arsinijević.

– A w otoczeniu deda? Wśród jego przyjaciół? Bliskich? Nigdzie nie było żadnego Ploga?

– *Zasmejavaš me*, rozśmieszasz mnie, inspektorze. Lubię cię. – I Vladislav opadł na posłanie, odwracając się do niego plecami i chichocząc jeszcze pod nosem. – A nie – powiedział nagle, podnosząc się na powrót. – Był jeden Plog. Jego nauczyciel historii, o którym opowiadał do znudzenia, niejaki Mihai Plogodrescu. Rumuński kuzyn, który przyjechał uczyć w Belgradzie, później mieszkał w Nowym Sadzie, a na emeryturze w Kisiljevie. Nie rozstawali się, byli jak bracia, których dzieli piętnaście lat. Nie uwierzysz, ale umarli w odstępie jednego dnia.

– Dzięki, Vlad, możesz spać dalej.

Adamsberg na bosaka wysunął się na korytarz i chodząc po granatowej wykładzinie, wpatrywał się w notatnik: Plogerstein, Plögener, Plogoff, Plogodrescu. Znakomity zestaw, z którego jednak należało wykluczyć sole, nie miały tu bowiem nic do szukania. Aczkolwiek to dość niewdzięczne, pomyślał, z żalem wykreślając bretońską nazwę, bo gdyby nie one, do niczego by nie doszedł. Jego zegarki wskazywały godzinę między drugą piętnaście a trzecią czterdzieści pięć. Obudził Danglarda, który nocą nie miał pogodnego nastroju.

– Co jest? – burknął.

– Przykro mi, Danglard. Twój krewniak nie przestaje się śmiać i nie

można zasnąć w tym pociągu.

– Nic się nie zmienił od dziecka. Ma pogodną naturę.

– Tak, już mi to mówiłeś. Danglard, znajdź mi pilnie nazwiska dziadków Vaudela z obu stron, po mieczu i po kądzieli, ewentualnie cofnij się dalej, ile będzie trzeba, aż znajdziesz jakiegoś Ploga.

– Jak to: ploga?

– Nazwisko, które zaczyna się na Plog. Jak Plogerstein, Plögener, Plogoff, Plogodrescu. Panięskie nazwisko frau Abster to Plogerstein, ten Conrad zamordowany w Pressbaum miał na nazwisko Plögener, a rumuński krewny twojego Slavka nazywał się Plogodrescu. W Hizgat były jego stopy, nie wujka. Zawsze to jakaś pociecha.

– A Plogoff?

– To sole, które dziś na kolację jedliśmy z Vladem.

– Dobra – rzekł Danglard, nie drążąc tego tematu. – Domyślam się, że chcesz to szybko. Co ci przyszło do głowy?

– Że to jednak rodzina. Pamiętasz? Vaudel bał się jakiejś zemsty.

– Zemsta na rodzinie Plog? A czemu ci Plogowie nie nazywają się tak samo?

– Diaspora albo ukrywanie nazwiska z konieczności.

Uwolniony od dręczącej myśli Adamsberg zdążył przespać dwie godziny, zanim Danglard go obudził.

– Mam tego Ploga – powiedział. – Chodzi o jego dziadka po mieczu przybyłego z Węgier.

– Nazwisko, Danglard.

– No przecież mówię: Plog. Andras Plog.

XXX

Vladislav siedział z nosem przy samej szybie, komentując trasę pociągu dojeżdżającego do Belgradu, jakby był na wycieczce, od czasu do czasu rzucał też słowo „plog”, które niepomrotnie go bawiło. Dobry humor tłumacza nadawał wyprawie kolorytu wesołej wyprawy, acz w głowie Adamsberga nabierała raczej ciemnych barw, im bliżej docierał do niepojętej Kisilovej.

– Belgrad, Biały Gród – oznajmił Vladislav, kiedy pociąg hamował na dworcu. – Piękne miasto, ale nie zdążymy go obejrzeć, bo nasz autobus odjeżdża za pół godziny. Często budzisz ludzi po nocy, żeby się dowiedzieć, czy mają ploga w rodzinie?

– Gliniarze ciągle budzą ludzi w nocy. A ludzie ich też budzą. Warto było, znalazł się plog.

– Plog – powtórzył Vladislav, smakując ów dźwięk, jakby wypuszczał bańkę powietrza. – Plog. A czemu to cię zainteresowało?

– Plogerstein, Plögener, Plogoff, Plogodrescu i po prostu Plog – wyrecytował Adamsberg. – Po usunięciu Plogoffa te cztery nazwiska są powiązane z morderstwem w Garches. Dwa to ofiary, trzecie jest nazwiskiem przyjaciółki jednej z ofiar.

– Jaki to ma związek z moim dedem? Czy ofiarą był jego kuzyn Plogodrescu?

– Poniekąd. Zerknij na korytarz. Kobieta w beżowym kostiumie, czterdzieści, pięćdziesiąt lat, krosta na policzku, nieobecna mina. Zajmowała sąsiedni przedział. Obserwuj ją, kiedy będziemy wysiadali.

Vlad był pierwszy na peronie i wyciągnął swoje kocie owłosione łapsko ku kobiecie w kostiumie, aby pomóc jej znieść walizkę. Podziękowała mu za uprzejmość i odeszła.

– Elegancka, bogata, ładne ciało, zła twarz – skomentował Vladislav, patrząc za nią. – Plog. Ja bym nie ryzykował.

– Wyszedłeś w nocy do toalety.

– Ty też.

– Zostawiła uchylone drzwi przedziału, widać było, że czyta. To była ona, prawda?

– Tak.

– Dziwne, że samotna kobieta nie zamyka się w nocnym pociągu.

– Plog – powiedział Vladislav, który zdawał się używać tej nowej onomatopei zamiast „jasne” albo „pewnie”, albo „oczywiście”, Adamsberg sam nie bardzo wiedział. Młody Serb jakby kosztował to nieznane dotąd słowo niczym cukierek o nowym smaku, którego w pierwszym okresie zjada się w nadmiarze. – Może na kogoś czekała? – podsunął.

– Albo próbowała kogoś podsłuchać. Nas na przykład. Wydaje mi się, że leciała również ze mną z Paryża do Wenecji.

Wsiadli do autokaru, „kierunek Kaluđerica, Smederev, Kostolac, Kličevac i Kisiljevo”, zapowiedział kierowca i po tych słowach Adamsberg doznał uczucia kompletnego zagubienia, co mu się spodobało. Vladislav obrzucił wzrokiem innych podróżnych.

– Nie ma jej – powiedział.

– Jeśli mnie śledzi, nie może jej tu być, w autobusie za bardzo rzucałaby się w oczy. Pojedzie następnym.

– A skąd będzie wiedziała, gdzieśmy wysiedli?

– Rozmawialiśmy o Kisilovej przy kolacji?

– Wcześniej – odparł Vladislav, który zbierał włosy w koński ogon, trzymając gumkę w zębach. – Przy szampanie.

– Zostawiliśmy otwarte drzwi?

– Tak, z powodu papierosów. Inna rzecz, że samotna kobieta ma prawo jechać do Belgradu.

– Kto w tym autobusie nie wydaje ci się Słowianinem?

Vladislav przeszedł wzdłuż autokaru, udając, że szuka jakiegoś zagubionego przedmiotu, następnie usiadł na powrót obok Adamsberga.

– Biznesmen, raczej Szwajcar albo Francuz. Trekker, raczej Niemiec z północy. Para to Francuzi z południa albo Włosi. Mają pod pięćdziesiątkę, a trzymają się za ręce, co wygląda dziwnie w wydaniu starego małżeństwa w wysłużonym serbskim autokarze. A czasy nie sprzyjają turystyce w Serbii.

Adamsberg bez słowa dał mu niezbyt sprecyzowany znak. Nie mówić o wojnie. Ten zakaz trzykrotnie Danglerd wbijał mu do głowy.

W Kisiljevie nikt za nimi nie wysiadł. Znalazłszy się na zewnątrz, Adamsberg szybko podniósł wzrok ku oknom i wydało mu się, że spogląda na nich mężczyzna z tej dziwnej pary.

– Sami – powiedział Vladislav, wyciągając chude ręce ku czystemu niebu.

– Kisiljevo – dodał, z dumą wskazując wioskę z gęsto postawionymi

kolorowymi domami i białą dzwonnica, ulokowaną pośród wzgórz z błyszczącym Dunajem płynącym w dole.

Adamsberg wyjął kartkę z notatkami podróznymi i pokazał mu nazwisko gospodarza: Krčma.

– To nie nazwisko – wyjaśnił Vladislav. – To znaczy: gospoda. Właścicielka, jeśli nadal jest ta sama, Danica, poczęstowała mnie tam pierwszym łykiem piwa.

– Jak to się wymawia?

– *Krczma*.

– *Kruszma*.

– Może być.

Adamsberg szedł za Vladislavem aż do „kruszmy”, wysokiego budynku z kolorowymi drewnianymi okładzinami ozdobionymi wolutami. Wraz z ich wejściem ucichły rozmowy, a podejrzliwe twarze, które obróciły się do nich, przypomniały Adamsbergowi wypisz wymaluj oblicza Normandczyków z kawiarni w Haroncourt albo Bearneńczyków w bistrze w Caldhez. Vladislav zgłosił się do szefowej, złożył podpis w rejestrze gości, po czym wyjaśnił, że jest wnukiem Slavka Moldovana.

– Vladislav Moldovan! – zawołała Danica i po jej gestykulacji Adamsberg zrozumiał, że Vladislav bardzo urósł, był najwyżej o, taki, gdy widziała go ostatnio.

Atmosfera natychmiast się zmieniła, ludzie zaczęli podchodzić do Vladislava, ścisnąć mu rękę, spoglądano na niego przyjaźnie. Danką, która wyglądała na kobietę przyjemną jak jej imię, posadziła ich zaraz do jedzenia, było już wpół do pierwszej. Stawiając na stole karafkę białego wina, oznajmiła, że dziś ma burki z wieprzowiną.

– Smederevka, mało znane, ale słynne – rzekł Vladislav, nalewając do szklanek. – Jak zamierzasz szukać śladów tego Vaudela? Pokazywać wszystkim jego zdjęcie? Bardzo zły pomysł. Tutaj, tak jak wszędzie, nie lubią ludzi wścibskich, gliniarzy, dziennikarzy, ankieterów. Trzeba wymyślić coś innego. Tyle że tutaj nie lubią też historyków, operatorów filmowych, socjologów, antropologów, fotografów, pisarzy, czubków i etnologów.

– W sumie sporo tego jest. Czemu właściwie nie lubią wścibskich? Z powodu wojny?

– Nie. Wścibscy zadają pytania, a oni już nie chcą pytań. Chcą żyć inaczej. Oprócz niego – dodał, wskazując starszego człowieka, który właśnie wszedł do gospody. – On jeden ma odwagę dmuchać w ogień.

Z radością na twarzy Vladislav ruszył ku nowo przybyłemu, którego wziął

w ramiona.

– *Arandel!* – zawołał gromko. – *To sam ja! Unuk Slavka! Zar me ne prepoznaješ?*

Niewysoki, chudy i niezbyt czysty staruszek odsunął się, aby się przyjrzeć Vladislavowi, po czym uściskał go, gestykulacją dając do zrozumienia, że Vladislav bardzo urósł, był najwyżej o, taki, gdy widział go ostatnio.

– Widzi, że jestem z zamiejscowym przyjacielem, nie chce nam przeszkadzać – wyjaśnił Vladislav, siadając z rozognionymi policzkami. –

Arandel był wielkim przyjacielem mojego deda. Jeden i drugi niczego się nie bał.

– Przejdę się – powiedział Adamsberg, kończąc deser, słodkie kulki, których składników nie potrafił zidentyfikować.

– Najpierw wypij kawę, inaczej Danka się obrazi. Gdzie chcesz iść?

– W stronę lasu.

– Nie, to im się nie spodoba. Idź raczej brzegiem rzeki, to naturalniejsze. Będą mi zadawali pytania. Co mam mówić? Nie mogę powiedzieć, że jesteś policjantem, tutaj ktoś taki ma przerąbane.

– Wszędzie ma przerąbane. Mów, że przeżyłem wstrząs psychoemocjonalny i zalecono mi pobyt w spokojnym miejscu.

– I przyjechałeś aż tutaj? Do Serbii?

– Powiedzmy, że moja babka знаła twojego deda.

Vlad wzruszył ramionami. Adamsberg wypił kawę duszkiem i wyjął z kieszeni długopis.

– Vlad, jak się mówi „dzień dobry”, „dziękuję”, „Francuz”?

– „Dobro veče”, „hvala”, „Francuz”.

Adamsberg kazał mu powtórzyć i po swojemu zapisał te słowa na grzbiecie dłoni.

– Nie w stronę lasu – powtórzył Vladislav.

– Zrozumiałem.

Młody Serb patrzył za nim, gdy wychodził, potem skinął na Arandela na znak, że droga wolna.

– Przeżył wstrząs psychoemocjonalny, potrzebuje pochodzić nad Dunajem. To przyjaciel przyjaciela mojego deda.

Arandel podsunął Vladislavowi kieliszek rakii. Danica z lekkim niepokojem na twarzy patrzyła za cudzoziemcem, który oddalał się samotnie.

XXXI

Adamsberg najpierw trzykrotnie obszedł całą wieś, szeroko otwartymi oczami chłonał nowe miejsce i kierując się swoim zmysłem orientacji, szybko zdołał umiejscowić ulice i uliczki, rynek, nowy cmentarz, kamienne schody, fontannę, halę targową. Elementy dekoracyjne były mu nieznane, szyldy wypisane cyrylicą, słupy graniczne czerwono-białe. Kolory, kształt dachów, struktura kamieni, chwasty, wszystko było inne, on jednak odnajdywał się w tym otoczeniu na końcu świata, czuł się tu swobodnie. Wypatrzył drogi prowadzące do sąsiednich wiosek, ku polom ciągnącym się jak okiem sięgnąć, ku lasom, Dunajowi, na którego brzegu leżało kilka starych łodzi. Naprzeciwko sine zbocza Karpat opadały stromo do samej rzeki.

Zapalił papierosa Zerka jego czarno-czerwoną zapalniczką i ruszył w kierunku zachodnim, ku lasom. Spotkał wieśniaczkę, która ciągnęła lekki wózek, i mijając się z nią, zadrżał na wspomnienie kobiety z pociągu. Nie było porównania, ta tutaj była trochę pomarszczona, w prostej szarej spódnicy. Ale na policzku miała krostę. Zerknął na grzbiet swojej dłoni.

– *Dobro večē* – powiedział. – Dobry wieczór. *Francuz*.

Kobieta nie odpowiedziała, ale też nie odeszła. Pobieгла za nim, ciągnąc wózek, chwyciła go za rękę. W uniwersalnym języku złożonym z potakiwań i przeczeń wyjaśniła mu, że nie powinien tędy iść, Adamsberg zaś zapewnił ją, że właśnie życzy sobie iść tędy. Kobieta nalegała, w końcu jednak puściła go, aczkolwiek jakby zmartwiona.

Inspektor powędrował dalej, wszedł do rzadkiego lasu, minął dwie polanki, na których przetrwały rozsypujące się szopy, i dwa kilometry dalej natknął się na bardziej zwarty szpaler drzew. Tu, na ostatnim kawałku łączki porośniętej trawami, kończyła się ścieżka. Adamsberg lekko spocony usiadł na pniaku, wsłuchał się w wiatr powiewający od wschodu, zapalił przedostatniego papierosa. Zaalarmował go jakiś szelest. Tamta kobieta go dogoniła, gdzieś po drodze zostawiła wózek, spoglądała na niego w miarę spokojnie, na poły z rozpaczą, na poły z gniewem.

– *Ne idi tuda!*

– *Francuz* – rzekł na to Adamsberg.

– *On te je privukao! Vрати se! On teje privukao!*

Wskazała mu jakieś miejsce na końcu polanki, gdzie przy pniach drzew, potem zniechęcona wzruszyła ramionami, jakby miała dość i jakby doszła do wniosku, że nic tu nie działo. Adamsberg patrzył za nią, gdy odchodziła, niemal biegnąc. Zalecenia Vlady i nalegania kobiety pchały go przemożnie w kierunku przeciwnym, toteż przeniósł wzrok na skraj polanki. Na samym brzegu lasu, w miejscu wskazanym przez kobietę, zobaczył niewielką wyniosłość pokrytą kamieniami i drewnianymi okrągłakami – u niego mógłby to być zrujnowany szałas pasterski. Pewnie tam gnieździł się upiór, o którym wujek Slavko opowiadał młodemu Danglardowi.

Z papierosem zwisającym z ust, na wzór własnego ojca, doszedł do kopca. Na ziemi ułożono ze trzydzieści w połowie zarośniętych chwastami grubych bali, które przykrywały powierzchnię sporego prostokąta. Na całej jego długości na nieoheblowanym drewnie umieszczono tyle samo dużych kamieni, jakby okrągłaki mogły się unieść w powietrze. Na końcu prostokąta tkwił wielki szary głaz, cały karbowany, ociosany z grubsza i pokryty wzorami na całej wysokości. Nie miał nic wspólnego z ruinką, wszystko wskazywało natomiast na grób, lecz grób zakazany, jeśli się kierować determinacją tamtej kobiety. Tutaj, z dala od innych, poza cmentarzem, pochowano jakąś nietykalną postać, nieczystą, może pannę zmarłą w połogu, aktora, który popadł w niełaskę, nieochrzczone dziecko. Wokół grobu wycięto odrosty drzew, tworząc niemiłe dla oka obramowanie ze spróchniałych młodniaków.

Adamsberg usiadł na ciepłej trawie i cierpliwie zaczął zdzierać mech z szarego nagrobka, pomagając sobie kawałkami kory i patykami. Z przyjemnością oddawał się temu zajęciu przez godzinę, delikatnie drapiąc paznokciami, cieńszą gałązką oczyszczając zagłębienia liter. W miarę jak odsłaniał inskrypcję, docierało do niego, że to nieznanne mu litery, że długie zdanie wyryto cyrylicą. Tylko cztery ostatnie słowa zapisano alfabetem łacińskim. Podniósł się, ostatni raz przetarł dłonią kamień i cofnął się, aby przeczytać napis.

„Plog”, powiedziałyby Vladislav, co w tym wypadku znaczyłoby „trafiony, zatopiony”. Tak czy inaczej, odkryłyby go. Dziś czy jutro nogi przyniosłyby go tutaj, usiadłby naprzeciwko tego kamienia, naprzeciwko fundamentu Kisilovej. Umykało mu znaczenie długiego epitafium po serbsku, lecz cztery słowa w alfabecie łacińskim były całkowicie zrozumiałe i w zupełności wystarczające: „Petar Blagojević – Peter Plogojowitz”. Były też lata

narodzin i śmierci, 1663– 1725. Bez krzyża.

Plog.

Plogojowitz jak Plogerstein, Plögener, Plog i Plogodrescu. Tu spoczywał praszczur rodziny, która stała się ofiarą. Oryginalne nazwisko: Plogojowitz albo Blagojević. Później nazwisko ulegało zniekształceniom albo zmianom w zależności od kraju, w którym lądowali rozproszeni potomkowie. Tu spoczywały korzenie tej historii i pierwsza ofiara, przodek banita, obłożony zakazem odwiedzin grobu i składania ofiar, zesłany na skraj lasu. Niewątpliwie on również został zamordowany, tyle że w 1725 roku. Przez kogo? Mordercze łowy wcale się nie zakończyły i Pierre Vaudel, potomek Petera Plogojowitza, nadal się ich obawiał. I to tak bardzo, że ostrzegł inną potomkinię nieboszczyka, frau Abster-Plogerstein, za pomocą słowa КИСЛОБА przesłanego jako sygnał alarmowy. „Strzeż naszego królestwa, zawsze opór stawiaj, poza wszelkim zasięgiem pozostaje Kisilova”.

Nie miało to oczywiście nic wspólnego z miłością. To było stanowcze ostrzeżenie, modlitwa mająca chronić Plogojowitów, prośba, aby każdy nad tym czuwał. Czy Vaudel dowiedział się o zamordowaniu Conrada Plögenera? Na pewno. Miał zatem świadomość, że zemstę wznowiono, o ile kiedykolwiek ustała. Stary bał się, że on również zostanie zabity, spisał testament po masakrze w Pressbaum, jak najbardziej odsuwając od siebie syna. Josselin pomylił się co do jednego: wrogowie Vaudela wcale nie byli wydumani. Jak najbardziej mieli twarze i nazwiska. Oni także musieli się wywodzić stąd, z pierwszych dwóch dekad XVIII wieku. Czyli wszystko zaczęło się prawie trzysta lat temu.

Adamsberg ogłuszony usiadł na okrągłakach, zanurzył palce we włosach. Po trzystu latach trwała wojna klanów, która sięgała szczytów okrucieństwa. O jaką stawkę się toczyła i dlaczego? O ukryty skarb, powiedziałaoby dziecko. O władzę, wpływy, pieniądze, rzekłby dorosły, co wyszłoby na to samo. Coś ty zrobił, Peterze Blagojević-Plogojowitz, że taki los zgotowałeś swoim potomkom? I co tobie uczyniono? Adamsberg przesunął palcami po kamieniu nagrzanym promieniami słońca, szepcząc te pytania, i uświadomił sobie wtedy, że skoro słońce nie świeci mu w twarz i w tylną część kamienia, znaczy, że nagrobek nie jest zwrócony na wschód, ku Jerozolimie. Umieszczono go odwrotnie, frontem ku zachodowi. Czy spoczywa tu morderca? Peterze Plogojowitz, czy wymordowałeś mieszkańców wioski? A może jedną rodzinę? Czy grabiłeś okolice, paliłeś, terroryzowałeś? Coś ty zrobił, że dotąd Zerk walczy z tobą z żebrami wymalowanymi na biało na

torsie?

Coś ty zrobił, Peter?

Adamsberg starannie przepisał długą inskrypcję, starając się jak najlepiej skopiować obce litery.

Пролазнице, продужи својим путем, не осврћи се и не понеси ништа одавде. Ту лежи проклетник Петар Благојевић, умревици лета господњег 1725 у својој 62 години. Нека би му клета душа нашла покоја.

XXXII

Pokój miał wysoki, przeładowany starymi barwnymi dywanami, a na łóżku leżała niebieska pierzyna. Adamsberg wyciągnął się na niej z rękami podłożonymi pod głowę. W członkach czuł zmęczenie podróży, uśmiechał się jednak z zamkniętymi oczami, szczęśliwy, że odnalazł korzenie Plogów, choć nie potrafił zrozumieć ich historii. Nie miał siły pogadać o tym z Danglardem, przesłał mu tylko dwie krótkie wiadomości tekstowe. Po pierwszej: „Przodek to Peter Plogojowitz”, zaraz posłał drugą: „Zm. 1725”.

Danica, która po bliższym przyjrzeniu okazała się pulchną ładną kobietą, liczącą nie więcej niż czterdzieści dwa lata, obudziła go pukaniem do drzwi po godzinie dwudziestej – według jego zegarków.

– *Večera je na stolu* – powiedziała z szerokim uśmiechem, do słów dołączając gesty, które znaczyły „iść” i „jeść”.

Język znaków z powodzeniem wystarczał do komunikacji na poziomie funkcji życiowych.

Tutaj, w Kisilovej, ludzie bez przerwy się uśmiechali i być może temu szczególnemu miejscu zawdzięczali „pogodny charakter” wujek Slavko i jego wnuk Vladislav. Kwestia potomnych skierowała uwagę Adamsberga ku własnemu synowi. Posłał kilka myśli małemu Tomowi przebywającemu gdzieś w Normandii i zsunął się z pierzyny. Od pierwszego wejrzenia pokochał tę jasnoniebieską pierzynę ozdobioną tasiemką i o sfatygowanych rogach, dużo przyjemniejszą niż pierzyna w żywym czerwonym kolorze, którą dostał od siostry. Ta pachniała sianem albo mniszkiem lekarskim, może też trochę osłem.

Kiedy zmierzał na dół po drewnianych schodkach, w tylnej kieszeni zawibrował mu telefon, łaskocząc go niczym nerwowy świerszcz. Zerknął na odpowiedź Danglarda. Szczerą odpowiedź: „Niedorzeczność”.

Vladislav czekał przy stole, dzierżąc w dłoniach sztucę na sztorc.

– *Dunajski odrezak*, kotlet po wiedeńsku – powiedział, niecierpliwie wskazując potrawę.

Przebrał się w biały T-shirt, w którym czarne runo na jego rękach było

jeszcze bardziej widoczne. Kończyło się na nadgarstkach niczym zamierająca fala, jasne dłonie były nieowłosione.

– Obejrzałeś widoki? – zapytał Serb.

– Dunaj i skraj ciemnego lasu. Spotkałem kobietę, która nie chciała, żebym tam poszedł. Do lasu. – Adamsberg próbował zajrzeć w twarz Vladowi, który jadł z nosem w talerzu. – Mimo to poszedłem – dodał z naciskiem.

– Super.

– Co to znaczy? – zapytał Adamsberg, kładąc na stole kartkę, na której przepisał inskrypcję wyrytą na kamieniu nagrobnym.

Vlad wziął serwetkę, niespiesznie otarł usta.

– Takie tam bzdury.

– Ale jakie?

Vlad prychnął nosem, w ten sposób wyrażając dezaprobatę.

– I tak w końcu byś na to natrafił. Tutaj to nieuniknione.

– To znaczy?

– Już ci powiedziałem. Nie chcą o tym mówić, i tyle. Niedobrze, że ta kobieta widziała, jak tam szedłeś. Nie zdziw się, jeśli jutro cię stąd wygonią. A jeżeli chcesz kontynuować śledztwo w sprawie Vaudela, lepiej ich tym nie prowokuj. Ani tym, ani wojną.

– O wojnie nic nie powiedziałem.

– Widzisz tego człowieka za nami? Widzisz, co robi?

– Zauważyłem. Rysuje mazakiem na grzbiecie dłoni.

– Przez cały dzień. Rysuje kółka i kwadraty pomarańczowe, zielone, brązowe. Był na wojnie – dodał Vlad, zniżając głos. – Od tamtej pory rysuje kółka na dłoni, nie odzywając się słowem.

– A inni?

– Kisiljevo zostało względnie oszczędzone. Bo tutaj nie zostawia się kobiet i dzieci samych we wsi. Wielu zdołało się ukryć, wielu zostało. Nie wspominaj o lesie, inspektorze.

– Las się wiąże z moim śledztwem.

– Plog – rzekł Vladislav, unosząc palec, co nadało nowego znaczenia dźwięcznej onomatopei. – Jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

Danica, która przyczesła jasne włosy, przyniosła im deser i nie pytając, postawiła kieliszek przy każdym talerzu.

– Ostrożnie – poradził Vlad. – To rakija.

– Co to znaczy?

– Wódka owocowa.

– Mówię o inskrypcji na kamieniu.

Vladislav z uśmiechem odsunął kartkę, znał ten napis na pamięć, podobnie jak każdy, kto miał pojęcie o Kisilovej.

– Tylko niedouczony Francuz nie wzdyga się na dźwięk straszego nazwiska Petera Plogojowitza. Ta historia jest tak znana w całej Europie, że już nikt jej nie opowiada. Zapytaj Danglarda, on na pewno wie.

– Mówiłem mu o tym. Zna.

– Wcale mnie to nie dziwi. I co on na to?

– „Niedorzeczność”.

– Adrianus nigdy mnie nie rozczarowuje.

– Vlad, co jest napisane na kamieniu?

– „Któryś się znalazł przed tym kamieniem” – wyrecytował Vlad – „idź dalej swoją drogą, niczego nie słuchając, i niczego stąd nie zabieraj. Tu spoczywa potężnieniec Petar Blagojević zmarły w tysiąc siedemset dwudziestym piątym roku w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Niechaj jego przeklęty duch zostawi to miejsce w pokoju”.

– Czemu są dwa nazwiska?

– To jedno i to samo. Plogojowitz jest austriacką wersją nazwiska Blagojevicia. Kiedy on tu żył, ten region był pod panowaniem Habsburgów.

– Czemu został potężniony?

– Ponieważ w roku tysiąc siedemset dwudziestym piątym wieśniak Peter Plogojowitz umarł w Kisilovej, swojej rodzinnej wiosce.

– Nie zaczynaj od jego śmierci. Powiedz, co zrobił za życia.

– Ależ dopiero po śmierci życie mu się popsuło. Trzy dni po pogrzebie Plogojowitz odwiedził w nocy żonę i zażądał butów, żeby mógł podróżować.

– Butów?

– Tak. Zapomniał ich. Chcesz słuchać dalej czy już dotarło do ciebie, że to niedorzeczność?

– Mów. Coś tam już słyszałem o nieboszczyku, który domagał się butów.

– W ciągu następnych dziesięciu tygodni we wsi gwałtowną śmiercią umarło dziewięćdziesięciu mieszkańców, wszyscy byli krewnymi Plogojowitza. Wykrwawiali się i umierali. W agonii mówili, że widzą, jak Plogojowitz nachyla się nad nimi, a nawet kładzie się na nich. Ludzie wpadli w panikę, wszyscy byli przekonani, że Plogojowitz stał się wampirem i wysysa z nich życie. I nagle cała Europa zaczęła mówić tylko o nim. Właśnie przez Plogojowitza, przez Kisilovą, w której pijesz dziś rakiję, słowo „wampir” pojawia się po raz pierwszy poza tymi terenami.

– Aż tak?

– Plog. Bo po przeszło dwóch miesiącach wieśniacy byli zdecydowani

otworzyć grób, żeby go unieszkodliwić, ale Cerkiew wyraźnie tego zabraniała. Ludzie się burzyli, cesarska władza przysłała w końcu urzędników cywilnych i kościelnych, żeby uspokoić nastroje. Urzędnicy bezsilnie asystowali przy ekshumacji. Ale obserwowali i wszystko opisywali. Ciało Petera Plogojowitza nie wykazywało oznak rozkładu. Było nietknięte, o świeżej skórze.

– Jak ta kobieta w Londynie. Niejaka Elizabeth, której mąż po siedmiu latach otworzył trumnę, żeby zabrać swoje wiersze. Była jak nowo narodzona.

– Wampir?

– Tak zrozumiałem.

– Więc to normalne. Pomarszczona skóra Plogojowitza i stare paznokcie były uwalane ziemią z grobu. Krew szła mu ustami i wszystkimi innymi otworami, z nozdrzy, oczu i uszu. Austriaccy urzędnicy skrupulatnie opisali każdy ten fakt. Peter zjadł całun i miał erekcję, co zazwyczaj było pomijane w raportach. Przerażeni wieśniacy wyszykowali kołek i przebili mu serce.

– Rozległ się ryk?

– Tak. Potworny. Usłyszała go cała wieś. A w grobie trysnęła struga krwi. Wyjęto okropne ciało i spalono je na popiół. Wykopano dziewięć jego ofiar, zamknięto je w zapieczętowanym grobowcu i szybko porzucono ten cmentarz.

– Stary cmentarz w zachodniej części wsi?

– Tak. Ludzie bali się zarażenia pod ziemią. I skończyło się umieranie gwałtowną śmiercią. Taka to jest ta historia.

Adamsberg upił maleńki łyżeczek rakii.

– W tym kopcu na skraju lasu są jego prochy?

– Krążą dwie wersje. Jego prochy wsypano do Dunaju albo zakopano w tym właśnie grobie, z dala od wioski. Powszechnie wierzy się, że jakaś cząstka ohydneho Plogojowitza przetrwała, bo ludzie mówią, że spod ziemi słyhać, jak przeżuwa. Co by jednak świadczyło, że Peter stracił na toksyczności, skoro popadł w niższą formę żującego.

– Stał się podwampirem?

– Wampirem pasywnym, który nie wychodzi z grobu, ale zaspokaja apetyt, pożerając wszystko, co znajdzie w swoim zasięgu: trumnę, całun, ziemię. Istnieją tysiące świadectw o żujących. Spod ziemi dochodzi zgrzytanie ich zębów. Lepiej jednak nie zbliżać się do nich i trzymać ich w zamknięciu pod ziemią.

– To dlatego są tam okrągłaki i kamienie?

– Tak. Żeby nie wyszedł.

– Kto je układa?

– Arandel – odparł Vlad, zniżając głos, kiedy Danica napełniała im kieliszki.

– A dlaczego w pobliżu wycinane są drzewa?

– Ich korzenie sięgają grobu. Drzewo się zaraza, nie można pozwolić, żeby się rozrosło. Nie wolno też zerwać nawet kwiatka w pobliżu, bo Plogojowicz jest w łodygach. Arandel kosi wszystko raz w roku.

– Wierzy, że Plogojowicz może wyjść?

– Tylko on w to nie wierzy. Tutaj jedna czwarta mieszkańców jest o tym święcie przekonana. Drugie tyle kręci głową, nie wypowiadając się na wszelki wypadek, żeby kpinami nie ściągnąć na siebie gniewu wampira. Reszta udaje, że w to nie wierzy, ludzie mówią, że to stare historie dla niegdysiejszych prostaczków. Ale nigdy nie są spokojni, dlatego właśnie w czasie wojny mężczyźni nie odeszli ze wsi. Tylko Arandel faktycznie w to nie wierzy. Toteż nie boi się i historię wampirów ma w małym palcu: dobrze wie, co to jest warkolak, opyr, wurdalak, a nawet nosferat, wesztica, stafia, moroj.

– Aż tyle ich jest?

– Tu, inspektorze, i w promieniu pięciuset kilometrów były tysiące wampirów. Ale epicentrum jest tutaj. Tutaj, gdzie panował wielki Plogojowicz, bezsporny władca całej tej bandy.

– Skoro Arandel w to nie wierzy, czemu zabezpiecza grób?

– Żeby uspokoić mieszkańców. Co roku wymienia okrągłaki, bo drewno butwieje od spodu. I niektórzy wtedy myślą, że Plogojowicz wyjadł całą ziemię i zabiera się za okrągłaki. Dlatego Arandel je wymienia i wycina odrastające młode drzewa. Oczywiście tylko on ma odwagę to robić. Nikt inny nie zbliża się do kopca, choć ludzie w sumie zachowują się rozsądnie. Uważają, że Plogojowicz nic nie może, bo całą siłę przekazał potomnym.

– Gdzie są ci jego potomni? Tutaj?

– Żartujesz? Jeszcze zanim odkopano Plogojowicza, cała jego rodzina uciekła ze wsi, bo się bała masakry. Jego potomkowie rozproszyli się po całym świecie, nie wiadomo gdzie. Wampirzátko tu, wampirzátko tam. Niektórzy jednak twierdzą, że jeśli Plogojowicz zdoła wyjść z grobu, wszystko się odrodzi w jednej strasznej istocie. Inni powiadają, że część Plogojowicza jest tu, ale on w całości włada gdzie indziej.

– Gdzie?

– Nie wiem. To wszystko wspomnienia tego, co ded mi opowiadał. Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, musisz pogadać z Arandelem. To taki tutejszy Adrianus.

– A wiadomo może, czy jakaś jedna rodzina była celem Plogojowitza?

– No właśnie jego rodzina, mówiłem przecież. Umarło dziewięcioro jego bliskich. Co oznacza epidemię. Stary Plogojowitz był chory i zaraził rodzinę, która z kolei zaraziła sąsiadów. Proste jak drut. Później przerażeni ludzie szukali kozła ofiarnego, dotarli do pierwszego zmarłego, wbili mu kołek w serce i po ptakach.

– A gdyby epidemia trwała?

– To się nieraz zdarzało. W takim wypadku ponownie otwiera się grób w przekonaniu, że jakaś część złowieszczej istoty pozostała aktywna, i wszystko zaczyna się od nowa.

– A jeżeli prochy wysypano do rzeki?

– Wtedy otwiera się inny grób, kogoś podejrzanego, że skradł ze stosu jakiś kawałek potwora, zjadł go i stał się wampirem. I tak dalej, dopóki epidemia nie wygaśnie. Dlatego na koniec zawsze można powiedzieć: „I ludzie przestali umierać”.

– Tyle że ludzie nadal umierają. Jeden Plögener w Pressbaum i jeden Plog w Garches. Dwaj potomkowie Plogojowitza, jeden w Austrii, drugi we Francji. Nie ma tu nic innego do picia, tylko rakija? Ta gorzałka zżera mnie od środka jak ten twój żujący wampir. Może piwo? Jest tu piwo?

– Jeleń.

– Świetnie, niech będzie jeleń.

– Jakiś inny czynnik mógł wywołać zemstę. Założmy, że Plogojowitz nie był wampirem w osiemnastym wieku. I co? Co ty na to?

Adamsberg uśmiechnął się do szefowej, która przyniosła mu piwo, i chcąc jej podziękować, spojrzął na grzbiet swojej dłoni.

– *Hvala* – powiedział, na migi dając do zrozumienia, że chętnie by zapalił.

Danica wyjęła z kieszeni spódnicy obco wyglądającą paczkę papierosów z napisem „Morava”.

– To prezent – rzekł Vlad. – Danica pyta, dlaczego nosisz dwa zegarki i dlaczego żaden nie pokazuje dobrej godziny.

– Powiedz jej, że nie wiem.

– *On ne zna* – przetłumaczył Vlad. – Mówi, że przystojniak z ciebie.

Danica wróciła do kantorka, gdzie robiła rachunki, Adamsberg zaś spoglądał za nią, gdy odchodziła, patrzył na jej szerokie biodra pod szaroczerwoną spódnicą.

– Gdyby nie było wampira? – nalegał Vlad.

– Szukałbym rodzinnej historii z odwetem i nieuchronną karą. Jakiegoś niewykrytego morderstwa, zdradzonego męża, nieślubnego dziecka, roztrwonionego majątku. Vaudel-Plog był bardzo bogaty i nie zostawił

pieniędzy synowi.

– No widzisz. Tu szukaj. Szukaj tam, gdzie są pieniądze.

– Mamy zwłoki, Vlad. Tak poszatkowane, jakby chodziło o to, by żadna część się nie ostała. Czy wampiry szatkowano czy też wystarczał kołek i ogień?

– To wie Arandel.

– Gdzie on jest? Kiedy mógłbym z nim pogadać?

Vlad poszedł do Danicy, zamienił z nią kilka słów i wrócił lekko zdziwiony.

– Podobno Arandel czeka na ciebie jutro w porze obiadowej. Zrobi gołąbki. Wie, że oczyściłeś i oglądałeś nagrobek. Wszyscy o tym wiedzą. Mówi, że nie możesz z tym igrac, póki się nie dowiesz, albo umrzesz.

– Powiedziałaś, że Arandel w to nie wierzy.

– Albo umrzesz – powtórzył Vlad, wychylił kieliszek rakii i się roześmiał.

XXXIII

Do domu Arandela na brzegu Dunaju prowadziła wąska droga gruntowa. Szli nią bez słowa, jakby coś nieoczekiwanie zmodyfikowało relację między nimi. No chyba że wieczorne popalanie skrętów wpływało na poranną milkliwość Vladislava. Było już gorąco, Adamsberg z czarną kurtką w ręce maszerował rozluźniony, pozwalając, by zgiełk wielkiego miasta i śledztwa rozmył się w mgiełce zapomnienia, która podnosiła się nad rzeką i zasłaniała dzikie oblicze Zerka, nerwową atmosferę w brygadzie, groźbę śmierci wiszącą nad inspektorem, strzałę wypuszczoną przez ludzi z góry i nieuchronnie zmierzającą do celu. Czy Dinh nadal leży w łóżku z gorączką? Zdołał opóźnić badanie próbki? A co z Èmile'em? I z psem? Z facetem, który pomalował swoją protektorę na brązowo? Wszyscy rozmyli się we mgle, którą Kisilova delikatnie spowijała jego umysł.

– Późno wstałeś – odezwał się wreszcie Vladislav z niezadowoleniem w głosie.

– Tak.

– Nie zjadłeś śniadania. Adrianus mówi, że zawsze wstajesz z pianem koguta, jak wieśniak, że przychodzisz do brygady cztery godziny wcześniej niż on.

– Nie słyszałem koguta.

– Myślę, że bardzo dobrze słyszałeś koguta. Myślę, że przespałeś się z Danicą.

Adamsberg w milczeniu przeszedł kilkanaście kroków.

– Plog – powiedział.

Vladislav kopnął kamyk, wahał się chwilę, w końcu zaśmiał się cicho. Z rozpuszczonymi włosami opadającymi na ramiona przypominał słowiańskiego wojownika, który kieruje rumaka ku ziemiom Zachodu. Zapalił papierosa i podjął swoją normalną gadkę:

– Stracisz czas u Arandela. Dowiesz się mnóstwa mądrych rzeczy, ale nic z tego nie pomoże ci w śledztwie, w raporcie niczego nie wykorzystasz. Nedorzeczność, jak mówi Adrianus.

– Nic nie szkodzi, nie umiem pisać raportów.

– A szef? Co na to powie? Że wyjeżdżasz sobie nad Dunaj na bara-bara,

a tymczasem we Francji grasuje morderca?

– On zawsze mniej więcej tak uważa. Mój szef albo ktoś wyżej, kto trzyma w garści mojego szefa, próbuje mnie załatwić. Dlatego równie dobrze mogę się nauczyć tutaj.

Vladislav przedstawił Adamsberga Arandelowi, który kiwnął głową i zaraz postawił na stole gołębki. Vladislav w milczeniu nałożył danie na talerze.

– Oczyszcilesz kamień Blagojevicia – powiedział Arandel, zaczynając jeść dużymi kęsami. – Zdarlesz mech. Odślonilesz nazwisko.

Vladislav tłumaczył symultanicznie na tyle szybko, że Adamsberg odnosił wrażenie, iż rozmawia bezpośrednio ze starcem.

– Źle zrobiłem?

– Tak. Nie wolno tykać jego grobu, bo można go przebudzić. Ludzie tu bardzo się go boją, niektórzy mogliby mieć ci za złe, że odślonilesz jego nazwisko. Niektórzy mogliby nawet pomyśleć, że wezwał cię tutaj, by uczynić z ciebie swego sługę. I mogliby cię zabić, zanim zaczniesz siać śmierć we wsi. Peter Blagojević szuka sługi. Rozumiesz? Tego właśnie obawia się Biljana, kobieta, która chciała cię zatrzymać. „Zwabił cię, zwabił”, to ci powiedziała, wiem to od niej.

– *On te je privukao, on te je privukao* – powtórzył Vladislav po serbsku.

– Tak, coś takiego mówiła – przyznał Adamsberg.

– Nie wchodzi do świata wampirów, nie wiedząc nic o nim, młodzieńcze.

– Arandel umilkł na chwilę, by myśl ta wniknęła głęboko w mózg Adamsberga, po czym nalał wina. – Vlad powiedział mi wczoraj, co cię interesuje w historii Blagojevicia. Pytaj. Ale nie chodź w niepewne miejsce.

– Czyli gdzie?

– W niepewne miejsce. Tak mówimy na polankę z grobem. Z tym że tam może cię dopaść nie ten biedak Petar, ale ktoś jak najbardziej żywy. Zrozum, że najważniejsze jest bezpieczeństwo wsi. Jedz, zanim wystygnie.

Adamsberg posłusznie schylił się nad talerzem, zjadł z niego trzy czwarte i dopiero zabrał głos:

– Doszło do dwóch potwornych zbrodni we Francji i w Austrii.

– Wiem. Vlad mi powiedział.

– Sądzę, że obydwie ofiary należą do potomków Blagojevicia.

– Blagojević nie ma potomków noszących to nazwisko. Cała rodzina opuściła wieś i odtąd używała austriackiej formy nazwiska, Plogojowitz, żeby miejscowi nikogo nie odnaleźli. Ale sprawa wyszła na jaw w tysiąc osiemset trzynastym roku, kiedy jeden człowiek z Kisiljeva pojechał do Rumunii i po powrocie dołożył nazwisko Plogojowitz na nagrobku. Jeżeli

dziś są jeszcze jacyś potomkowie Blagojevicia, wszyscy nazywają się Plogojowitz. I co ty na to?

– Ofiary mało, że zostały zamordowane. Ich ciała unicestwiono. Pytałem wczoraj Vladislava, jak się niszczy wampira.

Arandel kilkakrotnie pokręcił głową, odsunął talerz i zwinął w palcach grubego papierosa.

– Celem nie jest zniszczenie wampira. Chodzi o to, żeby nigdy już nie wrócił. Trzeba go przyblokować, unieruchomić. Jest na to wiele sposobów. Ludzie sądzą, że najczęściej przebija się serce. Ale nie. Wszędzie najważniejsze są stopy.

Arandel wydmuchnął gęsty dym i przez chwilę coś mówił do Vladislava.

– Zaparzę kawę – wyjaśnił Vlad. – Arandel przeprasza, że nie ma deseru, ale sam gotuje i nie lubi słodczy. Owoców też nie lubi. Nie lubi, kiedy lepki sok spływa mu po palcach. Pyta, jak ci smakowały gołąbki, bo tylko raz sobie nałożyłeś.

– Pyszne – odparł szczerze Adamsberg, któremu głupio się zrobiło, że nie pochwalił dania. – W południe nigdy nie jem dużo. Poproś go, żeby nie miał mi tego za złe.

Wysłuchawszy odpowiedzi, Arandel kiwnął głową, oświadczył, że Adamsberg może mówić mu po imieniu, i wrócił do tematu:

– Najpilniejszy środek zapobiegawczy to przeszkodzić zmarłemu w chodzeniu. Jeśli były jakieś wątpliwości co do nieboszczyka, przede wszystkim zajmowano się więc jego stopami, żeby nie mógł się przemieszczać.

– Co to znaczy: jeśli były wątpliwości?

– W czasie czuwania przy zmarłym pojawiały się znaki. Jeżeli trup miał rumieńce, jeżeli w ustach trzymał skrawek swojego odzienia, jeżeli się uśmiechał, jeżeli oczy miał otwarte, wtedy związywano mu sznurkiem duże palce u stóp albo odcinano te palce, albo wbijano szpilki w podeszwy stóp, albo krępowano nogi razem. Cel był zawsze ten sam.

– A możliwe było odcinanie stóp?

– Pewnie. To najbardziej radykalna metoda, ale nie używano jej, nie mając stuprocentowej pewności. Cerkiew potępiała taką profanację. Można było też odciąć głowę, to się często zdarzało, i umieścić ją w grobie między nogami, żeby zmarły nie mógł jej dosięgnąć. Albo spętać mu ręce z tyłu, przywiązać go do noszy, zatkać mu nozdrza, wcisnąć kamienie w każdy otwór, do ust, odbytu, uszu... Metod było bez liku.

– Robiono coś z zębami?

– Usta, młodzieńcze, to najważniejszy punkt wampirzego ciała. – Arandel zamilkł i czekał, aż Vladislav naleje kawę. – *Bon mangé?* Pojadłeś? –

zapytał po francusku i nagle na jego twarzy wykwit! uśmiech od ucha do ucha, Adamsberg zaś pomyślał, że chyba już pokochał ten szeroki kisiljewski uśmiech. – Znałem jednego Francuza po wyzwoleniu Belgradu w czterdziestym czwartym. *Vin, femmes jolies, boeuf mode.*

Vladislav i Arandel równocześnie wybuchnęli śmiechem, Adamsberg zaś po raz kolejny się zastanowił, jak to możliwe, że tak niewiele trzeba, aby ich rozbawić. Chciałby tak umieć.

– Wampir chce zreć bez przerwy – podjął Arandel – dlatego zjada całun czy nawet ziemię z grobu. Żeby go zablokować, czasem wciskano mu do ust kamień albo czosnek, albo ziemię, czasem zaciskano mu coś na szyi, by nie mógł przełknąć, to znów grzebano go ułożonego na brzuchu, aby pożerał ziemię pod sobą i powoli opadał coraz głębiej.

– Bywają ludzie, którzy zjadają szafy – mruknął Adamsberg.

Vlad przerwał tłumaczenie, niepewnie spojrzął na niego.

– Zjadają szafy? O to chodzi?

– Tak. Thekofagowie.

Vladislav przetłumaczył i Arandel wcale nie wyglądał na zdziwionego.

– Często się to u was zdarza? – zapytał.

– Nie, ale taki jeden zjadł też samolot. A w Londynie pewien lord chciał zjeść zdjęcia swojej matki.

– A ja – zaczął Arandel – znałem człowieka, który zjadł własny palec – powiedział, unosząc kciuk. – Odciął go i ugotował. Tyle że następnego dnia nic z tego nie pamiętał i wszędzie szukał palca. To się wydarzyło w Rumie. Długo się zastanawiano, czy powiedzieć mu prawdę, czy wmówić, że niedźwiedź odgryzł palec w lesie. Ostatecznie niedługo później padła niedźwiedzica. Przyniesiono mu jej łeb i człowiek się uspokoił przekonany, że ma w sobie jego palec. Zachował ten rozkładający się łeb.

– To jak z białym niedźwiedziem – rzekł Adamsberg. – Na ławicy lodowej pożarł wujka i siostrzeniec przywiózł go do Genewy wdowie, która umieściła truchło w swoim salonie.

– Niezwykłe – uznał Arandel. – Naprawdę niezwykle.

I Adamsberg poczuł się pokrzepiony, jakby musiał przejechać taki kawał drogi, by spotkać człowieka, który doceni opowieść o niedźwiedziu. Nie pamiętał jednak, na czym przerwali zasadniczą rozmowę, co Arandel wyczytał w jego oczach.

– Pożeranie żywych, całunu, ziemi – przypomniał. – Dlatego podejrzliwie odnoszono się do tych, którzy mieli nienormalne uzębienie. Na przykład zęby dłuższe niż inni albo jeśli urodzili się z jednym czy dwoma zębami.

– Urodzili się z zębami?

– Tak, to wcale nie jest takie rzadkie. U was Cezar urodził się z jednym zębem, wasz Napoleon i Ludwik Czternasty, i wszyscy ci, o których nie wiemy. Dla niektórych to nie była oznaka wampiryzmu, tylko wyższości danej osoby. Ja – dodał, stukając poszarzałymi zębami o kieliszek – urodziłem się jak Cezar.

Adamsberg odczekał, aż ucichnie donośny śmiech Vladislava i Arandęla, po czym poprosił o papier. Odtworzył rysunek, który wykonał w brygadzie, zaznaczając najbardziej poszkodowane części ciała.

– Znakomicie – powiedział Arandęla, oglądając rysunek. – Stawy, jasne, żeby ciało nie mogło się wyprostować. Stopy, no pewnie, duże palce u nóg tym bardziej, żeby nie mógł chodzić, szyja, usta, zęby. Wątroba, serce, rozproszona dusza. Serce, siedlisko życia wampirów, bardzo często wycinano z ciała, żeby je poddać specjalnemu traktowaniu. Wspaniałe unicestwienie, dzieło człowieka, który doskonale zna tę kwestię – zakończył Arandęla, jakby opiniował pracę wykonaną przez profesjonalistę.

– W sytuacji, kiedy nie mógł spalić zwłok.

– Zgadza się. Ale to, co zrobił, daje identyczny efekt.

– Arandęla, czy to możliwe, że ktoś jeszcze na tyle mocno w to wierzy, że chce zniszczyć wszystkich potomków Plogojowitza?

– Jak to: czy wierzy? Ależ wszyscy w to wierzą, młodzieńcze. Wszyscy się boją, żeby nocą nie podniósł się kamień nagrobny, żeby na szyi nie poczuli zimnego powiewu. I nikt nie uważa, że zmarli to dobrzy towarzysze. Na tym właśnie polega wiara w wampiry.

– Nie mówię o pradawnym strachu, Arandęla, tylko o kimś, kto wierzy właśnie w to, o kimś, dla kogo Plogojowitowie byliby autentycznymi wampirami, które należy wykończyć. Czy to możliwe?

– Na pewno, jeżeli ten człowiek uroił sobie, że właśnie oni są winni jego nieszczęściu. Zawsze szuka się zewnętrznej przyczyny swojego cierpienia. A im większe jest cierpienie, tym znaczniejsza musi być przyczyna. Tu widać, że cierpienie zabójcy jest ogromne. A odpowiedź mu dorównuje.

Arandęla powiedział coś do Vladislava, wsuwając do kieszeni rysunek Adamsberga. Wystawić krzesła na dwór, pod lipę nad załomem rzeki, skorzystać ze słońca, przynieść kieliszki.

– Tylko nie rakija, błagam – szepnął Adamsberg.

– Piwo?

– Tak, jeśli Arandęlowi to nie przeszkadza.

– Bez obaw, polubił cię. Mało kto przychodzi pogadać z nim o wampirach, a ty mu przyniosłeś nowy przypadek. To dla niego duża rozrywka.

We trzech usiedli w kręgu pod drzewem w gorące popołudnie, nasłuchując szumu Dunaju. Arandel przymknął oczy. Podnosiła się mgła, Adamsberg spoglądał na widoczne na drugim brzegu szczyty Karpat.

– Pospiesz się, zanim zaśnie – pogonił go Vladislav.

– Tutaj odbywam sjęstę – potwierdził starzec.

– Arandel, mam jeszcze dwa pytania.

– Słucham cię, póki tego nie dopiję – rzekł Arandel, z rozbawieniem w oczach upijając maleńki łyczek z kieliszka.

Adamsberg odniósł wrażenie, że został wciągnięty w grę żywej inteligencji, w której musi szybko myśleć, gdy alkoholu ubywa niczym piasku w klepsydrze. Opróżnienie kieliszka odtrąbi koniec słów niosących wiedzę. Czas, którym dysponował, oszacował na pięć łyczków rakii.

– Czy jest jakiś związek między Plogojowiczem i starym cmentarzem na północy Londynu, który nazywają Hiżgat?

– Highgate?

– Tak.

– To coś więcej niż związek, młodzieńcze. Mówi się, że dużo wcześniej, nim powstał ten cmentarz, przyniesiono na wzgórze ciało Turka w trumnie. I że Turek długo spoczywał tam sam. Ale ludzie wszystko mieszają. To wcale nie był Turek, tylko Serb, podobno najwyższy wampir, Plogojowicz we własnej osobie. Który uciekł z ojczyzny, żeby panować z Londynu. Mówi się nawet, że właśnie jego obecność na tym wzgórzu sprawiła, że spontanicznie założono tam cmentarz Highgate.

– Plogojowicz jest panem Londynu – szepnął Adamsberg niemal stropiony. – Czyli ten, kto przynosi tam buty, nie składa mu ofiary. On go prowokuje, zwalcza. Pokazuje mu swoją siłę.

– *Ti to veruješ* – powiedział Vlad, patrząc na Adamsberga i potrząsając głową. – Wierzysz w to. Nie pozwól, żeby Arandel cię w to wciągnął, tak mi zawsze powtarzał ded. On się tym bawi jak lisek chytrusek.

Adamsberg znowu przeczekał ich gromki śmiech, bacznie pilnując poziomu alkoholu w kieliszku Arandela. Patrząc mu w oczy, Arandel siorbnął kolejny łyczek. W kieliszku zostało trunku raptem na centymetr. „Czas płynie, dobrze wybierz pytanie” – to zdawał się mówić uśmiech Arandela przypominający uśmiech sfinksa, który zadaje zagadkę przechodniowi.

– Czy Peter Plogojowicz szczególnie na kogoś się wziął? – odezwał się wreszcie Adamsberg. – Czy to możliwe, że jakaś rodzina uważa się za szczególnie pokrzywdzoną przez Plogojowicza?

– Niedorzeczność – powiedział Vlad, posługując się słowem użytym

przez Danglarda. – Ucierpiała przecież jego rodzina.

Arandel uniósł dłoń, by uciszyć Vladislava.

– Tak – przyznał. – To dowiedzione – dodał, nalewając sobie raki. – Masz dodatkowy czas, póki nie wypiję ostatniego kieliszka przed drzemką.

Ustępstwo to zdawało się bardzo pasować starcowi. Adamsberg wyjął notes.

– Nie – stanowczo sprzeciwił się Arandel. – Jeśli nie jesteś w stanie zapamiętać, znaczy, że nie dość cię to interesuje. A w takim wypadku nic nie stracisz.

– Słucham – powiedział Adamsberg, chowając notes do kieszeni.

– Plogojowicz prześladował co najmniej jedną rodzinę. Działo się to we wsi Medveda, która leży niedaleko stąd, w okręgu jablanickim. Możesz o tym przeczytać w „Visum et repertum”, które lekarz Fluckinger spisał w tysiąc siedemset trzydziestym drugim roku dla rady wojskowej w Belgradzie po zamknięciu śledztwa.

Serbski Danglard, przypomniał sobie Adamsberg. Nie miał pojęcia, czym jest to „Visum et repertum” ani gdzie je znaleźć, a stary Arandel rzucał mu wyzwanie, nie pozwalając robić notatek. Spięty Adamsberg pocierał rękę o rękę, bojąc się, że zapomni. „Visum et repertum” Fluckingera.

– To narobiło jeszcze większego hałasu niż przypadek Plogojowicza, do czerwoności rozpaliło cały Zachód, rozgorzała walka wyznawców „za” i „przeciw”, wasz Wolter się naśmiewał, wmieszał się cesarz austriacki, Ludwik Piętnasty zarządził śledztwo, lekarze rwali włosy z głowy, inni modlili się o swoje zbawienie, teologowie byli zaskoczeni. Nastąpił wysyp książek i dyskusji. A wszystko wyszło stąd – dodał Arandel, obrzucając wzrokiem okoliczne wzgórza.

– Słucham – ponaglił go Adamsberg.

– Do rodzinnej Medvedi wrócił pewien żołnierz po kilku latach spędzonych na wojnie austriacko-tureckiej. Był odmieniony. Opowiadał, że podczas wyprawy padł ofiarą wampira, że twardo z nim walczył, że wampir podążył za nim aż do tureckiej Persji i że ostatecznie udało mu się pokonać potwora i pogrzebać. Przywiózł trochę ziemi z jego grobu i regularnie ją zjadał, żeby się chronić przed jego zakusami. To znak, że żołnierz nie czuł się zabezpieczony przed nieumarłym, nawet jeżeli sądził, że go pokonał. I tak żył sobie w Medvedi, jedząc ziemię, włócząc się po cmentarzach, niepokojąc sąsiadów. W tysiąc siedemset dwudziestym siódmym roku spadł z wozu z sianem i skrzył kark. W ciągu miesiąca po jego śmierci w Medvedi doszło do czterech zgonów w taki sposób, jak umierają osoby nękanie przez wampiry, i wtedy podniósł się krzyk, że żołnierz przemienił się w wampira.

Zapanowało takie poruszenie, że czterdzieści dni po śmierci władze zarządziły ekshumację z udziałem swoich przedstawicieli. Ciąg dalszy jest znany.

– Mimo to opowiedz – poprosił Adamsberg, bojąc się, że Arandel na tym skończy.

– Zwłoki były rumiane, skóra świeża i jędrna, ze wszystkich otworów wypływała krew, stare paznokcie spoczywały na dnie grobu. Nie stwierdzono żadnych oznak rozkładu. Wbito kołek w żołnierza, który wydał z siebie przerażający ryk. Mówiono też, że nie ryknął, tylko westchnął nieludzko. Odcięto mu głowę i spalono go.

Stary upił łyczek pod czujnym okiem Adamsberga. W drugim kieliszku zostały już tylko dwie trzecie zawartości. Jeśli Adamsberg dobrze usłyszał daty, żołnierz zmarł dwa lata po Plogojowitzu.

– Później odkopano też i potraktowano podobnie cztery inne ofiary. Ponieważ jednak obawiano się, że wampir z Medvedi będzie zarażał całe cmentarne otoczenie, postanowiono wszcząć dochodzenie. Oficjalne śledztwo ruszyło w tysiąc siedemset trzydziestym pierwszym roku. Dokonano otwarcia czterdziestu grobów w najbliżej otoczeniu żołnierza i okazało się, że siedemnaście ciał było świeżych, rumianych: Militzy, Joachima, Ruschy i jej dziecka, Rhody, żony Bariactara i jego syna, Stanaša, Milla, Stanoicka i innych. Wszystkich wyjęto z grobów i spalono. Ludzie przestali umierać.

W kieliszku Arandela zostało już tylko kilka kropeł rakii, wszystko zależało od tego, jak szybko stary zdecyduje się dopić trunek.

– Jeżeli ten żołnierz walczył z Peterem Plogojowiczem... – zaczął szybko Adamsberg. – Bo to był Plogojowicz, prawda?

– Tak mówią.

– W takim razie członkowie jego rodziny nie byli wampirami... jak by to powiedzieć... intencjonalnymi, ale mogli się uważać za ofiary Plogojowitza, za osoby usidlone i podporządkowane mu. Za ludzi siłą przemienionych w wampiry, zniszczonych przez tę istotę.

– Niewątpliwie tym są.

Arandel zakręcił kieliszkiem z ostatnimi kroplami rakii, przyglądając się błyskom w słońcu fasetek kryształu.

– Jak się nazywał żołnierz? – spytał pospiesznie Adamsberg. – Wiadomo?

Arandel uniósł głowę ku białemu niebu i wlał ostatnią kroplę rakii do ust, nie dotykając kieliszka wargami.

– Arnold Paole. Nazywał się Arnold Paole.

– Plog – wtrącił Vladislav.

– Postaraj się zapamiętać to nazwisko – zakończył Arandel, moszcząc się w fotelu. – Bo ono umyka. Jakby pod wpływem Plogojowiczów stało się nietrwale.

XXXIV

Adamsberg słuchał Weilla, który głądził przez telefon, dopytując o lokalne wina i potrawy oraz o to, czy skosztował gołąbków.

Nogi niosły go spokojnie przez okolicę, która wydawała mu się teraz znajoma, niemal swojska. Rozpoznawał a to kwiatek, a to falisty teren, a to widok na dachy domów. Znalazł się na rozdrożu leśnej drogi, o mało nie skręcił ku skrajowi lasu, cofnął się. Ciągnie cię tam, ciągnie.

– Słuchasz mnie, inspektorze?

– Oczywiście.

– W końcu haruję na twoją rzecz.

– Nie, przeciwko mrocznej władzy zwierzchniej.

– Możliwe – ustąpił Weill, który nie lubił, gdy przyłapywano go na pielęgnowaniu przyzwoitości. – Zaczynam trzeci szczebel naszej drabiny, której żerdzie tkwią oczywiście w czeluści piekieł.

– Tak – zgodził się Adamsberg rozpraszany wielką chmarą białych motyli, które w skwarnym powietrzu krążyły wokół jego głowy, jakby była kwiatkiem.

– Sędzia, który orzeka w sprawie tej małej Mordent, nazywa się Danwillois. Sprawdzone, potwierdzone. Przeciętniak, kariera mu utknęła, ale ma wysoko postawionego przyrodniego brata. Danwillois niczego mu nie odmówi, liczy, że dzięki niemu pójdzie wyżej. Ten brat przyrodni to czwarty szczebel, Gilles Danwillois, wpływowy sędzia śledczy w Gayernan, kariera rozwojowa, może się dochrapać posady prokuratora generalnego. Pod warunkiem, że obecny prokurator raczy poprzeć jego kandydaturę. Piąty szczebel, aktualny prokurator, Régis Trémard, tylko czyha, żeby się dostać do Sądu Kasacyjnego jako prezes, ni mniej, ni więcej. Pod warunkiem, że aktualny prezes wskaże Trémarda przed innymi.

Adamsberg wszedł na nieznaną mu ścieżkę biegnącą wzdłuż załomu Dunaju, prowadzącą do starego młyna. Motyle wciąż mu towarzyszyły, bo albo go polubiły, albo inna chmara wymieniła się z pierwszą.

– Szósty szczebel, prezes Sądu Kasacyjnego Alain Perrenin. Który ma ambicje objąć funkcję wiceprzewodniczącego Rady Stanu. Pod warunkiem, że obecna wiceprzewodnicząca go poprze. Coś mi się zdaje, że tu zaczyna

być ciepło. Siódmy szczebel, wiceprzewodnicząca Rady Stanu Emma Carnot. Gorąco. Wdrapała się tam, rozpychając łokciami, a ma je ostre, że ho, ho, ani pół dnia życia nie straciła na jakieś dyrdymały, wytchnienie dla umysłu, przyjemności czy inne takie bzdury dla wrażliwych. Niesamowicie robotna, fenomenalne znajomości i poparcie.

Adamsberg wszedł do wiekowego starego młyna, podniósł głowę, by przyrzeć się starej więźbie, która nie była zdobiona jak w młynie w Caldhez. W tym półmroku motyle wreszcie go odstały. Pod nogami wyczuwał warstwę ptasiego łajna, które tworzyło miękki przyjemny dywan.

– Przymierza się do stołka ministra sprawiedliwości – powiedział.

– A stamtąd do czegoś jeszcze większego. Ona przymierza się do wszystkiego, poluje na wszystko jak opętana. Na moją prośbę Danglard przeszukał biuro Mordenta. Znalazł prywatny telefon Emmy Carnot, marnie ukryty, kretyńsko przyklejony pod biurkiem. Coś takiego można wybaczyć sierżantowi, ale dla gliniarza w randze komendanta to wielka krecha. Ja tam wiem jedno: jeśli ktoś nie potrafi zapamiętać dziesięciu numerów telefonicznych, niech się nie pcha w spiski. I wiem drugie: zawsze trzeba robić tak, żeby nikt ci nie podłożył bomby pod łóżko.

– Jasne – przyznał Adamsberg i przeszły go ciarki na wspomnienie Zerka, któremu pozwolił odejść.

To dopiero prawdziwa bomba pod łóżkiem, może wypruć mu flaki jak zabie. Tyle że o tym wiedział on jeden. Nie, Zerk również, i oczywiście zamierzał się nią posłużyć. „Przyszedłem, żeby ci zatruć życie”.

– Zadowolony? – spytał Weill.

– Z informacji, że herod-baba z Rady Stanu uwzięła się na mnie? Nie za bardzo.

– Adamsberg, nasze zadanie to dowiedzieć się, dlaczego Emma Carnot za żadną cenę nie chce, żebyśmy znaleźli zabójcę z Garches. Niebezpieczny współpracownik? Syn? Dawny kochanek? Mówi się, że Carnot zadaje się teraz tylko z kobietami, ale są tacy, co szepczą... a ja mam kogoś, kto bardzo głośno szepcze z sądu apelacyjnego w Limoges... że swego czasu był też jakiś mąż. Bardzo dawno temu. Zawsze trzeba poszperać w starych rodzinnych kufrach. Bo trzecie, co wiem: należy ukryć rodzinę i orientację seksualną w niedostępnym schowku, spalić, co się da.

– Ona pewnie to właśnie próbuje zrobić.

– Szukałem, Adamsberg. Nie znalazłem żadnego śladu małżeństwa ani związku ze sprawą w Garches, ani ze sprawą w Pressbaum. Znaczący, z małżeństwem powiedziałem na wyrost. – Weill cmoknął językiem, milczał przez chwilę. – Kartka, na której mogłoby figurować jej panięskie

nazwisko w merostwie, które mogłoby być jej merostwem, bo urodziła się w Auxerre, została zwyczajnie wycięta. Urzędniczka się zaklina, że jakaś pani „z ministerstwa” zażądała, by zostawić ją samą z księgą metrykalną ze względu na „tajemnicę związaną z obronnością”. Sądzę, że nasza Emma Carnot zaczyna gonić w piętę. Czujemy, że wpada w popłoch. Czarnowłosa pani, powiedziała urzędniczka. Czwarte, co wiem: nigdy nie używać peruki, to śmieszne. Mamy więc do czynienia z małżeństwem, które ukryto przed opinią publiczną.

– Morderca ma raptem dwadzieścia dziewięć lat.

– Syn z małżeństwa. Ona go chroni. Albo robi tak, żeby szaleństwo syna nie zastopowało jej kariery.

– Weill, matka Zerka nazywa się Gisèle Louvois.

– Wiem. Można przypuszczać, że Carnot dyskretnie pozbyła się noworodka, sownie płacąc za adopcję.

– No dobra, Weill. Doszliśmy do siódmego szczebla i co dalej?

– Trzeba zdobyć DNA Carnot, porównać je z DNA z chusteczki i załatwione. Łatwizna, śmiecie z Rady Stanu są wystawiane co rano na plac. W dni posiedzeń plenarnych są w nich butelki po wodzie i kubki po kawie, którą raczyli się członkowie Rady. Wśród butelek jest butelka Carnot. A jutro jest posiedzenie. Wyłącz tę komórkę, inspektorze, i uruchom ją dopiero jutro o siódmej rano, tylko na pewno.

– O siódmej czasu paryskiego?

– Tak, u ciebie o dziewiątej.

– Na pewno – zakonotował sobie Adamsberg, któremu bardzo ulżyło, gdy się dowiedział, że wiceprzewodnicząca Rady Stanu wydała na świat tego Zerka. Albowiem żadną miarą nie przypominał sobie, żeby się przespał z jakąś Gisèle, był natomiast na sto procent pewien, że nie zrobił tego z wiceprzewodniczącą.

Rozłączył się i wyjął baterię z komórki otrzymanej od Weilla. Jutro o dziewiątej. Będzie musiał się jakoś wytłumaczyć z porannej wycieczki przed szefową kruszmy. Zagryzł wargę. W dobrej wierze zaklinał się przed Zerkiem, że zawsze pamięta imię i twarz kobiety, z którą się przespał. A z tą kobietą spał ledwie wczoraj. Wysilił umysł, dokonał przeglądu zasłyszanych tutaj słów, „kruszma”, „kafa”, „danica”, „hvala”. Danica, przypomniał sobie. Zatrzymał się przed drzwiami młyna, coś go bowiem dużo bardziej zaniepokoiło. Jak brzmiało nazwisko serbskiego żołnierza, któremu Peter Plogojowitz zmarnował życie? Pamiętał je jeszcze, kiedy skręcał na ścieżkę nad rzeką. Ale telefon od Weilla odebrał mu rozum. Niebotycznie zmartwiony chwycił się za głowę.

Szuranie dobiegło z tyłu, jakby worka ciągniętego po ziemi. Adamsberg się odwrócił, nie był sam w młynie.

– I co, bucu? – rozległ się głos w mroku.

XXXV

Do przytomności przywrócił Adamsberga zgrzytliwy trzask taśmy klejącej odwijanej po kawałku z rolki. Zerk omotywał go scotchem używanym przy przeprowadzkach. Nogi miał już skrępowane, kiedy Zerk wywłókł go z młyna i wpakował do samochodu zostawionego dwadzieścia metrów dalej.

Jak długo trzymał go spętanego na ziemi w starym młynie? Póki nie zapadła ciemność, teraz musiało być już po dziewiątej wieczorem. Stopami poruszył, lecz reszta nóg była owinięta taśmą jak mumia. Nadgarstki miał unieruchomione, usta zaklejone. Zamiast tamtego człowieka widział jedynie czarną sylwetkę. Słyszał go jednak. Szelest skórzanej kurtki, sapanie, jakieś nieartykułowane dźwięki. Potem krótki przejazd na tylnym siedzeniu samochodu, na dystansie niecałego kilometra, i auto stanęło. Zerk ciągnął go za związane ręce, które tworzyły jakby ucho wielkiego kosza. Trudził się tak na odcinku jakichś trzydziestu metrów, pod torsem Adamsberga turlały się kamyki. Puścił go naraz, ciężko dysząc i coś mamrocząc.

Adamsberg czuł żwir kłujący przez ubranie. Gdzie widział ostry żwir w Kisilovej? Czarny żwir, inny niż ten, który spotyka się we Francji. Zerk przekręcił klucz w zamku, duży stary klucz, sądząc po głębokim dźwięku metalu. Następnie wrócił do niego, złapał go za ucho utworzone z rąk, brutalnie ściągnął po paru stopniach i zostawił na ziemi. Na ubitej ziemi. Przeciął taśmę na nadgarstkach, zdarł z Adamsberga kurtkę i koszulę, kilkoma ruchami noża rozciąwszy ubranie, żeby się go szybciej pozbyć. Adamsberg próbował jakoś zareagować, lecz był już za słaby, nogi miał ścierpnięte i zimne, w dodatku facet jedną nogą stał mu na klatce piersiowej. Po czym znowu poszła w ruch taśma, którą tym razem owijał jego tors z rękami wzdłuż boków, później jeszcze stopy, unieruchamiając je jak całą resztę. Na koniec rozległo się kilka kroków i Zerk bez słowa zamknął drzwi. Dojmujący chłód kontrastował z ciepłą nocą, w pomieszczeniu panowała absolutna ciemność. Piwnica pozbawiona choćby wywietrznika.

– Wiesz, gdzie jesteś, bucu? Czemuś nie zostawił mnie w spokoju? – Głos docierał zniekształcony, trochę piskliwy i szepczący, jak ze starego radia. – Już cię znam, psie, zabezpieczam się z wyprzedzeniem. Ty jesteś w środku ja na zewnątrz. Wsunąłem głośnik pod drzwi, przez niego do ciebie mówię.

Możesz się wydzierać, i tak cię nikt nie usłyszy, więc nawet nie próbuj. Tutaj nikt nie przychodzi. Drzwi mają dziesięć centymetrów grubości, mury jak w fortecy. Prawdziwy bunkier. – Zerk zaśmiał się ponuro. – A wiesz dlaczego? Bo jesteś w grobowcu, bucu. W najbardziej hermetycznym grobowcu w Kisilovej, stąd nikt nie ma prawa wyjść. Opisuję ci go, bo nic nie widzisz, a tak będziesz mógł go sobie wyobrazić przed śmiercią. Cztery trumny na półkach z jednej strony, pięć z drugiej. Dziewięciu nieboszczyków. Pasuje ci? A gdybyś przypadkiem otworzył trumnę zaraz po swojej prawej, niekoniecznie znalazłbyś w niej szkielet. Być może całkiem świeże ciało wypełnione sokami. Na imię jej Vesna i pożera ludzi. Może się jej spodobaś!

Znowu śmiech.

Adamsberg zamknął oczy. Zerk. Gdzie on się zaszył na te dwa dni? Może w lesie, może w którejś z porzuconych szop stojących na polanach. Tylko jakie ma to znaczenie? Zerk go śledził, znalazł, i już. Nie mogąc poruszyć żadną kończyną, Adamsberg już czuł, jak sztywnieją mu mięśnie, chłód ogarnia ciało. Zerk miał słuszność: nie ma mowy, żeby ktoś się zapuścił na stary cmentarz. Całkowicie porzucony od tamtej sprawy w 1725 roku, jak wyjaśnił Arandel. Nikt nie chciał ryzykować, nie ustawiano nawet przewróconych kamieni nagrobnych swoich przodków. I właśnie tam on się znajdował, osiemset metrów od wioski, w grobowcu dziewięciu ofiar Plogojowitza postawionym z dala od innych i omijanym szerokim łukiem. Tylko Arandel mógłby tu przyjść. Ale czy Arandel może coś wiedzieć o jego położeniu? Nic. Vladislav? Niejedna Danica martwi się może, że Adamsberg nie wraca do kruszmy. Nie zjawił się na kolacji, na kobasice, jak zapowiedziała. A co taka Danica może zrobić? Pójść do Vlada. A on pójdzie do Arandela. I co dalej? Gdzie będą go szukali? Na przykład nad Dunajem. Komu jednak przyjdzie do głowy, że jakiś czarny Zerk zamknął go w grobowcu na starym cmentarzu? Arandel ostatecznie mógłby na to wpaść. Za tydzień, za dziesięć dni. Do tej pory Adamsberg może wytrzymać bez jedzenia i picia. Tyle że Zerk nie jest głupi. Całkowicie unieruchomiony w chłodzie, z krwią już zastygającą w ciele, które zaczynało go mrowić, Adamsberg nie wytrzyma nawet dwóch dni. Może nawet nie dotrwa do jutra. „Nie wchodź do świata wampirów, nie wiedząc nic o nim, młodzieńcze”. Ogarnął go żal wzmocniony strachem. Żal za lipą, Karpatami, za fasetami kieliszka rakii.

– Do jutra wykorkujesz, bucu. Dla twojej przyjemności informuję, że byłem jeszcze raz u ciebie. Załatwiłem tę małą kocicę jednym tupnięciem. Rozprysła się na wszystkie strony. Byłem zły, że mnie zmusiłeś, abym jej

pomógł. W ten sposób nic mi nie zawdzięczasz. Zabrałem też próbkę DNA z tej twojej nory. Będę miał dowód. I wszyscy się dowiedzą, że Adamsberg odrzucił dzieciaka i co z tego dzieciaka wyrosło. Przez ciebie. Przez ciebie. I będziesz zhańbiony na wieki.

„Ojcowie jedli zielone winogrona, a zęby ścierpły synom”. Adamsbergowi ciężko było oddychać, Zerk za mocno ścisnął mu pierś taśmą. „Do jutra wykorkujesz, bucu”. Unieruchomione kończyny, ograniczona możliwość oddychania, niedotlenienie... to nie potrwa długo. Dlaczego musi jeszcze cierpieć z powodu obrazu kociaka rozdeptanego buciorem Zerka? Przecież za kilka godzin wyzionie ducha. Dlaczego po głowie mu chodzą kobasice, choć nie ma pojęcia, co to jest? Kobasice, które prowadzą do Danicy, która prowadzi do Vlada i jego kociego owłosienia, który prowadzi do Danglarda, Danglard do Toma i Camille beztrąsko żyjących sobie w Normandii, oni zaś prowadzą do Weilla, do tej Emmy Carnot, z którą nigdy nie spał. A Gisèle? Z nią także nie spał. Dlaczego nawet w takiej chwili nie potrafi się skoncentrować na jednej tragicznej myśli?

– Jedno ci tylko muszę przyznać – rozległ się znowu głos jakby z żalem. – Byłeś silny. Załapałeś. Zabieram twoją głowę i zostawiam ci ciało. Zostawiam cię tu, bucu, tak jak ty mnie zostawiłeś.

Zerk pociągnął za sznurek, głośnik wysunął się spod drzwi – to był ostatni dźwięk, jaki usłyszał Adamsberg. Z wyjątkiem gasnącego szumu, który szemrał mu w uszach, a w zasadzie niemal zupełnie ustał, z czego zdał sobie sprawę w tej chwili. No chyba że był to oddech rumianej kobiety spoczywającej obok niego na dolnej półce po prawej. Adamsberg zapragnął naraz, aby wampirka Vesna wyszła z trumny i napiła się jego krwi, zapewniając mu tym samym życie wieczne. Albo po prostu towarzystwo. Nic z tego jednak. Nawet w grobowcu w to nie wierzył. Wtem jego ciałem wstrząsnął dreszcz, nad którym nie mógł zapanować. Szarpnęło nim kilka konwulsyjnych wzdrygnięć, to na pewno początek zaburzeń organicznych. Przerażoną myślą pomknął ku złotopalcemu człowiekowi, potem ku swemu bezpiecznikowi F3. Czy dzięki kuracji doktora Josselina zdoła wytrzymać dłużej niż inni? Z naprawionym bezpiecznikiem i kością ciemieniową? Kolejny dreszcz zmroził go pod opatrunkiem z taśmy. Nie. Nie ma szans.

O czym powinno się myśleć, kiedy niedługo się umrze?

Przez głowę przeleciały mu wiersze, jemu, który nigdy żadnego nie zapamiętał. To było jak ze słowem „kobasice”, które się go uczepiło. Gdyby przeżył do jutra, może po przebudzeniu znałby angielski. I przypominałby sobie normalnie różne rzeczy, jak inni.

„Ty, coś w mroku grobowym...”

Ten wiersz Danglard często mamrotał jako jeden z wielu. Ale Adamsberg nie pamiętał ciągu dalszego.

„Ty, coś w mroku grobowym...”

Nie czuł już nóg poniżej kolan. Umrze tu niczym wampir, z zaklejonymi ustami i nogami spętanymi, żeby nie dało się więcej wyjść. Ale Peter Plogojowicz jakoś wyszedł. Odrodził się niczym płomień z drobinki własnych prochów. Zawładnął Hiżgat, żoną tego Dantego i licealistkami. Nadal podporządkowywał sobie zwampirzoną rodzinę tego serbskiego żołnierza. Mściwą rodzinę, z której niewątpliwie pochodził ten czubek Zerk, tyle że Adamsberg nie mógł teraz przesłać esemesa Danglardowi, żeby się co do tego upewnić. Weill, gnojek jeden, kazał mu się pozbyć GPS-u. Dlaczego?

„Ty, coś w mroku grobowym pociechą mi była.. .”^[3]

Przypomniał sobie dalszy ciąg wiersza. Oddech miał krótki, dużo cięższy niż dotąd. Udusi się szybciej, niż sądził, Zerk zna się na swojej robocie.

Szybciej, czyli kiedy? Minęła chyba z godzina, odkąd Zerk opuścił cmentarz. Do grobowca nie dochodził dźwięk dzwonu kościelnego pozwalającego się zorientować w porze doby. Za daleko od wsi. Na swoje zegarki Adamsberg też nie mógł zerknąć, teraz nie mógł na nich nawet sprawdzić godziny sikania Lucia.

„Ty, coś w mroku grobowym pociechą mi była...”

Było coś dalej w tym wierszu, coś jak „szepty świętej i krzyki szalonej”. Tak, jak ta Vesna.

Oddech, jeszcze jeden. Jego.

Arnold Paole. Przypomniał sobie nazwisko żołnierza pokonanego przez Petera Plogojowitza. I nigdy go już nie zapomni.

XXXVI

Danica bez pukania weszła do pokoju Vladislava, zapaliła lampkę nocną, potrząsnęła człowiekiem.

– Nie wrócił. Jest trzecia rano.

Vlad uniósł głowę, opuścił ją z powrotem na poduszkę.

– To gliniarz, dziewczyno – burknął bez zastanowienia. – Nie zachowuje się jak inni.

– Gliniarz? – powtórzyła Danica zaskoczona. – Mówiłeś, że to przyjaciel, który miał wstrząs psychiczny.

– Wstrząs psychoemocjonalny. Przykro mi, Danica, to mi się wysnęło. Ale jest gliniarzem. Który przeżył wstrząs psychoemocjonalny.

Stropiona i urażona Danica założyła ręce na piersi, dokonując przeglądu poprzedniej nocy spędzonej w ramionach policjanta.

– Co on kombinuje? Podejrzewa kogoś z Kisiljeva?

– Szuka śladów.

– Czyich?

– Pewnego Francuza. Pierre'a Vaudela.

– Dlaczego?

– Może kiedyś, dawno temu, ktoś go tutaj znał. Dajże mi spać, Danica.

– Pierre Vaudel? Nic mi to nie mówi – powiedziała Danica, ogryzając paznokieć u kciuka. – Ale nie pamiętam nazwisk turystów. Trzeba by przejrzeć rejestr. Kiedy to było? Przed wojną?

– Sądzę, że dużo wcześniej. Danica, jest trzecia rano. Co ty właściwie robisz w moim pokoju?

– Mówiłam ci. Nie wrócił.

– Przecież ci odpowiedziałem.

– To nie jest normalne.

– Z gliniarzem nic nie jest normalne, dobrze o tym wiesz.

– Po nocy nie ma tu co robić, nawet jeśli jest policjantem. Vladislav, nie mówi się „gliniarz”, tylko „policjant”. Nie wyrosłeś na uprzejmego mężczyznę. Ale twój ded też nie był uprzejmy.

– Zostaw w spokoju mojego deda, Danica. I formy towarzyskie też zostaw. Wcale ich tak znowu nie przestrzegasz.

– Co to ma znaczyć?

Vlad uczynił wysiłek i usiadł na łóżku.

– Nic. Tak bardzo się martwisz?

– Tak. Czy to, po co tutaj przyjechał, jest niebezpieczne?

– Nie mam pojęcia, Danica, zmęczony jestem. Nie znam sprawy, mam ją gdzieś, ja tu tylko tłumaczę. Pod Paryżem doszło do jakiegoś morderstwa, to było dość straszne. A wcześniej podobne popełniono w Austrii.

– Skoro w grę wchodzi morderstwa – rzekła Danica, zapamiętała ogryzając paznokcie – można powiedzieć, że jest zagrożenie.

– Wiem, że w pociągu uważał, że ktoś go śledzi. Ale wszyscy gliniarze mają coś takiego, nie? Patrzą na ludzi inaczej niż my. Może poszedł do Arandęla. Chyba mieli sobie do opowiedzenia sporo zabawnych historii.

– Głupiś, Vladislav. Jakże on ma gadać z Arandelem? Na migi? Nie zna słowa po angielsku.

– Skąd wiesz?

– To się wyczuwa – odparła Danica zmieszana.

– No dobra – rzekł Vladislav. – Daj mi teraz pospać.

– Morderca – ciągnęła Danica, teraz ogryzając obydwie kciuki wraz – pozbywa się policjantów, kiedy zbliżają się do prawdy, hę?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, on się od niej oddala wielkimi krokami.

– Dlaczego? – spytała Danica, zostawiając w spokoju obydwie kciuki błyszczące od śliny.

– Jak będziesz tak gryzła paznokcie, w końcu zjesz cały palec. I następnego dnia będziesz go wszędzie szukała.

Danica niecierpliwie potrząsnęła grzywą jasnych włosów i wróciła do ogryzania.

– Na pewno się oddala? Dlaczego?

Vlad roześmiał się cicho i położył ręce na krągłych ramionach szefowej.

– Bo wierzy, że ci zamordowani, ten Francuz i Austriak, są z Plogojowiczów.

– I to cię śmieszy? – Danica wstała. – To cię śmieszy?

– Przecież to wszystkich śmieszy, Danica, nawet paryskich gliniarzy.

– Vladislavie Moldovan, masz tyle samo rozumu co twój ded Slavko.

– Czyli jesteś taka jak inni, hę? *Ti to verue?* Nie, chodzisz w niepewne miejsce? Nie odwiedzasz grobu tego biedaka Petera?

Danica zasłoniła mu usta ręką.

– Cicho bądź, na Boga. Co ty wyczyniasz? Chcesz go ściągnąć? Nie dość, że jesteś nieuprzejmy, to jeszcze głupi i zarozumiały. I nie tylko, a stary Slavko taki nie był. Egoista jesteś, leń i tchórz. Gdyby Slavko żył, szukałby

przyjaciela.

– Teraz?

– Chyba nie pozwolisz, żeby kobieta sama chodziła nocą?

– W nocy nic się nie zobaczy. Danica, obudź mnie za trzy godziny, będzie już jasno.

O szóstej rano Danica powiększyła grupę poszukiwawczą o kucharza Boska i jego syna Vukasina.

– Zna tutejsze ścieżki – wyjaśniła im. – Chodził na spacer.

– Może spadł – zasugerował ponuro Bosko.

– Wy idźcie nad rzekę – poleciła Danica – a my z Vladislavem pójdziemy do lasu.

– A komórka? – zapytał Vukasin. – Vladislav ma numer?

– Próbowałem – odparł Vlad, którego nadal zdawało się to bawić. –

A Danica wydzwaniała do niego od trzeciej do piątej. Nic. Albo jest poza zasięgiem, albo bateria padła.

– Albo jest w wodzie – rzekł Bosko. – Koło skały prowadzi paskudne przejście, jak się nie zna miejsca. Deski rozchwiane, w ogóle parszywy punkt. Ptasie głowy, obcy...

– A niepewne miejsce? Nikt tam nie chodzi? – zapytał Vlad.

– Przestań robić sobie jaja – ofuknął go Bosko. I choć raz młody człowiek umilkł.

Danica była załamana. O dziesiątej rano podawała śniadanie trzem mężczyznom. Musiała przyznać, że mają słuszość. Nie znaleźli żadnego śladu Adamsberga. Nie usłyszeli żadnego wołania, żadnego jęku. Ale w starym młynie klepisko ktoś podeptał, to było pewne, naruszono warstwę ptasiego łajna. Dalej ślady prowadziły po trawie aż do drogi, gdzie na krótkim odcinku gruntu widoczne były ślady opon.

– Uspokój się, Danica – mówił kojącym głosem imponujący Bosko, któremu łysą głowę kompensowała gęsta szpakowata broda. – To policjant, z niejednego pieca chleb jadł i wie, co robi. Kazał, żeby mu podstawili samochód, i pojechał do Belgradu pogadać z naszą policją. To pewne.

– I tak bez pożegnania? Nawet do Arandela nie zajrzał.

– Policja taka już jest – zapewnił Vukasin.

– Nie taka jak my – podkreślił Bosko.

– Plog – rzekł Vladislav, który zaczynał odrobinę współczuć poczciwej

Danicy.

– Może dostał pilne wezwanie. I musiał natychmiast jechać.

– Mogę zadzwonić do Adrianusa – zaproponował Vlad. – Jeśli Adamsberg jest z belgradzkimi glinami, on będzie wiedział.

Jednakże Adrien Danglard nie miał żadnych wieści o Adamsbergu. Co bardziej niepokojące, Weill był umówiony z nim na telefon na dziewiątą rano czasu belgradzkiego i komórka inspektora nie odpowiadała.

– Może telefon mu się rozładował – sugerował Weill w rozmowie z Danglardem. – Nie włączał go, korzystał z niego jedynie do rozmów ze mną, a połączyliśmy się tylko raz wczoraj.

– Cóż, nie można się do niego dodzwonić i gdzieś się zapodział – powiedział Danglard.

– Od kiedy?

– Odkąd wybrał się w Kisilovej na spacer wczoraj około piątej po południu. O trzeciej czasu paryskiego.

– Sam?

– Tak. Dzwoniłem na policję w Belgradzie, Nowym Sadzie, w Banja Luce. Nie kontaktował się z żadnym posterunkiem policji w kraju. Sprawdzili w miejscowych korporacjach taksówkowych: nikt nie miał wezwania z Kisilovej.

Kiedy Danglard zakończył rozmowę, dłoń mu drżała, pot spływał po plecach. Uspokoił Vladislava, powiedział, że w wypadku Adamsberga nagle zniknięcie to nic takiego. Ale nie mówił prawdy. Adamsberga nie było od siedemnastu godzin, w tym przez całą noc. Nie opuścił Kisilovej, w przeciwnym razie byłby go uprzedził. Danglard wysunął szufladę biurka, wyjął nietkniętą butelkę czerwonego wina. Porządne bordoskie wina, o wysokim pH, niskiej kwasowości. Ściągnął usta, ze złością odłożył butelkę do szuflady i po kręconych schodach zszedł do piwnicy. Za kotłem centralnego ogrzewania została mu tam jeszcze butelka białego wina, którą otworzył jak zupełny profan, wpychając korek do środka. Usiadł na znajomej skrzynce, która mu służyła jako ławka, wypił kilka łyków. Dlaczego, do licha, inspektor zostawił GPS w Paryżu? Danglard miał stały sygnał dochodzący z jego domu. W chłodzie tej piwnicy cuchnącej stęchlizną i kanalizacją poczuł, że traci Adamsberga. Powinien był jechać z nim do Kisilovej, wiedział o tym, mówił mu przecież.

– Co ty wyprawiasz? – rozległ się chrapliwy głos Retancourt.

– Nie zapalaj tego pieprzonego światła – powiedział Danglard. – Chcę być

w ciemności.

– Co się dzieje?

– Od siedemnastu godzin nie ma o nim wieści. Zniknął. I jeśli chcesz znać moje przeczucie, to nie żyje. Zerquetscher załatwił go w Kisiljevie.

– Co to jest Kisiljevo?

– Wejście do tunelu.

Danglard wskazał jej inną skrzynkę gestem, jakim wskazuje się fotel w salonie.

XXXVII

Jego ciało zniknęło całkowicie w strumieniu zimna i braku czucia, umysł funkcjonował tylko częściowo. Minęło kilka godzin, może z sześć. Czuł jeszcze tył głowy, kiedy miał siłę pocierać nią o ziemię. Musi starać się utrzymać ciepłotę mózgu, poruszać oczami, otwierać je, zamykać. To ostatnie mięśnie, na które miał wpływ. Musi poruszać ustami pod taśmą, która częściowo się odkleiła pod wpływem śliny. A potem? Po co żywe oczy trupowi? Jego uszy jeszcze odbierały dźwięki. Nie słyszał żadnych oprócz mizernego szumu jak bzyczenie komara. Dinh potrafił poruszać uszami, on jednak nie. Czuł, że uszy pozostaną ostatnią żywą częścią jego organizmu. Będą fruwały w tym grobowcu jak niezgrabny motyl, o wiele brzydszy od tych, które całą chmarą towarzyszyły mu do starego młyna. Motyle nie chciały wlecieć do środka, powinien był się zastanowić i zrobić to, co one. Zawsze trzeba robić to, co motyle. Jego uszy pochwyciły jakiś dźwięk od strony drzwi. Otwiera. Wraca. Niepokoił się, przyszedł sprawdzić, czyjego dzieło się dokonało. A jeśli się nie dokonało, on to załatwi po swojemu, siekierą, piłą, kamieniem. Zdenerwowany niespokojny Zerk nie przestawał krzyżować i rozkładać rąk.

Drzwi się uchyliły, Adamsberg zamknął oczy, by nie poraziło go światło. Zerk otwierał bardzo ostrożnie, bez pośpiechu, zapalił latarkę, aby go obejrzeć. Adamsberg czuł, jak strumień światła ślizga się po jego powiekach. Przybysz uklęknął, chwycił taśmę, która zaklejała mu usta, i mocno szarpnął. Później obmacał ciało, na całej długości sprawdził spowijające je taśmy. Oddychał teraz głośno, grzebał w torbie. Adamsberg otworzył oczy, popatrzył na niego.

To nie był Zerk. Zerk nie miał takich włosów, krótkich i bardzo gęstych, usianych rudymi pasemkami, które wyłapywały światło latarki. Adamsberg znał tylko jednego człowieka o tak dziwnych włosach, ciemnych z rudymi kosmykami tam, gdzie w dzieciństwie ciął go nóż. Veyrenc, Louis Veyrenc de Bilhc. A przecież Veyrenc odszedł z brygady po ostrej potyczce z Adamsbergiem^[4]. Dawno wrócił do rodzinnego Laubazac, moczył nogi w bearneńskich rzekach, ani razu nie dał znać, co słyhać u niego.

Przybysz wyjął nóż i zaczął rozcinać pancerz z taśmy klejącej, który

ściskał Adamsbergowi pierś. Nóż źle ciął, posuwał się wolno, męczyzna stękał i kłął. I nie było to stękanie Zerka. Było to stękanie Veyrenca siedzącego na nim okrakiem, walczącego z taśmą. Veyrenc próbował go z tego wyciągnąć, Veyrenc przyszedł do tego grobowca w Kisilovej. W głowie Adamsberga wyrosła potężna kula wdzięczności wobec towarzysza dziecięcych zabaw i wczorajszego wroga, wobec Veyrenca, który „w mroku grobowym pociechą mi był”, kula niemal namiętności wobec Veyrenca wierszoklety, kompaktowego faceta o miękkich wargach, upierdliwca, człowieka jedyne go w swoim rodzaju. Adamsberg próbował poruszyć wargami, wymówić jego nazwisko.

– Zamknij się – powiedział Veyrenc.

Bearneńczykowi udało się rozciąć skorupę z taśmy, bez ceregieli szarpnął, wyrywając Adamsbergowi włosy z torsu i ramion.

– Nie odzywaj się, nie hałasuj. Jeśli cię boli, to dobrze. Znaczący, że jeszcze masz czucie. Ale nie krzycz. Czujesz którąś część ciała?

– Nic – dał do zrozumienia Adamsberg, minimalnie kręcąc głową.

– Do diabła, nie dajesz rady mówić?

– Nie – potwierdził Adamsberg tak samo.

Veyrenc zajął się dolną częścią mumii, powoli uwolnił nogi. Z wściekłością odrzucił potem za siebie wielki kłęb splątanej taśmy i dłońmi na płask zaczął walić Adamsberga po całym ciele, mocno niczym młocarz skuteczniający jakiś frenetyczny taniec. Po pięciu minutach zrobił przerwę, rozciągnął ramiona. Veyrenc, tęgawy i o mięśniach niezbyt wyraźnie zarysowanych, dysponował siłą dzikusa i choć Adamsberg niewiele czuł, wyraźnie słyszał plaśnięcia jego dłoni. Następnie Veyrenc zmienił technikę: chwycił ręce, zgiął je, wyprostował, znowu zgiął, to samo zrobił z nogami, ponownie oklepał mocno całe ciało, pomasażował głowę, wrócił do nóg. Adamsberg zaczął poruszać pozbawionymi czucia wargami, odnosząc wrażenie, że mógłby wyartykułować już słowa.

Veyrenc był na siebie zły, że nie zabrał żadnego alkoholu, ale skąd mógł wiedzieć? Bez większej nadziei przetrząsnął kieszenie Adamsberga, wyjął dwa telefony komórkowe, niepotrzebne bilety na autobus. Złapał pociętą kurtkę leżącą na ziemi, sprawdził po kolei kieszenie: klucze, prezerwatywy, dowód, wreszcie natrafił na trzy buteleczki. Adamsberg miał przy sobie trzy małe buteleczki koniaku.

– Froissy – wyszeptał Adamsberg.

Wyglądało na to, że Veyrenc nie zrozumiał, przysunął bowiem ucho do jego ust.

– Froissy.

Veyrenc krótko znał komisarz Froissy, lecz zrozumiał, o co chodzi. Kapitalna Froissy, wspaniała kobieta, róg obfitości. Odkręcił jedną buteleczkę, uniósł Adamsbergowi głowę, wlał odrobinę do ust.

– Możesz pić? Przełykasz?

Veyrenc napoił go resztą koniaku, otworzył drugą buteleczkę i wsunął mu szyjkę między zęby, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że jest chemikiem wlewającym cudowną substancję do wielkiego naczynia. Opróżnił tak wszystkie trzy buteleczki i przyjrzał się Adamsbergowi.

– Czujesz coś?

– W... w środku.

– Super.

Veyrenc pogrzebał znowu w swojej torbie, wyjął okazałą szczotkę do włosów – niezbędną dla niego, ponieważ żaden grzebień nie był w stanie uczesać gęstej czupryny Bearnńczyka. Owinął szczotkę kawałkiem koszuli i zaczął mocno pocierać skórę, jakby czyścił ubłoconego konia.

– Boli?

– Za... czyną.

Przez pół godziny jeszcze Veyrenc na przemian go oklepywał, szczotkował, poruszał jego kończynami, dopytując, czy któraś z części ciała odzyskuje czucie. Łydki? Dłonie? Szyja? Koniak rozgrzał Adamsbergowi gardło, wracała mu mowa.

– Teraz spróbujemy cię postawić, inaczej nigdy nie odzyskasz władzy w nogach.

Zaparłszy się o jedną z trumien, dobrze zbudowany Veyrenc bez trudu go podniósł i postawił.

– Nie... czuję... ziemi.

– Stój, niech krew spłynie na dół.

– Sto...py jak nie... moje. Jak... końs...kie kopyta. Podtrzymując Adamsberga, Veyrenc wreszcie mógł się rozejrzeć po grobowcu, omiatając go latarką.

– Ilu nieboszczyków tu leży?

– Dzie...więcioro. Ale...jedna jest... nie...umarła. To...wampirka, Vesna. Skoro tu... jesteś, wiesz... o wszystkim.

– O niczym nie wiem. Nie wiem nawet, kto cię zamknął w tym pieprzonym grobowcu.

– Zerk.

– Nie znam. Pięć dni temu byłem w Laubazac. No niechże ta krew spłynie.

– To skąd... się tu wzięłeś? Góra cię... wyrzygała tutaj?

- Tak. Jak tam twoje kopyta?
- Jedno już... prawie. Mogę iść... utykając.
- Masz tu gdzieś pistolet?
- W kruszynie. W zajeździe. A ty?

– Już nie mam pistoletu. Nie możemy wyjść stąd bez broni. Facet wracał cztery razy w ciągu nocy, sprawdzał drzwi, nasłuchiwał pod nimi. Czekałem, aż odejdzie, a potem jeszcze trochę, by mieć pewność, że nie wróci.

– Z kim... wychodzimy? Z Vesną?

– Pod drzwiami jest szpara na jakieś pół centymetra. Może złapiemy zasięg. Stój, puszczam cię.

– Czuję jedną... nogę i jestem trochę... nawalony tym twoim ko...niakiem.

– Możesz Bogu podziękować za ten koniak.

– Dziękuję. Tobie też... dziękuję.

– Nie dziękuj tak szybko, bo możesz pożałować.

Veyrenc położył się na brzuchu, przysunął swój telefon do samych drzwi i przyjrzał mu się w świetle latarki.

– Jest jedna, dwie kreski, może wystarczy. Znasz czyjś telefon we wsi?

– Vladislav. Poszukaj na mojej... komórce. On mówi po...francusku.

– Super. Jak się nazywa to miejsce?

– Grobowiec... dziewięciu ofiar... Plogojowitza.

– Urocze – skomentował Veyrenc, wybierając numer Vladislava. – Dziewięć ofiar. Seryjny morderca?

– Najwyższy... wampir.

– Twój kumpel nie odbiera.

– Próbuj. Która godzina?

– Prawie dziesiąta.

– Może jeszcze... gdzieś fruwa. Próbuj.

– Ufasz mu?

Przytrzymując się ręką trumny, Adamsberg stał na jednej nodze niczym podejrziwy ptak.

– Tak – powiedział w końcu. – Sam... nie wiem. Stale się... śmieje.

XXXVIII

W świetle dnia Adamsberg pochylił głowę, kurczowo trzymając się ramienia Veyrenca. Danica, Bosko, Vukasin i Vlad oniemiaли ze zgrozy patrzyli na wychodzących z grobowca, troje pierwszych dodatkowo skrzyżowało palce, by odegnać złe wyziewy. Skamieniała Danica spoglądała na Adamsberga, widziała zielone cienie pod oczami, sine wargi, kredowobiałe policzki, skórę na torsie poznaczoną czerwonymi pasami, gdzieniegdzie zakrwawioną, głównie w miejscach, gdzie szczotka naruszyła naskórek.

– Cholera – zdenerwował się Vlad. – To, że wychodzą stamtąd, nie znaczy, że są nieżywi. Pomóżcie im, na Boga!

– Jesteś nieuprzejmy – zauważyła Danica mechanicznie. W miarę jak dostrzegała oznaki życia w twarzy Adamsberga, odyskiwała oddech. Kim jest ten drugi? Co robił w grobowcu wyklętych? Dwukolorowa czupryna Veyrenca zdawała się bardziej ją niepokoić niż opłakany wygląd Adamsberga. Bosko zbliżył się ostrożnie, ujął inspektora pod drugie ramię.

– Kurtka... – powiedział Adamsberg, wskazując drzwi.

– Przyniosę – zaofiarował się Vladislav.

– Vlad! – zagrzmiął Bosko. – Żaden syn tej wsi nie może tam wejść. Poślij obcego.

Rozkaz zabrzmiał tak stanowczo, że Vlad się zatrzymał i wyjaśnił sytuację Veyrencowi. Veyrenc zostawił Adamsberga opartego o Boska i po stopniach zszedł do grobowca.

– Nie wróci – przepowiedziała Danica swym najbardziej ponurym głosem.

– Czemu włosy ma miejscami ogniste jak warchlak?

Dwie minuty później Veyrenc wyłonił się z grobowca, niosąc swoją latarkę, strzępy koszuli i kurtki. Przymknął drzwi nogą.

– Trzeba je zamknąć – powiedział Vukasin.

– Tylko Arandel ma klucz – rzekł Bosko.

W ciszy Vlad przetłumaczył wymianę zdań między ojcem a synem.

– Klucz nic nie da – powiedział Veyrenc. – Zepsułem zamek wytrychem.

– Przyjdę później i zastawię drzwi kamieniami – mruknął Bosko. – Nie rozumiem, jak to się stało, że ten człowiek siedział tam całą noc i Vesna go

nie pożarła.

– Bosko się zastanawia, czy Vesna cię nie uszkodziła – wyjaśnił Vlad. –

Niektórzy sądzą, że Vesna wychodzi z trumny, inni mówią, że to tylko podła żująca wampirka, która wzdycha nocą, żeby straszyć żywych.

– Może... wzdychała – rzekł Adamsberg. – Szepty... świętej... i krzyki... szalonej. Nie chciała... mnie skrzywdzić.

Danica wyjęła kubki, przyniosła pączki.

– Jeśli nie odzyska czucia w nodze, wda się gangrena i trzeba będzie uciąć – oświadczył Bosko bez ogródek. – Rozpal ogień, Danica, niech go przypieka. Zaparz gorącej kawy, przynieś rakiję. I dajże mu jakąś koszulę na grzbiet, do diabła.

Bezwładną nogę Adamsberga ułożono blisko ognia, dostał gorącej kawy wzmocnionej rakiją. Otarcie się o śmierć spowodowało, że Adamsbergowi chodziły po głowie myśli, jakich nigdy nie miał, myśli, które jednak w niczym nie umniejszały jego afektu do tej wioski zagubionej wśród nadrzecznych mgieł, przeciwnie. Porzucić ojczyznę, porzucić nawet rodzinne góry, wyjechać, do końca żyć tutaj, we mgle, jeśli Veyrenc zechce zostać, proszę bardzo, może jeszcze parę osób do niego dołączy, Danglard, Tom, Camille, Lucio. Retancourt także. Wielki kocur przewieziony do Kisilovej razem z fotokopiarką, na której się wyleguje. I Èmile, bo niby czemu nie? Tyle że wspomnienie Zerquetschera gwałtownie przenosiło go do wielkiego Paryża, pomiędzy jego koszulki ozdobione żebrami kościotrupa, do krwi w willi w Garches. Danica nacierała mu pozbawioną czucia nogę alkoholem, do którego wsypała jakieś zioła, Adamsberg się zastanawiał, na co ona właściwie liczy. Pragnął, aby nikt nie zauważył jej dość czułych gestów.

– Gdzieś ty się podziewał, kretynie? – zapytał zgrzytliwym głosem Weill w osobistej komórce Adamsberga, poprzez jego zwykły cynizm przebijała dostrzegalna ulga.

– Zamknięty w grobowcu z ośmioma nieboszczykami i zjedna nieumarłą, niejaką Vesną.

– Ranny?

– Nie. Owinięty jak mumia plastikową taśmą, że o mało się nie udusiłem.

– Kto?

– Zerk.

– Znaleźli cię?

– Veyrenc mnie znalazł. Veyrenc tam przyszedł.

– Veyrenc? Ten gość uparty jak muł? Ten, który stale gada wierszem?

– Zgadza się.

– Myślałem, że odszedł z brygady.

– Odszedł, ale zjawił się w grobowcu. Nie pytaj mnie jak, bo nie wiem.

– Mimo wszystko cieszę się, że jesteś cały, inspektorze.

– Jednej nogi tylko mi brakuje.

– No tak – rzekł Weill zakłopotany, niezdolny jakoś bezpośrednio pokrzepić Adamsberga. – Skupiłem się na wiceprzewodniczącej. Był ślub. Dwadzieścia dziewięć lat temu.

– Nazwisko męża?

– Jeszcze nie mam, dałem ogłoszenie w prasie. Kobieta, która była świadkiem na ślubie, tydzień temu zginęła w Nantes, dwie kulki w głowę. Jej córka odpowiedziała na ogłoszenie. Drugiego świadka szukam.

Nantes. Adamsberg pamiętał, że myślał o tym mieście. Ale kiedy? I dlaczego?

– Dziecko było?

– Nie mam pojęcia. A jeśli było, oddała je.

– Trzeba szukać dziecka, Weill. – Adamsberg zakończył rozmowę i wskazał swoją nogę. – Coś mnie tam zaczyna mrowić – oznajmił.

– Chwała Bogu – powiedziała Danica, żegnając się.

– No to cię zostawimy – rzekł Bosko do Danicy, Vukasin także wstał. – Poradzisz sobie z obiadem?

– Idź odpocząć, Bosko. Jego też położymy.

– Daj mu termofor na nogę.

Kiedy Adamsberg zasypiał pod niebieską pierzyną, szykowano pokój dla obcego o włosach jak sierść warchlaka – Danica uważała, że nieznajomy ma przemiły uśmiech. Z jednej strony warga uroczo mu się unosiła, na moment rozpromieniając twarz. Bardzo długie rzęsy rzucały leciutki cień na policzki o rozmytych kształtach. Nie było porównania z nerwową rozbujaną powierzchownością Adamsberga. Nieznajomy nie starał się podobać. Niemniej na głowie nosił diabelskie znaki, a wiadomo, że diabeł może przybierać postać uwodziciela.

XXXIX

Veyrenc pozwolił inspektorowi pospać dwie godziny, później wszedł do jego pokoju, odciągnął zasłony, przysunął dwa krzesła do kominka, w którym Danica rozpałała wielki ogień. W pokoju panowała taka duchota, że z umarłego wycisnęłaby pot, co było właśnie celem Danicy.

– Jak tam twoje kopyto? Będiesz teraz centaurem czy pozostaniesz człowiekiem?

Adamsberg poruszył nogą, przetestował palce.

– Człowiekiem – powiedział.

– Wstępuje w niebiosa, unosząc się powoli,

Lecz to tylko człowiek, coś we śnie mu się roi.

Śmiertelny pozostał, upadek czekał go trudny.

Pójdźmy. Zapomnijmy o biegu marzeń złudnych.

– Chciałeś z tym skończyć.

– Niestety, o Panie,

Staralem się długo, karmiłem nadziejami, Aż uległem w walce z dawnymi upiorami.

– Zawsze tak jest. Danglard postanowił skończyć z białym winem.

– Niemożliwe.

– Przerzuca się na czerwone.

Zapadła cisza. Veyrenc wiedział, że ten lekki ton nie potrwa długo, a Adamsberg to przeczuwał. Było to po prostu pomocne wyciągnięcie dłoni przed trudną wspinaczką.

– Pytaj – powiedział wreszcie Veyrenc. – A jak nie będę już chciał twoich pytań, powiem ci.

– Dobra. Czemu zszedłeś z gór? Chcesz wrócić do służby?

– Jedno pytanie na raz.

– Chcesz wrócić do służby?

– Nie.

– Czemu zszedłeś z gór?

– Bo przeczytałem gazetę. Artykuł o masakrze w Garches.

– Interesowałaś się dochodzeniem?

– Tak. Dlatego śledziłem twoją pracę.

– Czemu nie przyjechałeś do brygady?
– Zamierzałem raczej cię pilnować, niż witać się z tobą.
– Zawsze działałeś po cichu, Veyrenc. Czego pilnowałeś?
– Twojego dochodzenia, twoich działań, spotkań, kierunku, w którym zmierzałeś.

– Dlaczego?

Veyrenc zakręcił palcem w powietrzu na znak, że prosi o następne pytanie.

– Naprawdę mnie śledziłeś?

– Byłem tu wieczorem na dzień przed twoim przyjazdem do Belgradu z tym owłosionym facetem.

– Vladislav jest tłumaczem. To nie są włosy, tylko sierść. Ma to po matce.

– Faktycznie tak powiedział. Jedna z moich przyjaciółek miała was podsłuchiwać w pociągu.

– Elegancka, bogata, ładne ciało, zła twarz. Tak ją opisał Vlad.

– Wcale nie jest bogata. Grała taką rolę.

– To powiedz jej, żeby się lepiej starała, bo wiedziałem o niej od Paryża. Jak się w Belgradzie dowiedziałeś, dokąd jadę? Nie było jej w autobusie.

– Zadzwoiłem do kumpla z działu delegacji, dawał mi znać, gdzie się wybierasz. Jak załatwiłeś rezerwację, godzinę później znałem cel: Kisiljevo.

– Nie można ufać gliniarzom.

– Ano nie, i dobrze wiesz o tym.

Adamsberg skrzyżował ręce, opuścił głowę. Biała koszula, którą pożyczyła mu Danica, była ozdobiona haftem przy szyi i mankietach, wpatrywał się w wyszyte połyskliwe ściegi czerwonych i żółtych nitek na swoich przegubach. Może takie same jak na butach wujka Slavka.

– A czy przypadkiem nie Mordent udzielił ci informacji? I nie poprosił, żebyś mnie śledził?

– Mordent? Dlaczego Mordent?

– Nie wiesz? Siedzi w domu z depresją.

– Jaki to ma związek?

– Ma związek z jego córką, która stanie przed sądem. Ma związek z ludźmi z góry, którzy nie zamierzają pozwolić na aresztowanie mordercy. Którzy uwzięli się na brygadę. Już trzymają za pysk Mordenta, każdy ma swoją cenę.

– Na ile mnie wyceniasz?

– Bardzo drogo.

– Dzięki.

– A Mordent tymczasem leni się, odwalając zdradziecką robotę.

– Pewno nie ma do tego zamiłowania.

– Ale w końcu zrobi swoje. Pod lodówką znajdzie się śliczna łuszcza, na dywanie strużyny z ołówka...

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie znam akt. To dlatego wypuściłeś podejrzanego? Zostałeś zmuszony?

– Mówisz o Émile'u?

– Nie, o tym drugim.

– Nie wypuściłem Zerka – powiedział Adamsberg stanowczo.

– Kto to jest Zerk?

– Zgniatacz, Zerquetscher. Zabójca Vaudela i Plögenera.

– Kto to jest Plögener?

– Austriak, który pięć miesięcy temu został tak samo potraktowany.

W sumie ty naprawdę nic nie wiesz. Ale otworzyłeś grobowiec w Kisilovej.

Veyrenc się uśmiechnął.

– Nigdy mi w pełni nie zaufasz, prawda?

– Jeśli cię zrozumiem, na pewno mi się uda.

– Poleciałem samolotem do Belgradu, przed tobą dojechałem taksówką do Kisiljeva.

– Zauważyliby cię we wsi.

– Spałem w szopie na polanie. Widziałem, jak przechodzisz tamtędy pierwszego dnia.

– Wtedy znalazłem Petera Plogojowitza.

– Co to za jeden?

I niewiedza Veyrencia wyglądała na autentyczną.

– Wiesz co? – powiedział Adamsberg, wstając. – Jeżeli nie znasz Petera Plogojowitza, to naprawdę nie masz tu co szukać. No chyba że twoim zdaniem byłem w niebezpieczeństwie. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego tak sądziłeś.

– Nie znalazłem się na cmentarzu z zamiarem wydostania cię z grobowca. Nie przyszedłem z myślą, że ci pomogę. Przeciwnie.

– No wreszcie – odetchnął Adamsberg. – Kiedy tak mówisz, lepiej cię rozumiem.

– Ale nie zostawiłbym cię na śmierć w grobowcu. Wierzysz mi?

– Tak.

– Myślałem, że ty jesteś zagrożeniem. Śledziłem cię, kiedy po szedłeś do młyna, zobaczyłem na drodze samochód z wypożyczalni na belgradzkiej rejestracji. Pomyślałem, że to twój. Nie wiedziałem, gdzie planujesz jechać, więc schowałem się w bagażniku. Wszystko potoczyło się inaczej. Razem z tobą wylądowałem na tym cholernym cmentarzu. Facet miał broń, a ja nic.

Czekałem czujnie. Już ci mówiłem, że co rusz wracał i sprawdzał, czy dobrze zamknął grobowiec. Mogłem coś zrobić dopiero dzisiaj późnym rankiem. Niewiele brakowało, a byłoby za późno. Jeszcze dwie godziny i stałbyś się centaurem.

Adamsberg usiadł, znowu przyjrzał się haftowi. Nie patrzeć na uśmiech Veyrencia, nie pozwolić się omotać temu człowiekowi jak taśmą klejącą.

– Czyli widziałeś Zerka.

– Tak i nie. Wyszedłem z bagażnika chwilę po was, ale trzymałem się dość daleko. Widziałem tylko wasze sylwetki. Jego skórzaną kurtkę, buty.

– Tak – potwierdził Adamsberg i zacisnął usta. – Zerk.

– Jeżeli mówiąc „Zerk”, masz na myśli zabójcę z Garches, to owszem, to był Zerk. Jeżeli mówiąc „Zerk”, masz na myśli faceta, który odwiedził cię we środę z rana, to nie był to Zerk.

– Wtedy też byłeś?

– Tak.

– I nie interweniowałeś? To był ten sam człowiek, Veyrenc. Zerk to Zerk.

– Który niekoniecznie jest Zerkiem.

– Znowu coś mętnie gadasz.

– Aż tak się zmieniłeś, żeś jasność umiłował?

Adamsberg wstał, wziął leżącą na kominku paczkę morav, przypalił papierosa od główki z kominka.

– Palisz?

– Przez Zerka. Zostawił u mnie paczkę. Będę palił, póki go nie dopadnę.

– To czemuś pozwolił mu odejść?

– Nie wkurzaj mnie, Veyrenc. Miał broń, nic nie mogłem zrobić.

– Nic? Nawet zadzwonić po wsparcie, kiedy odszedł? Nawet zamknąć dzielnicę? Dlaczego?

– Nie twoja rzecz.

– Wypuściłeś go, bo nie miałeś pewności, czy to zabójca z Garches.

– Tego jestem pewien na sto procent. Nie masz pojęcia o śledztwie. Musisz wiedzieć, że Zerk zostawił swoje DNA w Garches na chusteczce. Musisz wiedzieć, że to samo DNA we środę weszło do mojego domu na dwóch nogach z oczywistym zamiarem załatwienia mnie tego dnia albo jakiegoś innego. Musisz wiedzieć, że gość jest zły do szpiku kości. Musisz wiedzieć, że ani razu nie wyparł się morderstwa.

– Nie?

– Przeciwnie, był z tego dumny. Musisz wiedzieć, że później wrócił do mnie i rozdeptał małą kotkę. Musisz wiedzieć, że nosi koszulkę z nadrukiem zeber, kręgosłupa i kropel krwi.

– Wiem, widziałem go, jak odchodził.

Veyrenc wyjął papierosa z paczki, zapalił, zaczął krążyć po pokoju. Adamsberg wodził za nim wzrokiem, obserwował jego minę upartego warchlaka, która zupełnie pozbawiała jego rysy łagodności. Veyrenc chronił Zerka. A zatem Veyrenc kroczył ramię w ramię z Emmą Carnot. Czyli Veyrenc razem z innymi dążył do tego, aby go posłać do pierdła. Dlaczego w takim razie wyciągnął go z grobowca? Żeby do pierdła wpakować go legalnie?

– Musisz wiedzieć, Adamsberg, że trzydzieści lat temu niejaka Gisèle Louvois dała sobie zrobić dziecko przy mostku na Jaussene. Znasz to miejsce. Musisz wiedzieć, że ukryła ciążę w Pau i tam urodziła syna, Armela Louvois.

– Zerka. Wiem, Veyrenc.

– Bo ci powiedział o tym.

– Nie.

– Ależ tak. Wbił sobie do głowy, że ty zmajstrowałeś dziecko jego matce. Na pewno ci o tym mówił. Od kilku miesięcy tylko o tym myśli.

– No dobra, gadaliśmy na ten temat. Zgadza się, wbił sobie to do głowy. A raczej matka mu wbiła.

– I nie bez kozery.

Veyrenc wrócił do kominka, cisnął do niego niedopałek, przykucnął, by przegrzebać ogień. Adamsberg nie czuł już ani krzty wdzięczności wobec byłego podwładnego. Co prawda Veyrenc uwolnił go od scotcha, teraz jednak szykował na niego pułapkę.

– Wyłóż, co ci leży na wątrobie, Veyrenc.

– Zerk ma słuszość. Jego matka ma słuszość. Chłopakiem z mostka na Jaussene był Jean-Baptiste Adamsberg. Bezspornie. -Veyrenc podniósł się z lekko spoconym czołem. – Co czyni z ciebie ojca Zerka albo Armela, jak wolisz.

Adamsberg zacisnął zęby.

– Veyrenc, skąd miałbyś wiedzieć o czymś, o czym ja nie wiem?

– W życiu często tak bywa.

– Tylko raz mi się zdarzyło, że nie pamiętałem, co robiłem, i to było w Quebecu, kiedy się piłem w sztok^[5]. Trzydzieści lat temu nie piłem ani kropli. Co sugerujesz? Że dopadła mnie amnezja, jakieś rozdwojenie jaźni i że kochałem się z dziewczyną, której nigdy na oczy nie widziałem? W życiu nie spałem ani nawet nie rozmawiałem z żadną Gisèle.

– Wierzę ci.

– I dobrze.

– Nienawidziła swojego imienia i chłopakom przedstawiała się inaczej. Nie spałeś z Gisèle, spałeś z Marie-Ange. Koło mostka na Jaussene.

Adamsberg poczuł ostrą jazdę w dół po stromiźnie. Skóra go paliła, w głowie łupało. Veyrenc wyszedł z pokoju, Adamsberg zaś zanurzył palce we włosach. Oczywiście, że spał z taką jedną Marie-Ange – włosy na chłopczycę, zęby lekko wystające, deszczyk i wilgotna trawa, przez to wszystko o mało nie spaliło na panewce. Oczywiście, że na liście, który otrzymał jakiś czas później, zawiliwym i niezrozumiałym, widniał jej podpis. Oczywiście, że Zerk był do niego podobny. A więc tak wygląda piekło. Nagle dwudziestodwuletni syn spada ci na kark, który się łamie pod ciężarem brzemia. Dowiadujesz się, że jesteś ojcem typu, który posiekał Vaudela na kawałeczki, a ciebie zamknął w grobowcu. „Wiesz, gdzie jesteś, bucu?” Nie, sam już nie wiedział, gdzie jest, buc, czuł tylko spoconą piekącą skórę, głowa opadła mu na kolana jak głaz, łzy szczypały w oczy.

Veyrenc wrócił bez słowa z tacą zastawioną butelką, serem i chlebem. Postawił tacę na podłodze, nie patrząc na Adamsberga, usiadł tam gdzie przedtem, napełnił szklanki, rozsmarował na chlebie ser – kajmak, Adamsberg go rozpoznał. Patrzył na to, co Veyrenc robi, rękami wciąż trzymając się za głowę. Smarować kanapki kajmakiem, czemu nie? W punkcie, w którym się znalazł..

– Przykro mi – powiedział Veyrenc, podając mu szklankę.

Kilkakrotnie przystawił ją do dłoni Adamsberga, tak jak zmusza się dziecko, by rozluźniło palce, otrząsnęło się z gniewu albo z rozpacz. Adamsberg poruszył jedną ręką, ujął szklankę.

– Ale to ładny chłopak – dodał Veyrenc, acz bez większego efektu, jakby chciał wlać kroplę nadziei w ocean nieszczęścia.

Adamsberg duszkiem wychylił szklankę, porannego kielicha, od którego się rozkaszał, lecz tym poczuł się pokrzepiony. Dopóki czuje się własne ciało, można jeszcze coś zrobić. O ostatniej nocy tego nie mógł powiedzieć.

– Skąd wiesz, że spałem z Marie-Ange?

– Bo to moja siostra.

Szlag!... Adamsberg bez słowa nadstawił szklankę Veyrencowi, który ją napełnił.

– Zakaś.

– Nie mogę jeść.

– Mimo to zjedz, zmusz się. Ja też prawie nic nie jem, odkąd zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie. Ty może i jesteś ojcem Zerka, ale ja jestem jego wujkiem. To niewiele lepiej.

– Czemu twoja siostra nazywa się Louvois, a nie Veyrenc?

- To moja przyrodnia siostra, córka matki z pierwszego małżeństwa. Nie pamiętasz ojca Louvois? Węglarza, który wyjechał z Amerykanką?
- Nie. Czemuś mi tego nie powiedział, kiedy byłeś w brygadzie?
- Moja siostra i mąż nie chcieli o tobie słyszeć. Nie lubią cię.
- A czemu nie możesz jeść, odkąd zobaczyłeś gazetę? Mówisz, że Zerk nie zabił starego. Czyli w sumie pewności nie masz?
- Nie. Nic a nic.

Veyrenc wetknął kanapkę w dłoń Adamsberga i obaj sumiennie, acz ze smutkiem zaczęli przeżuwać chleb przy dogasającym ogniu.

XL

Adamsberg tym razem uzbrojony przeszedł drogą nadrzeczną, potem leśną, unikając niepewnych miejsc. Danica nie chciała go wypuścić, lecz potrzeba pochodzenia była silniejsza niż obawy szefowej kruszmy.

– Muszę odżyć, Danica. Muszę zrozumieć – wyjaśnił.

Zgodził się ostatecznie na eskortę, tak że Bosko i Vukasin szli za nim w pewnej odległości. Od czasu do czasu, nie odwracając się, dawał im znak ręką. Powinien zostać w Kisilovej, w wiosce nietkniętej wojną, z ludźmi uprzejmymi i uczynnymi, powinien uciec od tych wszystkich na górze, prześliznąć im się między palcami, uciec od tego syna, który wyłonił się z piekieł. Z każdym krokiem myśli mu wzlatywały i opadały bez ładu i składu, były jak ryby nurkujące w wodzie, wypływające na powierzchnię, a on nie próbował ich łapać. Zawsze tak postępował z rybami, które pluskały mu w głowie, zawsze pozwalał im pływać, jak chciały, krążyć w tańcu zgodnym z rytmem jego kroków. Adamsberg obiecał Veyrencowi, że spotkają się w kruszmi na późny lunch, i po półgodzinnym marszu, po napatrzeniu się na wzgórze, winoroślą i drzewa, poczuł się na to lepiej przygotowany. Zrobił w tył zwrot, uśmiechnął się do Boska i Vukasina, posłał im dwa znaki, które znaczyły „dziękuję” i „wracamy”.

– Pozostaje nam to przemyśleć – rzekł Veyrenc, rozkładając serwetkę.

– Tak.

– Albo zostaniemy tutaj do końca naszych dni.

– Poczekaj chwilę – poprosił Adamsberg, podnosząc się.

Vlad siedział sam przy stoliku, Adamsberg wyjaśnił mu zatem, że musi pogadać z Veyrenkiem w cztery oczy.

– Bałeś się? – zapytał Vlad, który zdawał się ciągle pod wrażeniem widoku szaro-czerwonego Adamsberga wyłaniającego się spod ziemi, co nazywał „wyjściem z grobowca”, jak w jednej z opowieści jego deda.

– Tak. Bałem się i cierpiałem.

– Myślałeś, że umrzesz?

– Tak.

- Miałeś nadzieję?
- Nie.
- A powiedz, o czym myślałeś. Co ci chodziło po głowie.
- Kobasice.
- No proszę cię! – obruszył się Vladislav.
- Przysięgam na twoją głowę, że po mojej chodziły wtedy kobasice.
- To śmieszne.
- Nie wątpię. A co to jest?
- Kiełbaski. A o czym jeszcze myślałeś?
- O oddychaniu. O czerpaniu powietrza po łyżczku. I o jednym wierszu: „Ty, coś w mroku grobowym pociechą mi była”.
- Coś cię pocieszyło? Niebiosa?
- Jakie tam niebiosa!
- Więc kto?
- Nikt, Vlad. Byłem sam.
- Gdybyś nie myślał o nikim i o niczym – rzekł Vladislav z lekkim gniewem w głosie – ten wiersz nie przyszedłby ci do głowy. Co cię pocieszyło? Kto?
- Nie umiem odpowiedzieć. Czemu tak się denerwujesz?
- Młody człowiek o pogodnym charakterze spuścił głowę, grzebiąc widelcem w talerzu.
- Bośmy cię szukali. Bośmy cię nie znaleźli.
- Nie mogłeś zgadnąć, gdzie jestem.
- Ja w to nie wierzyłem, miałem to gdzieś. Dopiero Danica mnie zmusiła. Powinienem był wczoraj iść z tobą.
- Vlad, ja nie chciałem, żeby ktoś ze mną szedł.
- Arandel mi kazał – szepnął Vladislav. – Powiedział, żebym cię nie odstępował ani na krok. Bo byłeś w niepewnym miejscu.
- A ciebie to rozśmieszyło.
- Pewnie. Nie zastanawiałem się. Nie wierzę w to.
- Ja też nie.
- Młody Serb pokiwał głową.
- Plog – powiedział.

Danica stropiona obsłużyła policjantów, obdarzając uśmiechem na przemian Adamsberga i Veyrenca. Adamsberg domyślił się, że jest zmieszana z powodu obecności nowego nieznanego. Co wcale go nie uraziło, albowiem postanowił, że już do kresu swoich dni z nikim nie będzie spał.

– Myślałeś, kiedy chodziłeś? – zapytał Veyrenc.

Adamsberg popatrzył na niego zdziwiony, jakby Veyrenc go nie znał, jakby oczekiwał po nim niemożliwego.

– Wybacz – przeprosił go Veyrenc z gestem, który oznaczał, że wycofuje pytanie. – Chciałem zapytać: mógłbyś teraz coś powiedzieć?

– Tak. Odkąd rozpoznałeś Zerka w gazecie, śledziłeś każdy mój krok, żebym go nie dopadł. Tylko dlatego, że to twój siostrzeniec. Przypuszczam więc, że jesteś do niego przywiązany, że dobrze go znasz.

– Tak.

– Kiedy usłyszałeś go przed grobowcem, rozpoznałeś jego głos?

– Byłem za daleko. A kiedy ciebie zamknął, rozpoznałeś głos?

– Tylko raz się odezwał, już po zamknięciu drzwi. A drzwi były za grube, żeby się słyszeć, nawet gdyby krzyczał, czego nie chciał robić. Wsunął pod drzwi malutki głośniczek, który zniekształcał jego głos. Ale sposób mówienia na pewno był ten sam. „Wiesz, gdzie jesteś, bucu?”

– Nie wierzę, że tak powiedział – sprzeciwił się Veyrenc.

– Powiedział. Lepiej w to uwierz.

– Gdyby ktoś dobrze znał Armela, mógłby go naśladować.

– Tak, można go naśladować. Czasem nawet on mówi tak, jakby naśladował samego siebie.

– No widzisz.

– Veyrenc, masz przynajmniej jedną przesłankę na potwierdzenie tego?

– Jestem ostrożny, kiedy zabójca zostawia swoje DNA na miejscu zbrodni.

– Ja też – zgodził się z nim Adamsberg, oczami wyobraźni widząc śliczną łuseczkę pod lodówką. – Mówisz o ślicznej chusteczce zostawionej w ogrodzie?

– Tak.

– Masz coś więcej?

– Dlaczego Armel odezwał się do ciebie, dopiero kiedy zamknął grobowiec?

– Żeby nikt go nie usłyszał.

– Albo żebyś ty go nie usłyszał, bo nie rozpoznałbyś jego głosu.

– Veyrenc, chłopak nie wypierał się morderstwa. Jak w tej sytuacji chcesz go ratować?

– Pokazać, jaki jest. Znam go. Po porodzie moja siostra została w Pau. Nie mogła wrócić do wioski z dzieckiem bez ojca. Chodziłem wtedy do liceum, przeprowadziłem się z internatu do niej, mieszkaliśmy z nią przez siedem lat. Potem skończyłem tam studia, zostałem nauczycielem, nigdy ich nie

opuściłem. Znam Armela jak siebie samego.

– I będziesz mnie przekonywał, że to greczny chłopczyk. Dzielny chłopczyk, który nie nadmuchiwał ropy, kiedy był mały.

– A co, to niemożliwe? Od najmłodszych lat bardzo rzadko tracił nad sobą panowanie. Taki jest do dzisiaj. W jego arsenale nie znajdziesz gniewu, napastliwości ani buty. On jest nieuchwytny, niezdiscyplinowany, leniwy, nawet obojętny. Ale nikt Armela nie wyprowadzi z równowagi. A można powiedzieć z niemal stuprocentową pewnością, że ten, kto posiekał Vaudela, był zdenerwowany.

– To można ukrywać.

– Adamsberg, sekretem tego zabójcy jest zniszczenie. Armel nie myśli o niszczeniu, bo nie myśli nawet o budowaniu. Wiesz, z czego żyje? Wytwarza biżuterię i oddaje ją do sprzedaży. Nie ma większych ambicji. Włóczy się po świecie, na niczym mu nie zależy. Więc powiedz, czy taki człowiek miałby w sobie dość chęci i energii, żeby godzinami siekać Plögenera i Vaudela?

– Do mnie wcale nie przyszedł łagodny młody człowiek. Zobaczyłem przeciwieństwo twojego siostrzeńca. Zobaczyłem gościa bardzo nerwowego, brutalnego, który bluzgał i kąsał, przesiąkniętego nienawiścią, zamierzającego „zatruc mi życie”. A przecież jego widziałeś wychodzącego ode mnie? Swojego Armela?

– Tak – przyznał Veyrenc zmieszany, nie zauważając nawet, że Danica zmieniła talerze, przyniosła deser.

– Zavitek – powiedziała.

– Hwała, Danica. Pogódź się z tym, Veyrenc. Pod twoim Armelem ukrywa się Zerk.

– Raczej na moim Armelu.

– Co masz na myśli?

– Że to rola.

– Moment – rzekł Adamsberg, kładąc dłoń na ramieniu Veyrenca. – Rola... Tak, to możliwe.

– Bo?

– Bo po pierwsze, cały czas szydził, do przesady. Po drugie, miał na sobie nowiutką koszulkę. Widziałeś, żeby się ubierał jak got?

– Nigdy. On zawsze wciąga na siebie byle szmatę, co mu wpadnie w ręce. Bez gustu, bez woni, bez wartości. Mniej więcej tak myśli o sobie.

– Jak reagował, kiedy była mowa o jego ojcu?

– Jako dziecko był zawstydzony, później spuszczał głowę.

– Może jest jedna przesłanka, Veyrenc. Coś lepszego niż ta chusteczka,

która jakby spadła z nieba, niż twój poczciwy siostrzeniec, niż jego nowiutka koszulka. Ale wszystko zależy od twojej wiedzy.

Veyrenc z napięciem we wzroku wpatrzył się w Adamsberga. Jakąkolwiek czuł kiedyś do niego urazę i jakiegokolwiek żywił podejrzenia, zawsze podziwiał tego faceta, liczył na jakieś jego spokojne wzmożenie w chwili, kiedy można by sądzić, że umysł ma zamulony, nawet gdyby trzeba przegrzebać beczki szlamu, aby znaleźć gram złota.

– Czy w rodzinie twojej matki, wśród bliższych i dalszych przodków, jest ktoś, czyje nazwisko kojarzyłoby się z Arnoldem Paolem?

Veyrenc poczuł rozczarowanie. To tylko kolejna beczka szlamu.

– P-A-O-L-E – przeliterował Adamsberg. – Nawet w formie Paolet albo sfrancuszczone, na przykład Paul czy Paulus, jak bądź. A przynajmniej imię i nazwisko, które zaczynają się na A i P.

– Paole. Co to za nazwisko?

– Serbskie. Tak jak Plogojowitz, które uległo zniekształceniu, zostało ukryte pod nazwiskami Plogerstein, Plögener, Plog, Plogodrescu. Plogoff odrzucamy, to w Bretanii i z tym nie ma nic wspólnego.

– Już wspominałeś o tym Plogojowitzu.

– Nie wymawiaj tu głośno tego nazwiska – ostrzegł Adamsberg, obrzucając wzrokiem salę.

– Dlaczego?

– Mówiłem ci. Peter Plogojowitz jest wampirem, i to najpierwszym. Żyje tutaj. – Adamsberg wygłosił to tak naturalnie, jakby chlebem powszednim były dla niego wierzenia obowiązujące w Kisilovej. Zaskoczyła go troska widoczna na twarzy Veyrenca. – Co? – powiedział. – Nie rozumiesz, że trzeba rozmawiać po cichu?

– Nie rozumiem, co ty robisz. Ścigasz wampira?

– Niezupełnie. Ścigam potomka wampira, który był ofiarą wampira. Cały ród był ofiarą od tysiąc siedemset dwudziestego siódmego roku.

Veyrenc wolno kręcił głową.

– Wiem, co robię, Veyrenc. Zapytaj Arandę.

– Tego, który ma klucz.

– Tak. Tego, który nie pozwala Plogojowitzowi wyjść z grobu. Plogojowitz leży na końcu polany na skraju lasu, niedaleko od szopy, w której spałeś. Może go widziałeś.

– Nie – zdecydowanie odparł Veyrenc, jakby w ogóle odrzucał samo istnienie tego grobu.

– Zapomnij o Plogojowitzu – powiedział Adamsberg, machając ręką na dwuznaczności. – Skup się na szukaniu nazwiska wśród swoich przodków

po kądzeli, czyli wśród przodków Zerka. Znasz je przynajmniej?

– I to bardzo dobrze. Do znudzenia bawiłem się genealogią.

– Świetnie. Zapisz je na obrusie. Jak daleko możesz się cofnąć?

– Do roku tysiąc siedemset sześćdziesiątego szóstego. Dwadzieścia siedem nazwisk.

– Wystarczy.

– Nie było trudno ustalić, wszyscy przodkowie pobierali się z osobami z sąsiedniej wioski. Najzuchwalsi brali sobie małżonków, którzy mieszkali aż sześć kilometrów dalej. Przypuszczam, że kochali się koło mostka na Jaussene.

– Wygląda na to, że taką macie tradycję.

Adamsberg oderwał kawałek obrusu, na którym Veyrenc wypisał nazwiska. Nie było wśród nich ani śladu żadnego Paolego.

– Słuchaj uważnie, Veyrenc. Zabójca Pierre'a VaudelaPloga i Conrada Plögenera wywodzi się z rodu Arnolda Paolego, który zmarł w tysiąc siedemset dwudziestym siódmym roku w Medvedi położonej niedaleko stąd. Zerk nie pochodzi od żadnego Paolego. Pozostają więc dwa wyjaśnienia, jeśli chodzi o twojego siostrzeńca.

– Przestań go nazywać „moim siostrzeńcem”. To także twój syn.

– Nie mam ochoty mówić „mój syn”. Wolę mówić „twój siostrzeniec”.

– Zrozumiałem.

– Albo twój siostrzeniec popełnił te zbrodnie za namową jakiegoś Paolego. Albo jakiś Paole je popełnił i podrzucił śliczną chusteczkę twojego siostrzeńca. W obu wypadkach musimy znaleźć potomka Arnolda Paolego.

Danica postawiła na stole dwa malutkie kieliszki.

– Uważaj – ostrzegł Adamsberg. – To rakija.

– I co z tego?

– Skosztuj. Gdybym miał rakiję, nigdy bym nie umarł w grobowcu.

– Froissy – rzekł Veyrenc z tęsknotą w głosie, wspominając trzy malutkie buteleczki koniaku. – A jak znajdziemy tego potomka Paolego?

– Wiemy o nim jedno. Ten Paole ma wpływ na twojego siostrzeńca i zna go na tyle dobrze, że może go naśladować. Rozejrzyj się po jego otoczeniu, szukaj jakiegoś substytutu ojca, kogoś, kogo chłopak widuje często, podziwia, boi się.

– Ma dwadzieścia dziewięć lat, niewiele wiem o jego życiu, odkąd mieszka w Paryżu.

– A jego matka?

– Jego matka cztery lata temu wyszła za mąż, mieszka w Polsce.

– Nie widzisz nikogo, kto by pasował?

– Nie. I jeżeli nie popełnił zbrodni, to nie tłumaczy, dlaczego przechwalał się tym przed tobą.

– Owszem – rzekł Adamsberg, odwracając role. – Przekształcenie się Armela w Zerka to dla niego gratka. Zmienia się z dobrego w złego, ze słabego w silnego. Jeśli manipulował nim jakiś Paole, na to właśnie liczył. „Syn niszczy ojca”. Tak mi powiedział. Mordent zaalarmował Armela, który posłuchał go i uciekł, potem wpadła mu w ręce gazeta. Zgadzasz się?

– Tak.

– Jego zdjęcie jest na pierwszej stronie, nagle stał się kimś, imponującym potworem, a za przeciwnika ma inspektora Adamsberga. W pierwszej chwili jest zaskoczony. Ale później stwierdza, że nadarza mu się okazja. Nieoczekiwanie dostał władzę, jakiej dotąd nie miał! Wspaniała sposobność, żeby się zemścić na ojcu! Co ryzykuje, odgrywając tę jednodniową rolę? Nic. Co zyskuje? Dużo: dokuczy ojcu, pokaże mu, co złego zrobił, zawstydzi go i wpędzi w poczucie winy. Czy zaprzęta sobie głowę chusteczką? Tym, że na miejscu zbrodni znaleziono jego DNA? Nawet o tym nie myśli. Według niego to zwykła pomyłka, niedługo zostanie sprostowana. Dowód? Kazano mu uciec, póki wszystko nie wróci do normy. Czasu nie ma dużo, to okazja, uśmiech losu, chce go wykorzystać. Chce zjawić się u ojca w takim stroju, jakiego wymaga ten ktoś. Ma mówić jak morderca, stać się Zerkiem, znieważać, zniszczyć tego gnoja Adamsberga. Patrz, Adamsberg, patrz, twój syn jest mordercą, twój syn panuje nad tobą i niszczy cię, ty zawiniłeś, cierp teraz, tak jak ja cierpiałem. Żałuj, krzycz, za późno. Potem odchodzi, odegrał farsę, wyrzuty sumienia i strach zagnieździły się Adamsbergowi w głowie, ojciec jest obezwładniony, zemsta dokonana. Twój siostrzeniec wcale nie jest taki łagodny.

– Wobec ciebie.

– Tak. Teraz jest usatysfakcjonowany, oczyszczony. Tyle że policja nie publikuje żadnego sprostowania w sprawie DNA. Chłopak nadal jest zabójcą z Garches. Role się odwracają. Przydałby mu się ojciec, ale Armel przed nim do wszystkiego się przyznał, wszystko wyjawiał. Przerażony Armel ukrywa się skazany na ucieczkę. Takie postępowanie mógł przewidzieć każdy o jakim takim pomysłu i umiejący manipulować innymi. Kto? Człowiek, który zna go od dawna, człowiek, który wywiera na niego wpływ.

– Dyrygent chóru – powiedział Veyrenc, stukając kieliszkiem w stół. – Germain. On wywiera na niego wpływ. Nigdy go nie lubiłem, moja siostra też, ale Armel od niego zniesie wszystko.

– Wyjaśnij.

– Armel jest tenorem, od dwunastego roku życia śpiewał w chórze przy Notre-Dame w La Croix-Faubin. Często z nim tam chodziłem, byłem na próbach. Dyrygent podporządkował go sobie. To taki typ faceta.

– Jak go podporządkował?

– Stale zmieniał zdanie, raz go chwalił, raz poniżał. Armel stał się w jego rękach jak wosk. Nie tylko on był jego ofiarą. Germain rządził tak z piętnastoma osobami. Później wyjechał do Paryża i wszystko ustało. Skończyło się śpiewanie w Notre-Dame w La Croix-Faubin. Ale kiedy Armel także zaczął pracować w Paryżu, zaczęło się od nowa. Śpiewał solową partię mszy Rossiniego i odniósł spory sukces. Był uszczęśliwiony. Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy znowu zrobił się jak wosk. Dwa lata temu Germain stanął przed sądem za nękanie i chór został rozwiązany. A głupi Armel był zrozpaczony.

– Widywał się z nim później?

– Twierdzi, że nie, ale sądzę, że kłamie. Możliwe, że facet go zaprasza do siebie, lubi, kiedy Armel śpiewa tylko dla niego. To schlebialió dziecku, nadal schlebia dorosłemu. Armel czuje się ważny dla ojca, a tymczasem ojciec go usidlił.

– Ojciec?

– W religijnym sensie. Ojciec Germain.

– Znasz jego prawdziwe nazwisko?

– Nie. Inaczej nikt się do niego nie zwracał.

Danglard po powrocie z pracy zdjął garnitur i w podkoszulku legł przed wyłączonym telewizorem, zjadając jedną po drugiej pastylki na kaszel, aby czymś zająć szczęki. Komórkę trzymał w jednej ręce, okulary w drugiej i co pięć minut sprawdzał, czy ktoś nie dzwonił. O piętnastej pięć przyszła wiadomość z zagranicy, kierunkowy 00381. Otarł chusteczką policzki, przeczytał esemesa: „Wyszedłem z grobu. Szukaj czegoś o ojcu Germainie, chór N.-D, w La Croix-Faubin”.

Z jakiego grobu, do licha? Wilgotnymi rękami, z gardłem ściśniętym złością i mięśniami oklapłymi z ulgi, Danglard szybko wystukał: „Czemu nie uprzedziłeś wcześniej?”.

„Brak zasięgu, różnica czasu” – odpowiedział Adamsberg. „Więc poszedłem spać”.

No fakt, pomyślał Danglard, czując się winny. Z piwnicy dopiero około wpół do pierwszej wyciągnęła go Retancourt.

„Co za grób?” – napisał w odpowiedzi.

„Grobowiec 9 Płogojowiczów. Bardzo zimny. Odzyskałem obie nogi”.

„Kuzyna mojego wuja?”

„Moje nogi. Wracam jutro”.

XLI

Adamsberg nie był człowiekiem poddającym się emocjom, on uczuć dotykał ostrożnie jak jerzyk, który otwarte okno muska skrzydłem, lecz nie wlatuje za nie, bo przecież tak trudno później się wydostać. Swego czasu często znajdował nieżywe ptaki w wiejskich domach, gdy nieostrożni ciekawi goście nie potrafili znaleźć otworu, przez który dostali się do środka. Adamsberg uważał, że na niwie miłości człowiek nie jest sprytniejszy od ptaka wlatującego do budynku. I że w każdej innej dziedzinie ptaki są dużo cwańsze. Jak motyle, które nie wleciały do młyna.

Jednakże pobyt w grobowcu niewątpliwie go osłabił, wstrząsając jego światem afektywnym, dlatego ze ściśniętym sercem myślał o wyjeździe z Kisilovej. Z jedyne miejsca, gdzie zdołał zapamiętać nowe słowa nie do wymówienia, co dla niego było wcale niebłahym wydarzeniem.

Danica uprała i wyprasowała piękną białą koszulę ozdobioną haftem, aby zabrał ją do Paryża. Przyszli wszyscy, stali rzędem przed kruszmą sztywni i uśmiechnięci, Arandel, kobieta od wózka i jej dzieci, stali bywalcy zajazdu, Vukasin, Bosko z żoną, którzy od poprzedniego dnia nie odstępili go na krok, i inni ludzie, o nieznanym twarzach. Vlad zostawał jeszcze na kilka dni. Starannie uczesał i związał czarne włosy. Adamsberg, zwykle nieskory do wylewności, każdego uściskał, zapowiadając, że jeszcze tu wróci – *vratiću se* – że są jego przyjaciółmi – *prijatelji*. Smutek Danicy łagodziło to, że sama nie wiedziała, którego z mężczyzn żałuje bardziej, tancerza czy czarusa. Vlad wygłosił jeszcze ostatnie „plog” i Adamsberg z Veyrenkiem pomaszzerowali do autobusu, który ich zawiezie do Belgradu. Stamtąd mieli lecieć do Paryża, gdzie znajdą się po południu. Vladislav zapisał im na kartce zdania potrzebne, aby poradzić sobie na lotnisku. Idąc drogą, Veyrenc, który niósł płócienną torbę wypakowaną przez Danicę prowiantem na dobre dwa dni, mamrotał:

– Odeść trzeba z miejsca smętkiem naznaczonego.

Wyrusza, łyż lejąc, pomstując na los głupi,

Który mu zawierzył syna odrzuconego.

– Mercadet mówi, że nie zwracasz uwagi na metrum i że często rymy ci nie wychodzą.

– Ma rację.
– Coś tu nie pasuje, Veyrenc.
– No pewnie. Wiersz nie jest przez to rytmiczny.
– Mówię o psiej sierści. Twój siostrzeniec miał psa, który umarł kilka tygodni przed zabójstwem w Garches.

– Stokrotkę, sukę, którą przygarnął. Była jego czwartym zwierzakiem. To częste u porzuconych dzieci. Przygarniają psy. Co za problem z tą sierścią?

– Porównano ją z sierścią Stokrotki zostawioną w mieszkaniu. Ta sama.

– Ta sama sierść co jaka sierść?

Autobus ruszył.

– W pomieszczeniu, w którym zamordowano Vaudela, zabójca usiadł na fotelu obitym aksamitem. Na ludwiku trzynastym.

– Czemu zaznaczasz, że na ludwiku trzynastym?

– Bo Mordentowi na tym zależy, cokolwiek się z nim dzieje dzisiaj. Zabójca na nim siedział.

– Jak przypuszczam, chciał odetchnąć chwilkę.

– Tak. Pod butami miał końskie łajno, parę grudek zostawił tu i tam.

– Ile grudek?

– Cztery.

– No widzisz. Armel nie lubi koni. Spadł z jednego, jak był mały. On nie jest zabijaką.

– Bywa na wsi?

– Mniej więcej raz na dwa miesiące przyjeżdża odwiedzić dziadków.

Adamsberg się skrzywił.

– Jak wiesz, na niektórych drogach we wsi leży końskie łajno. Chłopak ma gumiaki?

– Tak.

– Wkłada je, kiedy wychodzi?

– Tak.

Przez chwilę w milczeniu obaj wyglądali przez okno.

– Mówiłeś o sierści.

– Zabójca zostawił kilka włosów na fotelu. Sierść mocno się czepia aksamitu. Miał ją na spodniach na tyłku, czyli przyniósł prosto od siebie. Jeśli zakładamy, że śliczną chusteczkę morderca zwędził Zerkowi, możemy założyć to samo w odniesieniu do sierści.

– Rozumiem – rzekł Veyrenc bezbarwnym głosem.

– Nie jest łatwo ukraść komuś zużytą chusteczkę, ale jak się zaopatrzyć w psią sierść? Zbierając włos po włosie z dywanu na oczach Zerka?

– Wchodząc do niego pod jego nieobecność.

– Sprawdziliśmy to. Trzeba wpisać kod, jest też domofon. To sugeruje, że facet był na tyle blisko z Zerkiem, że znał jego kod. Założmy. Ale trzeba otworzyć następne drzwi. I drzwi do mieszkania Zerka. Żaden zamek nie został sforsowany. Co gorsza nasz przyjaciel Weill i sąsiadka z naprzeciwka zapewniają, że Zerka nikt nie odwiedzał. Nie ma dziewczyny?

– Od roku nie ma. Mówisz o Weillu z quai des Orfèvres? – Tak.

– Co on robi w tej sprawie?

– Mieszka w tej samej kamienicy co twój siostrzeniec. Fajnie się dogadywali. Można by sądzić, że Zerka bawiło przestawanie z glinami.

– Nie. Ja za pośrednictwem Weilla znalazłem mu to mieszkanie, kiedy przeniósł się do Paryża. Nie wiedziałem, że się widywali.

– A owszem. I Weill go polubił. Broni go.

– To on zadzwonił wczoraj, kiedy rozgrzewałeś kopyto? Na ten drugi telefon?

– Tak. Włączył się w sprawę od samego początku. Zajął się grzebaniem wśród ludzi na samej górze. On dał mi ten telefon... I wyjął lokalizator z mojego przed wyjazdem – dodał Adamsberg po krótkiej chwili.

– I szkoda.

– Plog – mruknął Adamsberg.

– Co rozumiesz przez „plog”?

– To słowo Vladislava, znaczenie się zmienia zależnie od kontekstu. Może znaczyć „jasne”, „właśnie”, „zgoda”, „rozumie się”, „trafiony”, ewentualnie „bzdura”. Jest jak spadająca kropla prawdy.

Prowiant od Danicy z racji jego obfitości wypakowali na podwójnym stoliku na belgradzkim lotnisku, do tego wzięli piwo i kawę. Adamsberg przeżuwał kanapkę z kajmakiem, nie bardzo chciał rozwijać tamtą myśl.

– Trzeba przyznać – rzekł ostrożnie Veyrenc – że włączenie Weilla do układu załatwiłoby kwestię drzwi z domofonem. Mieszka w kamienicy, ma klucze. Zna Armela. Gość jest inteligentny, wyrafinowany i bezdyskusyjnie umie narzucać swoją wolę, potrafiłby podporządkować sobie młodego człowieka takiego jak Armel.

– Zamek Zerka nie został sforsowany.

– Weill to glina, Weill ma klucz uniwersalny. Zamek jest prosty?

– Tak.

– Bywał u Armela?

– Nie, ale to wiem tylko od Weilla. Zerk natomiast często bywał u niego w środowe wieczory.

– Co bardzo ułatwia zdobycie brudnej chusteczki i psiej sierści. Ale już butów z końskim łajnem nie.

– To żaden problem. Gospodyni pastuje drewniane schody i nie życzy sobie, żeby chodzono po nich w ubłoconych butach. Gumiaki i wszelkie obuwie wycieczkowe trzeba zostawiać na parterze w szafce pod schodami, każdy lokator ma do niej klucz. Cholera, Veyrenc, Weill jest w centrali od ponad dwudziestu lat.

– Weill ma gdzieś policję, on kocha tylko prowokacje, kuchnię i sztukę. Ale niekoniecznie klasyczną. Byłeś kiedyś u niego?

– Nieraz.

– No to wiesz, jak wygląda jego mieszkanie: kapitalna graciarnia, od której włos na głowie się jeży. Kto to raz zobaczył, nigdy nie zapomni. Pamiętasz figurkę mężczyzny w cylindrze, z erekcją i żonglującego butelkami? Albo mumię ibisa? Autoportrety? Kanapę Immanuela Kanta?

– Lokaja Immanuela Kanta.

– Tak, lokaja Lampego. Albo fotel, w którym umarł jeden biskup? Żółty plastikowy krawat przywieziony z Nowego Jorku? Przy takiej bazarowej estetyce siekanie Plogojowiczów przez jakiegoś osiemnastowiecznego Paolego musi mieć walor artystyczny. Jak sam Weill powiada, sztuka to parszywa robota, ale ktoś ją musi wykonywać.

Adamsberg pokręcił głową.

– On ustalił siedem szczebli drabiny, która prowadzi na samą górę, do Emmy Carnot na ostatnim.

– Do wiceprzewodniczącej Rady Stanu?

– We własnej osobie.

– Co jej zarzuca?

– Carnot kupiła prezesa Sądu Kasacyjnego, który kupił prokuratora, który kupił sędziego, który kupił innego sędziego, który kupił naszego Mordenta. Za kilka dni jego córka staje przed sądem, grozi jej spory wyrok.

– Cholera. Czego Carnot żąda od Mordenta?

– Posłuszeństwa. Mordent jest sprawcą przecieku do prasy, żeby przykryć ucieczkę Zerka. Zaraz po odkryciu morderstwa strzelał byki jeden za drugim, żeby spartaczyć śledztwo, a na koniec u syna Vaudela podrzucił dowody, które mogą mnie zaprowadzić za kratki w miejsce zabójcy.

– Śliczne strużyny z ołówka?

– Właśnie. Emma Carnot w taki czy inny sposób jest powiązana z morderstwem. Z rejestru urzędu stanu cywilnego wyrwano kartkę z wpisem jej małżeństwa. Należy przypuszczać, że gdyby to małżeństwo wyszło na jaw, jej kariera by padła. Jeden ze świadków już został

załatwiony. Szukamy drugiego. Carnot gotowa jest rozdeptać każdego, byle ratować własne interesy.

Po tym zdaniu Adamsbergowi stanął przed oczami widok malutkiej kotki pod buciorem Zerka. Przeszedł go dreszcz.

– Nie ona jedna.

– Dlatego jej machina wojenna będzie się toczyła gładko, każdy dostanie za swoje. Z wyjątkiem przyszłych ofiar Paolego, Èmile'a i mnie. Ja wylecę w powietrze za trzy dni. Jak paląca ropucha.

– Masz na myśli ropuchy, którym wtykaliśmy papierosa do pyska?

– Owszem.

– Zbadali strużyny z ołówka?

– Przyjaciel opóźnił wysianie ich do laboratorium. Dostał gorączki.

– Ile ci to daje? Trzy dni więcej?

– Najwyżej.

Samolot kołował na pas startowy, obydwaj zapięli pasy, opuścili stoliki. Długo po tym, jak maszyna osiągnęła prędkość przelotową, odezwał się Veyrenc:

– Mordent zaczął kombinować już w niedzielę, zaraz po odkryciu jatki w Garches? Jesteś pewny?

– Tak. Koniecznie chciał przymknąć ogrodnika, bo takie dostał polecenie od sędziego śledczego.

– Czyli można przypuszczać, że Carnot już wiedziała, kto posiekał Vaudela. W niedzielę rano. I że Mordent był już z nią w kontakcie. Inaczej jak by zdążyła uruchomić swoją machinę? I znaleźć dojście do Mordenta? Na to trzeba co najmniej dwóch dni przygotowań. Wiedziała o wszystkim już w piątek.

– Buty – powiedział nagle Adamsberg, bębniąc palcami w iluminator. –

Carnot zaniepokoiła się nie po morderstwie w Garches, tylko wcześniej, kiedy w Londynie znaleziono odcięte stopy. I do licha, Veyrenc, niektóre są o wiele za stare na Zerka.

– Nie znam akt – przypomniał mu Veyrenc.

– Mówię o siedemnastu starych stopach odciętych w kostce i razem z butami pozostawionych dziesięć dni temu przed cmentarzem Hiżgat w Londynie.

– Kto ci o tym powiedział?

– Nikt. Byłem tam z Danglardem. Hiżgat należy do Petera Plogojowitza. Jego ciało przeniesiono na to wzgórze, zanim powstał tam cmentarz, żeby uchronić je przed gniewem mieszkańców Kisilovej.

Stewardesa ciągle do nich wracała, najwyraźniej zafascynowana pasiastą

czupryną Veyrenca, któremu lampka nad głową rozświetlała każdy rudy kosmyk włosów, i przynosiła im wszystko podwójnie: szampana, czekoladki, ręczniki.

– Za lordem bez butów stał tęgi gość z cygarem – rzekł Adamsberg, przedstawivszy Veyrencowi historię Highgate tak jasno, jak tylko potrafił. –

Kubańczyk był Paolem, bez dwóch zdań. I to on wyłożył swoją kolekcję, jakby rzucał wyzwanie Plogojowitziowi na jego terenie. I posłużył się lordem Clyde'em-Foxem, żeby nas ściągnąć przed cmentarz.

– Jaki miał w tym interes?

– Nawiązać kontakt. Paole musi łączyć swoją kolekcję ze zniszczeniem Plogojowitza. Wykorzystał przyjazd francuskich gliniarzy, żeby nasze drogi się skrzyżowały, bo wiedział, że jego zbrodnia w Garches trafi do brygady. Nie przyszło mu do głowy, że Danglard w tym stosie rozpozna stopę kisilovianina, być może własnego wujka albo jego sąsiada. A wujek przez małżeństwo Danglarda był dedem Vladislava, jego dziadkiem.

Veyrenc odstawił kieliszek po szampanie, zmrużył oczy, trzepocząc rzęsami we właściwym mu częstym odruchu lekkiego wycofania.

– Zostawmy to – poprosił. – Powiedz mi tylko, co nowego wnosi to do przypadku Armela.

– Niektóre pary stóp odcięto, kiedy Zerk był jeszcze dzieckiem, a nawet niemowlęciem. Cokolwiek o nim myślę, nie wierzę, żeby twój siostrzeniec w wieku pięciu lat odcinał zwłokom stopy na zapleczu zakładów pogrzebowych.

– Nie, na pewno nie.

– I myślę, że Emma Carnot знаła jeden but – dodał Adamsberg, goniąc kolejną myśl, łapiąc nową rybę, która pluskała się w jego wodach. – But, który widziała dawno temu razem ze stopą i który skojarzyła z odkryciem w Hiżgat, a później w Garches. I który ma z nią związek. Bo o tym, Veyrenc, zupełnie zapomnieliśmy pomyśleć.

– O czym? – spytał Veyrenc, otwierając szeroko oczy.

– O tym, czego brakuje. O osiemnastej stopie.

XLII

Jeszcze z lotniska Adamsberg zwołał kolokwium w brygadzie, wyjątkowo w niedzielny wieczór. Trzy godziny później każdy mniej więcej znał ostatnie wydarzenia związane ze śledztwem, acz przyswajano je nie po kolei i wyluskiwano ze słowo toku inspektora wzmożonego jego zmęczeniem. W przerwie niektórzy mówili, że po inspektorze jasno widać noc spędzoną w lodowatym grobowcu pod postacią mumii i to, że o mało się nie udusił. Że jego orli nos zrobił się po tym węższy, a oczy jeszcze bardziej zapatrzyły się w nieodgadniona dal. Witano Veyrenca, poklepywano go po plecach, winszowano mu. Estalère'a najbardziej ciekawiła ta Vesna, nieumarła licząca prawie trzy wieki, przy której Adamsberg spędził noc. On jeden znał historię Elisabeth Siddal, a zapamiętał każdy szczegół z opowieści komendanta Danglarda. Pozostawał jeden punkt, którego nie rozwikłał: czy Dante stworzył trumnę żony z miłości, czy żeby zabrać wiersze? Odpowiedź się zmieniała zależnie od dnia i jego stanu ducha.

W relacji inspektora były elementy mętne, które ewidentnie nie bardzo chciał objaśniać. Na przykład niepojęta obecność Veyrenca w Kisilovej. Adamsberg bowiem ani myślał informować ekipy, że porzucił kiedyś syna imieniem Zerk, że ten syn świeżo wyłonił się z piekieł i że jest prawdopodobnym sprawcą jatki w Garches i w Pressbaum. Słówka również nie pisał w odpowiedzi na dwuznaczne pytania, które nasuwał przypadek Weilla. Ekipa – z wyjątkiem Danglarda – nic także nie wiedziała o zagrożeniu ze strony Emmy Carnot. Gdyby Adamsberg to ujawnił, musiałyby również odkryć zdradę Mordenta, a na to nie był gotowy. Dziewczyna -Elaine, jeśli dobrze zapamiętał jej imię – miała stanąć przed sądem za cztery dni. Dinhowi udało się przetrzymać próbkę przez trzy dni bez żadnych konsekwencji służbowych. Być może dzięki ucieście spowodowanej jego lewitacją, realną albo wymyśloną, którą zasłużył sobie na pobłażliwość kolegów.

Ze szczegółami natomiast Adamsberg przedstawił walkę rodzin Paole i Plogojowiczów. Czyli bezdusznie streszczając sprawę, powiedziała Retancourt, bezlitosną wojnę między dwoma rodami wampirów mordujących się wzajemnie, a wydarzenie sprawcze miało miejsce trzy

wieki temu. A skoro wampiry nie istnieją, co ekipa ma robić i dokąd zmierza dochodzenie?

Tutaj w pełni się ujawniła siła antagonizmu dzielącego brygadę na materialistycznych pozytywistów, których błędnie Adamsberga bardzo źle nastrojało, doprowadzając czasem wręcz do buntu, i na bardziej pojednawczych pozostałych członków ekipy, którzy nic złego nie widzieli w szuflowaniu chmur od czasu do czasu.

Retancourt, z początku promieniejąca z radości, że widzi Adamsberga żywego, zjeżyła się w dzikiej pozie na pierwsze napomknięcie o wampirach i niepewnym miejscu. Ale trzeba się pogodzić z tym, zaznaczył Adamsberg, że często pojawia się „Plog” w nazwiskach ofiar i w ich otoczeniu. Że stary Vaudel, autentyczny wnuk Andrasa Ploga, napisał do frau Abster, z domu Plogerstein, aby ją ostrzec i przypomnieć jej, że „Kisilova poza wszelkim zasięgiem pozostaje” – czyli ni mniej, ni więcej o chronieniu rodziny Plogojowiczów. Że on faktycznie został zamknięty w grobowcu dziewięciu ofiar Petera. Że stopy obcięte po to, aby umarli nie mogli powrócić, złożono przed Highgate, londyńskim terenem należącym do Plogojowicza. Że jedna z par tych stóp należała do Mihaiego Plogodrescu. Że zmasakrowanie Pierre'a Vaudela-Ploga i Conrada Plögenera w pełni było zgodne z zasadami niszczenia istoty wampirycznej: jak już powiedziano, zostali nie tylko zabici, ale wręcz unicestwieni – poczynając od części najważniejszych, czyli od palców u nóg i zębów. Że przeprowadzono skrupulatne zniszczenie układu czynnościowego, układu duchowego i układu pokarmowego. Że wszystko wskazuje na to, iż tego potrójnego zniszczenia dokonano, aby zapobiec odbudowaniu się ciała z któregoś z fragmentów, odtworzeniu demonicznej homogeniczności. O tym zaświadczało rozrzucenie poszatkowanych szczątków na podobnej zasadzie, jak odciętą głowę wampira składano między jego nogami. Że Arandel – taki serbski Danglard, wyjaśnił Adamsberg, by wzmocnić swoje słowa – zapewniał, iż rodzina żołnierza Arnolda Paolego z całą pewnością padła ofiarą Petera Plogojowicza.

Pozytywiści byli zmartwieni, ugodowi potakiwali i robili notatki. Estalère namiętnie chłonał wywód inspektora. Nigdy nie podał w wątpliwość żadnego z jego słów, czy to pragmatycznych, czy irracjonalnych. Jednakże w chwilach intelektualnego starcia między inspektorem i Retancourt jego fetyszystyczny afekt wobec dorodnej kobiety rozdzierał mu umysł na dwie części, które nijak nie mogły się dogadać.

– Słuchajcie, Retancourt, przecież my wcale nie szukamy wampira –

oświadczył stanowczo Adamsberg. – Nie szukamy na drogach gościa, któremu na początku osiemnastego wieku wbito kołek w serce. Czy to dla was jasne, komisarzu?

– Nie za bardzo.

– Szukamy niezrównoważonego potomka rodu Arnolda Paolego, człowieka, który doskonale zna historię swojego przodka. Który zidentyfikował kogoś z zewnątrz jako sprawcę swojego cierpienia. Który wskazał dawnego wroga rodziny, niejakiego Plogojowitza. Który niszczy wszystkich jego potomków, aby uchronić siebie przed wiadomym losem. Gdyby ktoś mordował czarne koty w przekonaniu, że przynoszą nieszczęście, nie uważalibyście tego za szalone, komisarzu, prawda? Ani za niemożliwe? Ani za niepojęte?

– Nie – przyznała Retancourt wsparta zaraz pomrukami kilku pozytywistów.

– No właśnie, a tu chodzi o to samo. Tylko w większej skali. Gigantycznej.

Po drugiej przerwie Adamsberg przedstawił swoje rozkazy. Ustalić potomków Plogojowitza i potencjalnych obecnych członków jego rodziny, zapewnić im ochronę. Uprzedzić inspektora Thalberga, że ma strzec frau Abster.

– Za późno – rozległ się wątyły głos Justina mówiącego z wyraźnym żalem.

– Jak tamci dwaj? – zapytał Adamsberg po chwili ciszy.

– Tak samo. Thalberg dzwonił dziś rano.

– Dzieło Arnolda Paolego – rzekł Adamsberg, spoglądając na Retancourt znacząco. – Chronicie innych. Współpracujcie z Thalbergiem w ustalaniu członków rodziny.

– A Zerk? – zapytał Lamarre. – Zwiększamy środki? Rozpowszechnienie zdjęcia na razie nic nie dało.

– Ten drań jakby zapadł się pod ziemię – powiedział Voisenet. – Pewnie wraca teraz z Kolonii, ale dokąd jedzie? Kogo zamierza poszatkować?

– Bardzo możliwe – zaczął Adamsberg z wahaniem – że ten drań jest jedynie wykonawcą poleceń Paolego. Wśród przodków po kądzieli nie ma żadnego Paolego.

– Tak, z tym że znamy tylko jego matkę – zauważył Noël.

– Może po mieczu miał w rodzinie jakiegoś Paolego.

– Możliwe – mruknął Adamsberg.

Zdjęcie Zerka rozesłano do wszystkich komisariatów, posterunków żandarmerii, na dworce, lotniska, w miejsca publiczne, a nawet do Austrii. Niemcy, wstrząśnięte zmasakrowaniem staruszki w Kolonii, włączały się do akcji. Adamsberg nie bardzo wiedział, jak młody człowiek mógłby przemknąć przez oczka sieci.

– Musimy szybko i dokładnie zbadać tego dyrygenta, ojca Germaina. Maurel, Mercadet, zajmijcie się tym. A co z Pierre'em juniorem?

– Ciągle wolny – odparł Maurel. – Za obrońcę ma adwokata, który robi dużo hałasu.

– Co mówi Awinion?

– Tym kmiotkom udało się zgubić próbki – rzekł Noël.

– Które? – zapytał łagodnie Adamsberg.

– Drobinę z ołówka zostawione przez drania, który podrzucił łuskę pod lodówkę.

– Definitywnie przepadły?

– Nie, znalazły się w kieszeni jednego oficera. Ten komisariat to zwyczajnie wielki burdel. Próbki w końcu wczoraj trafiły do laboratorium. Trzy dni zmarnowane jak nic.

– Jak nic – potwierdził Adamsberg, słysząc w głowie Vladislavowe „plog”. – Èmile?

– Doktor Lavoisier przekazał nam liścik jak konspirator jakiś. Èmile przechodzi rehabilitację, zażądał ślimaków, nie dostał, wychodzi za kilka dni. Ale Lavoisier zastrzegł, że dopiero kiedy będzie na pewno bezpieczny. Pan doktor czeka na rozkazy.

– Nie będzie nowych, póki nie znajdziemy Paolego.

– Dlaczego Paole miałby zagrażać Èmile'owi? – zapytał Mercadet.

– A dlatego, że tylko z nim rozmawiał Vaudel-Plogojowicz.

Zagrożenie dla Paolego, ale też dla Emmy Carnot, pomyślał Adamsberg. Nieudolne strzały w Châteaudun pachniały działaniem człowieka pozostającego na usługach góry.

– Już nie mówimy na niego Zerk? – spytał Estalère siedzącego obok Mercadeta. – Teraz to Paole?

– To jeden i ten sam.

– Aha.

– Albo nie ten sam.

– Rozumiem.

XLIII

Danglard, Adamsberg i Veyrenc, niczym trzej spiskowcy, spotkali się dyskretnie wieczorem na kolacji w restauracji oddalonej od siedziby brygady. Veyrenc poinformował Danglarda o niejasnościach związanych z Weillem. Komendant przesuwiał palcami po obwisłych policzkach, a Veyrenc widział w nim niejaką odmianę. Efekt Abstract, uprzedził go wcześniej Adamsberg. W jego jasnych oczach widniał wigor, ramiona jakby się poszerzyły, znacznie lepiej wypełniając teraz marynarkę. Nikt nie wiedział, że Danglard, wystraszony możliwością śmierci Adamsberga, odwołał przyjazd Abstract.

– Dzwonimy do Weilla? – zapytał Veyrenc.

Adamsberg zamówił gołąbki, wspomnienie Kisilovej tak wątle, aż mu było go żal.

– Ryzykowne – odparł.

– Kto pierwszy, ten lepszy – zauważył Danglard.

Wszyscy trzej zgodnie kiwnęli głowami i Adamsberg wybrał numer, dając znak kolegom, że mają siedzieć cicho.

– Próbką pojechała do laboratorium wczoraj – powiedział.

– Zostały nam dwa dni. Jak tam sprawy, Weill?

– Daj mi sekundkę, uratuję tylko łopatkę jagnięcą.

Adamsberg zasłonił dłonią mikrofon telefonu.

– Ratuje łopatkę jagnięcą.

Veyrenc i Danglard wyrozumiale kiwnęli głowami. Adamsberg przełączył telefon na głośnik.

– Nie cierpię przerywać pieczenia – powiedział Weill po chwili. – Nigdy nie wiadomo, jak później wyjdzie.

– Weill, Emma Carnot wie, kim jest morderca z Garches. Ale nie wprost. A najważniejsze, że to ten sam człowiek, który podrzucił siedemnaście odciętych stóp przed cmentarzem Hiżgat.

– Highgate.

– Zapomnieliśmy o osiemnastej stopie, tej brakującej. Sądzę, że Carnot właśnie ją widziała.

– Skoro nie mogę ci powiedzieć nic nowego, Adamsberg, wracam do

jagnięciny.

– Mów.

– Kazałem powęszyć na komisariacie w Auxerre, gdzie wycięto kartkę z rejestru ślubów. Dwanaście lat temu złożono tam śmieszne zeznanie. Otóż wstrząśnięta kobieta doniosła o makabrycznym odkryciu: na leśnej ścieżce znalazła stopę w bucie. Ni mniej, ni więcej. Stopa była w zaawansowanym stanie rozkładu, nadjedzona przez ptaki i jakieś zwierzęta. Ta kobieta, jak przypomniał sobie sierżant, niedawno wyrzuciła byłego męża ze swojego domu na wsi. Udała się tam świeżo po przeprowadzce, żeby wymienić zamki. Stopę zobaczyła piętnaście metrów od drzwi, na ścieżce prowadzącej do wejścia.

– Wtedy Carnot nie podejrzewała męża.

– Nie, bo w żadnym razie nie zgłosiłaby tego na policji. Ale wiele przemawiało za tym, że należy go podejrzewać. To była prywatna ścieżka, nikt nią nie chodził. Mąż przyjeżdżał sam do domku w lesie na weekendy od ponad piętnastu lat. Polował. I ten dziwaczny małżonek samotnik, zdaniem mieszkańców osady, przechowywał upolowaną zwierzynę w zamrażarce zamkniętej na kłódkę. Odrzucił wszelką pomoc sąsiadów, kiedy Emma Carnot w końcu zmusiła go, żeby się wyniósł. Domyślasz się, co zawierała zamrażarka. Jedną stopę widać zgubił w czasie załadunku na chybcika do ciężarówki. Emma Carnot mogła zrozumieć, że nie do pomyślenia jest, by stopa wypadła z kieszeni komuś obcemu albo wyleciała z dzioba przelatującemu ptakowi. Ale ona przede wszystkim nie chciała zrozumieć. Ta myśl na pewno przyszła jej do głowy później, z nikim się jednak nią nie podzieliła. Dochodzenie utknęło w martwym punkcie, przyjęto, że stopę przyniósł sęp, i o sprawie zapomniano.

– Aż do odkrycia w Hiżgat. Wtedy zrozumiała.

– To oczywiste. Siedemnaście stóp przed cmentarzem, a ona widziała osiemnaść. Gdyby ktoś się dowiedział, że wyszła za człowieka, który dziewięć trupów pozbawił stóp, byłoby po niej. Pechowo akurat byłeś w Londynie. Nie pozostało jej nic innego, jak gruntownie pozbyć się ciebie. W niecały dzień doszukała się kłopotów Mordenta i kupiła człowieka. Kiedy Emma Carnot uruchamia swoją machinę, nikt jej nie dorówna w prędkości, a już zwłaszcza ty, inspektorze. Sprawa w Garches wybuchła w niedzielę, Carnot przed tobą powiązała ją z Highgate. Jak, nie mam pojęcia. Może przez tę siekaninę. Carnot sabotowała dochodzenie, wymogła na Mordencie, żeby sprowokował podejrzanego do ucieczki, kazała strzelać do Èmile'a, potem zażądała od Mordenta, by podrzucił łuskę i strużyny u Vaudela młodszego. Żeby ratować prawdziwego winowajcę, a ciebie usunąć tak, by

już nikt nigdy nie usłyszał twojego głosu.

– Jak się nazywa jej mąż? – spytał powoli Adamsberg.

– Nie mam pojęcia. Burgundzki dom jest na nazwisko matki, należy do Carnotów od czterech pokoleń. A w osadzie, tak jak we wszystkich osadach, męża nazywa się mianem domowników. Mówiono na niego „pan Carnot” albo „mąż pani Carnot”. Przyjeżdżał tam tylko zapłolować.

– No a ona, do licha? Jest gdzieś jej nazwisko jako mężatki? Może w tym zeznaniu?

– Gdy je składała, była od dawna rozwiedziona. Kiedy w wieku dwudziestu siedmiu lat zaczęła robić karierę, znowu nazywała się Carnot. Czyli co najmniej dwadzieścia pięć lat temu wróciła do panieńskiego nazwiska. Małżeństwo było krótkim epizodem młodości.

– Musimy zdobyć to zeznanie, Weill. Tylko to mamy przeciwko Emmie Carnot.

Weill zaśmiał się urągliwie i poprosił o kilka minut, musiał bowiem odwrócić łopatkę jagnięcą.

– Zachowujesz się, Adamsberg, jakbyś nadal nie dostrzegał absolutnej władzy tych ludzi. Nie ma żadnego zeznania. Tylko dzięki dobrej pamięci sierżanta z Auxerre poznałem tę historię. Na papierze nie pozostał żaden ślad. Oni działają perfekcyjnie.

– Weill, mamy jeszcze drugiego świadka ślubu.

– Na razie ani widu, ani słyhu. Ale jest jeszcze matka Emmy Carnot. Musiała znać nowożeńca, choćby przez kilka dni. Marie-Josée Carnot, rue des Ventilles siedemnaście, Bazylea, Szwajcaria. Dobrze by było dać jej ochronę.

– Kurde, przecież to jej matka.

– A ona to Emma Carnot. Świadek rozwalony w Nantes był jej kuzynką. Ostrzeż swojego kumpla Noleta. Jeśli odważy się dalej prowadzić dochodzenie.

– Jakie jest zalecenie, Weill?

– Chronić matkę.

– Skąd Carnot mogła wiedzieć, dokąd jedzie Èmile?

– Dopadła go, kiedy jej się podobało, i zrobiła z nim, co chciała.

– Nawet gliniarze z Garches go zgubili.

– Adamsberg, ty naprawdę nie nadajesz się do roboty na górze. Gliniarze z Garches wcale nie zgubili Èmile'a i cały czas mieli go na oku, kiedy ukrył się w szpitalu. Tyle że z góry przyszło polecenie, żeby dali mu uciec, śledzili go, donieśli, gdzie się schował, i zniknęli. I tak zrobili. Doły w ten właśnie sposób wykonują rozkazy.

Po zakończeniu rozmowy Adamsberg zakręcił wygaszonym telefonem na stole. Serce z gąbki podarował Danicy.

- Danglard, zajmiesz się matką. Niech Retancourt ją chroni.
- Matką nie – podszeptał Veyrenc.
- Veyrenc, zdarzają się goście, którzy zjadają szafy.

Danglard odszedł na bok, aby zadzwonić do Retancourt. Natychmiast ma wyruszyć do Szwajcarii. Kiedy się upewnili, że jest gotowa do wyjazdu, odetchnęli i Danglard zamówił armaniak.

- Wolałbym rakiję po kawie, jak w kruszynie.

– Jak to się stało, inspektorze, że zapamiętałeś serbskie słowa, chociaż za diabła nie trzyma ci się głowy proste nazwisko Radstocka?

– Zapamiętałem słowa kisilowskie – sprostował Adamsberg. – Widać dlatego, że to niepewne miejsce, Danglard, takie, gdzie dzieją się niezwykle rzeczy. *Hvala, dobro večer, kajmak*. W grobowcu myślałem też o kobasicach. Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, to tylko kiełbaski.

- Pikantne – sprecyzował Veyrenc.

I Adamsberga nie zdziwiło, że Veyrenc wie na ten temat więcej niż on.

- Weill wydaje się w porządku – powiedział Danglard.

– Tak – zgodził się Veyrenc. – Ale to nic nie znaczy. Weill zawsze wspina się na wyżyny sztuki. Policyjnej i każdej innej.

- Dlaczego miałyby się uwziąć na Carnot?

– Żeby ją zniszczyć. Ona popełnia błędy, jest groźna.

- Weill nie jest Arnoldem Paole. Nie jest byłym mężem.

– Czemu nie? – rzucił Veyrenc bez przekonania. – Jaki może być związek między młodym człowiekiem sprzed dwudziestu dziewięciu lat i dzisiejszym wyrafinowanym mężczyzną, brzuchatym i siwobrodym?

– Nie mogę oficjalnie nikogo postawić na straży w miejscu zamieszkania Weilla – powiedział Adamsberg. – Veyrenc?

- Załatwione.

- Wstąp do Danglarda po jakąś broń. I zasłoń włosy.

XLIV

Pod zadaszeniem płonęło punktowe światło. Lucio karmił kocią mamę. Adamsberg przyszedł do niego, usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

– O! – rzekł Lucio, nie podnosząc głowy. – Wracasz z daleka.

– Z dalsza, niż ci się wydaje.

– Z tak daleka, jak mi się wydaje, *hombre. La muerte.* – *Si.*

Adamsberg nie miał odwagi zapytać, jak się miewa ta mała Cudna. Zerkał na prawo, na lewo, niezdolny rozpoznać jej wśród kociąt, które kłębiły się w mroku. „Załatwiłem tę małą kocicę jednym tupnięciem. Rozprysła się na wszystkie strony”.

– Wszystko w porządku? – zapytał z trudem.

– Nie.

– Gadaj.

– Maria znalazła skrytkę na piwo w krzakach. Trzeba wymyślić inne miejsce.

Jeden kociak podszedł niezgrabnie, nadział się na nogę Adamsberga, który podniósł zwierzątko na ręce, zajrzał mu w oczy.

– Cudna – powiedział. – To ona?

– Nie poznajesz? Przecież wyciągnąłeś ją na świat.

– Tak. Pewnie.

– Czasami jesteś do niczego – rzekł Lucio, kręcąc głową.

– A bo martwiłem się o nią. Miałem sen.

– Opowiadaj, *hombre.*

– Nie.

– Działo się w ciemnościach, hę?

– Tak.

Dwa następne dni minęły Adamsbergowi na znikaniu. Zjawiał się w pracy na kilka chwil, telefonował, odbierał przesyłki, wychodził, był nieuchwytny. Znalazł czas, by wpaść do Josselina z prośbą o skontrolowanie szumu w uszach. Lekarz wsunął mu palce do uszu, okazał zadowolenie, po czym zdiagnozował wstrząs mogący powalić człowieka, strach przed śmiercią,

prawda? Ale już prawie zagojony, dodał ze zdziwieniem.

Ten złotopalcy człowiek zabrał jego szumy w uszach w swoje dłonie i Adamsberg potrzebował chwili, by odnaleźć na nowo uliczne dźwięki bez zakłóceń wywołanych jego osobistą linią wysokiego napięcia. Następnie ruszył dalej, tropiąc ślad Arnolda Paolego. Ślimaczyło się śledztwo w sprawie ojca Germaina, który odmawiał udzielenia jakichkolwiek informacji na temat swojego pochodzenia, do czego miał prawo. A jego cywilne nazwisko, Henri Charles Lefèvre, było tak pospolite, że Danglard utknął już na samym początku poszukiwań genealogicznych. Danglard potwierdził odczucia Veyrencia: ojciec Germain, człowiek onieśmielający, autorytarny, obdarzony siłą fizyczną niezbyt przyjemną, choć może uwodzającą, nie miał w sobie nic, co wzbudzałoby sympatię mężczyzn, całym sobą natomiast fascynował delikatnych śpiewaków. Adamsberg z roztargnieniem wysłuchał raportu Danglarda i raz jeszcze uraził jego wrażliwość.

Retancourt zabezpieczała Szwajcarię z Kernorkianem, Veyrenc zamieszkał w dawnym pokoju Zerka. Stamtąd miał oko na Weilla. Ukrył rude kosmyki włosów pod ciemną farbą, lecz w świetle słonecznym widział je wyraźnie, nieusuwalne i prowokujące. *Natury nie próbuj skrywać na tym padole. Światło wnet pokaże dziecięctwa twego niedole.* Weillowi czas mijał na pobytach – krótkich – w gmachu przy quai des Orfèvres, później na obchodzie sklepów, w których nabywał różne wiktuały oraz produkty rzadkie, w tym różane libańskie mydło purpurowej barwy. Weill natychmiast zaprosił nowego sąsiada na śródową kolację, lecz Veyrenc odmówił ledwie uprzejmie. O trzeciej rano u Weilla jeszcze trwała zabawa i Veyrenc chętnie by zrzucił maskę, gdyby nie silny strach o siostrzeńca.

Adamsberg sypiał teraz z bronią. W śródowy wieczór zadzwonił znowu na komisariat w Nantes, ponieważ na swoje pozostawione wiadomości nie otrzymał odpowiedzi. Dyżurny sierżant Pons, podobnie jak jego koledzy, odmówił podania prywatnego numeru inspektora Noleta.

– Sierżancie – rzekł Adamsberg – chodzi mi o kobietę zastrzeloną jedenaście dni temu, Françoise Chevron. Wy macie niewinnego w pace, a ja mam waszego zabójcę na wolności.

Do sierżanta podszedł komisarz z pytającą miną.

– Jean-Baptiste Adamsberg – poinformował go sierżant, za słaniając dłonią słuchawkę. – W sprawie tej Chevron.

Komisarz zakręcił palcem przy swojej głowie, tym gestem dając do zrozumienia, co myśli o Adamsbergu. Zaniepokoił się jednak, przejął słuchawkę od sierżanta.

– Mówi komisarz Drémard.

– Podajcie mi prywatny numer Noleta, komisarzu.

– Panie inspektorze, sprawa Chevron jest zamknięta, akta na biurku sędziego. Mąż lał ją regularnie, miała kochanka. Wszystko jasne. Nie można przeszkadzać inspektorowi Noletowi, on tego nie znosi.

– No to będzie musiał znieść kolejną ofiarę. Numer Noleta, Drémard, szybko.

Drémard przeleciał w głowie liczne sprzeczne oceny, które usłyszał na temat Adamsberga, geniusza lub kompletnego nieudacznika, i obawiając się pomyłki w tę czy w tamtą stronę, wybrał przezorność.

– Ma pan czym zapisać?

Dwie minuty później Adamsberg miał na linii rozbawionego Noleta, który akurat przyjmował gości, muzyka w tle i ożywione rozmowy odrobinę go zagłuszały.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Nolet.

– Ach, nic nie szkodzi – odparł Nolet wesoło. – Jesteś gdzieś w okolicy? Dołączysz do nas?

– Chodzi mi o sprawę Chevron.

– A, znakomicie!

Nolet musiał gestem poprosić o ściszenie muzyki, ponieważ teraz Adamsberg słyszał go lepiej.

– Dwadzieścia dziewięć lat temu Chevron była świadkiem na ślubie w Auxerre. A ówczesna panna młoda za żadną cenę nie chce, żeby o tym pamiętano.

– Dowód?

– Wyrwano kartkę z rejestru.

– I posunęłaby się aż do zamordowania świadka?

– Na pewno.

– Kupuję to.

– Przesłuchaliśmy jej matkę w Genewie, zaprzecza, jakoby córka wyszła za mąż. Boi się, dostała ochronę.

– Wypadałoby więc chronić drugiego świadka, tak?

– Właśnie, tyle że go nie znamy. Ogłoszenia w prasie nic nie dały. Musisz wypytać otoczenie Françoise Chevron. Szukaj mężczyzny. Na ogół świadkowie są obojga płci.

– Jak się nazywa ta była panna młoda?

– Emma Carnot.

Adamsberg usłyszał, że Nolet wychodzi z pomieszczenia, zamyka drzwi.

– OK, Adamsberg, jestem sam. Mówimy o tej Carnot? O Emmie Carnot?

– Zgadza się.

– Chcesz, żebym zaatakował wijącego się węża?

– Jakiego węża?

– Górze, cholera. Ogromnego węża, który krąży tam, na tyłach. Dzwonisz teraz ze swojej zwykłej komórki?

– Nie. Jest naszpikowana podsłuchami jak dobra kasza skwarkami.

– Świetnie. Chcesz, żebym zaatakował jedną z głów systemu? Głowę przyklejoną do princepsa? Wiesz, że każda łuska tego węża przylepiona jest do następnej i razem tworzą nietykalny pancierz? Wiesz, co mi pozostanie później? Jeśli będzie jeszcze jakieś później...

– Ja będę z tobą.

– Wiesz, gdzie to mam, Adamsberg? – wrzasnął Nolet. – I gdzie niby będziemy?

– Nie wiem. Może w Kisilovej. Albo w innym niepewnym miejscu we mgle.

– Cholera, Adamsberg, wiesz, że zawsze szedłem ci na rękę. Ale nie tym razem. Widać, że nie masz dzieci.

– Mam dwoje.

– O... – zdziwił się Nolet. – To coś nowego.

– Tak. No więc?

– No więc nie. Nie jestem Świętym Jerzym.

– Nie znam.

– Gość, który utłukł smoka.

– A tak – połapał się Adamsberg. – Jego znam.

– I dobrze. Więc mnie rozumiesz. Nie stawiam się wijącemu wężowi.

– W porządku, Nolet. W takim razie prześlij mi akta Chevron. Nie mam ochoty pozwolić, żeby ktoś zginął dlatego, że dwadzieścia dziewięć lat temu był świadkiem na ślubie szmaty. Obojętne, czy ta szmata stała się wężową łuską, czy nie.

– Raczej wężowym zębem. Haczykowałbym.

– Jak chcesz. Odstaw na chwilę tego węża, przekaż mi akta i zapomnij o wszystkim.

– No dobra – powiedział Nolet z westchnieniem. – Jadę do biura.

– Kiedy mi je prześlesz?

– Nie prześlę ci, do cholery. Wznawiam śledztwo.

– Naprawdę? Wznawiasz czy zakładasz knebel?

– Weźże przynajmniej mi zaufaj, Adamsberg, albo wrzucę wszystko do Loary. Jestem od tego o krok.

Plog, pomyślał Adamsberg, odkładając telefon. Nolet został wypuszczony

na Emmę Carnot, a Nolet był wystarczająco dobry. O ile po drodze nie przestraszy się węża. Adamsberg nie wiedział, co znaczy słowo „princeps”, lecz załapał sens. Ludzie używają strasznie dużo trudnych słów, zastanawiał się więc, kiedy, gdzie i jak zdołali tyle ich zapamiętać z taką łatwością. On pamiętał przynajmniej kruszmę, co nie każdemu jest dane.

Wziął prysznic, położył broń i obydwa telefony komórkowe w głowach łóżka, wyciągnął się jeszcze wilgotny pod czerwoną pierzyną, z żalem myśląc o niebieskiej, która została w kruszmie. Usłyszał, że otwierają się drzwi u sąsiada i Lucio idzie przez ogród. Było więc między wpół do pierwszej a drugą nad ranem. Chyba że Lucio wyszedł nie po to, aby się wysikać, tylko aby wyszykować nowy schowek na piwo. A za dwa miesiące jego córka Maria uda, że znalazła kryjówkę, znacząc nowy etap w ich niekończącej się grze. Lucio, Cudna, niebieska pierzyna – wolał myśleć o wszystkim, byle nie nawiedziła go twarz Zerka. Znaczą jego brutalne rysy, chełpliwe przemowy, bezkompromisowy bezmyślny gniew. Miły chłopak, anielski głos, mówił Veyrenc, lecz nie takie odczucia miał Adamsberg. Niemniej kilka elementów przemawiało na korzyść Zerka, zużyta chusteczka, zbyt stare stopy z Highgate, gumiaki pod schodami dostępne dla każdego. Za to psia sierść piekielnie tu bruździła. A Zerk byłby znakomitym woskowym zabójcą wymodelowanym rękami Paolego. Mogli się podzielić robotą, jeden u Vaudela, drugi w Highgate. Nienormalna para, patologicznie chory Arnold Paole i niezrównoważony pozbawiony ojca młody człowiek. Syn nikogo, syn miernoty, syn Adamsberga. Syn czy nie, Adamsberg nie czuł w sobie ochoty, aby podnieść choć palec na Zerka.

XLV

Zniecierpliwiony świerszcz wydał krótki rozpaczliwy krzyk. Adamsberg zidentyfikował wibrator swojej komórki – tej naszpikowanej skwarkami – i podniósł ją, spoglądając na zegarki. Między drugą czterdzieści pięć a czwartą piętnaście rano. Przejechał dłonią po twarzy, by ściągnąć woal snu, popatrzył na aparat, który dostarczył mu dwie wiadomości. Przeczytał jedną, potem drugą, obydwie wysłała ta sama osoba w odstępie trzech minut. Pierwsza brzmiała: „POR”, druga: „QOS”. Adamsberg natychmiast zadzwonił do Froissy. Froissy nigdy nie narzekała, kiedy budziło się ją w nocy. Zdaniem Adamsberga korzystała wtedy z okazji, aby wrzucić coś na ruszt.

– Mam dwa esemesy, których nie rozumiem – powiedział. – Myślę, że nie znaczą nic miłego. Ile potrzebujecie czasu, żeby zidentyfikować właściciela komórki?

– Z nieznanym numerem? Piętnaście minut. Dziesięć, jeśli się pospieszę. Do tego pół godziny na dojazd na komendę, bo tutaj mam tylko dwa skutery. Czterdzieści minut. Proszę dyktować.

Adamsberg podał jej numer trapiiony poczuciem, że powinien się spieszyć. Czterdzieści minut, za długo.

– A, ten podam panu od razu. Zidentyfikowałam go późnym popołudniem. Armel Louvois.

– Cholera.

– Akurat zaczęłam robić billing jego numeru. Nie dzwoni dużo. Przez dziewięć dni nie było nic, wyłączył telefon tego rana, kiedy uciekł. Czemu z powrotem go włączył? Co go napadło, że się odkrywa? Zostawił panu wiadomość?

– Przysłał mi dwa niezrozumiałe esemesy. Możecie mi go zlokalizować?

– Tak, jeśli nie wyłączył z powrotem komórki.

– Dacie radę zrobić to z domu?

– Trudno będzie, ale mogę spróbować.

– Spróbujcie, i to raz-dwa.

Froissy już się rozłączyła. Jej nie trzeba było mówić, żeby się spieszyła, z każdym zadaniem potrafiła się uwinąć jak mucha.

Ubrał się, wziął kaburę i obydwie komórki. Na schodach zdał sobie sprawę, że włożył koszulkę tyłem do przodu, metka drapała go w szyję. No nic, załatwi to później. Froissy zadzwoniła, kiedy wkładał kurtkę.

– Willa w Garches – zameldowała. – Z tego samego miejsca mam sygnał drugiego aparatu. Mam identyfikować?

– Koniecznie.

– No to muszę jechać do biura. Odezwę się za godzinę.

Adamsberg postawił na nogi dwie ekipy. Kalkulował. Najmarniej trzeba pół godziny, żeby pierwsza ekipa znalazła się na komendzie. Plus dojazd do Garches. Jeśli on wyjedzie do Garches teraz, znajdzie się na miejscu za dwadzieścia minut. Wahał się, wszystko mu mówiło, by poczekał. Pułapka. Czego szuka Zerk w willi starego Vaudela? Z drugą komórką? Albo z kimś jeszcze? Z Arnoldem Paolem? Czego w takim razie Zerk szuka? Pułapka. Pewna śmierć. Adamsberg wsiadł do samochodu, oparł przedramiona na kierownicy. Nie udało im się w grobowcu, więc próbują tutaj, to oczywiste. Rozum podpowiadał mu, że powinien siedzieć na tyłku. Ponownie przeczytał obie wiadomości. „POR”, „QOS”. Przekreślił klucz w stacyjce i zaraz wyłączył silnik. To oczywiste, spójny normalny bieg wydarzeń. Z palcami na kluczu usiłował zrozumieć, dlaczego inna pewność każe mu pospieszyć do Garches, pewność pozbawiona motywu, lecz tkwiąca mu w głowie. Włączył reflektory i ruszył. W pół drogi, zaraz za tunelem w Saint-Cloud, zatrzymał się na pasie awaryjnym. „POR”, „QOS”. Pomyślał właśnie – jeśli można to nazwać myśleniem – o esemesach. Esemes albo SMS. SMS jednym rybnym skokiem przywiódł go do „POR”. Był niemal pewien. Często widział to „POR” na wyświetlaczu swojej komórki. I to wtedy, kiedy wklepywał esemesy, a raczej skrót „SMS”. Wyjął telefon, wybrał trzy litery: „s”, „m”, „s”. Otrzymał najpierw POP, później próbował różnych kombinacji: POR, POS, QOS, SOS i wreszcie SMS.

SOS.

SOS, którego Zerk nie zdołał zapisać poprawnie. Spróbował po raz drugi, wybierając litery na oślep, i znowu z błędem. Adamsberg wystawił koguta na dach i ruszył w dalszą drogę. Gdyby Zerk zastawił pułapkę, napisałby zrozumiale. Skoro Zerk z błędem napisał SOS, znaczy, że nie mógł patrzeć na wyświetlacz. Wstukiwał więc litery w ciemno. Albo z ręką w kieszeni, po omacku, żeby nie zostało to zauważone. To nie była pułapka, lecz wezwanie na pomoc. Zerk był z Paolem, a minęło już ponad pół godziny, odkąd wysłał te wiadomości.

Prowadząc, Adamsberg zadzwonił do Danglarda.

– To ja. Dostałem od Zerka SOS wypisane na ślepo. Morderca ściągnął go

na miejsce zbrodni, gdzie prawdopodobnie pomoże mu popełnić samobójstwo. I po sprawie.

– Ojciec Germain?

– Nie on, Danglard. Skąd Germain miałby wiedzieć, że to była samica? A przecież tak powiedział. Nie otaczajcie willi, nie wchodźcie przez drzwi, bo zdąży go wykończyć. Jedźcie do Garches, zadzwonię później. – Nadal prowadząc jedną ręką, obudził doktora Lavoisier. – Doktorze, potrzebny mi telefon do pokoju Émile'a. Pilnie.

– Inspektor Adamsberg?

– Tak.

– A jak pan to udowodni? – zapytał Lavoisier jak na prawdziwego konspiratora przystało.

– Cholera, doktorze, nie ma czasu.

– Ani mi się śni – odparł Lavoisier.

Adamsberg wyczuł, że to poważna sprawa, Lavoisier bowiem wziął sobie do serca swoją misję. Rozkazał mu: „Żadnych kontaktów” i lekarz sumiennie stosował się do tego.

– A jeśli powiem panu końcówkę tego, co wymamrotała Retancourt, kiedy się wybudziła ze śpiączki, uwierzy pan? Pamięta pan to jeszcze?

– Co do słowa. No słucham.

– „Sama z radości umarła”^[6].

– W porządku, stary. Przekieruję rozmowę, bo szpital nie zgodzi się połączyć pana z Émile'em bez mojego pośrednictwa.

– Szybko, doktorze.

Rozległy się trzaski, dzwonki, ultradźwięki, a potem głos Émile'a, który zapytał nerwowo:

– Chodzi o Kupidona?

– On ma się świetnie. Émile, powiedz, jak można wejść do willi Vaudela inaczej niż głównymi drzwiami?

– Drzwiami z tyłu.

– Chodzi mi o inną drogę. Dyskretną, taką, żeby wejść niepostrzeżenie.

– Nic takiego nie ma.

– Owszem, jest. Korzystałeś z niej. Przychodziłeś w nocy poszperać i zwędzić kasę.

– Nigdy tego nie robiłem.

– Do diabła, mamy twoje odciski na szufladach sekretarzyka. Ale to nas nie obchodzi. Posłuchaj, Émile. Facet, który zmasakrował Vaudela, załatwi tej nocy drugiego. Muszę się tam dostać po cichutku. Łapiesz?

– Nie.

Adamsberg wjeżdżał do Garches, zdjął koguta z dachu.

– Èmile – wycedził przez zęby – jeśli mi nie powiesz, rozwalę kundla.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Ani sekundy się nie zawaham. A później zmiążdżę go butami.

Rozumiesz?

– Ty gnoju, pieprzony glino!...

– Tak, tak. No mówże, na Boga.

– Sąsiednia willa, starej Bourlant.

– No?

– Piwnice mają połączenie. Kiedyś oba domy należały do tego gościa, żona mieszkała w jednym, kochanka w drugim. Dla wygody kazał połączyć piwnice. Po sprzedaniu domy rozdzielono, drzwi zostały zabite. Ale stara Bourlant je otworzyła, chociaż nie miała prawa. Vaudel nic nie wiedział, nigdy nie schodził do piwnicy. Ja to odkryłem i obiecałem sąsiadce, że słówka nie pisnę. W zamian pozwalała mi korzystać z przejścia. Dobrześmy się dogadywali.

Adamsberg zatrzymał wóz pięćdziesiąt metrów od willi, wysiadł, cicho zamknął drzwi.

– Czemu otworzyła przejście?

– Nienormalnie boi się pożaru. To jej droga ewakuacyjna. Głupota, kobieta ma niesamowitą linię szczęścia.

– Mieszka sama?

– Tak.

– Dzięki, Èmile.

– Nic nie zrobisz mojemu psu, hę?

Adamsberg poinformował obydwie ekipy. Jedna była w drodze, druga właśnie wyruszała. Z willi Vaudela nie padało żadne światło, zasłony były zaciągnięte, okiennice pozamykane. Adamsberg zapukał kilkakrotnie do drzwi pani Bourlant. Jej willa była identyczna jak Vaudela, lecz mocno zaniedbana. Niełatwo będzie przekonać samotną kobietę, aby w środku nocy otworzyła drzwi na zwykłe zawołanie: „Policja!”, które nikogo nie uspokaja. Albo się uważa, że to wcale nie policja, albo się myśli, że owszem, policja, a to jeszcze gorzej.

– Proszę pani, przychodzę z polecenia Èmile'a. Leży w szpitalu, kazał pani coś przekazać.

– A czemu tak po nocy?

– Èmile nie chciał, żeby ktoś mnie zobaczył. Chodzi o to przejście. Èmile mówi, że jak to się wyda, będzie pani miała kłopoty.

Drzwi przytrzymywane łańcuchem uchyliły się na dziesięć centymetrów.

Drobniutka staruszka obrzuciła go wzrokiem, poprawiając okulary.

– A skąd mam wiedzieć, że pan jest przyjacielem Èmile'a?

– On mówi, że ma pani niesamowitą linię szczęścia. Drzwi otworzyły się całkowicie, kobieta zaryglowała je zaraz za Adamsbergiem.

– Jestem przyjacielem Èmile'a i inspektorem policji – powiedział Adamsberg, pokazując jej legitymację.

– Nie może być.

– Może. Niech mi pani otworzy przejście, tylko o to proszę. Muszę się dostać do willi Vaudela. Tą samą drogą niedługo przejdą dwie ekipy policyjne. Wpuści je pani.

– Nie ma przejścia.

– Mogę je otworzyć bez pani. Proszę mi nie utrudniać albo całe sąsiedztwo dowie się o drzwiach.

– I co z tego? To chyba nie zbrodnia?

– Mogą potem mówić, że chodziła pani okradać starego Vaudela.

Drobna kobieta czym prędzej poszła po klucz, gderając na policję. Adamsberg podążył za nią do piwnicy, później korytarzem, który był jej przedłużeniem.

– Policji nigdy nie ma, jak jest potrzebna – mówiła, otwierając drzwi – ale o byle bzdurę zaraz się zjawia. Mnie oskarżać o kradzież! Zawracać głowę Èmile'owi, a potem temu młodemu człowiekowi...

– Policja ma chusteczkę tego młodego człowieka.

– Bzdura. Nie zostawia się chusteczki u ludzi, a jeszcze u kogoś, kogo się zabija?

– Proszę tu zostać – powiedział Adamsberg, zatrzymując gestem kobiecinę, która dreptała za nim. – To niebezpieczne.

– Morderca?

– Tak. Niech pani wraca, poczeka na wsparcie i nie rusza się z domu.

Pani Bourlant czym prędzej podreptała w przeciwnym kierunku. Adamsberg po cichu wszedł po stopniach zabałaganionej piwnicy Vaudela, przyświecając sobie, by nie potrącić jakiejś skrzynki czy butelki. Drzwi prowadzące do kuchni były zwyczajne, uporał się z zamkiem w minutę. Minął korytarz, kierując się prosto do pokoju z fortepianem. Jeżeli Paole zamierza zabić Zerka, zrobi to tam, w miejscu, z którym wiązą go wyrzuty sumienia.

Drzwi zamknięte, nic nigdzie nie widać. Obicia na ścianach skutecznie tłumią wszelkie dźwięki. Adamsberg wszedł do przyległej łazienki, wspiął się na kosz na bieliznę. Stamtąd sięgał do kratki wywietrznika.

Paole stał tyłem z luźno wyciągniętą ręką, w której trzymał broń wyposażoną w tłumik. Naprzeciw niego Zerk płakał w fotelu w stylu Ludwika Trzynastego, nie miał w sobie już nic z aroganckiego gota. Paole dosłownie przybił go do fotela. W lewej dłoni Zerka tkwił nóż wbity w podłokietnik. Dużo krwi już wypłynęło, młody człowiek dłuższą chwilę musiał tak siedzieć przyszpilony, zlany potem z bólu.

– Do kogo? – powtarzał Paole, wymachując telefonem komórkowym przed oczami Zerka.

Zerk widocznie próbował znowu zadzwonić, lecz tym razem Paole się połapał. Trzasnął teraz ostrzem noża, złapał prawą rękę Zerka i zaczął ją ciąć w paski, bez pośpiechu, jakby krajał rybę, zdając się nie słyszeć krzyków chłopaka.

– To ci wybiję z głowy zabawy z telefonem. Do kogo?

– Do Adamsberga – wyjęczał Zerk.

– Żalotne – powiedział Paole. – Syn już nie niszczy ojca, tak? Wzywa go na pomoc po pierwszym draśnięciu? „POR”, „QOS”. Co chciałeś mu przekazać?

– SOS. Nie udało mi się wystukać, nie zrozumie. Niech pan mnie zostawi, nic nie zdradzę, nic nie powiem, nic nie wiem.

– Ależ ja ciebie potrzebuję, chłopcze. Zrozum, gliny były za daleko. Zostawię cię tutaj rozkrzyżowanego na fotelu, własnoręcznie okaleczonego, martwego na miejscu zbrodni i więcej nie będziemy o tym mówili. Mam dużo do zrobienia i potrzebuję spokoju.

– Ja też – wydyszał Zerk.

– Ty? – rzekł Paole, wygaszając telefon Zerka. – A cóż ty masz do roboty? Produkować te świcidelka? Śpiewać? Jeść? Wszyscy mają to w głębokim poważaniu, sieroto. Jesteś nikomu niepotrzebny, do niczego niezdatny. Twoja matka wyjechała, a ojciec cię nie chce. Przynajmniej twoja śmierć na coś się przyda. Będziesz sławny.

– Nic nie powiem. Wyjadę gdzieś daleko. Adamsberg nie zrozumie.

Paole wzruszył ramionami.

– Jasne, że nie zrozumie. Mózg ma jak orzeszek, tak jak ty. Mocny w gębie. Jaki ojciec, taki syn. I tak zresztą za późno na wydzwanianie do niego. Adamsberg nie żyje.

– Nieprawda – sprzeciwił się Zerk, szarpiąc się w fotelu.

Paole ujął rękojęść noża wbitego w jego dłoń, powoli obrócił ostrze w ranie.

– Uspokój się. Jest jak najbardziej martwy. Zamurowany w grobowcu dziewięciu ofiar Plogojowitza w Kisiljevie w Serbii. No i widzisz, że nie

wróci? – Dalej Paole mówił cicho, do siebie, podczas gdy z twarzy Zerka zniknął ostatni promyk nadziei. – Ale zmuszasz mnie do przyspieszenia spraw. Jeśli ostatecznie znaleźli jego ciało, mają też komórkę. A w takim wypadku dostali twoją wiadomość, identyfikują cię i lokalizują. Czyli lokalizują nas. Być może zostało nam mniej czasu, niż zakładałem, więc przygotuj się, chłopcze, pożegnaj ze światem.

Paole oddalił się od fotela, ciągle jednak był za blisko Zerka. Zanim Adamsberg otworzy drzwi i weźmie go na cel, Paole będzie miał cztery sekundy na strzał do swojego więźnia. Trzeba na te cztery sekundy jakoś odwrócić jego uwagę. Adamsberg wyjął notes, z którego wypadły różne karteluszki. Kartkę, której szukał, łatwo rozpoznał, była brudna i wymiętoszona – na niej przepisał tekst z nagrobka Plogojowitza. Chwył telefon, pospiesznie wystukał wiadomość. *Dobro veče, proklet*, „Cześć, przeklęty”. Podpisał: „Plogojowitz”. Słabo, ale nic oryginalniejszego nie zdołał wymyślić. Wystarczy, by na chwilę zaintrygować tamtego, a wtedy zdąży stanąć pomiędzy nim a Zerkiem.

W kieszeni Paolego rozbrzmiał sygnał. Mężczyzna zerknął na wyświetlacz, zmarszczył brwi, drzwi otworzyły się gwałtownie. Stanął przed nim Adamsberg, zasłaniając młodego. Paole dziwnie poruszył głową, jakby wtargnięcie inspektora było po prostu śmieszne.

– Pan się tak zabawia, inspektorze? – odezwał się Paole, wskazując telefon. – Nie mówi się *Dobro veče* o tej porze. Mówi się *Laku noć*.

Wzgardliwa beztroska Paolego wyprowadzała Adamsberga z równowagi. Ani zaskoczony, ani zaniepokojony, chociaż uważał go za zmarłego w grobowcu, mężczyzna w ogóle nie przywiązywał wagi do jego obecności. Jakby Adamsberg był równie kłopotliwy jak kępka trawy na drodze. Celując z broni do Paolego, Adamsberg sięgnął za siebie i wyrwał nóż z podłokietnika.

– Spadaj, Zerk! Już!

Zerk wybiegł, drzwi za nim trzasnęły, tupot jego nóg rozległ się w korytarzu.

– Wzruszające – rzekł Paole. – I co teraz, Adamsberg? Obaj stoimy, obaj jesteśmy uzbrojeni. Ty będziesz celował w nogi, ja w serce. Jeśli trafisz mnie pierwszy, i tak zdążę pociągnąć za spust, prawda? Nie masz szans. Mam nadzwyczaj wrażliwe palce i absolutnie zimną krew. W sytuacji tak technicznej twoja słabość do podświadomości nijak ci się nie przyda. Przeciwnie, podziłała na ciebie opóźniająca Niczego nie nauczyłeś się w Kisiljevie? Dalej chadzasz sam? Jak do starego młyna? Wiem – dodał, unosząc dużą dłoń. – Twoja eskorta nadciąga. – Spojrzał na zegarek, usiadł.

– Mamy kilka minut. Młodego dopadnę bez problemu. Mamy kilka minut, żebym się dowiedział, co cię do mnie sprowadziło. Nie mówię o dzisiejszej nocy i o wiadomości tego głupka Armela. Bo wiesz, że twój syn to głupek, prawda? Mówię o twojej przedwczorajszej wizycie u mnie w gabinecie w związku z szumami w uszach. Wtedy na pewno już wiedziałeś, bo w twojej głowie wyczułem tylko opór, sprzeciw. Już nie byłeś ze mną, tylko przeciw mnie. Jak się dowiedziałeś?

– W grobowcu.

– Tak?

Adamsberg miał trudności z mówieniem. Wspomnienie grobowca, nocy spędzonej z Vesną wciąż bardzo źle na niego działało. Uciekł myślami do Veyrenca, do chwili, gdy otworzyły się drzwi i gdy później przełykał koniak Froissy.

– Kotka – podjął. – Ta, którą chciałeś rozdeptać.

– Tak. Zabrakło mi czasu. Ale załatwię to, Adamsberg, ja zawsze dotrzymuję słowa.

– „Załatwiłem tę małą kocicę jednym tupnięciem. Byłem zły, że mnie zmusiłeś, abym jej pomógł”. Tak powiedziałaś.

– Zgadza się.

– Zerk wyciągnął kociaka spod stosu skrzynek. Ale skąd mógł wiedzieć, że to kocica? Tygodniowy kociak, nie da się rozpoznać płci. Lucio wiedział. Ja wiedziałem. I ty się dowiedziałeś, doktorze, kiedy ją leczyłeś. Tylko ty jeden.

– No tak, widzę błąd – rzekł Paole. – Kiedy na to wpadłeś? Zaraz jak powiedziałem?

– Nie. Kiedy zobaczyłem kotkę po powrocie.

– Oj, Adamsberg, powolny jak zawsze.

Paole się poruszył, huknął strzał. Zaskoczony Adamsberg ujrzał zwałającego się na ziemię lekarza. Trafionego w brzuch, w lewy bok.

– Celowałam w nogi – rozległ się zafrasowany głos pani Bournant. – Mój Boże, jak ja źle strzelam.

Drobna kobieta podreptała ku rannemu, który dyszał na podłodze, Adamsberg tymczasem podniósł jego broń i zadzwonił po pomoc.

– Chyba nie umrze, prawda? – spytała, nachylając się nad nim lekko.

– Nie sądzę. Kula trafiła we flaki.

– To tylko trzydziestkadwójka – zaznaczyła pani Bournant tak naturalnie, jakby mówiła o rozmiarze jakiegoś ciucha.

Paole wzrokiem przyzywał inspektora.

– Karetka już jedzie, Paole.

– Nie nazywaj mnie Paole – zażądał lekarz urywanym głosem. – Nie ma już żadnego Paolego, odkąd wygasła władza przeklętych. Wszyscy Paole zostali uratowani. Odchodzą. Rozumiesz, Adamsberg? Odchodzą wolni. Nareszcie.

– Zabiłeś ich wszystkich? Wszystkich Plogojowiczów?

– Nie zabiłem ich. Unicestwienie ścierwa to nie jest zabijanie. To nie ludzie. Ja pomagam ludziom, inspektorze, jestem lekarzem.

– W takim razie ty też, Josselin, nie jesteś człowiekiem.

– Niezupełnie. Ale teraz tak.

– Wszystkich ich unicestwiłeś?

– Pięciu wielkich. Pozostały dwie żujące. One niczego nie mogą odbudować.

– Wyszło mi troje: Pierre Vaudel-Plog, Conrad Plögener i frau Abster-Plogerstein. Do tego stopy Plogodrescu, ale to dawniejsza robota.

– Ktoś dzwoni – odezwała się nieśmiało pani Bournant.

– Pomoc. Proszę otworzyć.

– A jeśli to nie pomoc?

– To jest pomoc. Niechże pani idzie, do licha.

Posłuchała, znowu coś wygadując pod nosem na policję.

– Kto to? – zapytał Josselin.

– Sąsiadka.

– Skąd strzeliła?

– Nie mam pojęcia.

– *Łoša sreća.*

– Pozostali dwaj, doktorze. Jak się nazywali ludzie, których pan zabił?

– Nie zabiłem żadnego człowieka.

– Jak się nazywały te dwa ścierwa?

– Wielki Plogan i jego córka. Straszni. Zacząłem od nich.

– Gdzie?

Weszli sanitariusze, postawili nosze, wyjmowali sprzęt. Adamsberg gestem poprosił, aby dali mu jeszcze chwilę. Pani Bournant cała drżąca w skupieniu przysłuchiwała się rozmowie.

– Gdzie?

– W Savonlinnie.

– Gdzie to jest?

– Finlandia.

– Kiedy? Przed Pressbaum?

– Tak.

– Plogan? To ich współczesne nazwisko?

– Tak. Veikko i Leena Plogan. Najgorsze ścierwa. On już nie panuje.

– Kto?

– Nigdy nie wymawiam jego nazwiska.

– Peter Plogojowicz.

Josselin kiwnął głową.

– W Highgate. Koniec. Jego krew wygasła. Jedź i zobacz, drzewo na wzgórzu w Hampstead umrze. W Kisiljovie spróchnieją pnie wokół jego grobu.

– A syn Pierre'a Vaudela? Przecież to Plogojowicz, nie? Czemu zostawiłeś go przy życiu.

– Bo to tylko człowiek, nie urodził się zębaty. Nie we wszystkich potomnych płynie przeklęta krew.

Adamsberg się wyprostował, lecz Josselin złapał go za rękaw i przyciągnął do siebie.

– Jedź tam, Adamsberg, zobacz – poprosił. – Ty wiesz. Ty zrozumiesz. Muszę mieć pewność.

– Co mam zobaczyć?

– Drzewo na Hampstead Hill. Po południowej stronie kaplicy. Wielki dąb posadzony po jego narodzinach w tysiąc sześćset sześćdziesiątym trzecim.

Ma jechać zobaczyć drzewo?! Poddać się szaleństwu Paolego? Sprawdzić ideę Plogojowicza w drzewie jak wujek w niedźwiedziu?

– Josselin, odciąłeś stopy dziewięciu nieboszczykom, zmasakrowałeś pięć ścierw, zamknąłeś mnie w tym piekielnym grobowcu, wykorzystywałeś mojego syna i zamierzałeś mnie zabić.

– Tak, wiem. Ale jedź zobaczyć drzewo.

Adamsberg z odrazą albo znużeniem pokręcił głową, wyprostował się i dał znak sanitariuszom, że mogą zabrać rannego.

– O czym on mówił? – spytała pani Bournant. – O jakichś rodzinnych problemach, tak?

– Właśnie. Skąd pani strzeliła?

– Przez dziurę.

Drobnym kroczeniem poprowadziła go na korytarz. Za obrazkiem na ścianie, u zbiegu dwóch paneli płóciennego obicia, otwór w murze o średnicy trzech centymetrów dawał widok na salon z fortepianem.

– To był punkt obserwacyjny Èmile'a. Pan Vaudel zostawiał na noc zapalone światła, dlatego nigdy nie było wiadomo, czy się położył. Przez tę dziurę Èmile mógł sprawdzić, czy pan Vaudel opuścił gabinet. Èmile podbierał mu pieniądze. Ależ ten Vaudel był bogaty!

– Jak pani się dowiedziała?

– Dogadywaliśmy się z Èmile'em. Ja jedna w okolicy nie traktowałam go chłodno. Ufaliśmy sobie w różnych sprawach.

– Na przykład w sprawie rewolweru?

– Nie, rewolwer został mi po mężu. Mój Boże, nie do wiary, co narobiłam. Żeby strzelić do człowieka!... Celowałam w dół, ale lufa sama podskoczyła. W ogóle nie chciałam strzelać, chciałam tylko zobaczyć. A później, słowo daję, pańscy ludzie nie przyjeżdżali, więc wydało mi się, że jest pan ugotowany i że muszę coś zrobić.

Adamsberg przytaknął. Był kompletnie ugotowany. Nie minęło dwadzieścia minut, odkąd wszedł do łazienki. Z głodu werble szalały mu po brzuchu.

– Jeśli szuka pan tego młodego człowieka – dodała pani Bourlant, drepcząc w stronę piwnicy – to jest w moim salonie. Opatruje sobie ręce.

XLVI

Ekipa Danglarda jechała za ambulansem, ekipa Voiseneta prowadziła dochodzenie w salonie. Adamsberg zastał Zerkę w salonie sąsiadki, niewiele spokojniejszego niż w obecności mordercy, otoczonego przez czterech policjantów z bronią gotową do strzału. Dłonie miał owinięte grubo szmatami, które pani Bourlant zapięła agrafkami.

– Nim – powiedział Adamsberg, podnosząc Zerkę za ramię – ja się zajmę. Ma pani coś przeciwbólowego?

Kazał mu połknąć dwie tabletki, potem popychając go przed sobą, udał się do samochodu.

– Zapnij pas.

– Nie mogę – odparł Zerk, pokazując zabandażowane ręce.

Adamsberg pokręcił głową, pociągnął pas, zapiął. Zerk biernie pozwalał na wszystko – milczący, zmordowany, ogłupiały. Adamsberg prowadził w milczeniu, dochodziła piąta rano, niedługo wstanie dzień. Wahał się. Czy stricte technicznie trzymać się sprawy czy też przystąpić do rzeczy wprost? Trzecie rozwiązanie, które zawsze podpowiadał Danglard, polegało na delikatnym eleganckim lądowaniu. Takim w sumie po angielsku. Tyle że Adamsberg nie był odpowiednio wyposażony do tego rodzaju lądowania. Mglisto zniechęcony, lekko podłamany, pozwalał jechać samochodowi. Jakie ma znaczenie, czy będzie mówił, czy nie? Po co? Bez mrugnięcia mógł wypuścić Zerkę, niech wraca do swojego życia. Bez słowa mógł jechać na sam koniec świata. Zerk niezgrabnie wyjął papierosa zabandażowanymi rękami. Oczywiście nie mógł go sam zapalić. Adamsberg westchnął, wcisnął zapalniczkę samochodową, podał mu ją, kiedy się rozgrzała. Wziął do ręki drugą komórkę. Dzwonił Weill.

– Obudziłem cię, inspektorze?

– Nie kładłem się spać.

– Ja też nie. Nolet znalazł tego świadka, kolegę ze szkoły Emmy i Françoise Chevron. Pół godziny temu dopadł Carnot. Uzbrojona osobiście udała się do mieszkania kolegi.

– Bywają takie noce, kiedy ludzie są wygłodzeni. Godzinę temu aresztowałem Arnolda Paolego. To doktor Paul de Josselin. Przymierzał się

do Zerka w willi w Garches.

– Straty są?

– Zerk ma pocięte dłonie. Josselin jest w szpitalu w Garches z kulką w brzuchu. Wyliże się.

– Ty strzelałeś?

– Sąsiadka. Sześćdziesiąt lat, metr pięćdziesiąt, czterdzieści kilo, trzydziestkadwójka.

– Gdzie młody?

– Ze mną.

– Odstawiasz go do domu?

– Poniekąd. Nie może się posługiwać rękami, jeszcze nie jest samodzielny. Powiedz Noletowi, żeby obstawił mieszkanie Françoise Chevron, bo będą próbowali za wszelką cenę wydobyć Emmę Carnot z bagna, a wepchnąć w nie męża Chevron. Powiedz mu też, żeby na czterdzieści osiem godzin utajnił sprawę Carnot. Żadnych oświadczeń, żadnych komunikatów. Dziewczyna staje przed sądem pojutrze. Nie chciałbym, żeby Mordent został z niczym po tym, co zrobił.

– Jasne.

Zerk z proszącą miną podał mu swój niedopałek, który Adamsberg zgasił w popielniczce. Z profilu, w świetle wstającego dnia, zdając się myśleć o niczym, Zerk był do niego podobny: miał orli nos i miękki podbródek, aż dziw, że Weill tego nie zauważył. Josselin z przekonaniem powiedział, że to głupek.

– Wypaliłem w Kisiljvie wszystkie twoje papierosy – odezwał się Adamsberg. – Te, które zostawiłeś u mnie. Z wyjątkiem jednego.

– Josselin mówił o Kisiljvie.

– Tam w tysiąc siedemset dwudziestym piątym roku umarł Peter Plogojowitz. Tam dla jego dziewięciu ofiar zbudowano grobowiec, w którym Josselin mnie zamknął.

Adamsberg poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

– Czyli to była prawda – powiedział Zerk.

– Tak. Było mi zimno. I ilekroć o tym myślę, zimno wraca.

– Jakies dwa kilometry Adamsberg przejechał bez słowa. – Zamknął drzwi grobowca i przemówił. Bardzo dobrze cię naśladował. „Wiesz, gdzie jesteś, bucu?”

– To przypominało mnie?

– Bardzo. „I wszyscy się dowiedzą, że Adamsberg odrzucił dzieciaka i co z tego dzieciaka wyrosło. Przez ciebie. Przez ciebie”. Brzmiało przekonująco.

– Myślałeś, że to ja?
– Pewnie. Prawdziwy śmieć, jakim byłeś, kiedy przyszedłeś do mnie. Żeby mi zatruć życie. Nie to obiecywałeś?
– Co robiłeś w grobowcu?
– Dusilem się do samego rana.
– Kto cię znalazł?
– Veyrenc. Deptał mi po piętach, bo nie chciał, żebym cię dopadł. Wiedziałaś o tym?

Zerk patrzył przed siebie przez szybę, zrobiło się już całkiem jasno.

– Nie – powiedział. – Gdzie jedziemy? Do tej twojej pieprzonej brygady?
– Nie zauważyłeś, że zostawiamy Paryż za sobą?
– To gdzie jedziemy?
– Tam, gdzie nie ma dróg. Nad morze.
– Aha – rzekł Zerk, zamykając oczy. – Po co?
– Jeść. Wygrzewać się w słońcu. Patrzeć na wodę.
– Boli mnie. Ten gnój mnie poranił.
– Tabletki przeciwbólowe mogę ci dać nie wcześniej jak za dwie godziny. Spróbuj się przespać.

Adamsberg zatrzymał samochód na wprost morza, kiedy droga zrobiła się piaszczysta. Jego zegarki i położenie słońca na niebie wskazywały mniej więcej siódmą trzydzieści. Płaska plaża, rozległa przestrzeń, na której tu i ówdzie siedziały stadka białych cichych ptaków.

Bezszelestnie wysiadł z wozu. Gładkie morze i nieskazitelny błękit nieba wydawały mu się bardzo prowokujące, nie pasowały do ostatnich dziesięciu dni okrutnego chaosu. Nie pasowały również do stanu rzeczy z Zerkiem, zamęt, osłupienie wyrastały jak ogłupiałe źdźbła na stosie popiołów. Przydałby się jakiś potężny sztorm na oceanie, a tego ranka ponadto zachmurzone niebo, na którym nie widać linii horyzontu. Natura jednak decyduje sama i skoro życzyła sobie tego perfekcyjnego bezruchu, on był gotów go chłonąć przez godzinę. Przeszła mu zresztą ocieężałość, czuł się kompletnie rozbudzony. Położył się na chłodnym ciągle piasku, podpierając się łokciem. O tej porze Wład był jeszcze w kruszynie. Może szybował pod sufitem swoich marzeń. Wybrał jego numer.

– *Dobro jutro, Wład.*
– *Dobro jutro, Adamsberg.*
– Gdzie leży twój telefon? Słabo cię słyszę.
– Leży na poduszce.

– Przystaw go do ucha.

– Załatwione.

– *Hvala*. Pójdiesz powiedzieć Arandelowi, że pościg za Arnoldem Paolem zakończył się dziś w nocy. Sądzę jednak, że jest zadowolony, bo zmasakrował pięcioro wielkich Plogojowiczów. Plögenera, Vaudela-Ploga, Plogersteina i dwoje Ploganów, ojca i córkę w Finlandii. I stopy tego Plogodrescu. Klątwa rodu Paole na tym się kończy i jak powiedział Arnold, wszyscy odchodzą. Wolni. Na wzgórzu Hiżgat umiera drzewo.

– Plog.

– Niemniej pozostaje dwóch żujących.

– Żujący nie sprawiają kłopotów. Arandel ci powie, że wystarczy obrócić ich na brzuch, a jak kropla rtęci opadną do samego jądra ziemi.

– Nie zamierzam tym się zajmować.

– Wspaniale – rzekł Vlad trochę od rzeczy.

– Koniecznie przekaz to Arandelowi. Zostajesz w Kisilovej na zawsze?

– Pojutrze muszę być na konferencji w Monachium. Wracam na prostą drogę, która, jak wiesz, nie istnieje, a w ogóle nie jest prosta.

– Plog. Vlad, co znaczy *loša sreća*? Paole to powiedział, kiedy padł.

– To znaczy „pech”.

Zerk usiadł kilka metrów od niego, przyglądając mu się cierpliwie.

– Wpadniemy do przychodni z twoimi rękami – powiedział Adamsberg. – Potem pójdziemy na kawę.

– Co znaczy „plog”?

– To jak spadająca kropla prawdy – wyjaśnił Adamsberg, pomagając sobie gestem: podniósł dłoń i wolno opuszczał w linii prostej. – Która trafia dokładnie we właściwe miejsce – dodał, wciskając czubek kciuka w piasek.

– No dobra – rzekł Zerk, wpatrując się w dziurkę zostawioną przez kciuk.

– A jeśli spadnie tu albo tu? – spytał, zagłębiając kciuk w piasku na chybił trafił. – Wtedy to nie jest prawdziwy plog?

– Przypuszczam, że nie.

XLVII

Adamsberg włożył słomkę do kawy Zerka i posmarował mu chleb.

– Opowiedz mi o Josselinie, Zerk.

– Nie nazywam się Zerk.

– Tak cię ochrzciłem. Zauważ, że dla mnie masz tylko tydzień. Czyli jesteś kwilącym noworodkiem.

– Ty też masz tylko tydzień, nie jesteś lepszy.

– A jak mnie nazywasz?

– Nie nazywam cię.

Zerk siorbnął kawy przez słomkę i zaśmiał się jakoś tak naturalnie, trochę jak Vlad, czy to ze swojej odpowiedzi, czy to z dźwięku, który wydała słomka. Jego matka taka była: skora do zabawy w najmniej stosownej chwili. Co tłumaczyło zresztą, dlaczego Adamsberg kochał się z nią w deszczu przy starym mostku na Jaussene. Zerk wziął się z zabawy.

– Nie chcę cię przesłuchiwać na komendzie.

– Ale mnie przesłuchujesz?

– Tak.

– Więc odpowiem ci jak gliniarzowi, bo dla mnie od dwudziestu dziewięciu lat tylko tym jesteś. Gliniarzem.

– Tym jestem i tego chcę: żebyś mi odpowiedział jak gliniarzowi.

– Josselina bardzo lubiłem. Poznałem go w Paryżu cztery lata temu, kiedy ustawił mi głowę na swoim miejscu. Pół roku temu zaczęło się to zmieniać.

– Jak?

– Zaczął mnie przekonywać, że dopóki nie zabiję swojego ojca, będę nikim. Uwaga, to była taka przenośnia.

– Rozumiem, Zerk.

– Wcześniej ojciec niewiele mnie obchodził. Bywało, że o nim myślałem, ale syn gliny... wolałem zapomnieć. Czasem czytałem o tobie w gazetach, matka była dumna, ja nie. I tyle. Nagle Josselin zaczyna się do tego mieszać. Mówi, że ty jesteś przyczyną wszystkich moich nieszczęść, wszystkich porażek, widzi to w mojej głowie.

– Jakie porażki?

– Nie wiem – odparł Zerk, znowu ciągnąc kawę przez słomkę. – Nie

bardzo mnie to obchodzi. Może miał na myśli ciebie i tę ampułkę, którą mi zaserwowałeś.

– Co wtedy powiedział Josselin?

– Że muszę ci stawić czoło, zniszczyć cię. „Oczyścić się”, tak mówił, jakbym miał w sobie kupę śmieci i jakbyś tą kupą był ty. Nie bardzo mi się to podobało.

– Czemu?

– Nie wiem. Nie miałem odwagi, całe to oczyszczanie wyglądało mi na robotę za ciężką. Zwłaszcza że nie czułem w sobie kupy śmieci, nie wiedziałem, gdzie jest. Josselin twierdził, że tak, jest, i to wielka. Że jeśli jej nie usunę, zgniję od środka. W końcu przestałem się mu sprzeciwiać, to go denerwowało, a Josselin był inteligentniejszy ode mnie. Słuchałem go. Po iluś tam takich seansach zacząłem mu wierzyć. I w końcu uwierzyłem w pełni.

– Co wtedy postanowiłeś?

– Usunąć kupę, tylko nie wiedziałem, jak to zrobić. Josselin jeszcze mi nie wytłumaczył. Obiecał, że mi pomoże. Że w taki czy inny sposób nadzieję się na ciebie. I tak się stało, miał rację.

– A pewnie. Wszystko zaplanował.

– Prawda – przyznał Zerk po chwili.

Chłopak niezbyt lotny, pomyślał Adamsberg, zły na siebie, że po części musi zgodzić się z Josselinem. Bo skoro Zerk nie miał lotnego umysłu, czyja to była wina? Ruchy także miał wolne. Zerk wypił dopiero połowę kawy, Adamsberg jednak tyle samo.

– Kiedy nadziałeś się na mnie?

– Najpierw był ten telefon w nocy z poniedziałku na wtorek, po zabójstwie w Garches. Jakiś facet mi powiedział, że moje zdjęcie będzie w porannych gazetach, że będę oskarżony o morderstwo, że muszę się szybko zmyć i nie dawać znaku życia. Że sprawy ułożą się później, on da mi znać.

– Mordent. Jeden z moich ludzi.

– Znaczący, nie kłamał. Powiedział: „Jestem przyjacielem twojego ojca, rób, co ci mówię, do cholery”. Bo ja chciałem iść na policję, powiedzieć, że to pomyłka. Ale Louis zawsze mi mówił, żeby unikać glin, póki się da.

– Kto to jest Louis?

Zerk podniósł na Adamsberga zdziwione spojrzenie.

– Louis. Louis Veyrenc.

– A, tak, Veyrenc – powiedział Adamsberg.

– On wie, co mówi. No więc się zmyłem i zadekowałem u Josselina. Bo u

kogo innego? Matka jest w Polsce, a Louis w Laubazac. Josselin zawsze powtarzał, że jego drzwi stoją przede mną otworem, gdybym potrzebował. I to był dla mnie gwóźdź do trumny. Ale byłem już wtedy urobiony, bez dwóch zdań.

– Jak ci to przedstawił?

– Jako okazję, teraz albo nigdy. Powiedział, że muszę wykorzystać nieporozumienie, że to uśmiech losu. „Los zatrzymuje się tylko na minutę na dworcu, wskakuj do pociągu, tylko głupcy zostają na peronie”.

– Dobra uwaga.

– Tak, też mi się spodobała.

– Ale nieprawdziwa. Co potem? Kazał ci się wyuczyć roli?

– Nie, powiedział tylko ogólnie, jak mam się zachowywać, jak cię zmusić, żebyś zauważył moje istnienie i zrozumiał, że jestem silniejszy. Podkreślał, że to wzbudzi w tobie poczucie winy, że ten etap koniecznie musi być. „To twój dzień, Armel. Później będziesz odrodzony. Atakuj, oczyszczaj, żyj, to twój dzień”. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Bardzo mi się spodobały te słowa: „Atakuj, oczyszczaj, żyj”.

– Skąd wzięłaś tamtą koszulkę?

– On mi ją kupił, powiedział, że nie będę wiarygodny w starej koszuli. Noc spędziłem u niego, ale byłem zbyt zdenerwowany, żeby spać, układałem sobie wszystko w głowie. Dał mi lekarstwa.

– Pobudzające?

– Nie wiem, nie pytałem. Jedną tabletkę wieczorem i dwie rano, zanim poszedłem do ciebie. Już wtedy czułem się odrodzony. A kupę śmieci widziałem jak na dłoni. Im więcej czasu mijało, tym bardziej wzbierało to we mnie. Mógłbym cię wtedy zabić. Ty też – dodał głosem niemal identycznym jak głos Zerk a gota. Umknął wzrokiem w bok. Wziął papierosa, którego Adamsberg mu przypalił. – Naprawdę byś mnie zagazowała tą pieprzoną fiolką?

– Na co ona wyglądała twoim zdaniem?

– Na pieprzoną truciznę.

– Kwas nitrocytraminowy.

– No.

– A oprócz tego co przypominała?

Zerk wydmuchnął dym.

– Czy ja wiem?... Próbkę perfum.

– I tym była.

– Nie wierzę – prychnął Zerk. – Mówisz tak, bo dzisiaj ci wstyd. Byłeś w gabinecie. Raczej nie trzymasz perfum w gabinecie.

– Zamknąłeś mnie, ale zapomniałeś, że gliniarz zawsze ma przy sobie klucz uniwersalny. Przyniosłem próbkę z łazienki. Kwas nitrocytraminowy nie istnieje. Możesz sprawdzić.

– Szlag – mruknął Zerk i siorbnął kawy.

– Za to naprawdę nie można wciskać gnata tak głęboko za spodnie.

– To rozumiem.

– Masz świerzb, gruźlicę, jedną nerkę?

– Nie. Miałem raz grzybicę.

– Kontynuuj.

– Ten kot pod skrzynkami mnie ubawił. A może stary i historia z jego ręką. Nagle zeszła ze mnie para, jakbym wytrzeźwiał. Miałem dość pokrzykiwania. Ale chciałem pokrzykiwać. Chciałem pokrzykiwać, póki nie padniesz na kolana, póki nie zaczniesz błagać. Josselin mi powiedział, że jak nie będę wrzeszczał, jestem ugotowany. Że jak cię nie powalę na ziemię, jestem ugotowany. Razem z kupą śmieci, która zostanie we mnie już do końca życia. I faktycznie dobrze się z tym czułem, później niczego nie żałowałem.

– Ale okazało się, że jesteś uziemiony.

– Tak, kurde, jak kot pod skrzynkami. Czekałem na sprostowanie w sprawie DNA. Albo na telefon od tamtego faceta. Ale nic się nie działo.

– Przyszło ci do głowy, że to pułapka Josselina?

– Nie. Przecież to on mnie ukrywał. W pokoju na końcu mieszkania, miałem siedzieć cicho z powodu pacjentów.

– Tamtego dnia, jak wyszedłeś ode mnie, gdybyś później, między dziewiątą a dwunastą, wystawił nos z tego pokoju, zobaczyłbyś mnie. Byłem u niego. Przypuszczam, że Josselin rozkoszował się sytuacją. Obaj byliśmy u niego, manipulował nami obydwojma. Ale naprawdę postawił mnie na nogi i zlikwidował mi szumy w uszach. Będzie nam go brakowało, Zerk, on ma złote palce.

– Nie, mnie go nie będzie brakowało.

– I co dalej było tamtego dnia?

– Przyszedł do mnie w porze lunchu, kazał sobie wszystko opowiedzieć, pytał o szczegóły, o to, co mówiłeś, dobrze się tym bawił, wyglądał na uszczęśliwionego, że tak sobie poradziłem. Kazał mi zdjąć tamtą koszulkę, przygotował superwyżerkę, żeby uczcić mój występ. Co do DNA, powiedział, że to błąd w badaniu i że trzeba czasu, by gliny się skapowały. Ale później coraz mniej mu wierzyłem. Chciałem zadzwonić do Louisa, nie mogłem jednak skorzystać ze swojej komórki. Był oczywiście stacjonarny Josselina. Ale jeżeli gliniarze wiedzieli, że to mój wujek, mogli go śledzić.

Zacząłem dochodzić do wniosku, że ktoś zatruwa mi życie. To on zwędził chusteczkę, nie?

– Bez problemu. I sierść twojego psa. Stokrotki. Znaleźliśmy ją na fotelu w Garches. Na tym samym, do którego wczoraj cię przygwoździł. Zastanawiałem się, jak zdobył tę sierść. Był u ciebie?

– Nigdy.

– Kiedy cię leczył, rozbierałeś się?

– Zostawiałem tylko buty w poczekalni.

– I nic więcej? Zastanów się.

– Nie. Tak. Dwa razy kazał mi zdjąć spodnie, bo chciał obejrzeć kolana.

– Dawno?

– Jakies dwa miesiące temu.

– Wtedy zabrał chusteczkę i psią sierść. Nie skojarzyłeś tego?

– Nie. Josselin pomagał mi cztery lata. Czemu miałbym źle o nim myśleć? Wmówił mi, że mnie lubi, a tak naprawdę uważał mnie za kretyna. Wszyscy mają w dupie, czy żyjesz, czy umierasz. To mi powiedział wczoraj.

– *Loša sreća*, Zerk. Wziął na siebie przeznaczenie Arnolda Paolego.

– Wcale go nie wziął, bo to prawda. On jest potomkiem tego Paolego. Powiedział mi to w samochodzie, kiedy jechaliśmy do willi. I nie żartował.

– Wiem. To autentyczny Paole po mieczu. Chodzi mi o to, że dopadła go taka sama choroba jak jego przodka, który jadł ziemię z cementarza, żeby się chronić przed Peterem Plogojowitzem. Co jeszcze ci powiedział?

– Że umrę, ale moja śmierć przyczyni się do jego dzieła wyplenienia przeklętych. I że to będzie dobra śmierć dla gościa takiego jak ja, który nie nadaje się do niczego. Wy tłumaczył mi, że od przeszło trzystu lat nieczysta rodzina zarażała jego rodzinę i że musiał to zakończyć. Mówił, że urodził się z dwoma zębami, że to dowód na zło, które w nim jest z winy innych. Ale chwilami trudno było go zrozumieć. Mówił za szybko, bałem się, że samochód wypadnie z drogi. – Zerk przerwał, aby dokończyć zimną kawę. –

Opowiadał o swojej matce. Porzuciła go, bo należał do linii Paole, o czym świadczyło to, że urodził się z zębami. Krzyczała, że to „zębaty”, i zostawiła noworodka w szpitalu „jak jakąś podłą istotę”. Tutaj się rozpląkał, naprawdę płakał. Widziałem go w lusterku wstecznym. Nie miał pretensji do matki. Powiedział: „Co niby matka może zrobić ze ścierwem? Ścierwo nie jest dzieckiem”. Pomyślałem wtedy, że mięknie, że mnie wypuści, błagałem go. Ale zaczął znów wrzeszczeć, a samochód tańczył na jezdni. Kurde, ale się bałem. I dalej opowiadał o swoim cierpieniu jako ścierwa.

– Adoptowali go Josselinowie?

– Tak. Kiedy miał dziewięć lat, otworzył szufladę w biurku ojca. Znalazł

swoją teczkę. Dowiedział się, że został adoptowany, że matka go porzuciła i dlaczego. Był z rodu Paole, z linii potępionych wampirów. Tak powiedział. Rok później rodzice przestali panować nad sytuacją. Rozbijał wszystko, smarował ściany własnym gównem. Opowiadał mi o tym normalnie, bez wstydu, jakby wymieniał kolejny dowód swojego potępienia. Kiedyś w listopadzie rodzice zawieźli go do jakiegoś zakładu na badania. Powiedzieli, że wrócą, ale nie wrócili.

– Drugie porzucenie, przesrane życie – stwierdził Adamsberg.

– Coś jak plog, nie?

– Skoro chcesz...

– Potem ożenił się „z kobietą brzydką, ale bardzo solidną” i zaczął odcinać stopy tym, którzy mu zagrażali. Ludziom, którzy urodzili się z zębem. Z początku trochę po omacku, co sam przyznał. „Byłem początkujący, na pewno odciąłem stopy niegroźnym ludziom, niech mi wybaczą. Nie zrobiłem im krzywdy, wszyscy już nie żyli”. A żona odeszła bardzo szybko. „Istota bez serca, w sumie zła”, powiedział.

– To też prawda.

– Dalej byliśmy już w willi, nie musiał patrzeć na drogę. Wtedy mu się pogorszyło, nie mówił już normalnie. Czasem szeptał, tak że nic nie słyszałem, czasem ryczał. Wbił mi nóż w dłoń. Wymienił całe drzewo genealogiczne tych... no... Plogojaków... Tak się nazywają?

– Plogojowicz.

Zerk miał nie mniejsze niż on problemy z zapamiętywaniem nazwisk. Przez tę krótką chwilę Adamsberg miał wrażenie, że zna go dogłębnie.

– No – rzekł Zerk, ściągając kreskę brwi identycznie jak jego ojciec, gdy pilnował gotującego się kapuśniaku. – Mówił o „niehumanicznym cierpieniu”, powiedział, że nigdy nikogo nie zabił, bo te istoty nie były ludźmi, tylko ścierwami z głębin ziemi, które niszczyły ludziom życie. Nie wszystkiego słuchałem, bolało mnie, bałem się.

Powiedział, że to jego praca wielkiego lekarza: leczenie ran, uwalnianie świata od „nieczystego zagrożenia”.

Adamsberg wyjął papierosa z paczki Zerka.

– Skąd wzięłeś mój numer?

– Odpisałem z komórki wujka Louisa, kiedy z tobą pracowałem.

– Zamierzałeś się nim posłużyć?

– Nie. Ale uważałem za nienormalne, że Louis go ma, a ja nie.

– Jak udało ci się go wybrać w kieszeni?

– Nie wybierałem. Był w szybkim wybieraniu pod dziewiątką. Ostatni z ostatnich.

– To już jakiś początek – skwitował Adamsberg.

XLVIII

Èmile wszedł do komendy, opierając się na kuli. Wyklócał się w dyżurce z sierżantem Gardonem, który nie rozumiał, co ten człowiek bredzi o jakimś psie. Danglard podszedł do nich, powłócząc nogami, ubrany w jasny garnitur, co było niesłychane i wzbudzało komentarze, lecz dużo mniej liczne niż aresztowanie Pierre'a de Josselina, potomka Arnolda Paolego, któremu życie zmarnowały wampiry z rodu Płogojowitzów.

Retancourt, pozostająca na czele racjonalnego ruchu pozytywistycznego, walczyła od rana z ugodowcami i szuflującymi chmury, którzy jej zarzucali, że ogranicza śledztwo do ciasnej utartej drogi, nie biorąc pod uwagę czynnika wampirycznego. A przecież w ludzkiej głowie może się znaleźć wszystko, powiedział Mercadet. A także w szafie ludzkiego brzucha, pomyślał Danglard. Kernorkian i Froissy doszli do granicy swoich wahań, byli gotowi uwierzyć w istnienie wampirów, co jeszcze pogarszało sytuację. Chodziło mianowicie o kwestię zakonserwowania zwłok, fakt należycie potwierdzony, niejednokrotnie zapisany w historii – czy to da się wytłumaczyć? Na niewielką skalę debata, która rozgorzała na Zachodzie w drugim dziesięcioleciu XVIII wieku, wybuchła na nowo w biurach paryskiej brygady kryminalnej, acz w ciągu trzech wieków nie poczyniono znaczących postępów w tym zakresie.

Właśnie ten punkt w gruncie rzeczy wytrącał z równowagi agentów brygady, strach, który wzbudzały ciała „nietknięte, rumiane”, broczące krwią z wszystkich otworów i pokryte świeżą jędrną skórą, podczas gdy zrzucana stara, a także zużyte paznokcie walają się na dnie grobu. Tutaj górę wzięła wiedza Danglarda. On znał odpowiedź, wiedział, co trzeba, o samoistnym zakonserwowaniu zwłok, w sumie dość powszechnym, potrafił nawet wytłumaczyć krzyk wampira przebijanego kołkiem i westchnienia żujących. Otoczono go kręgiem, czekano na jego słowa, debata doszła bowiem do miejsca, w którym nauka znów na jakiś czas miała dać odpór obskurantyzmowi. Danglard zaczął od wyłożenia kwestii gazów, które czasami, zależnie od składu chemicznego gleby, zamiast ulatniać się z ciała, nadymają je jak balon, napinając skórę, i tu przerwał mu łoskot wywróconej na górze metalowej miski oraz tupot łap Kupidona, który nie

zważając na przeszkody, gnał po schodach do wejścia. Nie zwalniając, szczerknął specyficznie, gdy mijał fotokopiarkę, na której Kulka leżał rozciągnięty z dwiema łapkami zwisającymi w powietrzu.

– W tym wypadku – skomentował Danglard, gdy minął ich zwierzak oszalały z radości – nie ma ani wiedzy, ani marzeń. Jest tylko czysta nieograniczona, niekwestionowana miłość. To bardzo rzadkie u ludzi, bardzo niebezpieczne także. Niemniej Kupidon umie się zachować, pożegnał się z kotem z krztą podziwu i żalu.

Zwierzak skoczył Èmile'owi na pierś, ziajał, lizał, drapał koszulę. Èmile musiał usiąść, głowę zadymiarza oparł na psim grzbiecie.

– Jego końskie łajno – rzekł Danglard – było takie samo jak na twojej furgonetce.

– A ten liścik miłosny starego Vaudela? Pomógł inspektorowi?

– Bardzo. Zaprowadził go prosto na śmierć w zgniłym grobowcu.

– A przejście przez piwnicę starej Bournant pomogło mu?

– Oczywiście, bardzo. Zaprowadziło go prosto do doktora Josselina.

– Nigdy nie lubiłem tego ważniaka. A gdzie szef?

– Chcesz się z nim widzieć?

– Tak. Nie chcę, żeby mi robił problemy, moglibyśmy się dogadać.

W końcu mu pomogłem, mam kartę przetargową.

– Dogadać się? W jakiej sprawie?

– To powiem tylko szefowi.

Danglard wybrał numer Adamsberga.

– Inspektorze, Kupidon klei się właśnie do Èmile'a, który chce z tobą mówić, żeby się dogadać.

– Dogadać w jakiej sprawie?

– Nie mam pojęcia. Chce mówić tylko z tobą.

– Osobiście – odpowiedział Èmile z godnością.

– Jak on się ma?

– Na pozór dobrze, ma nową marynarkę i niebieską broszkę w butonierce.

Kiedy będziesz?

– Jestem na plaży w Normandii, Danglard, niedługo wracam.

– Co tam robisz?

– Musiałem pogadać z synem. Żaden z nas nie błyszczy, ale udaje nam się porozumieć.

A pewnie, pomyślał Danglard. Tom nie miał roku, nie potrafił jeszcze mówić.

– Tyle razy ci mówiłem, że są w Bretanii, nie w Normandii.

– Mówię o drugim synu, Danglard.

– O... – Danglard się zająknął, nie mogąc dokończyć. – O drugim? – Nagle wezbrał w nim gniew na Adamsberga. Drań, musiał znowu lekkomyślnie zmajstrować dziecko, a przecież Tom niedawno się urodził. – Ile ma ten drugi? – zapytał cierpko.

– Tydzień.

– Łajdak jesteś – syknął Danglard.

– Tak bywa, komendancie. Nie wiedziałem.

– Cholera, ty nigdy nie wiesz.

– A ty mi nigdy nie pozwalasz dokończyć, Danglard. Ma tydzień dla mnie i dwadzieścia dziewięć lat dla innych. Siedzi obok mnie i pali. Obydwie dłonie ma zabandażowane. W nocy Paole przyszpilił go do ludwika trzynastego.

– Zerquetscher – rzekł Danglard słabym głosem.

– Zgadza się, komendancie. Zerk. Armel Louvois.

Danglard pustym wzrokiem popatrzył na Èmile'a i jego psa, analizując szybko nowe dane.

– To taka przerośnia, tak? – podjął po chwili. – Adoptowałeś go czy coś w tym stylu?

– Ależ skąd, to mój syn. A Josselin tym lepiej się bawił, wybierając go na kozła ofiarnego.

– Nie wierzę.

– Ufasz Veyrencowi? Zapytaj go. To jego siostrzeniec. Usłyszysz dużo dobrego.

Adamsberg pólleżał na plaży, rysując palcem grube wzory na piasku. Zerk z rękami złożonymi na brzuchu, dłońmi mniej bolącymi po lokalnym anestetyku, wygrzewał się w słońcu rozluźniony niczym kot na fotokopiarce. Danglardowi przewijały się przed oczami wszystkie zdjęcia Zerka, które opublikowano w prasie – docierało do niego teraz, jak znajoma wydawała mu się ta twarz. Taka była prawda. Szokująca.

– To nic takiego, komendancie. Daj mi Èmile'a.

Danglard bez słowa podał telefon zadymiarzowi, który od szedł do drzwi.

– Ten twój kumpel to kretyn – rzekł Èmile. – Nie broszkę mam, tylko szpikulec do ślimaków. Poszedłem po niego do willi.

– Bo ogarnęła cię nostalgia?

– No.

– W jakiej sprawie chcesz się dogadać? – spytał Adamsberg, siadając.

– Podliczyłem wszystko. Wychodzi dziewięćset trzydzieści siedem euro. Teraz, kiedy jestem bogaty, mogę je oddać, a ty zapominasz o sprawie. W zamian za liścik i przejście piwnicą. Pasuje?

– O czym mam zapomnieć?

– No o forsie, do licha. Banknot tu, banknot tam... W sumie się uskładało dziewięćset trzydzieści siedem. Zapisywałem.

– A, teraz łapię, Èmile. Z jednej strony na nic mi twoje banknoty, już ci to mówiłem. Z drugiej strony za późno. Nie sądzę, żeby Pierre junior, któremu zgarniasz sprzed nosa połowę majątku, był szczęśliwy, kiedy się dowie, że okradałeś jego ojca i zwracasz mu dziewięćset trzydzieści siedem euro.

– No – przyznał Èmile w zamyśleniu.

– Czyli forszę sobie zostawiasz i buzię trzymasz na kłódkę.

– Kumam – powiedział Èmile i Adamsberg pomyślał, że musiał to załapać od Andrégo, pielęgniarza w szpitalu w Châteaudun.

– Masz drugiego syna? – zapytał Zerk, gdy wsiadali do samochodu.

– Malutkiego – odparł Adamsberg, rozsuwając dłonie, jakby wiek minimalizował sam fakt. – Przeszkadza ci to?

– Nie.

Zerk był gościem łatwym w obcowaniu, co do tego nie było wątpliwości.

XLIX

Pałac Sprawiedliwości spowijała chmura, co tym razem bardzo pasowało do tego miejsca. Adamsberg i Danglard, usadowieni na tarasie kawiarni naprzeciwko, czekali, aż córka Mordenta wyjdzie po rozprawie. Zegarek Danglarda wskazywał za dziesięć jedenastą. Adamsberg patrzył na starannie odnowione złocenia pałacu.

– Zdrapuje się pozłotkę i co widać pod spodem, Danglard?

– Łuski wielkiego węża, powiedziałyby Nolet.

– Przyklejone do Sainte-Chapelle. Nie pasują do siebie.

– Nie jest tak źle. Są dwie kaplice jedna nad drugą i dobrze od siebie oddzielone. Dolna była zarezerwowana dla pospólstwa, górna dla króla i jego dworu. Zawsze wraca ten sam podział.

– Wielki wąż snuł się na górze już w czternastym wieku – rzekł Adamsberg, podnosząc wzrok na czubek gotyckiej iglicy.

– W trzynastym – sprostował Danglard. – Pierre de Montreuil wybudował ją między tysiąc dwieście czterdziestym drugim a czterdziestym ósmym rokiem.

– Udało ci się złapać Noleta?

– Tak. Szkolny kolega faktycznie był świadkiem na ślubie Emmy Carnot i dwudziestoczteroletniego młodzieńca, Paula de Josselina Cressenta, w merostwie w Auxerre dwadzieścia dziewięć lat temu. Emma za nim szalała, jej matce imponowała szlachecka partykuła, ale twierdziła, że Paul to ostatni potomek rodu niezrównoważonego psychicznie. Małżeństwo przetrwało trzy lata. Dzieci nie było.

– I dobrze. Josselin nie byłby dobrym ojcem.

Danglard nie podjął tego tematu. Wolał poczekać, aż pozna Zerka.

– Na świecie byłby kolejny mały Paole – ciągnął Adamsberg – i Bóg wie, co by sobie roił. Ale nie. Ród Paole odchodzi, doktor tak powiedział.

– Jadę pomóc Radstockowi w zrobieniu porządku ze stopami. Potem biorę tydzień urlopu.

– Będziesz łowił w jeziorze?

– Nie – odparł Danglard wymijająco. – Raczej zostanę w Londynie.

– W sumie plan dość abstrakcyjny.

– Tak.

– Jak Mordent odzyska córkę, czyli dziś wieczorem, wypuścimy strugę błota ze sprawą Emmy Carnot. Struga spłynie z Rady Stanu na Sąd Kasacyjny, później na prokuraturę, wreszcie na sąd w Gavernan i tam się zatrzyma. Nie dotrze do dołów, do prostego sędziego i Mordenta, którzy nikogo nie obchodzą. Oprócz nas.

– Będzie paskudny huk.

– Jasne. Ludzie będą oburzeni, padną propozycje zreformowania sądownictwa, a potem ktoś wyciągnie jakąś inną sprawę i wszystko pójdzie w zapomnienie. A co będzie dalej, wiesz.

– Wąż zraniony w trzy łuski, po paru konwulsjach... Wszystko odbuduje w dwa miesiące.

– Albo wcześniej. A my uruchomimy kontrofensywę metodą Weilla. Nie wydamy po nazwisku sędziego z Gavernan. Zostawimy go sobie jako zapasowy granat, żeby chronić nas, Noleta i Mordenta. Metodą Weilla przeniesiemy też z Awinionu na quai des Orfèvres strużyny z ołówka i śliczną łuseczkę. Które gdzieś się zapodzieją.

– Czemu chronimy tego gnoja Mordenta?

– Bo prosta droga wcale nie jest prosta. Mordent nie jest częścią węża, został połknięty na surowo. Jest w jego brzuchu, jak Jonasz.

– Jak wujek w niedźwiedziu.

– Ha, wiedziałem, że kiedyś ta historia cię zainteresuje – rzekł Adamsberg.

– A co zostaje z idei Mordenta w wężu na górze?

– Niemiły cierń i wspomnienie porażki. Zawsze to coś.

– Co zrobimy z Mordentem?

– Sam zdecyduje. Jeśli zechce, wróci. Zniszczony człowiek wart jest dziesięciu. Wiesz tylko ty i ja. Inni myślą, że miał paskudnego doła, dlatego popełniał błędy. Wiedzą też, że uratował jaja, i o niczym więcej nie mają pojęcia. Nikt nie wie, że był u Pierre'a Vaudela juniora.

– Czemu właściwie młody Vaudel nie powiedział o koniach wyścigowych, o łajnie?

– Żona nie chce, żeby grał.

– A kto zapłacił portierowi w kamienicy, temu Franciscowi Delfinowi, za dostarczenie Josselinowi fałszywego alibi? Sam Josselin czy Emma Carnot?

– Nikt. Josselin zwyczajnie wysłał Francisca na zwolnienie. Przez kilka dni po Garches rolę Francisca odgrywał Josselin. Zajął jego miejsce, czekając na nieuniknione przybycie glin. Kiedy go zobaczyłem, w stróżówce było ciemno, on był przykryty kocem łącznie z rękami. Później poszedł do

swojego mieszkania schodami służbowymi i szybko się przebrał, zanim mnie wpuścił.

– Wyrafinowane.

– Tak. Ale nie dla jego byłej żony. Jak tylko Emma się dowiedziała, że Josselin był lekarzem Vaudela, zrozumiała wszystko długo przed nami. Natychmiast.

– Wychodzą – przerwał mu Danglard. – I stała się sprawiedliwość.

Mordent szedł sam pod chmurą. Dzieci zjadły zielone winogrona, a zęby ścierpły ojcom. Jego córka, wolna, jechała do więzienia we Fresnes, by podpisać dokumenty i zabrać swoje rzeczy. Kolację zje wieczorem w domu, już zrobił zakupy.

Adamsberg chwycił Mordenta pod jedno ramię, Danglard stanął przy jego drugim boku. Komendant popatrzył na nich kolejno jak wielka stara czapla schwytna w pułapkę przez policję na policję. Jak wielka stara czapla, która straciła prestiż i pióra, skazana na wstydlive połowy w samotności.

– Przyszliśmy, żeby uczcić ten sukces wymiaru sprawiedliwości, Mordent – powiedział Adamsberg. – I żeby uczcić także aresztowanie Josselina i uwolnienie wszystkich z rodu Paole, którzy wracają do zwyczajnego losu śmiertelników. Uczymy też narodziny mojego starszego syna. Dużo powodów do świętowania. Zostawiliśmy piwo na tarasie.

Uchwyt Adamsberga był silny, jego asymetryczna twarz uśmiechnięta. Pod skórą przepływało mu światło, oczy się jarzyły, a Mordent wiedział, że kiedy mętne zwykle oczy Adamsberga przemieniają się w płonące kulki, znaczy, że przybliżył się do zwierzyny albo do prawdy. Inspektor ciągnął go szybkim marszem w stronę kawiarni.

– Do świętowania? – powtórzył Mordent obojętnym głosem, nie mając nic innego do powiedzenia.

– A tak, do świętowania. Uczymy też uprzejme zniknięcie strużyn z ołówka i łuseczki spod lodówki. Uczymy moją wolność, Mordent.

Ramię komendanta ledwie drgnęło pod palcami Adamsberga. Stara czapla u kresu sił. Adamsberg posadził go między nimi, jakby upchnął węzełek na krześle. Wywalony bezpiecznik F3, pomyślał, wstrząs psychoemocjonalny najwyższego stopnia, zahamowanie reakcji. A tu ani widu, ani słyhu doktora Josselina, żeby to naprawił. Wraz z odejściem potomka Arnolda Paolego medycyna straciła jednego ze swoich luminarzy.

– Przesrane, co? – wymamrotał Mordent. – Normalka – dodał, odgarniając szpakowate włosy i wyciągając szyję z kołnierzyka właściwym tylko jemu charakterystycznym ruchem ptaka brodzącego.

– Przesrane. Ale sprytnie zbudowana tama zatrzyma strumień błota u

drzwi sądu w Gavernan. Za nią nie będzie widać żadnych zrad, tam pozostaną tylko dziewicze tereny. W brygadzie nikt nie wie, posada czeka. Wasza decyzja, Mordent. Za to Emma Carnot wybuchnie. Rozkazy dostawaliście bezpośrednio od Emmy?

Mordent kiwnął głową.

– Na komórkę przeznaczoną tylko do tego?

– Tak.

– Gdzie aparat?

– Zniszczyłem wczoraj wieczorem.

– Świetnie. Nie próbujcie lecieć jej na pomoc, żeby chronić siebie, Mordent. Rozwaliła kobietę, kazała zastrzelić Émile'a, potem próbowała go otruć. Zamierzała załatwić ostatniego świadka swojego ślubu.

Jak zawsze czujny Danglard zamówił jeszcze jedno piwo, które postawił Mordentowi przed nosem. Gestem równie władczy jak uchwyt Adamsberga i ze znaczącym: „Pij”.

– Nie próbujcie też odebrać sobie życia – dodał Adamsberg. – To by było niedorzeczne, powiedziała by Danglard, w chwili gdy Elaine was potrzebuje.

Adamsberg wstał. Sekwana płynęła w odległości kilku metrów, zmierzając ku morzu, które zmierzało ku Ameryce, która zmierzała ku Pacyfikowi, po czym wracała tutaj.

– *Vratiču se* – rzekł. – Idę pochodzić.

– Co on powiedział? – spytał Mordent zdziwiony, na moment wróciwszy do normalności, co Danglardowi wydało się dobrym znakiem.

– Został w nim kawałeczek wampirów z Kisilovej. Kiedyś w końcu się rozejdzie. Albo i nie. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Adamsberg zawrócił czymś mocno zaabsorbowany.

– Danglard, już mi kiedyś mówiłeś, ale nie pamiętam. Skąd wypływa Sekwana?

– Na wyżynie Langres.

– Nie z góry Gerbier-de-Jonc?

– Nie, tam jest źródło Loary.

– *Hvala*, Danglard.

– Bardzo proszę. To znaczyło „dziękuję” – wyjaśnił Danglard Mordentowi.

Adamsberg z powrotem szedł ku rzece swym kołyszącym się krokiem, jednym palcem przytrzymując kurtkę zarzuconą na ramię. Mordent uniósł kufel niezgrabnie, jak człowiek, który nie wie, czy jeszcze ma do tego prawo, z wahaniem wzniosł go do Adamsberga w oddali, potem do Danglarða tuż obok.

– *Hvala* – powiedział.

L

Adamsberg ponad godzinę szedł nabrzeżem po słonecznej stronie. Nasłuchiwał mew krzyczących po francusku, trzymając w ręce komórkę, czekał bowiem na telefon z Londynu – połączenie przyszło o czternastej piętnaście, jak obiecał Stock. Rozmowa była bardzo krótka, ponieważ Adamsberg zadał nadinspektorowi Radstockowi tylko jedno pytanie, na które wystarczyło odpowiedzieć „tak” albo „nie” .

– Yes – powiedział Radstock.

Adamsberg podziękował mu i zakończył połączenie. Zawahał się moment, po czym wybrał numer Estalère'a. Sierżant jako jedyny nie wygłaszał komentarzy ani krytyk.

– Estalère, odwiedźcie Josselina w szpitalu, mam dla niego wiadomość.

– Tak jest, inspektorze, już zapisuję.

– Powiedzcie mu, że drzewo na Hampstead Hill uschło.

– Na Hampstead Hill? Na tym wzgórzu, na którym jest Highgate?

– Zgadza się.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– Załatwione, inspektorze.

Adamsberg powoli ruszył z powrotem bulwarem, wyobrażając sobie, jak drzewa w Kisiljevie usychają wokół grobu.

A może odrosną, Peter?

Przypisy

- [1] Zob. teŝe autorki *Modlitwa do trzeciej dziewicy*, Katowice 2017.
- [2] Księga Ezechiela 18, 2.
- [3] Gerard de Nerval, *El Desdichado*, przeł. J. Dackiewicz.
- [4] Zob. teŝe autorki *Modlitwa do trzeciej dziewicy*, Katowice 2017.
- [5] Zob. teŝe autorki *Po zapadnięciu nocy*, Katowice 2016.
- [6] Zob. teŝe autorki *Modlitwa do trzeciej dziewicy*, Katowice 2017.